HERBERT SPENCER.

I.

Charakter współczesnéj filozofii. Poprzednicy Spencera.

Nie rzadko dają się słyszeć skargi i narzekania na nasz wiek, upatrujące w jego kierunku szkodliwe dążności i całą dzisiejszą cywilizacyą nazywające materyalistyczną. Czy skargi i obawy, w różny sposób i z niejednakową dosadnością wypowiadane, mają rzeczywistą podstawę? Czy obecna cywilizacya istotnie jest tak materyalistyczna, jak to sobie wielu przedstawia?

Nie możemy na tém miejscu wchodzić w szczegółowy rozbiór tych pytań. Mając jednakże pisać o filozofii pozytywnéj, która jest jednym z objawów dzisiejszéj cywilizacyi i to objawów, zbierających w swém ognisku wszystkie jéj promienie, uważamy za potrzebne, zanim przystąpimy do właściwego przedmiotu, choć krótką dać na nie odpowiedź.

Nie chodzi tu nam o samą nazwę. Rzecz nie zmieni się przez to, że nadamy jéj to lub inne nazwisko. Z tém wszystkiém nie potrzeba zapominać, że każde nazwisko, mając utarte w pospolitéj mowie znaczenie, pociąga za sobą odpowiednie o rzeczy wyobrażenie, rozbudza skojarzone z tém wyobrażeniem wstręty lub upodobania, skłonności i uprzedzenia. Nadanie więc pewnéj rzeczy niewłaściwego nazwiska ściąga na nią albo niesłuszną naganę i potępienie, albo niezasłużone pochwały.

Wyraz *materyalistyczny*, użyty do scharakteryzowania cywilizacyi dzisiejszego okresu, może mieć trojakie znaczenie, może trzy

różne, acz pokrewne sobie, względy oznaczać. Najprzód, może on oznaczać przewagę materyalnych interesów nad innemi stronami życia ludzkiego; dalej, może wskazywać na ów kierunek filozoficznego myślenia, podług którego istnieje we wszechbycie jeden tylko pierwiastek—materya; a w końcu, może cechować moralny upadek ludzkości, w którym zaparłszy się wyższych uczuć i dążności, kieruje się tylko egoizmem i ma jedyny cel przed sobą—użycie.

Zastanówmyż się, czy i o ile wiek nasz z całą swą cywilizacyą zasługuje pod każdym z powyższych względów na nazwę, jaką mu nadają ludzie, którzy, czy to z pobudek osobistych, czy dla przyczyn mających źródło w skłonnościach serca i przekonaniach, nie mogą się pogodzić z wymaganiami czasu i pragnęliby prąd jego jeżeli nie zawrócić, to przynajmniéj powstrzymać?

Nie ulega zaprzeczeniu, że materyalna strona życia ludzkiego doszła w naszych czasach do tak olbrzymiego rozwoju, o jakim żaden z najgenialniejszych ludzi dawnych czasów nawet zamarzyć nie mógł. Zbadawszy dokładniéj zjawiska natury i ich prawa, podbiliśmy pod swe panowanie cały świat zewnętrzny, zmusiliśmy wszystkie jego potęgi do swéj służby. Za pomocą kolei i parostatków, telegrafów i telefonów prawieśmy znieśli czas i przestrzeń, sprowadzając ich wielkość do jak najmniejszych rozmiarów. Parowe machiny oraz urządzenie kredytu pozwoliły nam uorganizować pracę i podnieść jéj produkcyjność do nieznanéj dotąd potęgi. Przemysł i handel zajęły pierwszorzędne stanowisko w sprawach ludzkości, stały się wyłącznem niemal źródłem bogactwa narodowego i podstawą państwowéj potęgi. Gdyby więc szło o uwydatnienie postępu, jaki nasz wiek zrobił pod względem materyalnych interesów, można byłoby się zgodzić na udzielaną mu nazwę materyalistycznego, pomimo, że nazwa ta, wykluczając inne strony dzisiejszéj cywilizacyi, tak samo korzystające w swym postępie ze zdobyczy materyalnego świata, jak przemysł i handel, jest jednostronna i prowadzi do fałszywych wniosków. Jakkolwiek bowiem handel i przemysł zdają się absorbować dziś całe zajęcie się społeczeństwa, zużywać wszystkie jego siły żywotne, nie przytłumiły w niém wszakże ani poczucia piękna, ani pragnienia prawdy, ani téż dążności do obyczajowego dobra. Prawda, że sztuki piękne nie mogą dziś pochwalić się pierwszorzędnym gieniuszem, nie dowodzi to wszakże upadku zamiłowania w tém, co jest piękne i wzniosłe. I owszem, w miarę rozpowszechniania się oświaty i dobrobytu, samo zamiłowanie w sztukach pięknych staje się powszechniejszém i doskonalszém. To téż tak poezya, jak malarstwo i muzyka nie należą do podrzędnych objawów

dzisiejszéj cywilizacyi; przeciwnie, stały się one jednym z potężniejszych jéj czynników, za pomocą którego podnosi ona tak moralny, jak intelektualny poziom mas do wysokości dzisiejszego czasu. Jeżeli zaś wiek nasz pod względem genialności dzieł sztuki stoi niżéj od innych, za to jakże daleko po za sobą zostawia on wszystkie inne w drodze naukowego rozwoju. Komuż nieznane są wszystkie te zdobycze, jakie osiągnął na polu nauk przyrodzonych? A są niemi nie same tylko odkrycia i wynalazki, nie samo tylko nagromadzenie ogromnéj ilości faktów i fakcików; należą do nich także owe czysto teoretyczne pomysły, których zadaniem jest usystematyzowanie wiedzy przyrodniczéj, nadanie jéj syntetycznéj jedności. Teorye: atomistyczna w chemii, jedności sił w fizyce, pochodzenia gatunków w biologii, zapewniają dzisiejszemu wiekowi pierwszorzędne stanowisko w dziejach nauki. Co się tyczy innych nauk, jak filozofia, historya, nauki społeczne itd. to pomimo różnych zarzutów jakie temu lub innemu kierunkowi możnaby zrobić, nie da się zaprzeczyć, że mają one licznych i godnych przedstawicieli, którym nie brak ani oryginalności w pomysłach, ani głębokości w poglądach. Pod względem obyczajowym wiek nasz nie pozostał w tyle. Podniesiony dobrobyt, rozpowszechniona więcéj, jak kiedykolwiek, oświata musiały przyczynić się do tego, że człowiek jaśniéj pojmuje swe obowiązki, głębiéj czuje swą godność. Że jednocześnie stał się niecierpliwszym w znoszeniu krzywd, zuchwalszym na upominaniu się o swe prawa, wina tego leży nie na cywilizacyi, lecz na naturze ludzkiego serca, które tém silniéj czuje niesprawiedliwość, im wyraźniéj i dokładniéj ją pojmuje.

Otóż pomijając wszystkie te strony dzisiejszego postępu, które nazwa materyalistycznéj cywilizacyi, jeżeli nie wyklucza tendencyjnie, to w każdym razie spycha je na drugi plan, możnaby od biedy na nią się zgodzić, gdyby nie to, że ci, co jéj używają, niezadowalniają się samém tylko stwierdzeniem faktu, ale zarazem starają się przez nią także wskazać i przyczynę jego. Podług nich, główną przyczyną tak nadzwyczajnego rozwoju handlu i przemysłu jest gorączkowa żądza bogactw, nieumiarkowane żadnemi wyższemi względami pragnienie polepszenia bytu. Ten sposób zapatrywania się zdradza co najmniéj płytkość sądu, chociaż głównie pochodzi z uprzedzenia, które nie dozwala odróżnić pozoru od prawdy. Człowiek jest zawsze człowiekiem w każdym wieku i na każdym stopniu oświaty. Pierwszém jego zadaniem, główną troską jego życia zawsze było i będzie zaspokojenie swych potrzeb w miarę, jak je uznaje za niezbędne dla siebie. Jedyną do tego drogą, jedynym środkiem, który to zaspokojenie zdoła zapewnić, jest praca. Otóż cała różnica

jaka leży między wiekiem dzisiejszym, a poprzedzającymi, zawiera się w tém, że gdy dawniéj praca była wzgardzoną i uważała się, jako wyłączne przeznaczenie niższych warstw społeczeństwa, to dzisiaj, uszlachetniona, stała się obowiązkiem każdego, kto nie chce być policzonym do próżniaków; że gdy dawniéj praca opierała się na rolnictwie i rękodziełach, przedstawiając charakter indywidualny, to dzisiaj,ześrodkowana w handlu i przemyśle, usystematyzowana za pomocą machin i kredytu, przybrała cechy więcéj kosmopolityczne; że gdy dawniéj rozproszona po oddzielnych warsztatach i głównych ogniskach politycznego życia, nie mogła być ani zbyt produkcyjną, ani zbyt tanią, by z jéj owoców cały ogół mógł korzystać, to dzisiaj za pomocą organizacyi, ułatwień w komunikacyi, produkcyjność jéj stała się tak wielką, że wynikłe stąd zniżenie ceny produktów pociągnęło za sobą ich rozpowszechnienie wśród najuboższych klas ludności. Główną więc przyczyną nadzwyczajnego rozwoju materyalnych interesów społeczeństwa jest nie większa jak kiedykolwiek żądza użycia, ale ulepszenia, jakie skutkiem postępu nauk i podniesienia się oświaty, nastąpiły w warunkach pracy i w pojmowaniu jéj wartości. Praca, w jakimkolwiek bądź zakresie, stała się dziś najświętszym obowiązkiem człowieka, bez względu na stanowisko, jakie zajmuje w społeczeństwie. Nazwa próżniaka jest dzisiaj największą obrazą dla tego, co czuje swą godność osobistą.

Mniejszą jeszcze wartość ma nazwa materyalistycznego wieku ze względu na kierunek myślenia, jaki się objawia w naukach, na moralne pobudki, jakiemi się rządzą ludzie tak w prywatnych jak i publicznych sprawach życia.

Nie wiele jest ludzi wykształconych i pracujących naukowo, którzyby podzielali skrajne przekonania doktryny, przyjmującéj jeden tylko pierwiastek we wszechbycie—materyą. Tak fizyologowie, jak i psychologowie, pomimo czysto mechanicznego poglądu na życie, odróżniają z całą skrupulatnością objawy życia fizyczne od psychicznych i twierdzą stanowczo, że te od tamtych nie dadzą się wyprowadzić, że co innego jest molekularny ruch mózgowéj masy, a co innego wrażenie, które temu ruchowi towarzyszy. Nie jednemu może się to wydać paradoksem, gdy powiemy, że większa część uczonych, pomimo wszelkich pozorów materyalistycznego kierunku, w ostatecznych swych wywodach przechylają się właściwiéj ku idealizmowi; że same teorye naukowe, oparte na ścisłych badaniach, mające na celu ująć w jednę, ogólną formułę wszystkie szczególne prawa, jakiemi się rządzi świat widomy w swych objawach, są

w istocie swéj czysto idealnemi. Mill np. który ostatecznie usystematyzował metodę doświadczalną, jest prawie takim samym idealistą jak Berkeley; Helmoltz, jeden z największych fizyków dzisiejszego czasu, jest wyznawcą Kanta. Pomijamy tu Spencera, Tyndala, Huxleya, Darwina, Virchowa, Cl. Bernard'a, którzy nie są idealistami, ale którzy od materyalistycznych poglądów na życie tak samo są dalekimi, jak każdy z pobożnych chrześcian. Kto zaś zna teoryą atomistyczną i jedności sił, ten zgodzi się, że więcéj one przemawiają na korzyść idealizmu, jak materyalizmu. Zresztą ani w idealizmie, ani w materyalizmie nie należy upatrywać głównéj cechy umysłowego ruchu dzisiejszéj doby. Chodzi mu przedewszystkiém nie o kwestye metafizyczne, ale o zagadnienia, z któremi życie ludzkie jaknajściśléj jest związane, o to, ażeby zbadać wszystkie warunki rzeczywistości, jak ona się objawia szeregiem zjawisk tak świata fizycznego, jak organicznego, tak w czynach jednostek, jak i w zbiorowém życiu ludzkości.

Co się tyczy zarzutu praktycznego materyalizmu, moralnego upadku naszych czasów, to wprzód, zanim byśmy mogli mu przyznać słuszność, potrzebowalibyśmy, by nam dowiedziono, że dzisiaj stosunkowo więcéj jest zbrodni i występków, a mniéj cnót i poświęceń, jak kiedyindziéj; że interes stał się wyłącznym celem naszych spraw, a egoizm jedynym ich bodźcem, że cierpienia bliźniego nie budzą w nas współczucia, że cała moralność nasza nie wznosi się nad poziom przepisów kodeksu karnego; że maksyma: siła przed prawem—jest wyrazem sumienia narodów. Potrzebujemy, by nam dowiedziono, że dzisiejsza ludzkość, zmateryalizowana w uczuciach, poniżona w godności, stłumiła w sobie wszelkie wyższe dążności, wszystkie szlachetniejsze popędy, i żyjąc z dnia na dzień, bez pamięci na jutro, bez myśli o wyższych zagadnieniach życia, ma jeden jedyny cel przed sobą—użycie. Otóż dowieść tego nikt nam nie potrafi.

Każdy wiek ma swoje ideały, które mu przyświecają w jego dziejowym pochodzie, niby ognisty słup Mojżesza. Ma je i wiek obecny. A jakkolwiek nie są niemi ani piękno, jak je pojmował Plato, ani prawda, jak ją Hegel i podobni mu filozofowie rozumieli, ani dobro w tém znaczeniu, w jakiém je przedstawiają mistycy wszelkiego rodzaju, z tém wszystkiém nie są one od tamtych ani mniéj warte, ani mniéj potężne, by nie zdołały wznieść umysłu człowieka nad poziom drobnostkowych życia zabiegów i skierować go do wyższych celów, natchnąć go szlachetniejszemi popędami.

Mistyczny pogląd na życie, usuwający cel jego po za grobowe deski, stawiający ascetyczne cnoty na wyżynie największych zasług człowieka, zarówno, jak i romantyczna wzgarda codziennéj rzeczywistości, zakładająca największą chwałę na bezwzględnéj manifestacyi uczuć—musiały ustąpić miejsca realniejszemu zapatrywaniu się na życie i jego zadanie. Dzisiaj cel życia upatruje się w niém samém, w wypełnianiu obowiązków, jakie wkłada na człowieka jego stanowisko w społeczeństwie. Między jednostką a społeczeństwem nastąpiło silniejsze, bardziéj organiczne, więcéj może świadome, jak uczuciowe zespolenie się. Skrajny indywidualizm jednostek zaciera się powoli, a natomiast ugruntowuje się harmonia społecznych stosunków na podstawie równości i wolności. Zakres indywidualnéj działalności ścieśnił się, ale za to rozszerzyła się droga zasługi, skromnéj, ale pożytecznéj jednostce i społeczeństwu. Trudno dziś zostać bohaterem chociażby tego kroju co ś. p. Don-Kiszot, ale za to łatwo zostać cnotliwym i światłym obywatelem kraju. Godność ludzka zakłada się dziś nie na pięknych, poetycznych, ale bezcelowych uczuciach, migocących blaskiem fosforycznego ognia, który nikogo zagrzać nie potrafi, nie na szczytnych, a czczych, nie dających się zastosować w życiu pomysłach, ale na stałości charakteru, na sile woli, którą żadne przeciwności nie zdołają sprowadzić z drogi, która opierając się na sobie, nie ogląda się na litościwą pomoc innych. W pracy, bez względu na jéj rodzaj, uznano jedną z najświętszych powinności człowieka. Że ten realistyczny kierunek życia przybiera nierzadko pozór oschłości uczuć, prozaiczności, a nawet pewnéj małoduszności—dziwić się temu nie trzeba. Zasadzając godność ludzką na samodzielności, w pracy upatrując obowiązek każdego, nie możemy nie lekceważyć ludzi niezaradnych, nie gardzić próżniakami, od których nie zawsze można odróżnić nieszczęśliwych. Zajęci pracą, która jedna zapewnia nam byt niezależny, staliśmy się bardziéj prozaicznymi, mniéj tęskniącymi melancholicznie do nadziemskich sfer, gdzieby można „z kochankami mdlejąc latać, włosy splatać i rozplatać, tchnienie tracić w błyskawicy.“ Nawykli do liczenia się z warunkami rzeczywistości, czujemy pewną niechęć do zuchwałych polotów myśli, unoszących ją do niebotycznych wyżyn bezwzględności. Wszystko to prawda. Staliśmy się praktyczniejsi, a więc prozaiczniejsi. Nie sądzę atoli, byśmy przez to zasługiwali na zarzut materyalizmu. Że praktyczność nie wystudziła serc naszych, nie zrobiła nas obojętnymi na cierpienia bliźnich, świadczą o tém dokładnie wszystkie prywatne i publiczne zakłady, których przeznaczeniem jest udzielanie przytułku nieszczęśliwym, pomocy i opieki chorym; dowodzą tego postanowienia rzą-

dów, uchwały ciał prawodawczych, usiłowania pojedynczych osób, mające na celu podniesienie dobrobytu klas pracujących i rozpowszechnienie oświaty. Że prozaiczność nasza nie podcięła skrzydeł naszéj myśli, lecz tylko lot jéj wdrożyła do bardziéj prawidłowego ruchu, dowodzą tego wszystkie odkrycia i wynalazki na polu ścisłych badań, wynalazki, które nie jednemu z naszych przodków mogłyby się wydać dziełem czarów, dokonanych z pomocą złego ducha; dowodzą tego owe hipotezy naukowe, które szczytnością swych pomysłów dorównają poetyczności najwznioślejszych kreacyj sztuki.

Jeżeli więc chodzi o nazwę, jakąby wypadało ochrzcić naszą cywilizacyą, to najodpowiedniejszą byłaby nazwa realistycznéj; dzisiejszy bowiem kierunek polega głównie na tém, że myśl i uczucie, które dotąd nie zawsze były w zgodzie z rzeczywistością, zbliżyły się do niéj, w niéj szukając punktu oparcia dla siebie.

Niechęć do tego kierunku, mająca główne swe źródło w zapoznaniu właściwych jego cech i w powziętém ku niemu uprzedzeniu, objawia się nie w saméj tylko nazwie, ale i w tém mniemaniu, wygłaszaném w każdéj okoliczności, że jest on chwilowém zboczeniem, które stawszy się modą, podtrzymuje się tylko urokiem nowości; że nie mając ściślejszego związku z przeszłością, pozbawiony wszelkiéj życiowéj zasady, któraby tkwiła w istotnych potrzebach czasu, jest on zjawiskiem przypadkowém, bez dziejowéj w sobie konieczności. Nie trudno dowieść, jak dalece owo mniemanie jest powierzchowném i przeciwném zwyczajnemu biegowi rzeczy, o jakim nas historya poucza. Tak w dziejach ludzkości, jak i pojedynczych narodów, wielkie wypadki i stanowcze, obejmujące wszystkie strony życia społecznego, zwroty nie improwizują się. Są one zazwyczaj wypadkową wielu na raz sił działających, wielu zdarzeń i wypadków, wielu klęsk i powodzeń, nadziei i rozpaczy, wiary i zwątpień, radości i boleści, słowem, wszystkich pierwiastków ludzkiéj natury, zgodnie lub w przeciwnych kierunkach działających, stosownie do zewnętrznych wpływów które je rozbudzają i które od nich nie zawsze zależą. Bez wyraźnéj lub domniemalnéj przyczyny nic się nie dzieje ani w naturze, ani w dziejach. Realistyczny kierunek naszych czasów zostaje w jak najściślejszym związku z francuską rewolucyą, będąc ostatecznym jéj wynikiem, i łączy się bezpośrednio tak z romantyzmem w poezyi, jak i z metaficzną spekulacyą niemieckiéj filozofii.

Wiadomo, że francuska rewolucya była przeważnie socyalną, działającą w imię tak zwanych naturalnych praw człowieka. Wyzwoliwszy życie ludzkie z powijaków, jakie na nie włożyły tradycya i

przesądy, przemoc i powaga, wygłosiła ona nową zasadę, podług której życie powinno się urządzić na tych podstawach, jakie w niém samém się znajdują. Wykryć te podstawy, zbadać naturę i przeznaczenie wszystkich czynników, które wchodzą w grę życia i stanowią jego istotę, stało się zadaniem praktycznych usiłowań i teorytycznych badań, filozoficznych rozstrząsań i poetycznych utworów. A jeżeli statystom szło głównie o to, by stosując nową zasadę, reorganizując społeczeństwo na nowych podstawach, pogodzić ją z warunkami chwili; to badania metafizyczne, szukające prawdy absolutnéj, starały się wykryć w niéj źródło, z którego wypływa nowa zasada życia; nadając zaś jéj rozumową konieczność, usiłowali zarazem wyprowadzić z niéj wszystkie praktyczne konsekwencye bez względu na czasowe i miejscowe warunki. A jakkolwiek filozofia ta kosmopolitycznemi swemi tendencyami, abstrakcyjném formulizowaniem życia stanęła w rażącéj sprzeczności z życiem rzeczywistém, jak ono się przedstawia w dziejach i w codziennéj praktyce, wszakże już dla tego samego, że życie uznała za pierwszorzędną kwestyą swych badań, że jego czynnikom, tym przynajmniéj, które potrafiła wysnuć z rozumowéj zasady, przyznała racyonalną konieczność, utorowała drogę realistycznemu kierunkowi, samemi błędami swemi rozbudziwszy umysł z metafizycznéj drzemki i zwróciwszy jego lot od pojęć abstrakcyjnych do konkretnych. Ten sam charakter objawia i poezya romantyczna. Była ona walką serca przeciwko temu wszystkiemu, co krępowało swobodę jego uczuć, więziło polot jego natchnienia. Poruszonym tu był stosunek jednostki do społeczeństwa, rozwijaną tu była we właściwy sposób kwestya życia pod względem psychicznym i narodowym. A chociaż tak samo była romantyczność jednostronną, jak i niemiecka spekulacya—ściśléj przecież wiązała się z życiem, połączona z niém uczuciém, miłością tego, co w rzeczywistości znajdowała pięknem i wzniosłém. Zasługą jéj wielką było to, że przeciwko abstrakcyjnemu pojęciu życia, jakie ogłaszała metafizyczna filozofia, postawiła pojęcie jego konkretne, wypełnione treścią, zaczerpniętą z uczucia; że przeciwko kosmopolitycznym tendencyom tejże filozofii postawiła zasadę narodowości, zaczerpniętą z dziejów i tradycyi narodowéj. Wadą zaś jéj, która zresztą sowicie została okupioną zasługami, jest to, że zapatrując się na życie ze stanowiska czysto estetycznego, pragnęła go przerobić na poemat, pełen uniesień, złotych marzeń i fantastycznych przygód, że uznając uczucie za istotę duszy ludzkiéj, upatrywała ideał człowieka w zapaleńcu, dla którego jedyném prawem są natchnienia serca, który widziadła rozgorączkowanéj fantazyi ogłasza narodowi, jako prawdy objawione, jako wyroki opatrzności. Tu

właśnie leży klucz do wyrozumienia owéj doktryny, która pod imieniem towianizmu tak smutną w dziejach naszéj oświaty odegrała rolę, przerzucając takie umysły, jak Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego i innych, na pole marzeń mglistych, nieujętych i zaprawionych znaczną dozą kosmopolityzmu.

Z wszystkiego tego, com powyżéj powiedział, jawnie się okazuje, że realistyczny kierunek obecnéj doby nie jest tak bardzo przypadkowym, jak to sobie wielu wyobraża, że łączy się on bezpośrednio z kierunkiem poprzedzającego okresu, téż same dążenia z innéj tylko strony przedstawiając. Jest on dalszym tylko wątkiem dziejów XIX stulecia; jest bezpośrednim wynikiem wszystkich korzyści i zawodów, jakich doznała nasza cywilizacya w swym metafizycznym i romantycznym kierunku. Uznając dziejową jego konieczność, musimy zarazem uznać, że jest on naturalnym we wszystkich swych objawach, że podstawą jego nie jest chwilowe upodobanie, zamiłowanie do nowości, niechęć do tego, co jest dawne, ale przekonanie, które się opiéra na zdobyczach wiedzy ludzkiéj, ale głębokie uczucie prawdy, które po doznanych zawodach przestało się lubować w szczytnych wprawdzie, ale czczych i uschłych formułkach filozofii czystego myślenia, zarówno jak i w fantastycznych obrazach romantyzmu, łudzących wszystkiemi kolorami tęczy, ale téż nikłych i rozwiewnych jak sama tęcza.

Jeżeli zaś kierunek realistyczny jest koniecznym pod względem dziejowym, naturalnym pod względem psychologicznym, to czyż można, bez pogwałcenia zasad zdrowéj logiki, upatrywać w nim zgubne dążności, niebezpieczne dla społeczeństwa symptomaty? Czy można z wyrazem powątpiewania zapytywać, jakie korzyści on przynosi? Naturalnie, że kto pojmuje dziejową konieczność na sposób Heglowski, podług którego to, co jest koniecznem, jest już rozumném, a więc i dobrém, ten bez wahania się odpowie na powyższe pytania przecząco. Kto jednakże zna dzieje przeszłości, ten wié dobrze, że przyczynowa konieczność nie jest jeszcze koniecznością fatalistyczną, że nie wszystko, co było w historyi koniecznem, było jednocześnie i dobrém; że panujące w pewnych okresach dążności, chociaż były naturalnemi pod względem psychologicznym, nie były przecież czém inném, jak chwilowém zboczeniem, a nierzadko nawet zupełnym upadkiem umysłów. Wszelkie wątpliwości i obawy, jakie w niektórych umysłach budzi kierunek obecnéj cywilizacyi, są najzupełniéj uprawnione pod względem logicznym i robionych w tym duchu pytań nie wolno pomijać milczeniem. Człowiek, czy z uprzedzenia, czy z przywiązania do rzeczy starych, albo li téż dla braku należytego obeznania się, zawsze spogląda z podejrzeniem

i obawą na każdą nowość. Nie zapominajmy nareszcie, że przekonania raz nabytego, pozbyć się nie łatwo. Ci więc, którzy wyznają inne zasady i wierzą w ich zbawienność, nie mogą patrzéć z obojętnością na kierunek, pod wielu względami raniący boleśnie ich przekonania i żywo dotykający mnogich uczuć, jakie z tém przekonaniem skojarzyły się.

Potrzeba by na to osobnéj pracy, ażeby wykazać jakich można się spodziéwać korzyści na przyszłość z realistycznego kierunku, ażeby dowieść, że wszystkie wymierzone przeciwko niemu zarzuty są niesłuszne, że upatrywane w nim groźne symptomaty są raczéj utworem uprzedzonéj wyobraźni, niźli trzeźwéj i bezstronnéj rozwagi. Tu, na tém miejscu, wystarczy nadmienić, że realistyczny kierunek ma już pewne zasługi, które dokładnie usprawiedliwiają nadzieje, jakiemi są ożywieni jego zwolennicy. Pomijając nadzwyczajny rozwój interesów materyalnych społeczeństwa, dość tu wskazać, że cały swój postęp, jaki wiedza ludzka dokonywa w naszych oczach, zawdzięcza ona temu jednemu tylko, że opuściwszy stare drogi, odważyła się wejść na nową, odpowiedniejszą wymaganiom czasu. Co się zaś tyczy obaw i zarzutów, to można na nie odpowiedzieć tylko tyle, że jeżeli realistyczny kierunek jest niebezpiecznym, to chyba dla złudzeń i uprzedzeń, utrudniających zrozumienie rzeczy, dla przesądów, nieznoszących światła i lotem nietoperza rzucających się na każdą myśl nową, dla zastarzałych nałogów, kryjących się w najtajniejszych zakątkach serca. Jest on niebezpiecznym dla wszystkich pozostałości ubiegłego okresu, dla owych tu i owdzie błąkających się między nami, jak upiory z tamtego świata, pojęć niemieckiéj spekulacyi, zarażonych idealnym kosmopolityzmem, albo sentymentalnym mistycyzmem pojęć, które obałamucając umysły, odciągają je od pożytecznéj dla ogółu pracy. Ale nie jest on niebezpiecznym dla tradycyi narodowéj, nie podkopuje zasad społecznego bytu, nie wystudza uczuć, które są podstawą życia ludzkiego, regulatorem wszystkich jego stosunków. Nie tworzy on o życiu pojęć abstrakcyjnych; przeciwnie, wszystkie swe wnioski o niém opiéra na pilnéj obserwacyi, na ścisłém zbadaniu jego warunków, na sumiennem, wolném od wszelkiego uprzedzenia ocenieniu wszystkich jego czynników. Za najpotężniejsze zaś czynniki uważa on właśnie uczucie i tradycyą. Nie trzeba tylko zapominać, że jak uczucie, tak i tradycya narodowa wtedy tylko stają się pożytecznemi i dobroczynnemi, gdy zgadzają się z celami i przeznaczeniem społecznego bytu. Serce ludzkie jest podobném do ciemnéj jaskini, w któréj nieraz wylęgają się straszliwe potwory i jadowite żmije. Również nie wszystko jest świętém i dobrém, co

znajdujemy w tradycyi narodowéj. Są w niéj rzeczy, które powinniśmy przechowywać jak relikwie, broniące nas od chorób i nagłéj śmierci, są rzeczy, które jak szaty ojców naszych, za obszerne lub zaciasne, byśmy mogli je nosić, pozostaną drogą naszemu sercu pamiątką; ale nie trudno w niéj znaleść i takie rzeczy, które są czémś na podobieństwo owego krzyża, „co u stóp samych podgryziony laty, pada, zabija dzieci z sielskiego pobliża, a lud płacze, że zwalić nie pamiętał krzyża.“

Ogólnym wyrazem kierunku realistycznego, syntezą jego dążności i zasad jest współczesna nam filozofia, najniewłaściwiéj nazywana pozytywizmem, z którym, jako z doktryną, właściwą samemu tylko Comte'owi i jego uczniom, ma jeno to wspólnego, że posługuje się tą samą metodą—doświadczalną. Filozofia ta, jeżeli z jednéj strony zawdzięcza swój byt postępowi nauk przyrodniczych, które naocznie wykazały korzyści lekceważonéj dotąd metody doświadczalnéj, które, rzucając nowe światło na pewne strony natury ludzkiéj i społecznego życia, przekonały, że metoda doświadczalna winna być zastosowywana i do kwestyj, dotąd rozstrzyganych za pomocą rozumowania à priori; to z drugiéj strony, do jéj utrwalenia nie mało przyczyniła się filozofia niemiecka, która, zapomniawszy o przestrogach Kanta, w swych pościgach za prawdą absolutną, doprowadziła metodę apriorystyczną do absurdum, ośmieszyła ją i zdyskredytowała na zawsze.

Lat temu czterdzieści, filozofia apriorystyczna, którą najwłaściwiéj jest nazywać filozofią czystego myślenia, ogromne miała powodzenie w Niemczech. Nie była ona i nam obcą, dzięki usiłowaniom Trentowskiego, Libelta, Cieszkowskiego i Kremera. Filozofia ta, wychodząc z założenia, że świat zewnętrzny, jako zbiór zjawisk, jest czémś na kształt biegu rzeki, w któréj fala powstaje za falą na to, by się ukazawszy na chwilę na jéj powierzchni, wnet się zapaść w łonie jéj wód i zniknąć bez śladu na wieki, doszła do wniosku, że jak przyczyna powstawania fal nie w nich samych leży, tak również nie w zmysłowych fenomenach przedmiotowego świata potrzeba szukać ich przyczyny. Przyczyną zjawisk nie są poprzedzające i towarzyszące im okoliczności, nie są ich fizyczne własności; ale idea, duch bezwzględny, który, czynny we wszystkich tworach przyrody, jako myślenie, znajdujące się na różnym stopniu logicznego rozwoju, staje się świadomym siebie, staje się czystém myśleniem dopiero w duszy człowieka. Myślenie czyste, bezwzględne, a istota

rzeczy—to jedno. Jestto prawda absolutna, do któréj poznania prowadzi dyalektyka czystego myślenia, uwolnionego od wszelkiéj przymieszki, pochodzącéj z doświadczenia. Kto poznał myślenie w jego dyalektycznym ruchu, kto zbadał prawa tego ruchu, ten już zarazem poznał istotę bytu w ogóle i w szczegółowych jego objawach, ten doszedł do świadomości absolutu, prawdy bezwzględnéj. Świat zewnętrzny z całą rozmaitością swych zjawisk nie ma odtąd dla niego tajemnic i drobiazgowe ich badanie w drodze doświadczenia ma dla niego podrzędną tylko wartość. „Nauka—powiada Fichte starszy, potrafi wyprowadzić niezależnie od wszelkiéj obserwacyi tak budowę źdźbła trawy, jakoteż ruchy ciał niebieskich z prostych zasad wiedzy.“

Wiadomo, ile na gruncie téj filozofii powstało systematów. Każdy z filozofów tego kroju uważał za swój obowiązek wystąpić z własnym. Nie potrzebował on troszczyć się o materyał do budowy, znajdował go w sobie, wysnuwał go z siebie, jak pająk, pracujący nad utkaniem swéj pajęczéj siatki. Cała trudność polegała na nabyciu gimnastycznéj zręczności w dyalektyce, na postawieniu założenia i wyszukaniu pierwszéj zasady, z którejby to założenie drogą sylogistycznego rozumowania dało się wyprowadzić jako ostateczna jéj konsekwencya.

Nie da się zaprzeczyć, że niektóre z tych systematów zdumiewają tak szczytnością pomysłu, jakoteż rozległością widoków. Z tém wszystkiém są one podobne do opuszczonych katedr gotyckich, które, widziane zewnątrz, zachwycają ogromem swéj budowy i lekkością struktury, ale wewnątrz są głuche i puste i posępna ciemność w nich panuje. Nie masz w nich ani Boga, ani ludzi, nie słychać w nich żywego głosu, i zaledwie tylko oddalony gwar świata zamąci niekiedy ich grobową ciszę, zaledwie tylko zbłąkany promyczek słońca, wpadłszy do środka, zaigra na nagich ścianach i rozproszy na chwilę panującą w nich ciemność.

Że filozofia téj natury mogła tak głębokie zrobić wrażenie na umysłach w epoce panowania romantyzmu, że dla niéj zapomniano głębokich badań nad poznaniem Kanta i jego zdrowych przestróg, dziwić się temu nie można. Między romantyczną poezyą a metafizyczną spekulacyą, pomimo pozornych sprzeczności, zachodziło jak najbliższe pokrewieństwo. Jednym ożywione były duchem, jedną, wspólną sobie miały dążność. Tu i tam panowała wzgarda dla rzeczywistości, wybujała fantastyczność, nie uznająca nad sobą żadnego prawa, własne natchnienia podająca za najwyższą prawdę. Romantyczna poezya i spekulacya metafizyczna w równéj mierze, acz odmiennemi drogami szukały prawdy: jedna życiowéj, druga rozumowéj; ale szukały jéj nie w rzeczywistości ziemskiéj, lecz w

nadobłocznych sferach marzeń i abstrakcyi. Powodzenie ich i wziętość mogły trwać tak długo, aż poczucie rzeczywistości nie wzięło przewagi nad zamiłowaniem do górnolotnych pościgów, aż doznane zawody i powstały zamęt pojęć nie ostudziły zapału, podając w podejrzenie dotychczasowe ich usiłowania i wskazując na rażącą niezgodność ich pomysłów z rzeczywistością. Upadek romantyzmu i nawrót fantazyi do rzeczywistego życia był zarazem upadkiem filozofii metafizycznéj w tym przynajmniéj jéj kształcie, jaki jéj nadał Szeling, Fichte i Hegel. Filozoficzne myślenie, które dotąd działało pod hasłem logicznéj zgodności myślenia z sobą, wzięło teraz za godło: logiczną zgodność myślenia z sobą i z rzeczywistością, jak ją nam poznać daje doświadczenie.

Niemcy rzucili się teraz na nowo do studyów nad Kantem, tém gorliwszych, im większy był zawód, i utworzyli tak zwaną krytyczną filozofię, która obecnie z każdym dniem coraz więcéj zyskuje adeptów, coraz potężniejszy wywiera wpływ, dzięki tylko temu, że usiłuje pogodzić założenia filozofii czystego myślenia z rezultatami doświadczenia. Anglicy, zawsze praktyczni i trzeźwi w swych poglądach, wierni radom i przestrogom Backona, nie dali się unieść prądowi niemieckiéj spekulacyi i, ograniczywszy całą swą filozofię do badań nad umysłem ludzkim, stali się twórcami psychologii, która z postępem czasu, uległszy ważnym zmianom, stała się kamieniem węgielnym dla filozofii angielskiéj, zwanéj przez niektórych pozytywizmem psychologicznym. We Francyi, która zrazu wyznawała sensualizm Kondylaka a następnie przerzuciła się do szkockiéj filozofii, powstały jednocześnie dwa filozoficzne kierunki, eklektyczny Cousin'a i pozytywny Comte'a. Małoduszny i ciasny w swych zasadach eklektyzm został wykrojony przez swego twórcę z rozmaitych kierunków myślenia, jakie się objawiły w jego dziejowym rozwoju, podług miary, która, schlebiając narodowéj miłości Francuzów, skarbiła zarazem względy swego rządu i kościoła. Była to wygodna, z całą elegancyą uszyta, toga, ale przypominająca owe kaftany, z różnokolorowych materyj złożone, w jakich występują zazwyczaj cyrkowe błazny. Co się tyczy pozytywizmu Comte'a, zadaniem jego było usystematyzowanie wiedzy na zasadach poznania, jakie ustalił Hume swemi badaniami nad rozumem ludzkim.

Krytycyzm Kanta, doświadczalna filozofia angielska i pozytywizm francuski, pomimo gatunkowych różnic, jakie w nich się wykrywają, stanowią jeden rodzaj filozoficznego kierunku, który poznaniu ludzkiemu przyznaje względną tylko wartość i ogranicza je do badania fenomenów i ich stosunków, wykluczając z jego zakresu

wszelkie pytania, dotyczące istoty rzeczy i ich pierwszéj przyczyny.

Mając wzgląd na tak ścisłe ich pokrewieństwo z sobą i wspólność zasad, uważam za potrzebne, za nim przystąpię do właściwego przedmiotu swych studyow, podać krótką, ale, o ile stać mię na to, dokładną ich charakterystykę. Zaczynam od Kanta, którego krytyka czystego rozumu nie pozostała bez pewnego wpływu na dzisiejszą filozofią angielską.

Kant, wyrobiwszy sobie pod wpływem dzieł Hume'a przekonanie, że najpierwszém zadaniem filozofa powinno być zagadnienie, jaka jest natura ludzkiego poznania, co mu jest dostępném i jaką drogą do niego się dochodzi, postanowił poddać jak najściślejszemu zbadaniu wszystkie pierwiastki wiedzy ludzkiéj, ażeby, wykrywszy charakter i doniosłość każdego, mógł następnie odpowiedzieć, który z nich należy do rozumu, a który do doświadczenia, a następnie, czy jest jaka granica, własnością samego rozumu zakreślona, po za którą poznaniu ludzkiemu wykraczać nie wolno, pod karą uwikłania się w liczne bez wyjścia sprzeczności. Miał on już pod tym względem dzielnych poprzedników w Locku, a szczególniéj w Hume'm, chociaż ani ten swym sceptycyzmem, ani tamten czystym empiryzmem nie mogli go zadowolić. Z tém wszystkiém, utorowali mu oni drogę, a nawet jak Hume wskazał mu metodę, jakiéj w tego rodzaju badaniach trzymać się potrzeba.

Ostateczne wyniki, do jakich Kant doszedł w swéj Krytyce czystego rozumu, są następujące:

Składowemi częściami wiedzy ludzkiéj są pojęcia, sądy i wnioski. Poddawszy jéj ścisłéj analizie, wykrywa się w nich dwojaki pierwiastek, konieczny i przypadkowy. Pierwszy stanowi ich formę, drugi materyą. Jeżeli ten pochodzi z doświadczenia, stanowi treść zmysłowych wrażeń, to drugi w żaden sposób nie może być wyprowadzonym z doświadczenia i dla tego musi być przyznanym samemu tylko myśleniu, jako jego forma, jako konieczny warunek wszelkiego poznania. Form takich jest siedmnaście. Czas i przestrzeń, które są koniecznemi warunkami zmysłowego spostrzegania, dwanaście kategoryi rozsądku, jak jedność, ilość, przyczynowość, konieczność i t. d., a następnie trzy idee rozumu — idea Boga, duszy i świata. Wszystkie te formy czystego myślenia są w sobie czcze i puste, pozbawione wszelkiéj treści i stanowią tylko gołą możność poznania; dla tego zaś, by się stały poznaniem rzeczywistém, muszą być wypełnione treścią, któréj im może dostarczyć samo tylko doświadczenie. Poznanie więc jestto połączenie doświadczalnéj treści z formami myślenia. Treść ta atoli, podchodząc pod

miarę przestrzeni i czasu i dwunastu kategoryj rozsądku, nie da się w żaden sposób podciągnąć pod idee rozumu, z któremi nie ma nic wspólnego. Całe więc poznanie ludzkie ogranicza się do zjawiskowego świata i jest czysto fenomenalném; co zaś wychodzi po za jego granice jest transcendentalném i poznaniu ludzkiemu niedostępném. Idee czystego rozumu, należące właśnie do téj transcendentalnéj sfery, nie mogąc być przedmiotem poznania, mają dla niego tylko znaczenie regulatorów. Za ich pomocą rozum czysty sprowadza wiedzę ludzką do syntetycznéj jedności, służą one za podstawę naszemu poznaniu. Rozum czysty nic o nich stanowić nie może, oprócz tego, że są mu dane, że stanowią jego istotę. Z tego, że znajduje je w sobie, nie ma jeszcze prawa wnosić, że jest w rzeczywistości coś, co im odpowiada. Wszelkie więc dowodzenia istności Boga, duszy i świata, jako pewnéj całości, któréj fizyczne zjawiska są tylko objawami, są czcze i w ostatecznéj konkluzyi docierają do sprzeczności bez wyjścia. Metafizyka więc w téj części, która zajmuje się bytem w ogóle, nie ma żadnéj wartości i musi być wykluczoną z szeregu nauk.

Takie są w ogólnéj charakterystyce pojęcia Kanta o właściwościach czystego rozumu i o granicach ludzkiego poznania. Rozpatrzywszy się w nich pilnie, łatwo będziemy mogli odpowiedzieć na pytanie, czém jest właściwie cała nasza wiedza i jaką wartość mamy przyznać ludzkiemu poznaniu.

Wiemy już, że cała nasza wiedza ogranicza się do tego, co podlega doświadczeniu, bądź wewnętrznemu, bądź zewnętrznemu. Przedmiotem jednego i drugiego są tylko fenomena albo psychiczne, albo fizyczne. Z surowego materyału, dostarczonego przez doświadczenie, rozum czysty urabia pojęcia, sądy i wnioski, stosując doń właściwe formy myślenia, które są koniecznym warunkiem wszelkiego poznania. Poznanie, w ten sposób powstałe, jest jedynym pośrednikiem między naszem *ja*, a tém, co niém nie jest. Oprócz naszego *ja* bezpośrednio nic nie znamy.

Poznanie nasze przedstawia nam nasze *ja*, jako zbiór psychicznych zjawisk, zostających w pewnym do siebie stosunku; podobnież świat zewnętrzny wyobrażamy, jako zbiór zjawisk fizycznych między któremi zachodzą stałe stosunki. Czémże są w ogóle zjawiska, czém są ich stosunki? Wszystkie stosunki tak zjawisk psychicznych, jakotéż fizycznych w ostatecznych swych zasadach sprowadzają się do czasu, przestrzeni, jedności, wielości, przyczynowości, konieczności i t. d. Otóż, jak już wiemy, czas i przestrzeń są formami zmysłowego spostrzegania i do zjawisk nie należą, jedność zaś, przyczynowość, konieczność i t. d. stanowią kate-

gorye rozsądku i również do zjawisk nie należą. Wszystkie więc stosunki, w jakich przedstawiają się w naszém poznaniu zjawiska tak psychiczne, jak fizyczne, są własnością czystego myślenia i nie mają wcale przedmiotowéj wartości. Zewnątrz naszego *ja* nie masz nic, coby odpowiadało formom czystego rozumu, coby było czasem, przestrzenią, przyczynowością itd. Słowem, stosunki, w jakich się objawiają naszemu poznaniu zjawiska, są dziełem czystego rozumu i do zjawisk nie należą. W poznaniu więc naszém same zjawiska są tylko czémś obcém czystemu rozumowi, czémś, co mu udziela doświadczenie. Czemże są te zjawiska? Fenomena psychiczne są zmianami naszego *ja*, a więc należą do tego samego rodzaju, co i czysty rozum, który nie jest czém inném, jak zjawiskiem psychiczném. Czy czémś inném są zjawiska fizyczne? Zjawiskami fizycznemi nazywamy wrażenia zmysłowe, które powstają w skutek powstałego w naszych nerwach ruchu cząsteczkowego. Czy przyczyna tego ruchu znajduje się w czemś, co istnieje po za naszemi zmysłami? czy jest nią właściwe tychże zmysłów urządzenie, które za przewodem pobudek, w naszem *ja* znajdujących się, wywołuje w nerwach odpowiedni ruch cząsteczkowy? Na to wiedza nasza żadnéj odpowiedzi dać nie może. Zjawiska fizyczne nie są dla rozumu czém inném, jak zmysłowemi wrażeniami, które znowu są niczém więcéj jak psychicznemi fenomenami. Cała więc wiedza nasza ogranicza się do świadomości stanów naszego *ja*, które ze swéj strony jest tylko prostym zbiorem fenomenów psychicznych, związanych w sztuczną całość za pomocą idei czystego rozumu, jaką jest dusza. Poznanie nasze nie ma żadnego przedmiotowego znaczenia, jest ono czysto podmiotowém, mającém wartość li w zakresie naszéj jaźni. W ten sposób założenia Kanta prowadzą nas w ostatecznéj konsekwencyi do idealizmu, znoszącego świat zewnętrzny, przyznającego byt saméj tylko idei. A jakkolwiek sam Kant cofnął się przed nim i zawrócił z drogi, to uczeń jego Fichte nie zawahał się dotrzéć do niego.

Niechcąc się puszczać na otwarte morze idealizmu, przejmującego grozą, bo nieznającego żadnych granic, postanowił Kant zatrzymać się u brzegu przedmiotowości, przywiązując doń łódź poznania za pomocą kategoryi przyczynowości. Zewnętrznego świata, powiada Kant, bezpośrednio nie znamy; znamy tylko wrażenia, jakie on wywiera na nasze zmysły. Wrażenia te są stanami naszego *ja*, ale stanami biernemi, w których *ja* czuje się ograniczoném. Dla tego też uważa je za coś obcego sobie, za skutek jakiejś przyczyny, która nie w niém leży, a więc musi się znajdować zewnątrz niego. Tą przyczyną jest właśnie rzecz w sobie, któréj rozum poznać nie zdoła, ale

któréj musi przyznać byt niezależny od naszego *ja*, byt przedmiotowy. Każde więc wrażenie zmysłowe, jakkolwiek z natury swéj jest czysto podmiotowém, ma znaczenie przedmiotowe z tego względu, że jest skutkiem odpowiedniéj, zewnętrznéj względem naszego *ja* przyczyny. Ponieważ cała nasza wiedza opiéra się na wrażeniach zmysłowych, to chociaż te wrażenia podlegają licznym zmianom, przerabiane będąc na zmysłowe spostrzeżenia, pojęcia, sądy i wnioski, gdy atoli te zmiany nietylko nie zacierają ich charakteru, ale, jako formy myślenia, do niego muszą się pod pewnym względem stosować, przeto wiedza nasza, pomimo całego pozoru idealizmu, jest ściśle przedmiotową, bo opartą na przedmiotowym gruncie, jakim jest rzecz w sobie. W ten sposób uratował Kant swą filozofią od idealizmu, ale uratował kosztem logicznéj konsekwencyi, odstąpiwszy od głównéj zasady swego systemu. Całe powyższe rozumowanie oparł on na kategoryi przyczynowości, o któréj sam powiada, że ma ona znaczenie li podmiotowe, że tego, co stanowi formę naszego myślenia, konieczny warunek naszego poznania, nie wolno nam przenosić poza siebie, gdyż poza naszém *ja* nie masz nic, coby kategoryom czystego rozumu mogło odpowiadać. Jak po za nami nie masz czasu i przestrzeni, tak i przyczynowości być nie może. Całe więc rozumowanie Kanta, mające na celu dowieść istnienia rzeczy w sobie i tém samém nadać swéj teoryi charakter przedmiotowy, staje w rażącéj z głównemi jéj zasadami sprzeczności i traci swą doniosłość.

Pomijając atoli tę niekonsekwencyą i przyjmując teoryą Kanta w tém jéj rozwinięciu, jakie on jéj ostatecznie nadał, to musimy wyznać, że daleką jest ona od tego, by mogła zadowolić człowieka, któryby nie godząc się ani na idealizm Berkleya, ani na empiryzm Locke'a, szukał w niéj obrony od sceptycznych wątpliwości Hume'a. Nie dość bowiem, że grunt przedmiotowy, jaki Kant zapewnił ludzkiemu poznaniu, zdobyty jest fortelem tylko, podstępem, a zatém prawa do niego są zbyt wątpliwe; ale samo to mniemane posiadanie gruntu przedmiotowego nie na wiele się zdało naszemu poznaniu. Wolno mu co najwięcéj trzymać się w swéj łodzi brzegów rzeczywistości, ale wejść na nie, ale zwiédzić lądu sobie nieznanego nie wolno mu. Z łodzi swéj może on rozpatrywać w roztaczającym się przed jego okiem krajobrazie, może, ile mu na to pozwala oddalenie, rozróżniać rozmaite budowle i na zasadzie tego, co zachował w swych wspomnieniach z ojczystego kraju, domyślać się, że jedne gmachy muszą być świątyniami, inne znów mieszkalnemi domami; ale nie może przekonać się, czy domysł jego trafny, nie może spraw-

dzić, o ile jego domniemania zgadzają się z rzeczywistością. Zamiarem było Kanta pogodzić empiryzm z idealizmem. Widzimy, że to pogodzenie dwóch antagonistów wypadło najnieszczęśliwiéj. Podobném jest ono do zgody, jakąby ktoś zaproponował dwóm braciom kłócącym się, jednemu pracowitemu, drugiemu rozrzutnikowi, na warunkach, że ten wyrzeka się marnować pieniądze na budowanie zamków na lodzie, ale w nagrodę za to obejmuje rządy wspólnego majątku, w którym brat jego będzie pracować po dawnemu, ale bez prawa mieszania się do zarządu, bez prawa kontroli i jakichkolwiek bądź uwag, co się tyczy używania owoców jego pracy. Jeżeli bowiem idealizm, w moc ugody przeprowadzonéj przez Kanta, wyrzeka się wszelkich wycieczek w sferę transcendentalizmu, wszelkich przypuszczeń co do istoty rzeczy i pierwszéj przyczyny, za to odziera on empiryzm ze wszystkich praw i strąca go do rzędu pachołka, którego całem zadaniem żywić swego pana i dostarczać mu wszystkiego, czego potrzebuje do swego poznania.

Każdy się zgodzi, że rezultaty, do jakich Kant doszedł w swéj „Krytyce czystego rozumu," są bardzo smutnéj treści dla człowieka. Trudno mu bez gwałtu, zadanego swym uczuciom, zgodzić się na los grającéj tabakierki, któréj muzyka spowodowana wprawdzie bywa przez zewnętrzne potrącenie sprężynki, ale jéj pojedyncze dźwięki układają się w piosenkę mocą sztyfcików w niéj tylko znajdujących się. Nie może on się zgodzić na to, by takie prawdy, jak, że dwa razy dwa stanowią cztery, że dwie równoległe nie mogą się spotkać z sobą, nie mają żadnéj w sobie konieczności, że są one koniecznemi względem nas tylko, którzy mamy umysł odpowiednio zbudowany, że dla istot, mających inną organizacyą umysłu, może być prawdą również konieczną, że dwa razy dwa stanowią pięć.

Dla tego, by mógł ktoś, po odbytéj z samym sobą walce, przyjąć z rezygnacyą takie rezultaty, poddać się z pokorą takiemu ograniczeniu swego poznania, potrzeba mu dowieść, potrzeba go przekonać, że przeznaczeniem człowieka nie jest wiedza, że poznanie jest dla niego rzeczą podrzędną, jest tylko środkiem do wypełnienia większego, donioślejszego zadania. Jakoż Kant, który bardzo dobrze oceniał naturę swéj teoryi poznania stara się przez swą „Krytykę" praktycznego zadość rozumu uczynić téj potrzebie i dowodzi w niéj, że ostateczném, a zatem najwyższém, wszystkie inne w sobie obejmującém, zadaniem człowieka jest życie, jest praktyka cnót, życie obyczajowe.

Człowiekowi, którego najwyższém powołaniem jest wykonywanie cnót, poznanie prawdy bezwzględnéj na nic by się nie zdało.

Dla celów jego potrzebna mu jest znajomość warunków życia i jego obowiązków. Poznanie tych warunków nie potrzebuje docierać do ich istoty, nie potrzebuje zaprzątać się pytaniem, czém one są w sobie; wystarczy mu wiedziéć, że są i że ze względu na nie tak a nie inaczéj musi się zachować, jeżeli pragnie, by jego działanie dopięło zamierzonego celu. Nie ulega zaprzeczeniu, że rozum ludzki, w stosunku do rzeczywistego świata, jest jak zanikłe oczy zwierząt, żyjących w ciemnych jaskiniach. Brak organu wzroku można uważać za krzywdę w porównaniu tych zwierząt do innych, które wzrok posiadają; dla nich atoli, ze względu na zakres ich życia, brak ten krzywdą być przestaje. Znajdują się one bowiem w takich warunkach, że wzrok im staje się niepotrzebnym, że gdyby nawet można było im go przywrócić, straciłyby go z czasem przez nieużywanie go.

Najgłówniejszemi warunkami obyczajowego życia, podstawami jego, są idee czystego rozumu, które, będąc w zakresie poznania zaledwie regulatorami wiedzy, na polu praktyki, w wypełnianiu cnót, stają się postulatami, wymagalnikami. Idea Boga, duszy i świata miały dla czystego rozumu li znaczenie podmiotowe. Rozum czysty znajduje je w sobie, ale nie może jeszcze z tego wnosić, że rzeczywiście Bóg jest; że nasze *ja* nie jest tylko pasmem stanów, rozwijających się w czasie, ale jest substancyą, różną od materyi, nieśmiertelną; że świat zewnętrzny nie jest tylko zbiorem fenomenów oderwanych, ale jest całością, któréj te fenomeny są objawami. Dla rozumu zaś praktycznego te idee stają się obrazem rzeczywistości, nabiérają charakteru przedmiotowego. Rozum praktyczny, kierujący się moralnemi pobudkami, wierzy i ma pewność, któréj rozumowania ani zachwiać, ani wzmocnić nie mogą, że Bóg istnieje, że dusza jest nieśmiertelną, że świat jest takim, jakim go sobie wyobraża zdrowy rozsądek każdego prostaczka. Istnienia Boga, duszy i świata dowieść nie można, można je czuć tylko w sobie i moralnie być o niém przekonanym. A jakkolwiek rozum praktyczny, tak samo jak i zmysły nie zdoła przeniknąć w istotę tych trzech bytów, nie może zbadać, czém one są w sobie, nie powinien tém bardzo się zasmucać. Dla celów życia obyczajowego wystarcza najzupełniéj, gdy wié, że są takie byty, gdy z uznania ich przedmiotowego istnienia umié wyprowadzić dla siebie pewne, oznaczone wskazówki co do swego postępowania w życiu. Postępowanie to powinno być bezwzględnie dobrém: czyń, coś powinien, takie jest jego hasło. Moralność Kanta, oparta na determinizmie woli, zakrawa na oschły rygoryzm Kalwina. Wartość moralna cnoty polega u niego na przymusie, z jakim wykonywamy zasady rozumu. Wola podług niego jest

wolną w saméj sobie; stawszy się jednakże czynną, przechodzi w zakres fenomenów i staje się zależną od empirycznych pobudek, których charakterem jest pragnienie szczęścia lub obawa przykrości. Staje się ona autonomiczną wtedy dopiéro, gdy przemoże w sobie empiryczne pobudki, gdy pokona zmysłowe zachcenia i za zasadę swego działania weźmie najwyższe prawo rozumu, zaciérające się w następném zdaniu: działaj tak, ażeby pobudka twéj woli mogła się stać zasadą powszechnego prawa. Jest to tak zwany rozkaźnik kategoryczny.

Kant swą „Krytyką czystego rozumu" zadał śmiertelny cios dogmatyzmowi teorytycznemu; w swéj zaś krytyce praktycznego rozumu stawia natomiast dogmatyzm praktyczny, który, żeby miał być lepszym od tamtego, pozwalam sobie wątpić. Jeżeli bowiem dogmatyzm teorytyczny, uznając pewne prawdy za wyższe nad wszelkie rozumowanie, zabrania ich dotykać i pozwala tylko z nachyleniem głowy do nich się zbliżać; to dogmatyzm praktyczny, podsuwając pod stosunki ludzkiego życia pewne prawdy, nie z nich wyciągnięte, ale im narzucone, powstrzymuje naturalny ich rozwój i prowadzi do doktrynerstwa, które z życiem ludzkiém, wraz z jego prywatnemi i publicznemi stosunkami, radeby postępować tak, jak sobie poczyna ogrodnik, okrzesujący drzewa, obcinający im gałęzie i wierzchołki, dla nadania im kształtów, obcych ich naturze.

W każdym razie wielką jest zasługą Kanta, że praktyczne życie uznał za główne powołanie człowieka, że poznaniu wskazał cel praktyczny. Wprawdzie nie był on pierwszym, który wygłosił tę prawdę, który zrobił z niéj podstawę wszelkiéj filozofii, ale bodaj czy nie on głównie, przyczynił się do jéj spopularyzowania. Jakoż odtąd staje się ona zawadą wszelkiéj filozofii. A jakkolwiek zapomnieli o niéj filozofowie, goniący za prawdą absolutną, przyznający rozumowi ludzkiemu zdolność bezwzględnego poznania; za to z tém większą siłą odżyła ona w doświadczalnéj filozofii angielskiéj; spotykamy się z nią także w doktrynie Comte'a, który przewidywanie uznaje za ostateczny kres, do jakiego wszelka wiedza zmierzać powinna; przewidywanie, mające na celu, kierować czynami ludzkiemi w widoku spodziewanych zdarzeń tak ze świata fizycznego, jak dziejowego.

Poznawszy, o ile można poznać z tak ogólnego zarysu, zasady Kantowskiéj filozofii, możemy teraz przystąpić do właściwego przedmiotu naszéj pracy, jakim jest charakterystyka doświadczalnéj filozofii i stanowisko w niej Herberta Spencera.

Stało się to już zwyczajem, że całą filozofią doświadczalną w jéj obecném rozwinięciu chrzcą ogólném mianem pozytywizmu.

Właściwiéj byłoby tę nazwę pozostawić doktrynie Comte'a, która chociaż posługuje się tą samą, co i filozofia doświadczalna metodą zajmuje przecież w niéj wyłączne stanowisko. Jeżeli zaś chcemy jéj używać w znaczeniu rodzajowém, to nie możemy przez nią nic innego rozumiéć, jak metodę doświadczalną, która ani nie jest tak nową, by jéj pojawienie się datować od Comte'a, ani przez niego ustaloną, by ją nazywać imieniem, jakie on swemu dziełu nadał.

O pozytywizmie wiele u nas mówiono i pisano. Czy z całéj téj gadaniny i pisaniny odnieśliśmy wiele korzyści? Jestto pytanie, na które, zdaje mi się, nie można inaczéj odpowiedzieć, jak przecząco. Ani one przyczyniły się do rozjaśnienia naszych pojęć o pozytywizmie, ani pobudziły umysły do szczeréj nad nim pracy i głębszych studyów. Wszystkie głosy—z małym wyjątkiem—tak za nim, jak przeciwko niemu, były nacechowane albo nieznajomością rzeczy, albo stronniczém do niego uprzedzeniem. Dla tego też dziwić się nie można, że do dziś dnia jeszcze uchodzi pozytywizm w oczach wielu za coś podobnego do wilka żelaznego, którym niańki dzieci straszą, że nie jeden w prostocie ducha, nasłuchawszy się o nim tyle strasznych rzeczy, wyobraża go sobie jako upiora, który żyje krwią swych ofiar.

Rozprawy o nim, prowadzone z namiętnością, zeszły z prostéj drogi na manowce. Oba obozy znalazły się raptem na przeciwnych brzegach przepaści, która, niedozwalając im pójść w zapasy i walną bitwą skończyć rosterkę, zmusza je do poprzestania na wzajemném sobie wymyślaniu i ciskaniu na siebie tém, co im w rękę wpadnie. Pierwszém pytaniem w tych rozprawach powinno być: czy i o ile zasady pozytywizmu w jego ogólném znaczeniu są prawdziwe? Pytanie to w ten lub inny sposób rozstrzygnięte, odpowiada zarazem na kwestyą, która stanowi główny przedmiot rozpraw i sporów. Jeżeli bowiem zasady pozytywizmu są prawdziwe, natenczas o ich szkodliwości nie może być mowy—inaczéj musielibyśmy chyba wierzyć, że to, co jest prawdziwém, może być zarazem szkodliwém; jeżeli zaś przeciwnie zasady te są fałszywe, natenczas wszelkie dowodzenia ich szkodliwości stają się zbytecznemi.

W dowodzeniu atoli tak prawdziwości, jak fałszywości pewnych zasad nie należy odwoływać się ani do uczucia, ani do powagi świętéj lub nie świętéj, ani do ustalonych przekonań i poglądów; gdyż jedynym sędzią kompetentnym w téj sprawie jest rozum, oparty na doświadczeniu, nie indywidualném, ale zbiorowém całéj ludzkości. Słowem, jedna tylko nauka zdoła rozstrzygnąć sporną kwestyą.

Przeciwnicy pozytywizmu głównie w to uderzają, że zasady jego podkopują narodowość, wystudzają uczucia, obalają religią. Nie trudno dowieść, jak te zarzuty są niesłuszne. Pozytywizm nie jest żadnym racyonalizmem, któryby abstrakcyjny rozum stawiał po nad życiem, któryby w oderwanych pojęciach, powziętych *a priori*, upatrywał jedyną prawdę; nie jest on doktrynerstwem, któreby pragnęło przerabiać życie podług zasad, nie z niego wziętych, ale mu narzuconych. We wszystkich swych wywodach opiéra się on wyłącznie na życiu, ale nie na życiu w jego chwilowym objawie, w jego faktycznym bycie, tylko na życiu, jak ono się przejawia w dziejowym swym rozwoju. Zasady jego mogą do pewnego stopnia być niezgodne z objawami faktycznego życia, z tego jednakże nie można jeszcze wnosić o ich fałszywości. Pamiętajmy bowiem, że życie w danéj chwili jest wypadkową bardzo wielu czynników, między któremi nie ostatnią odgrywają rolę namiętności, interesa, nałogi, uprzedzenia, przekonania, dobre w swoim czasie, ale w późniejszym niedostateczne, a nawet szkodliwe z powodu zmiany warunków życia i jego potrzeb. Niezgodność więc jego zasad z faktycznem życiem może być właśnie skutkiem pewnych narowów i złudzeń, od których żaden naród, żaden wiek nie jest wolnym, a które w obec badań pozytywnych ostać się nie mogą. Zanim więc można będzie z tego powodu potępić pozytywizm, jako doktrynę zgubną, destrukcyjną, potrzeba wprzód dowieść jedno z dwojga: albo, że życie ludzkie opiéra się na iluzyach i nie wolno ich rozwiewać, albo że w życiu ludzkiém wszystko, co jest, jest koniecznem, a więc rozumnem i dobrém. Wątpię, czy chciałby kto bronić pierwszéj tezy, co się zaś tyczy drugiéj, to chybaby znalazł się jaki heglista, coby chciał pod jéj godłem stanąć do walki.

Pozytywizm nie zagraża bynajmniéj narodowości, gdyż opiérając się na doświadczeniu, musi w niéj uznać fakt życia dziejowego. Upatrując w niéj główną podstawę tak społecznego, jak politycznego bytu narodów, stara się wykryć wszystkie jéj pierwiastki i wykazać warunki jéj rozwoju w samémże życiu. Uzasadnienia jéj nie szuka w sferze pojęć metafizycznych, mistycznych marzeń, ale w pełnéj życia rzeczywistości. Pozytywizm nie wystudza uczuć, gdyż w nich widzi fakt doświadczalny, upatruje w nich jednę z najpotężniejszych dźwigni tak indywidualnego, jak i zbiorowego życia. Usiłuje on poznać ich naturę i oznaczyć właściwy ich stosunek do innych czynników psychicznych, które wraz z nim wchodzą w grę życia. Nie podkopuje on religii, gdyż w niéj, bez względu na szczególne jéj formy, widzi naturalny objaw rozwoju ludzkości, która, pragnąc zdać sobie sprawę z tego, co się w niéj i około niéj dzieje,

znajduje odpowiedź na postawione sobie pytania w tém, co jéj ciekawość na razie zaspokaja. Wykrywa on zasadę religii w psychicznych własnościach człowieka i wynajduje dla niéj właściwy przedmiot, do jéj zakresu zaliczając wszystkie te zagadnienia, o których rozum nic powiedziéć nie może, ale których i odrzucać, jako pozbawionych wszelkiego znaczenia, nie może. Co jest przedmiotem wiedzy, to należy do rozumu; co jest przedmiotem wiary, co nie jest dostępném poznaniu, to należy do religii.

Ta jest ryczałtowa odpowiedź na robione z różnych stron zarzuty pozytywizmowi. Przejdźmyż teraz do rozpatrzenia się w jego zasadach. Powiedziałem już, że w pozytywizmie potrzeba odróżniać metodę od doktryn, właściwych temu lub innemu filozofowi, który się posługuje metodą doświadczalną. Ze względu na metodę pozytywizm nie jest czém inném, jak filozofią doświadczalną, któréj powstanie należy odnieść do owego zamierzchłego okresu dziejów ludzkości, kiedy ta zaczęła zastanawiać się nad zjawiskami otaczającego ją świata i starała się odgadnąć ich prawa, warunki ich objawiania się. Bliższymi poprzednikami jéj są Bacon, Hobbes, Locke, Hume, a nawet pod pewnym względem Kartezyusz. Wychodzi ona z tego założenia, że człowiek, pragnący dojść prawdy, powinien zaczynać od tego, co dlań jest najpewniejszém, o czém wątpić nie może. Od tych dopiéro prawd, drogą rozumowania wznosić się do prawd wyższych, aż dojdzie do najwyższéj, która wszystkie inne w sobie zawiera i z któréj wszystkie one dadzą się wyprowadzić drogą dedukcyi. Pierwszemi prawdami, o których człowiek wie bezpośrednio, o których dowiaduje się nie drogą rozumowania, ale drogą intuicyi, są fakta zmysłowego spostrzegania i wewnętrznéj obserwacyi. Zbiór faktów tamtego rodzaju stanowi dla człowieka to, co nazywa światem zewnętrznym, przedmiotowym; grupa faktów ostatniego stanowi dlań świat podmiotowy, świat wewnętrzny, zawarty w jego samowiedzy, w jego *ja*. Tak w jednym, jak i w drugim zakresie faktów dostępnemi jego obserwacyi są tylko zjawiska i ich stosunki wzajemne. Lecz o tych zjawiskach wie tylko tyle, jakiemi one są względem badającego je podmiotu i względem innych zjawisk, z któremi zostają w związku. Jakiemi zaś są w sobie, jaka jest ich istota, o tém nie wie i nie masz żadnéj drogi, którąby rozum ludzki zdołał dojść do tego. Przeto wiedza ludzka jest względną; rozum, któryby założył sobie dotrzéć do istoty rzeczy, poznać prawdę bezwzględną, objawiałby nieprawe uroszczenia i skazywałby się na wiekuisty obłęd. Do tego punktu, jak widzimy, zgadza się filozofia pozytywna najzupełniéj z krytycyzmem Kanta. Ale od tego miejsca uwydatnia się stanowcza między niemi różnica. Wie-

my, że u Kanta jedyną rzeczą, którą rozum bierze ze świata zewnętrznego, jest wrażeniowa treść, będąca obrazem zewnętrznego zjawiska, że stosunki, w jakich te zjawiska przedstawiają się w poznaniu, wzięte są nie ze świata zewnętrznego, ale z rozumu, którego są one formami *a priori*. Pozytywizm przeciwnie odrzuca wszelkie wrodzone idee i pojęcia, wszelkie formy *a priori* rozumu; przyjmuje on tylko, że umysł ludzki posiada zdolność spostrzegania podobieństw i różnic rzeczy, że może te podobieństwa i różnice zachować i odtwarzać je, że wszystkie nasze pojęcia i sądy tak o tém, co jest przypadkowém, jak o tém, co jest stałém lub koniecznóm, jest rezultatem spostrzegania i doświadczenia, że przypadkowemi są pojedyncze zjawiska, że koniecznemi są stosunki tych zjawisk. Wszystkie te stosunki sprowadzają się ostatecznie do dwóch grup: do następstwa w czasie, do współbytności w przestrzeni. Na pierwszém opiera się prawo przyczynowości, które jednakże nie tyczy się ani pierwszéj przyczyny, ani ostatecznego celu. Odnosi się ono wyłącznie do przyczyny faktycznéj. Powiada ono, że jeżeli jedno zjawisko poprzedza *bezwarunkowo nieodmiennie* drugie, to to drugie powinno być uważaném za skutek pierwszego, które jest jego przyczyną. Powiada ono jeszcze, że dane zjawisko w tych samych warunkach te same wywoła skutki. Przyczyna w ten sposób pojęta nie jest czém innćm, jak warunkiem pewnego zjawiska, albo główném śród wielu, albo téż ich sumą; zasadą zaś jéj jest prawo zachowania siły, jéj niespożytelności.

Pozytywizm, oznaczywszy w ten sposób pole swych badań, określiwszy dokładnie ich metodę, odrzuca metafizykę, jeżeli przez nią ma się rozumiéć ontologia, przyznająca abstrakcyom myśli byt niezależny od zjawisk, osobny; przyjmuje ją zaś, jeżeli przez nią oznaczamy poprostu filozofią umysłu ludzkiego i natury, wyprowadzającą wnioski z zasad, jakie psychologia i nauki przyrodnicze ustaliły drogą indukcyi. Nie przypuszcza on w zakresie swych badań nic nadnaturalnego, najprzód dla tego, że gdyby coś podobnego było, to będąc niedostępném jego poznaniu, nie mogłoby stanowić przedmiotu jego; powtóre, że dzieje nauk wskazują nam, że co dawniéj zdawało się ludziom nadnaturalném, z postępem oświaty, przy bliższém zbadaniu, okazało się naturalném, że liczba owych hipotez, usiłujących tłómaczyć pewne zjawiska za pomocą sił odrębnych, jako bytów, uciekających się do interwencyi istot nadzmysłowych, do cudów, jako *ultima ratio* wszystkiego, z każdym dniem zmniejsza się i utrzymuje się jeszcze zaledwie w tych sferach, dokąd światło nauki nie zdołało się przedrzéć; że słowem, rzeczą nadnaturalną jest to tylko, czego dotąd nauka nie potrafiła jeszcze wytłóma-

czyć, ale co wytłómaczyć będzie mogła z czasem, gdy w swych badaniach znaczniéj postąpi.

Podejrzywanie pozytywizmu o materyalizm i ateizm są najniesłuszniejsze i dałyby się do pewnego stopnia zastosować chyba do doktryny Comte'a, którego rygoryzm przedmiotowy mógłby nie jednego na to dowodu dostarczyć. Co się tyczy filozofii angielskiéj, to zasady jéj stanowczo odpierają tego rodzaju podejrzenia. Pozytywizm, opierając się na zbadaniu własności umysłu ludzkiego, odmawia mu możności poznania istoty rzeczy, a to dla tego, że jeżeli przypuścimy, że istota rzeczy jest czémś więcéj, jak jéj własności, jéj zjawiska, to nie może ona być poznaną, gdyż poznaném może być to tylko, co może być porównaném z czémś, co już znamy bądź pośrednio, bądź bezpośrednio. Jeżeli zaś przyjmiemy, że istota rzeczy jest sumą jéj własności, jéj zjawisk, to codzienne doświadczenie, a wyraźniéj jeszcze nauki przyrodnicze, przekonywają nas, że liczba własności każdéj rzeczy jest nieskończona, że w każdym nowym stosunku nowe objawia ona własności, że zatém fizyczne jest niepodobieństwo poznać je wszystkie. Nie zapominajmy nareszcie, że cała nasza wiedza opiéra się na tém, co bezpośrednio poznajemy przez zmysły i przez wewnętrzną obserwacyą. Otóż nie mamy prawa utrzymywać, że w rzeczach tyle tylko jest własności, ile mamy zmysłów. Zjawiska światła, ciepła, dźwięku odpowiadają ściśle organizacyi zmysłów wzroku, słuchu i t. d., a naprzykład zjawiska elektryczności nie mają w naszéj organizacyi odpowiedniego zmysłu, któryby nam dawał poznać jéj zjawiska bezpośrednio. Elektryczność znamy tylko ze współrzędnych jéj objawów za pomocą wzroku, dotykania, węchu, a więc znamy tylko pośrednio. Któż więc nam zaręczy, że nie masz w rzeczy więcéj własności tego rodzaju, że nie masz w niéj takich nawet, o których żadną drogą nie dowiemy się nigdy. O istocie więc rzeczy rozum ludzki nic zgoła wiedziéć i powiedziéć nie może. Zna on tylko zjawiska i ich prawa, nic więcéj. Zna zjawiska fizyczne, stanowiące dla niego świat zewnętrzny, i zna zjawiska psychiczne, stanowiące dla niego świat wewnętrzny, ludzkie *ja*. Czy podstawą pierwszych zjawisk jest materya, podstawą drugich duch, o tém nic on nie wie, gdyż nie wie, co to jest materya i co to jest duch. Zadowala się on tylko stwierdzeniem, że jak światło dla człowieka jest czém innném aniżeli ciepło, lubo oboje dają się sprowadzić do ruchu, tak samo zjawiska fizyczne czém innném są dla niego aniżeli psychiczne i pozostaną różnemi, chociażby dowiedziono, że są one odmiennym objawem téj samej rzeczy. Pozostaną zaś różnemi dla tego, że różnemi drogami do ich poznania dochodzimy. Myśl, uczucie, wola, jako zja-

wiska psychiczne, nie dadzą się wytłómaczyć przez to, że towarzyszy im zawsze pewien objaw fizyologiczny, na prawie fizycznem oparty. Towarzyszące objawom psychicznym zjawiska fizyczne można, co najwięcej, uznać za warunki tamtych, za przyczynę zaś ich wtedy dopiéro możnaby je uważać, gdyby między niemi odkryto prawo równoważności, gdyby dowiedziono, że pewna stała jednostka molekularnego ruchu w systemie nerwowym, przy stałych warunkach, wywołuje zawsze pewną stałą jednostkę wrażenia. Dotąd tego nie dowiedziono i dla tego zjawiska fizyczne możemy uważać tylko za warunek psychicznych, ale nigdy za ich przyczynę.

Pozytywizm więc nie jest bynajmniéj materyalizmem, dla tego tylko, że nie jest spirytualizmem. Jeżeli nie wie on nic o duszy, jako o bycie metafizycznym, to również nie wie nic i o materyi, jako o takimże bycie. Nie wie zaś o nich nie dla tego, że nie chce, że je lekceważy, że odrzuca je z pogardą, ale dla tego, że nie może o nich nic wiedziéć. Cała jego wina pod tym względem leży w tém, że „mierzy siłę nie na zamiary, lecz zamiar podług sił.“

Czy zarzut ateizmu więcéj jest uzasadnionym, jak zarzut materyalizmu? Zobaczmy.

Rozum ludzki tak w sobie, w swojém ja, jak w około siebie, w świecie zewnętrznym, znajduje mnóstwo zagadek, a możnaby nawet powiedziéć, same zagadki. Wiele z nich jednakże potrafił rozwiązać, dowiedział się z nich, że w całym zakresie dostępnych mu zjawisk panuje stały porządek rzeczy, że taż sama przyczyna w tych samych warunkach też same za sobą skutki pociąga. Wsparty tém przekonaniem ma nadzieję, że wszystkie zagadki, będące dotąd dla niego tajemnicą, potrafi z czasem rozwiązać. Między temi atoli zagadkami jest jedna, przed którą rozum ludzki zatrzymuje się, jak przed Dantejską bramą, wyczytawszy na niéj napis: żegnaj się z nadzieją! Jestto zagadka początku wszystkich rzeczy. Zagadka ta pozostanie na zawsze dla niego tajemnicą niedocieczoną, z któréj zasłony żadnym wysiłkiem zedrzéć nie potrafi. Znajduje się ona w téj sferze, która nie dostarcza żadnego porównania rozumowi ludzkiemu. Początek wszystkiego jest faktem zupełnie osamotnionym, nie mającym nic wspólnego z tém, co go poprzedziło, ani z tém co po nim nastąpiło, nie da się w nim wykryć ani podobieństwo, ani różnica od tego, co już znamy. O tém więc zagadnieniu, tak samo, jak o duchu i materyi, pozytywizm nic nie mówi nie przez niechęć do nich, nie przez lekceważenie, ale dla tego, że przekonał się, że nie „złamie tego, czego rozum nie złamie.“ Pytań, odnoszących się do nieśmiertelności duszy, istoty Boga, stworzenia świata, nie odrzuca on, jako niedorzeczne w sobie, nie zamyka

przed niemi drzwi, jak powiada Mill, ale pozwala każdemu szukać na nie odpowiedzi w tém, co go może pod tym względem zaspokoić czy to w drodze analogii, jaką mu nastręcza wiedza, czy w tradycyi ludzkości. Usiłowaniom tym odmawia tylko przedmiotowéj wartości, czyni je przedmiotem wiary, bądź indywidualnéj, polegającéj na uczuciu, bądź zbiorowéj, opartéj na tradycyi religijnéj.

Pozytywizm ze względu na stanowisko, z jakiego wychodzi w swych wywodach, dzieli się na dwa rodzaje: na przedmiotowy i psychologiczny. Założycielem pozytywizmu przedmiotowego jest August Comte; twórcami pozytywizmu psychologicznego są: Mill, Bain i Spencer. Na czém polega ta różnica? Krótkiemi słowy postaram się wyjaśnić. Filozofia krytyczna, któréj inicyatorami są Locke i Hume, a ostatecznym ustawodawcą jest Kant, ustaliła przekonanie, że wszelkie badanie filozoficzne powinno się zaczynać od psychologii, od analizy warunków poznania. Filozofia szkocka poszła daléj jeszcze, bo uznała, że jedynym przedmiotem filozofii jest psychologia. Dzisiejsza filozofia angielska, bezpośrednio łącząca się z filozofią szkocką, lubo w swych zasadach ściśléj trzyma się Hume'a, jak Reida, wszelkie swe badanie opiéra na psychologii, uważając ją za jedyny punkt wyjścia dla poznania. Stąd też nazwano ją pozytywizmem psychologicznym, dla odróżnienia jéj od pozytywizmu Comte'a, w obec którego zajmuje ona stanowisko samodzielne. Pozytywizm zaś Comte'a nazwano przedmiotowym, ponieważ za jedyny przedmiot poznania uznaje tylko to, co podpada pod zmysłową obserwacyą, co podlega zewnętrznemu doświadczeniu.

August Comte, z powołania matematyk, socyalista ze skłonności, potępia opieranie badań filozoficznych na psychologii, uważając je za przeciwne naturalnéj logice i niepodobne do uskutecznienia. Umysł ludzki w swych badaniach zaczynać musi od tego, co jest najprostszém i dopiéro z kolei przechodzić do tego, co jest złożonem. Pojęć zaś psychologii trudno uważać za proste, przeciwnie należą one do bardzo skomplikowanych. Zresztą, psychologia, jako nauka samodzielna, opierająca się głównie na tak zwanéj wewnętrznéj obserwacyi, jest niemożliwa dla tego, że wewnętrzna obserwacya, za pomocą której mamy niby obserwować psychiczne sprawy w ich wewnętrznym ruchu, jest najprostszą iluzyą. Człowiek nie jest w stanie ująć żadnego fenomenu psychicznego w jego wewnętrznym objawie, może go zaś badać i poznać jego naturę tylko z jego objawu zewnętrznego, tylko z jego skutku, z dzieła przezeń dokonanego. Kto pragnie poznać naturę ludzką w jéj fenomenach intelektualnych i uczuciowych, ten powinien je badać w ich fizyologicznych i socyologicznych objawach. Myślenie, uczucie, skłon-

ności ludzkie nie są czém inném, jak funkcyami systemu nerwowego i dla tego należy ich badanie do biologii, w której stanowią one dział osobny, kraniologią. Ta zastanawia się nad niemi w ich związku z organami mózgowemi, których są one funkcyami; organów tych jest osiemnaście. Opieranie filozoficznych badań na psychologii, gdyby nawet dało się uskutecznić, to ze względu na następstwa do jakich prowadzi, musi być stanowczo potępioném. W filozoficznych badaniach nie o to chodzić powinno, żeby zadość uczynić warunkom poznawania, żeby zaspokoić wymagania ludzkiego umysłu, ale o to, by na podstawie faktów, dostarczonych przez obserwacyą zmysłową, przez doświadczenie, wyrobić sobie takie pojęcie o przedmiocie, ażeby między tém pojęciem, a jego przedmiotem rzeczywistym było jak najściślejsze podobieństwo. Tu potrzeba przedewszystkiém wystrzegać się, ażeby umysł nie wniósł do pojęcia o zewnętrznym przedmiocie żadnego obcego mu pierwiastku, nic subjektywnego. W akcie poznania przedmiot musi bezwarunkowo panować nad podmiotem, w przeciwnym razie poznanie nie prowadzi do wiedzy pozytywnéj, równoważnéj rzeczywistości. Główném zadaniem filozofa pozytywnego jest utworzenie pojęcia o świecie przedmiotowym, jak on się przedstawia zmysłowemu spostrzeganiu.

Wyszedłszy z takiego założenia dochodzi Comte w logicznéj konsekwencyi do oschłego rygoryzmu, odrzucającego z doktrynerską stanowczością cały szereg faktów, o których wiemy z wewnętrznéj obserwacyi. Wiemy już, że potępia on psychologią, dla tychże samych przyczyn potępia i logikę. W ekonomii politycznéj dopatruje ducha metafizycznego i odrzuca ją, jako usiłowanie czcze i bezowocne. Zastanawianie się nad takiemi zagadnieniami, jak istnienie Boga, duszy, pierwszego początku wszechrzeczy uważa za niegodne pozytywnego filozofa, który nic o nich wiedzieć nie może, gdyż ani obserwacya, ani doświadczenie do ich rozwiązania nie prowadzą. Nie wolno mu pod tym względem ani cóś utrzymywać, ani zaprzeczać. Jedyną odpowiedzią, jaką w téj materyi dać może, jest: nie wiem. Sam wprawdzie nie zawsze trzyma się tego przepisu i częstokroć odzywa się o tych zagadnieniach w sposób, które łatwo mogłyby ściągnąć na niego podejrzenie o ateizm i materyalizm. Idąc daléj, zabrania posługiwać się w naukowych poszukiwaniach hipotezami, które nie dadzą się bezpośrednio wyprowadzić z doświadczenia i przez nie sprawdzić, chociażby mogły dostarczyć zadowalającego wytłómaczenia pewnéj grupy faktów. Taka hipoteza, jak o eterze, która tłómaczy wszystkie zjawiska światła, powinna być wygnaną z zakresu nauki, gdyż istnienia jego

żadném doświadczeniem dowieść nie podobna. Ta niechęć do naukowych hipotez dziwną się wydaje w obec jego uwagi, wypowiedzianéj mimochodem w kursie filozofii pozytywnéj, a w jéj zakończeniu powtórzonéj z naciskiem, że gwoli naturalnéj skłonności umysłu ludzkiego do harmonii i porządku można używać hipotez, chociażby one nie zgadzały się z doświadczeniem, jeżeli tylko zdolne są ułatwić nam pojęcie rzeczy i nadać naszéj wiedzy wymaganą jedność. Ostrzega nawet, ażeby nie poddawać ich zbyt skrupulatnéj krytyce i nie odrzucać, jeżeli się nie ma do postawienia na ich miejscu lepszych. Rada ta zostaje nawet w rażącéj sprzeczności z założeniem całéj filozofii pozytywnéj, która wykluczając ze swego zakresu wszelki pierwiastek subjektywny, przyjmuje tylko to, co podaje doświadczenie zewnętrzne.

Że poznanie ludzkie, w tych granicach pojęte, ma tylko wartość względną, że do prawdy absolutnéj nie prowadzi, widoczném jest samo przez się.

Takie są właściwości pozytywizmu przedmiotowego pod względem metody i zakresu badań. Przejdźmy teraz do saméj doktryny, rozpatrzmy się w pomysłach Comte'a, stanowiących rdzeń całéj jego filozofii.

Podstawą doktryny Comte'a, osią wszystkich jego pomysłów, jest teorya postępu dziejowego. Podług niego tak ludzkość, jak i jednostka w swym intelektualnym i moralnym rozwoju przechodzi trzy fazy, teologiczną, metafizyczną i pozytywną. Charakterystyką ich pod względem intelektualnym jest właściwy każdéj z nich sposób pojmowania fenomenalnego świata. W dobie teologicznéj, umysł ludzki przypisuje wszystkie zjawiska zewnętrznego świata bezpośredniéj interwencyi bóstw, uważa je za działanie woli bożéj; w dobie metafizycznéj wola Boga jest zastąpioną przez uprzedmiotowione abstrakcye filozofującego myślenia. W niéj powstały idee platonowskie, siła żywotna, dusza nieśmiertelna i t. d. Doba metafizyczna, obalając teologiczny sposób zapatrywania się na rzeczy, jest przejściową i przysposabia ona grunt dla doby pozytywnéj, będącéj ostatecznym kresem rozwoju ludzkości, najwyższym stopniem postępu. W niéj umysł ludzki, kierując się tylko doświadczeniem, odrzuca wszystkie owe metafizyczne byty, owe idee, będące w przedmiotach zewnętrznego świata, ale od nich różne i samoistne, owe prawa, rządzące zmysłowemi zjawiskami, ale nie będące niemi, będące czémś od nich osobném, na podobieństwo praw, jakim podlegają społeczeństwa w swém faktyczném urządzeniu. Ze stanowiska pozytywnego prawa natury nie są czém inném, jak usymbolizowaniem tego, co się dzieje w faktycznym świecie. Powiada

ono tylko, że się tak dzieje i nic więcéj, że zjawiska tak, a nie inaczéj objawiają się, że takie są a nie inne ich stosunki. Tak zwane naturalne prawa człowieka są metafizyczną mrzonką i w dobie pozytywnéj tracą znaczenie, jakie mu dotąd przyznają. Słowem podstawą myślenia i życia w dobie pozytywnéj muszą być zasady, skreślone przez Comte'a w jego filozofii pozytywnéj.

Jakaż jest istota téj filozofii? Jakie jest jéj zadanie? Jedynym jéj zadaniem jest wyrobienie dokładnego pojęcia o przedmiotowym świecie. Pojęcie to nie inną drogą może się wyrobić, jak przez usystematyzowanie wiedzy ludzkiéj o niém, przez uporządkowanie podług pewnéj zasady wszystkich nauk, o zewnętrznym świecie traktujących. Wszystkie tego rodzaju nauki dadzą się podzielić najprzód na dwie grupy: na nauki konkretne, zajmujące się *przedmiotami zewnętrznego świata*, i na nauki abstrakcyjne, zajmujące się *wydarzeniami* tegoż świata, czyli po prostu prawami.

Nauki konkretne zostają dotąd jeszcze na stanowisku czysto empiryczném i wszelkie ich uporządkowanie podług jakiéjś zasady jest niepodobném. Całe więc zadanie pozytywnéj filozofii musi się ograniczyć do usystematyzowania nauk abstrakcyjnych. Zasadą tego usystematyzowania jest naturalny rozwój wiedzy ludzkiéj, która zaczynając od rzeczy prostych, dochodzi do bardziéj złożonych. Wiedza ludzka, składająca się z doświadczeń i z opartych na nich indukcyj, w podstawie swéj ma pojęcia najprostsze i najogólniejsze; w miarę, jak do téj grupy pojęć przybywają więcéj złożone, rozpada się ona na oddzielne gałęzie, stanowiące pojedyncze nauki. Nauki te w najściślejszym zostają związku z sobą, tworząc jednolitą całość, w któréj zasady nauk początkowych służą za podstawę dla nauk dalszych i odwrotnie zasady tych ostatnich dostarczają ostatecznego wyjaśnienia naukom początkowym. Nauk tych jest sześć: matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia i socyologia. Zasady matematyki są najprostsze, najmniéj złożone, ale zarazem najbardziéj ogólne i dla tego leżą one w podstawie wszystkich w ogóle nauk; przeciwnie zasady socyologii są najbardziéj złożone, ale też i najmniéj ogólne. Słowem, porządek, w jakim następują po sobie nauki, polega jednocześnie na stopniowém zmniejszaniu się ogólności ich zasad i powiększaniu się ich złożoności. Każda z wymienionych nauk dołącza do zasad nauk poprzedzających nowe zasady, właściwe téj grupie fenomenów, która stanowi wyłączny jéj przedmiot. Dla zrozumienia socyologii potrzeba znać biologią, która znowu nie może być zrozumiana bez znajomości poprzedzających ją nauk. Tak tedy porządek ten, ściśle na logice oparty, jest zarazem porządkiem, w jakim nauki rozwijały się historycznie i w jakim muszą być ba-

dane ze względów czysto-pedagogicznych. Fizyka i chemia wtedy dopiéro mogły się ustalić na zasadach umiejętnych, kiedy matematyka doszła ostatecznego rozwoju. Istniały one wprawdzie i przed tém, ale znajdowały się na stanowisku czysto-empiryczném, na jakiém dotąd zostają nauki konkretne, jak zoologia, botanika i t. d.

Niektórzy z uczniów Comte'a poczytują mu za największą zasługę stworzenie socyologii, czyli nauki o społeczeństwie, opartéj na zasadach pozytywnych. Mill nie podziela tego przekonania, utrzymując, że jedyna Comte'a zasługa pod tym względem jest ta, że ostatecznie dowiódł, że socyologia może być zbudowana na pozytywnych podstawach.

Nie przyznaje mu jednakże ani zasługi pierwszego pomysłu, gdyż miał już po temu liczne wskazówki i obfity materyał, ani téż zgadza się, by socyologia wykończona była przez Comte'a w sposób, ażeby nie potrzebowała być przerobioną z gruntu. Jedynym, podług niego, pomysłem, który może się uważać za rzeczywisty nabytek dla socyologii, jest Comte'owska teorya dziejowego postępu. Charakterystykę jego podałem wyżéj.

Socyologia Comte'a rozpada się na dwie części: na statykę i dynamikę. Pierwsza zajmuje się warunkami społecznéj organizacyi, a mianowicie: własnością, rodziną, językiem, powszechnemi wierzeniami, współdziałalnością i rządem. Tutaj występuje on z projektem nowego urządzenia społeczeństwa, któreby zostawało pod kierunkiem dwóch władz — świeckiéj i moralnéj. Ta część socyologii jest zaledwie naszkicowana. Dynamika zajmuje się warunkami dziejowego postępu. Jak cała ludzkość, tak i wszystkie strony społecznego życia przebywają w swym dziejowym pochodzie trzy fazy: teologiczną, metafizyczną i pozytywną. Wiemy już, jakie są właściwości każdéj z nich. Przechodzi je ludzkość nie tylko pod względem intelektualnym, ale także pod względem uczuciowym i moralnym. Rozwój ludzkości polega na nabywanéj stopniowo przewadze uczuć altruistycznych nad uczuciem egoistyczném, czyli innemi słowy, na potęgowaniu się przymiotów ludzkich i odpowiedniém przytłumianiu się przymiotów zwierzęcych. Jedynym celem moralności jest dobro ogółu, zaparcie się jednostki. Moralność Comte'a staje się rygoryzmem tak samo, jak moralność Kanta. W późniejszym czasie doszedł on do ubóstwienia ludzkości, do utworzenia całego kultu religijnego, którego bóstwem była ludzkość, a on sam najwyższym jego kapłanem.

Takie są wybitne rysy Comte'owskiéj doktryny. Nie możemy wchodzić w szczegółowy jéj rozbiór. O stanowisku całéj filozofii

pozytywnéj powiedziałem już powyżéj, uwydatniłem jéj jednostronność. Przytoczyłem zapatrywanie się Milla na jego socyologią. Obrona jéj przez Littre'go nie zbija zarzutów angielskiego filozofa. Co się tyczy klasyfikacyi nauk, to ta, oceniana z właściwego Comte'owi stanowiska, w tych granicach, jakie on zakreślił wiedzy ludzkiéj, odpowiada wszelkim wymaganiom naukowym. Wadliwą zaś okaże się wtedy tylko, gdy do jéj ocenienia inne zastosujemy zasady i inne wymagania. Dostrzegają się w niéj pewne niedostatki w szczegółach, są one wszakże podrzędnéj wagi. Pomimo wszystkich wad i niedostatków, o których nadmieniłem, nie ulega zaprzeczeniu, że przedmiotowy pozytywizm Comte'a jest dziełem olbrzymiém, świadczącém jak o geniuszu swego autora tak i o obszernéj jego wiedzy. Robi on na czytelniku, który potrafił jednym rzutem myśli objąć go w całości, wrażenie olbrzyma, imponującego tak ogromem ciała, jak muskulaturą swych członków. Biada temu, kogo on schwyci w swe ramiona! Żywym z nich nie wyjdzie. Z tém wszystkiém pokonać go nie trudno. Jestto olbrzym, stojący na jednéj nodze, gdyż drugą ucięto mu na ofiarę pogańskiemu fetyszowi przedmiotowości. Dość silne uderzenie zdoła go pozbawić równowagi i obalić na ziemię.

Wiemy już na czém polega różnica między pozytywizmem przedmiotowym, a psychologicznym. Tu jeszcze słów kilka dodam dla jéj uwydatnienia. Pozytywizmu przedmiotowego zadaniem jest wykazać, jakiém winno być pojęcie nasze o świecie przedmiotowym stosownie do danych, jakich nam dostarcza zewnętrzne doświadczenie. Pozytywizm psychologiczny inaczéj pojmuje swe zadanie. Idzie mu głównie o to, ażeby zbadać, jaką drogą dochodzimy do zwyczajnego o świecie pojęcia i co w tém pojęciu, względnie do warunków ludzkiego poznania, jest prawném, a co nieprawném, co wystarczającém dla wytłómaczenia zwyczajnego biegu rzeczy, a co jest zbytecznėm. Comte nie wdaje się w rozbiór poznania, w ocenienie warunków jego i jego doniosłości. Jakkolwiek utrzymuje, że dostępnemi naszemu poznaniu są tylko fenomeny przedmiotowego świata, fenomeny te bierze tak, jak one się przedstawiają faktycznie, nie zastanawiając się wcale nad tém, jaką drogą dochodzimy do przyznania im przedmiotowéj wartości i czy mamy prawo im takową przyznawać. Główném zagadnieniem psychologicznego pozytywizmu jest pytanie: w jaki sposób nabywamy pojęcia o rzeczy i z jakiego materyału je urabiamy?

Podobnež zapytanie postawił sobie i Kant; jakož odpowiedź na nie pozytywizmu psychologicznego w ostatnim swym wyniku jest

podobną do téj, jaką znajdujemy w krytycyzmie Kanta. Obie wypadają na korzyść idealizmu. Dla tego też, nie waham się powiedzieć, że ściślejsze zachodzi powinowactwo między psychologicznym pozytywizmem, a krytycyzmem Kanta, niżli między tymże pozytywizmem, a doktryną Comte'a. Pozytywizm psychologiczny ma daleko szerszą podstawę od pozytywizmu przedmiotowego, z innych wychodzi założeń i do innych wyników dociera. Najwięcéj się zaś wyróżnia tém, że wolnym jest od tego suchego systematyzowania jakim grzeszy Comte, odrzucający wszystko, co nie wchodzi w gotowe ramki. Jeżeli zaś mają co wspólnego, to tylko metodę doświadczalną i zasady, przyjęte od Hume'a.

J. St. Mill, jeden z przedstawicieli psychologicznego pozytywizmu, odrzuca, podobnie jak i Comte, tak idee wrodzone, jak i kantowskie formy czystego myślenia, uważając je za hipotezę zbyteczną i na niczém nie opartą, a więc pozbawioną naukowéj wartości. Za jedyne źródło wszystkich naszych pojęć uznaje on doświadczenie, ale zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne. Wiedza ludzka, podług niego, składa się nie z samych tylko danych świata przedmiotowego, jak to Comte utrzymuje, ale i z danych, jakich nam dostarcza obserwacya wewnętrzna, z danych świata podmiotowego. Zasadniczym pierwiastkiem naszego poznania jest wrażenie zmysłowe; z niego powstają pojęcia i na niém opiérają się rozumowania. Umysł ludzki posiada zdolność odczuwania, dostrzegania różnic i podobieństw wrażeń, jakotéż przechowywania ich w pamięci i wznawiania. Pojedyncze wrażenie, jako stan naszéj samowiedzy, jest dla nas niedostrzegalném, odczuwamy je wtedy dopiéro, gdy nastąpi inne wrażenie podobne, albo różne od tamtego, gdy zajdzie zmiana w stanie naszéj samowiedzy. Pojedyncze wrażenia zmysłów naszych łączą się w pewne, mniéj lub więcéj stałe grupy, stosownie do tego, czy je razem lub oddzielnie odbieramy drogą doświadczenia. Grupy te stanowią nasze pojęcia o rzeczy i przechowywują się w pamięci. Każdą razą, gdy doznajemy jakiego wrażenia, które stanowi składową część jednéj z takich grup wywołuje ono w naszéj samowiedzy inne wrażenia, stanowiące z nią nierozdzielną całość. To łączenie się z sobą wrażeń i wyobrażeń w pewne grupy, albo szeregi stanowi tak zwane prawo kojarzenia się. Polega ono na podobieństwie lub przeciwieństwie wrażeń i wyobrażeń, na ich współczesności lub następstwie pod względem doświadczenia.

Powiedziałem, że jedynym pierwiastkiem naszéj wiedzy są wrażenia zmysłowe, są stany naszéj samowiedzy. Z tego materyału urabiają się wszystkie nasze pojęcia tak konkretne, jak i oderwane.

Lecz wrażenia zmysłowe mają wartość czysto podmiotową, są one niczém więcéj, jak stanami naszego *ja*; czémże się dzieje, że znajdujemy w sobie pojęcie o czémś, co nie jest naszém *ja*, co jest światem zewnętrznym? Jakim sposobem dochodzimy do uznania po za naszém *ja* świata przedmiotowego, jeżeli bezpośrednio znamy tylko stany naszéj samowiedzy i po za nie wyjść nie możemy? Jakim sposobem poznajemy świat zewnętrzny, kiedy zamknięci w zaklętém kole naszego *ja*, żadnéj nie mamy przed sobą drogi, któraby nas wiodła do świata zewnętrznego? Wiemy już, że każdy stan naszéj samowiedzy staje się dostrzegalnym przez porównanie go z innym, bezpośrednio po nim następującym, pod względem różnicy lub podobieństwa. Otóż jedna z głównych różnic, jakie w stanach naszej samowiedzy dostrzegamy, jest bierność tych stanów i ich czynność. Przyczynę stanów biernych przypisujemy czemuś, co nie jest naszém *ja*, co jest czémś osobném od niego, zewnętrzném dlań. Tę to przyczynę uznajemy za świat przedmiotowy, za materyą. Stany zaś czynne naszéj samowiedzy pojmujemy, jako skutki przyczyny, która w nas, w naszém *ja* leży i tę przyczynę nazywamy duszą. Wyobrażamy sobie zwykle świat przedmiotowy, jako jakiś byt, mający odrębną od naszego *ja* egzystencyą, duszę zaś jako substancyą duchową; czy mamy potemu prawo? Jeżeli w poznaniu naszém mamy się liczyć z jego warunkami, to musimy odpowiedzieć, że prawa do tego nie mamy. Poznanie nasze ogranicza się do tego tylko, czego doznajemy w naszéj samowiedzy drogą doświadczenia. Bezpośrednio znamy tylko stany bierne i czynne naszego *ja*, znamy tylko wrażenia zmysłowe i stany naszéj samowiedzy, jako jéj zmiany. Po za tém nie wiemy nic. Jeżeli bierne stany naszego *ja* przypisujemy jakiéj zewnętrznéj przyczynie, to téj przyczyny ani znamy, ani znać możemy, nie wiemy nawet, czy ona istnieje. Jeżeli zaś chcemy o niéj coś powiedzieć, określić ją, to musimy się ograniczyć na téj ściśle naukowéj definicyi, że świat zewnętrzny, jako nieznana przyczyna biernych stanów naszéj samowiedzy, jest dla naszego poznania niczém więcéj, jak *stałą możnością* wywoływania w nas wrażeń. Trzymając się téj samej metody w pojmowaniu duszy, możemy o niéj to tylko powiedzieć, że jest *stałą możnością* odbierania wrażeń, albo innemi słowy, jest stałą możnością stanów naszéj samowiedzy. Ze stanów naszéj samowiedzy czynnych tak obecnych, jak przeszłych i przyszłych, ujętych w nieprzerwanym wątku ich następstwa, urabiamy sobie pojęcie naszego *ja*; z wrażeń naszych, rozważanych w oderwaniu od stanów naszéj samowiedzy, jako skutki działającéj na nas przyczyny, wytwarzamy sobie pojęcie o *nie ja*, o świecie zewnętrznym. W pojęciach tą drogą powstałych nie ma nic więcéj, oprócz wrażeń zmysłowych, oprócz stanów naszéj samowiedzy.

Dla tego też nic więcéj nie możemy powiedzieć o naszém *ja*, tylko, że jest ono możnością stanów, jak również o *nie ja*, o świecie zewnętrznym możemy to tylko powiedzieć, że jest on możnością wrażeń. Określenia te, przeciwne zwyczajnemu pojmowania rzeczy, wystarczają jak najzupełniéj tak dla naszego poznania, jak i dla zadań życia praktycznego. Czy przez świat zewnętrzny będziemy rozumiéć jakiś byt rozciągły, czy tylko prostą możność wrażeń; czy nasze *ja* będziemy pojmować, jako duchową substancyą, czy tylko jako możność odbiérania wrażeń,—nie może to wpłynąć bynajmniéj na ostateczne rezultaty ani myślenia, ani działania naszego. W obu razach *ja* i *nie ja* pozostają dla nas niewiadomemi znakami algebraicznemi. Cała tu różnica polega na tém, że gdy jedno określenie jest ściśle naukowe, bo zawiera w sobie to tylko, co wiemy, to drugie jest tylko grą słów, pozbawionych wszelkiego znaczenia. Podsuwanie pod fenomeny zmysłowe *rzeczy w sobie*, jako ich podścieliska, domyślanie się pod stanami naszéj samowiedzy duszy, jako substancyi duchowéj, polega na złudzeniu, opiéra się na metafizycznym nałogu, który o tyleż dla nas jest konicecznym, ile dla Chińczyków pojmowanie ziemi, jako spoczywającéj na słoniu, którego podtrzymuje żółw olbrzymi. Pamiętajmy bowiem, że nie wszystko jest koniecznem w naszych pojęciach, co za takie uważamy. Konieczność pojmowania przez nas czegoś tak a nie inaczéj zależy wyłącznie od dotychczasowego doświadczenia. Pewien porządek doświadczenia im częściéj powtarza się, tém stalszym nam się wydaje i w końcu przybiera charakter konieczności, jeżeli nie doświadczyliśmy nic takiego, coby mu było przeciwném. Z postępem atoli oświaty, w miarę jak zakres doświadczenia rozszerza się, przekonywamy się, że wiele rzeczy, które w przeszłości uznawane były za niepodobne do pojęcia, pojmujemy obecnie i rozumiemy doskonale, że to, co dotąd uważano za konieczne dla naszego poznania, koniecznem być przestało. Jedyném kryteryum w ocenianiu tego, co jest koniecznem dla naszego poznania, jest nie faktyczne stanowisko tego poznania, ale doświadczenie—naturalnie doświadczenie umiejętne. Wszystkie tak zwane prawdy konieczne, są koniecznemi dla tego tylko, że taki jest porządek doświadczenia. Taka prawda, jak „dwa razy dwa jest cztery“, nie jest prawdą konieczną w sobie, ale ze względu, że taki jest porządek doświadczenia. Na innéj jakiejś planecie, w innym systemacie słonecznym, gdzie porządek doświadczenia jest odmienny, być bardzo może, że dwa razy dwa czynią pięć. Jestto, jak widzimy, taż sama zasada, z jaką w odmiennéj tylko formie spotykamy się u Kanta. Ten powiada, że prawdy konieczne są takiemi ze względu na organizacyą naszego rozumu, że

istoty, obdarzone rozumem inaczéj uorganizowanym, mogłyby uważać za prawdę, że dwa razy dwa stanowią pięć. Odmienność formy, w jakich taż sama zasada występuje u Milla i Kanta, wypływa stąd, że gdy ten uważa rozum ludzki za słońce, około którego świat przedmiotowy obraca się, to Mill, odrzucający syntentyczne pojęcia Kanta, uważa świat przedmiotowy, jako stały punkt, do którego ciąży umysł ludzki i drogą doświadczenia odtwarza w sobie cały jego porządek. Zasada ta, będąca podstawą całéj filozofii Milla, jest płodną w bardzo ważne następstwa, które zarówno wyróżniają ją jak od krytycyzmu Kanta, tak i od przedmiotowego pozytywizmu Comte'a. Ponieważ porządek naszego myślenia za jedyne swe źródło ma doświadczenie, zatém między myśleniem naszém i doświadczeniem, a zewnętrznym światem jaknajściślejsza musi być odpowiedniość. Tymczasem u Kanta formom czystego myślenia nie odpowiada żadna rzeczywistość tak dalece, że między naszą wiedzą a rzeczywistością zachodzi tylko ten jedyny stosunek, że rzeczywistość dostarcza naszemu poznaniu surowego materyału, który ono przerabia do niepoznania.

W stosunku zaś do doktryny Comte'a powyższa zasada prowadzi do wniosku, że ponieważ w myśleniu naszém nie masz nic, coby nie pochodziło z doświadczenia, coby nie odpowiadało rzeczywistości, zatém i wszystkie takie zagadnienia, jak kwestya absolutu, pierwszego początku itd., zagadnienia, które Comte w swym przedmiotowym rygoryzmie odrzuca, nie mogą być lekceważone i godzi się nad niemi zastanawiać. Naturalnie, że absolutu, nieskończoności rozumiéć nie możemy, ale możemy je do pewnego stopnia pojąć, chociażby w odróżnieniu tego, co jest względném, skończoném.

Doświadczenie jest jedyném źródłem nie samych tylko pojęć i porządku myślenia; jest ono także źródłem naszych uczuć, chęci, żądz, woli, a więc całego życia. Jak nie ma wrodzonych pojęć, tak nie ma również wrodzonych uczuć i popędów. Wszystkie one powstają z wrażeń. Ale gdy zasadą myślenia są wrażenia obojętne, to zasadą uczuć i żądz są wrażenia albo przyjemne, albo przykre. Żądza, chęć, jest tylko skojarzeniem się uczucia z pewném wyobrażeniem. Wola jest przewagą pewnego uczucia, pewnéj żądzy nad innemi. Wola zawsze działa w kierunku najsilniejszego popędu. Nadanie woli innego kierunku zależném jest od przytłumienia jednych popędów, a spotęgowania innych. Każdy człowiek zdolnym jest udoskonalić siebie, zapewniając sobie takie warunki życia, które temu zadaniu najbardziéj odpowiadają. Takie jest znaczenie determinizmu.

Wynikiem doświadczenia jest także życie społeczne. Podstawą jego urządzeń nie jest jakieś prawo naturalne człowieka, ale doświadczalna prawda, że tylko w społeczeństwie urządzoném na zasadzie indywidualnéj wolności, znajduje człowiek warunki, jakich potrzebuje dla rozwinięcia wszystkich stron swéj natury. Co się tyczy dziejowego rozwoju ludzkości, Mill przyjmuje teoryą A. Comte'a, z pewnemi zmianami w nazwiskach trzech okresów i w zapatrywaniu się na doniosłość okresu metafizycznego. Moralność opiéra on na korzyści, ale na korzyści powszechnéj, społecznéj. Utylitaryzm jego nie jest podobnym do tego, jaki był dotąd zalecanym, polega on głównie na rozwijaniu w jednostce uczuć altruistycznych, które będąc przeciwnemi egoizmowi, są jedynym węzłem społecznych związków.

Takie są dążności i zasady pozytywizmu psychologicznego w téj jego formie, jaką mu nadali Mill i jego uczeń Bain. Ten ostatni nie jest prostym naśladowcą Milla, jestto filozof samodzielnie rozwijający zasady swego mistrza. Ważne zajmuje on stanowisko, jako psycholog, który odstępując od zasady Milla, badanie spraw psychicznych opiéra na prawdach, wykrytych przez fizyologią. Jemu psychologya zawdzięcza wykazanie czynnego pierwiastku natury ludzkiéj, udowodnienie, że mózg, jako organ spraw psychicznych, nie jest tylko bierném narzędziem, do odbiérania wrażeń zewnętrznego świata, że pod wpływem bodźców, pochodzących z odżywiania objawia on pewną działalność samodzielnie, bez zewnętrznych podrażnień. I ta to samodzielność w objawianiu się działalności mózgowéj stanowi materyalną podstawę woli. Na niéj opiéra on także podział stanów naszego *ja* na czynne i bierne, podział ważny, który dozwala wytłómaczyć odróżnienie w naszéj samowiedzy *nie ja* od *ja*. Podział ten wraz z jego konsekwencyą przyjmuje Mill całkowicie.

Do wyznawców pozytywizmu psychologicznego należy także Herbert Spencer, jeden z najpotężniejszych myślicieli, filozof, który zdumiewa ogromem swéj wiedzy, głębokością i oryginalnością swych pomysłów, zarówno jak ścisłością wywodów i jasnością wykładu. Jest on jedyném w dziejach filozofii angielskiéj zjawiskiem pod tym względem, że on pierwszy w Anglii odważył się wystąpić z własnym systematem, opartym na syntezie. Jego syntetyczna filozofia (synthetic philosophy) jest dziełem olbrzymiém. Dotąd ukazało się sześć wielkich tomów, a mianowicie: Pierwsze zasady t. 1, Biologia t. 2, Psychologia t. 2, Socyologia t. 1. Dwa dalsze jéj tomy opracowuje dopiéro. W dalszym ciągu ma on napisać jeszcze Zasady moralności w dwóch tomach, jako uzupełnienie swego systematu. O dziele

tém słusznie powiedziano, że pojedyncze jego części, rozebrane przez kilku ludzi, wystarczyłyby do unieśmiertelnienia ich pamięci. Wydał on oprócz tego: Statykę socyalną t. 1, Wstęp do Socyologii t. 1, Studyum o wychowaniu t. 1, Essay's tomów 3. Stanowisko Spencera w filozofii nie jest jeszcze ocenione, nie ulega wszakże zaprzeczeniu, że z każdym rokiem znaczenie jego wzrasta i wpływ jego na kierunek filozofii nie tylko w Anglii, ale we Francyi, a nawet w Niemczech nabiéra coraz większéj wagi.

Ponieważ dalsze części naszego studyum przeznaczone są wyłącznie na to, by w nich po kolei, w zarysach ogólnych, ale dokładnych, przedstawić obraz całéj filozofii Spencera; dla tego w niniejszym wstępie ograniczam się tylko na scharakteryzowaniu stanowiska, jakie zajmuje Spencer w stosunku do Milla i do Comte'a, na wskazaniu głównych właściwości jego filozofii.

H. Spencer wychodzi z tych samych zasad, co Mill i Comte—za jedyne źródło naszéj wiedzy uznaje doświadczenie; zaprowadza atoli ważną w téj zasadzie poprawkę. Oprócz doświadczenia indywidualnego i zbiorowego, przyjmuje on jeszcze doświadczenie rodowe, które drogą dziedziczności przekazuje osiągnięte rezultaty dalszym pokoleniom. Indywidualne doświadczenie każdego człowieka ustala w nim pewne skojarzenia się wrażeń, stanowiące pojęcia i uczucia, zdolności i skłonności. Te skojarzenia się wrażeń mają swą podstawę w pewnych ustalonych zmianach systemu nerwowego. Otóż wraz z nabytemi własnościami nerwowego systemu przekazują ojcowie swym dzieciom i ustalone pewne skojarzenia się wrażeń i wyobrażeń, których zasób w ciągu wieków powiększa się i które nabiérają takiéj stałości, że zdają się nam koniecznemi, że ich przeczenia pomyśléć nawet nie możemy. Pojęcia tak ustalone są dla nas prawdami, służą one za kryteryum w ocenianiu naszych wywodów filozoficznych i praktycznych celów. Mill i Bain, uznając za jedyne kryteryum prawdy doświadczenie umiejętne, są przeciwni zapatrywaniu się Spencera; dowodzą oni, że to, co niegdyś uchodziło za rzecz niepodobną do pojęcia, obecnie łatwo jest pojmowaném i rozumianém. Zarzuty te wszakże niczego nie dowodzą, gdyż, jak słusznie Spencer powiada, potrzeba odróżniać tu rzecz nieprawdopodobną od rzeczy niemogącéj być pojętą. Rzecz nieprawdopodobna może jeszcze być pojętą. I dla tego, co w jednym czasie uważaném było, jako nieprawdopodobne, w innym, za rozszerzeniem się zakresu doświadczenia, okazało się prawdziwém. Zdawaćby się mogło, że to umieszczenie kryteryum w porządku myślenia jest przeciwném zasadzie metody doświadczalnéj, że jest ono témsamém, czém było dla niemieckich filozofów kryteryum logiczne, opierające się na

zgodności myślenia z sobą a pomijające zgodność jego z doświadczeniem. Tak jednakże nie jest. Pamiętajmy bowiem, że nasze ustalone pojęcia, których przeczenia pojąć nie możemy, są wypadkiem doświadczenia rodowego, którego rezultaty odziedziczamy po przodkach. Lecz jakąż one gwarancyą mają dla nas? Dla czego ich stałość ma świadczyć o ich prawdziwości, ma dowodzić, że porządek naszego myślenia nie sprzeciwia się porządkowi zewnętrznego świata? Gwarancyą tę daje im prawo odpowiedniości, które powiada, że wewnętrzne sprawy organizmu są wypadkową przystosowywania się jego do warunków otoczenia. Porządek naszego myślenia, naszych uczuć i żądz zgadza się jak najściśléj z porządkiem świata zewnętrznego. Ponieważ to przystosowanie się organizmów ludzkich do warunków otoczenia dokonywa się wiekami, więc też nic dziwnego, że jego rezultaty odziedziczane przez jednostki mają dla nich znaczenie konieczne, że każdy inny porządek myślenia i uczucia staje się dla nich niepodobnym do pojęcia, czyli, że przeczenia ich pojąć nie mogą. Do takich skojarzeń się wrażeń i wyobrażeń należą pojęcia czasu, przestrzeni, i wszystkie takie prawdy, jak „dwa razy dwa czynią cztery".

To kryteryum prawdy służy Spencerowi do udowodnienia swego realizmu przemienionego i wykazania błędności idealizmu Kanta i Berkeleya. Realizm swój opiéra nadto na odróżnieniu dwóch gatunków wrażeń: silnych i słabych i na ich przeciwstawieniu sobie, jako odnoszących się do *nie ja* i do *ja*. Realizm Spencera w gruncie rzeczy nie różni się od idealizmu Milla. Ogranicza się on do uznania rzeczywistości spostrzegania, tak jak Mill przyjmuje rzeczywistość doświadczenia.

Głównym atoli pomysłem Spencera jest jego teorya rozwoju. Dotąd pojmowano postęp w znaczeniu praktycznėm, jako przyrost pewnych rzeczy pożytecznych dla celów życia. Spencer nadaje mu daleko szerszy zakres i wyzwala go od więzów celowości. Rozwój u niego obejmuje dzieje wszechbytu, o ile one dostępnemi są naszemu doświadczeniu. Przedstawia on prawo rozwoju tak świata nieorganicznego, jak i żyjącego, tak jednostki, jak i ciał zbiorowych, tak całych społeczeństw, jak pojedyńczych gałęzi społecznego życia. Jestto prawo powszechne, będące syntezą wszystkich innych praw, dostrzeganych tak w zakresie zjawisk fizycznych, jak i w sferze spraw psychicznych. Rozwój ten polega na stopniowém przechodzeniu ze stanu jednorodnego w stan różnorodny. Przechodzenie to dokonywa się na zasadzie tego prawa: że siła żywa wywołuje więcéj, jak jednę zmianę, że każda przyczyna spowodowuje więcéj, jak jeden skutek.

Ważną także u Spencera odgrywa rolę rzecz niedostępna poznaniu. Jest nią w ogóle absolut i kwestye pierwszéj przyczyny. Z tém wszystkiem, nie odrzuca on ich, nie uważa za pozbawione wszelkiéj wartości. Odwołując się w téj sprawie, jak w każdéj innéj do wewnętrznéj świadomości, utrzymuje on, że lubo absolutu i wszystkich kwestyj, do niego odnoszących się, zrozumiéć nie możemy, mamy jednakże pewne ich pojęcie, acz nieokreślone. Same warunki naszego poznania zmuszają nas do przyjęcia absolutu. Pojmować bowiem możemy tylko przez porównanie. Gdybyśmy więc nie mieli pewnego, choćby niewyraźnego pojęcia o bezwzględności, nie moglibyśmy też zrozumiéć i saméj względności. Tak samo zjawisko możemy zrozumiéć tylko przez odniesienie go do podścieliska jego, do czegoś, co się objawia za pomocą zjawisk. Stąd wyprowadza Spencer wniosek, że duch i materya są tylko zjawiskami, objawami obsolutu. Mocą tego wniosku utrzymuje on rozdział między zjawiskami fizycznemi żyjącego organizmu, a jego zjawiskami psychicznemi. Wygłasza nawet zdanie, że ponieważ bezpośrednio znamy tylko siebie, stany naszego *ja*, zatém łatwiéj byłoby fizyczne sprawy organizmu sprowadzić do praw psychicznych, aniżeli te tłómaczyć za pomocą praw fizycznych.

Takie są pomysły Spencera i punkta, w których różni się on od Milla. Co się tyczy Comte'a, ma z nim to jedno wspólnego, że doświadczenie uznaje za jedyne źródło wiedzy, jakkolwiek i tu z właściwym sobie występuje pomysłem. Zresztą nie przyjmuje on ani podziału nauk, jaki Comte ustalił, ani jego teoryi postępu. Sam punkt wyjścia i metoda są odmienne. Punktem wyjścia dla Spencera jest psychologia, którą Comte odrzuca, metoda zaś Spencera polega na połączeniu z sobą jaknajściślejszéj analizy ze śmiałą syntezą. Robić Spencera uczniem Comte'a, jest to nieuznawać istotnych różnic a przywiązywać główną wagę do podobieństw, które tylko podrzędną mają rolę.

Władysław Kozłowski.

BAROMETR

W STOSUNKU DO POGODY.

Mało dziś jest domów nie posiadających barometru, szczególniéj zaś barometr metaliczny (anéroïd) stał się narzędziem powszechnie prawie używaném. A lubo ten ostatni, dla swej budowy wadliwéj, nie odpowiada ścisłym wymaganiom nauki, nie mniéj jednak dawać może wskazówki rolnikom, śledzącym odmiany pogody. Lecz jakże mało spotykamy postrzegaczy, coby znaczenie tych wskazówek we właściwém oceniali świetle. Pospolicie zwykli na ślepo wierzyć literalnie napisom na skali barometrycznéj, które zbyt często zawodzą oczekiwanie; ztąd powstaje utyskiwanie na kłamliwość lub niedokładność tych przyrządów. I w rzeczy saméj, kiedy nauka ze wszelką oględnością przesuwa na téj skali to wyżéj, to niżéj „deszcz" lub „pogodę," fabrykanci barometrów nie przestają korzystać z łatwowierności publicznéj, podsuwając jéj to narzędzie z proroczą, raz na zawsze stałą, miarą wszystkich stanów pogody. I któżby z rolników chciał zresztą kupować ten przyrząd, gdyby nie nęcił go program pogody w tak stanowczych wyrazach od „burzy" aż do „posuchy" na barometrze podany?

Ze względu, że znaczenie właściwe skazówek barometrycznych jest pouczające i godne uwagi powszechniejszéj, zamierzyłem streścić ten przedmiot z obszerniejszego dzieła mojego w sposób popularny, unikając studyów specyalnych, ażeby uczynić dostępnym dla szerszego koła czytelników. A chociaż zrozumienie jego wymaga znajomości innych jeszcze czynników meteorologicznych, nie cofa-

jąc się jednak przed trudnościami, postaramy się nie poprzestać na podaniu samych gołych faktów, lecz i przyczynę ich, o ile się da, wyjaśnić.

Barometr jestto właściwie waga, posługująca do mierzenia ciężaru zawieszonéj nad nami atmosfery. Każdy więc się zapyta: ileż waży powietrznia, pod któréj naciskiem oddychamy? Odpowiedź łatwa, wiedząc jak wysoką kolumnę barometryczną równoważy ona przy poziomie morza. Tak spostrzeżenia jak i obliczenia wykazują, że stan barometru nie jest jednakowy na całéj kuli ziemskiéj; że ciśnienie powietrzni pod równikiem i w kołach biegunowych, będąc najmniejsze, dochodzi największości w pasach z obu stron równika około 30 szerokości geograficznéj. A mianowicie:

między	0° a 15°	szer. geog.,	ciśnienie	336 do 337	linij paryz.
,,	15 — 30	,,	,,	337 — 338,5	,,
,,	30 — 45	,,	,,	338,5 — 337,5	,,
,,	45 — 70	,,	,,	337,5 — 333,6	,,

Pod równikiem przez silne ogrzewanie powietrze wzdyma się, spływa ku biegunom i w szerokościach około 30—40° spotyka prądy zimne biegunowe, zdążające pod równik dla zastąpienia ustawicznego tam odpływu; następuje tu zwarcie wręcz przeciwnych wiatrów, a za niém idzie zgęszczenie powietrza i podniesienie kolumny barometrycznéj. Bądź co bądź, średnią wysokość barometryczną przy poziomie morza pod 45° szer., wynoszącą 337‴,5 albo 760mm, czyli 28 cali ang., przyjmować zwykli za normalną. Ciężar więc atmosfery naszéj wynosi tyle, co warstwy rtęci na 28 cali grubéj oblewającéj całą powierzchnię ziemi. Jestto masa, stanowiąca o mało mniéj niż jednę milionową część całéj masy ziemi. Na jeden cal kwadratowy przypada ciśnienia atmosferycznego 15 funtów, tyle bowiem waży 28 cali sześciennych rtęci; na 1 stopę kwadratową wynosić ono będzie 22 centnary, a na powierzchnię ciała zwyczajnego człowieka około 300 centn. Ponieważ woda 14 razy jest lżéjszą od rtęci, przeto ciśnienie powietrzni równoważyć będzie o tyle wyższą jéj kolumnę, t. j. 32 stopy ang., i do téj tylko wysokości powietrze w stanie jest wcisnąć wodę po nad jéj poziom do pompy.

Nie tak łatwo przychodzi obliczyć wysokość atmosfery jak jéj ciężar. W miarę podnoszenia się nad poziom morza, powietrze coraz mniejszą masą przygniatać nas będzie, kolumna barometryczna zniży się, a taż sama pompa nie podniesie już wody do poprzedniéj wysokości. Gdyby gazy, powietrze składające, tak mało jak ciecze były ściśliwe, natenczas atmosfera, podobnie jak woda w mo-

rzu, posiadałaby gęstość wszędzie jednakową; a wiedząc, że gęstość rtęci w stosunku do powietrza jest 10517,3, mielibyśmy wysokość atmosfery = 760^{mm} × 10517,3 = 7993^{m},148 t. j. przeszło na 1 milę, i na każde 10^{m},5173 wzniesienia opadałby barometr o 1^{mm}. Lecz że powietrze jest w wysokim stopniu rozpręźliwe, rzednie do góry w miarę mniejszego ciśnienia, potrzeba więc w górnych warstwach wznieść się nierównie wyżéj, aby otrzymać zniżenie kolumny barometrycznéj o 1^{mm}. Z powodu téj rozpręźliwości powietrza najsubtelniejsze jego cząstki sięgać muszą stref bardzo wysokich. Z drugiéj strony ciepło rozszerza powietrze w znacznym stopniu, przyczém rozpręźliwość jego szybko wzrasta. Dla równych zmian ciepłoty od 0^{0} do 100^{0} C rozrzedzanie się powietrza jest jednostajne i oceniać je możemy na 0,367 albo dla 1°C 0,00367 objętości. I na odwrót, zniżanie się temperatury o tyleż zgęszcza powietrze. Układanie się więc warstw powietrza odpowiadać musi warunkom równowagi, zrządzonéj przez gęstość, ciśnienie, rozpręźliwość i ciepłotę w każdym punkcie atmosfery. Jeżeli butelkę, zakorkowaną przy poziomie morza, do znacznéj zaniesiemy wysokości, to znajdujące się w niéj powietrze, będąc stosunkowo gęstsze, wysadzi korek, ażeby powiększyć swą objętość i z powietrzem otaczającém przyjść do równowagi. Serce pędzi krew z pewną siłą do najdrobniejszych naczyń wszystkich zakończeń naszego ciała, które przy współoddziaływaniu zwyczajnego ciśnienia powietrza siłę tę dobrze wytrzymują; lecz na wzniesieniu od 24000 do 26000 stóp, gdzie ciśnienie powietrza na powierzchnię naszego ciała jest bardzo zmniejszone, pękają owe delikatne naczynia, z których krew wytryska. Tak samo barometr którego kolumnę rtęci utrzymuje zawsze w równowadze ciśnienie czyli ciężar powietrza na nim zawieszonego, opada w miarę wzrastającego wzniesienia nad poziom morza. Sama przez się nasuwa się tu myśl, że stopień opadnięcia barometru może posłużyć za miarę wzniesienia miejsc. I rzeczywiście barometr w tym względzie stał się jedném z najważniejszych narzędzi geograficznych. Lecz nie przytoczone tu okoliczności stanowią trudność zadania: prawo zniżania się ciepłoty w kierunku pionowym nie jest dokładnie zbadane i zdaje się zależéć nie tylko od pory roku i dnia, ale i od szerokości geograficznéj miejsca tudzież od postaci samego naziomu. Znajomość tego prawa przy obliczeniu wysokości atmosfery jest nader ważna, bo od stopnia ciepłoty zależy rozpręźliwość powietrza każdéj strefy. Ztąd obliczenia bardzo się różnią, dając na wypadek 7 do 27 mil geogr. Z obrachowań zaś wysokości zmroku, którego granicę trudno téż oznaczyć, otrzymujemy wysokość powietrzni od 4 do 10 mil.

Po wynalezieniu barometru dostrzeżono niebawem, że kolumna barometryczna wśród ciągłych wahań odbywa ruchy peryodyczne, że tak zimową porą jak i letnią barometr z rana i wieczór staje wyżéj aniżeli w południe. W pasie między zwrotnikami, gdzie wszystkie zjawiska meteorologiczne bieg najprawidłowszy zachowują, ruchy te powtarzają się tak statecznie, że podług wysokości barometru oznaczyć można czas z błędem nie większym nad 15 do 17 minut. W miarę posuwania się od równika, pole dzienne odmian peryodycznych zmniejsza się coraz bardziéj tak, że kiedy pod równikiem dochodzi przeszło 1''', w naszych szerokościach zaledwo 0''',20 do 0''',15 wynosi, a pod szerokością 63^0 ruch ten znika, dalej zaś ku biegunom zdaje się zawracać, t. j. kiedy u nas występuje maximum, tam przypada w tymże czasie minimum; nadto pod przewagą u nas ruchów nieprawidłowych, bieg ten peryodyczny maskuje się tak, że potrzeba obserwacyj przynajmniéj dni 10, a niekiedy całego miesiąca, ażeby z wielkości średnich dla każdéj godziny wykazały się zmiany peryodyczne.

Ruch dzienny prawidłowy odbywa się następnie: z rana między godz. 3 a 5 ciśnienie atmosfery jest najniższe, daléj barometr podnosi się regularnie i dochodzi do maximum około godz. 10 przed południem, poczém zaczyna opadać i staje po raz drugi najniżéj około godz. 4 po południu, następnie podnosi się znowu do powtórnego punktu najwyższego koło godz. 10 wieczór i ponownie, zniżając się nad rankiem, rozpoczyna ten sam bieg peryodyczny. W tym atoli przebiegu maximum ranne najczęściéj przewyższa wieczorne, a minimum wieczorne niższe jest od rannego.

Te godziny zwrotów peryodycznych występują niezależnie od szerokości geograficznéj, lecz w rozmaitych porach roku zmieniają się w ten sposób, że zimową porą 1 do 2 godzin posuwają się bliżéj ku południowi, aniżeli latem. Pod względem zaś wielkości pola tych odmian barometrycznych, dostrzeżono, że ta się zmienia z geograficzną szerokością i długością miejsca i maleje w miarę większego wzniesienia nad poziom morza; na koniec w strefie naszéj umiarkowanéj wahania te bywają większe latem, niż zimą.

Jeżeli ze spostrzeżeń w godzinach zwrotu robionych przez rok cały weźmiemy wielkość średnią, to się okaże, że ta średnia wysokość kolumny barometrycznéj dla każdego miejsca pozostaje stałą; zmiany więc nieprawidłowe w ciągu roku tak się układają, że o ile podnoszą barometr po nad stan średni, o tyle znowu zniżają. Dla ocenienia zaś średniego stanu barometrycznego w pojedynczych miesiącach potrzeba długiego lat szeregu; różnice bowiem miesięczne

i zboczenia w rozmaitych latach bywają tak znaczne, że długoletnie tylko spostrzeżenia usunąć je mogą.

Pośród wiru ustawicznych ruchów barometrycznych zdołano dostrzedz peryodyczne wahania i w przebiegu rocznym. W pasie zwrotnikowym ciśnienie atmosfery zmniejsza się w miarę zbliżania się ku zenitowi słońca i bywa najniższe podczas największego ciepła. Podobnież u nas barometr zimową porą staje wyżéj niż latem, lecz cały bieg jego jest odmienny. Od maximum zimowego ciśnienie powietrza zmniejsza się ku wiośnie tak, że w Paryżu, Krakowie, Berlinie, Warszawie minimum przypada w Kwietniu, w Rzymie, Wilnie, Petersburgu w Marcu; poczém wzrasta w ciągu lata i maleje znowu w jesieni, nie dochodząc wszakże do punktu tak niskiego jak na wiosnę. Lecz kiedy w krajach na zachodzie maximum letnie przewyższa często zimowe, już w Berlinie postrzegamy obniżenie się barometru w Lipcu, które daléj na wschód, przy przejściu klimatu morskiego w lądowy, jak w Krakowie, Warszawie, Wilnie, Petersburgu, trwa coraz dłużéj tak, że latem występują tu dwie podrzędne największości, jakto z następnéj tabeli widzimy:

	Krakow.	Warszawa.	Wilno.	Petersburg.
	Wzniesienie nad poziom morza w stopach paryskich:			
	609.	430.	388	10.
	Średni stan barometru w liniach paryskich:			
Styczeń	330''',08	332''',87	333''',02	337''',08
Luty	29 ,84	2 ,79	3 ,41	8 ,28
Marzec	28 ,66	1 ,99	3 ,71	7 ,24
Kwiecień	28 ,64	1 ,95	3 ,11	7 ,43
Maj	28 ,94	2 ,08	3 ,26	7 ,32
Czerwiec	29 ,12	1 ,98	3 ,63	6 ,83
Lipiec	29 ,00	1 ,92	3 ,06	6 ,13
Sierpień	28 ,89	2 ,18	3 ,10	6 ,61
Wrzesień	29 ,57	2 ,86	4 ,28	7 ,43
Październik	29 ,92	2 ,96	3 ,91	7 ,27
Listopad	28 ,68	3 ,53	3 ,26	6 ,44
Grudzień	29 ,85	3 ,22	2 ,66	6 ,91
rok	329''',36	332''',44	333''',20	337''',08
różnica	1''',44	1''',61	1''',62	2''',15

Rzecz niewątpliwa, że ilości powietrza na ziemi ani ubywa, ani przybywa: średni stan barometru dla każdego miejsca przez wszyst-

kie lata pozostaje niezmienny. Cóż może być tedy przyczyną zmiennego nad nami ciśnienia powietrza? Mało jest zjawisk w naturze, dla których wyjaśnienia stawianoby tyle rozlicznych, dziwacznych i sprzecznych teoryj, jak względem ruchów barometrycznych. Dość powiedzieć, że wybujała wyobraźnia przypisywała nawet ziemi funkcyą oddychania. Walka mniemań trwała bez rozstrzygnięcia przeszło półtora wieku, aż dopiéro w naszém stuleciu, dzięki niezmordowanéj pracy i przenikliwości, z jaką zużytkowano skarb długoletnich spostrzeżeń — zbadaną została istotna przyczyna tego zjawiska.

Jużeśmy nadmienili, że powietrze rzednieje w miarę wzrastania ciepłoty, a zgęszcza się przy jéj obniżaniu. Powietrze rozrzedzone, jako lżejsze, mniejszą w barometrze kolumnę równoważyć będzie, aniżeli zgęszczone, cięższe. A że bieg dzienny ciepłoty odbywa się prawidłowo i w ciągu doby dochodzi raz tylko największości i najmniejszości, przeto i ruch kolumny barometrycznéj, przez ciepłotę wywołany, nie więcéj jak dwa skrajnie stany w tymże czasie przedstawiać musi, a mianowicie: stan barometru, najwyższy przypadnie podczas najniższego stanu termometru, największe zaś zniżenie kolumny barometrycznéj schodzić się będzie z największością ciepłoty.

Z drugiéj strony para w stanie sprężystym, niewidzialnym, w powietrzu rozlana, wywiera na barometr ciśnienie *niezależnie* od powietrza suchego i stanowi jakby drugą atmosferę. Ilość zaś, gęstość i sprężystość pary, czyto w próżni, czy w powietrzu, zależy wyłącznie od ciepłoty, bo każdemu jéj stopniowi pewne odpowiada maximum sprężystości, którego bez podniecenia ciepła przekroczyć nie może; ta tylko zachodzi różnica, że w próżni para powstaje i wypełnia ją w jednéj chwili w ilości stosownéj do stopnia temperatury, pod ciśnieniem zaś powietrza, doznając zawady, tworzy się i rozpościera zwolna. Najczęściéj więc bywa, że w powietrzu gęstość i sprężystość pary jest mniejsza, niżby być powinna przy istniejącéj ciepłocie w stanie nasycenia powietrzni parą. Ilość pary, jaka nasyca powietrze lub próżnię przy temperaturach np.

0°	4°	8°	12°	16°	20°	24° R.

równoważy kolumnę barometryczną wysokości:

2''',00	2''',85	4''',03	5''',59	7''',68	10''',40	13''',93

Widzimy więc, że przy téj saméj ilości pary powietrze może być mniéj lub więcéj suche lub wilgotne, stosownie do panującéj ciepłoty. Tak np. prężenie pary wynoszące 5''',59 nasyca powietrze przy temperaturze 12° R. i robi je zupełnie wilgotném, gdy tymcza-

sem taż sama ilość pary przy temperaturze np. 20^0 R. czyniłaby powietrze suchém, dalekiém od nasycenia, albowiem zawierałoby ono wówczas $\frac{5,59}{10,40} = 0,537$ czyli 53,7 procentów téj ilości, jaka przy 20^0 R. powietrze nasycić jest w stanie. I przeciwnie, gdyby powietrze, posiadające 5''',59 pary przy temperaturze 20^0 R. ochłodziło się stopniowo, dajmy do 8 R., wówczas bierność pary corazby malała i chociażby pary nie przybywało, nie mniéj atoli powietrze stawałoby się wciąż wilgotniejszém i przeszedłszy przy 12 R. punkt nasycenia (rosy), nie byłoby już daléj w stanie utrzymać przy 8^0R. obecnéj w niém pary, bo przy téj ciepłocie już 4''',03 nasyca powietrze. Różnica więc 5,59 — 4,03 = 1''',56 musiałaby się skroplić i wylać, dając około 4 gram wody z każdego metra sześciennego powietrza. Jeśli zmieszamy powietrze nasycone np. przy temper. 4 R. z takiémże powietrzem przy 12^0R., to otrzymamy mięszaninę o temp. 8^0R. z ilością pary $\frac{2,85 + 5,59}{2} = 4''',22$, która przewyższa ilość mogącéj się mieścić przy 8^0R. pary o 4,22 — 4,03 = 0''',19, ta więc przewyżka skroplić się musi. Tak samo, jeśli zmieszamy dwie masy powietrza różnéj ciepłoty, chociażby nie nasycone parą, to mieszanina będzie zawsze wilgotniejszą, aniżeli była cieplejsza z tych mas.

Im większa jest ciepłota dzienna, tém więcéj pary ulatuje tam, gdzie wody jest dostatek, a wzrastająca jéj ze stopniem temperatury sprężystość, tém większą kolumnę barometryczną prężeniem swojém równoważy. Największe przeto ciśnienie pary na barometr przypada podczas najwyższego ciepła dziennego, a najmniejsze w czasie najniższego stanu termometru. W tymże samym więc czasie, kiedy powietrze ogrzane cięży najmniéj, para oddziaływa na barometr z natężeniem największém; i przeciwnie, kiedy powietrze ochłodzone większą swą masą podnosi barometr, wtenczas sprężystość pary najmniéj przyczynia się do powiększenia kolumny barometrycznéj. Siły więc te działają na barometr o téj saméj porze dnia w kierunkach wręcz sobie przeciwnych, a ta okoliczność zmniejsza pole odmian peryodycznych.

Stan barometru jest tym sposobem wypadkową dwóch sił: ciśnienia powietrza suchego i prężenia pary wodnéj. Skutkiem działania téj ostatniéj zdarza się, że w prawidłowym dziennym ruchu barometrycznym występuje w ciągu doby po dwa razy stan najwyższy i najniższy. Po wschodzie słońca ilość i sprężystość pary wzrasta i dlatego zdarzyć się może, iż mimo rozszerzania się i odpływu powietrza w górnych warstwach, barometr podnosi się do godz. 9—10. Lecz o téj porze coraz silniejszego nabiérają polotu prądy, unoszące

ogrzane powietrze pospołu z parą w kierunku pionowym do stref wyższych, gdzie ta przybywająca masa rozlewa się na okolice sąsiednie, a przytém para niewidzialna w zimniejszém otoczeniu zgęszcza się w obłoki kłębiaste (cumuli). Przy dalszém ogrzewaniu się powietrza sprężystość pary nie może wynagrodzić tego, co ciążenie atmosfery przez rozszerzanie się powietrza i odpływ jego utraca, barometr tedy opadać zaczyna, skutkiem czego występuje minimum poobiednie; przy chylącém się ku zachodowi słońcu powietrze ochładza się, zgęszcza, prądy pionowe nietylko przestają przelewać powietrze do innych okolic, lecz przeciwnie to ostatnie ochłodzone i zgęszczone usuwa się na dół, gdzie obłoki w strefie cieplejszéj roztapiają się w parę sprężystą; tak tedy przy współdziałaniu pary kolumna barometryczna podnosi się do powtórnego maximum około g. 10-éj wieczór. W tym właśnie czasie znacznie ubywa sprężystéj pary przez strącenie jéj w postaci rosy, mgły, szronu i t. p., ciążenie atmosfery zaczyna z tego powodu tracić więcéj, aniżeli przez ochładzanie się powietrza zyskuje; barometr więc opada ciągle aż do minimum rannego i daléj rozpoczyna na nowo swój wrot (cyclus) peryodyczny.

Rzecz jasna, że stosunek ciśnienia pary do ciśnienia powietrza suchego w rozmaitych okolicach zmianom ulegać musi; zależy on bowiem od ilości wód pogranicznych i chyżości wznoszących się prądów. Jakkolwiek przy wzrastającém cieple dziennem te prądy porywają z dołu parę i przenoszą do okolic sąsiednich; tę stratę, w krajach nadmorskich wynagradza wiatr morski, który jednocześnie z wrastającą ciepłotą powstaje i w niższych warstwach przynosi z sobą parę z morza wywiązującą się. W środku lądów nie mamy wilgotnych wiatrów morskich, coby we dnie wynagradzały bezpośrednio ilość pary porywanéj do góry. Tu więc bieg dzienny barometru zawisł przeważnie od ciśnienia powietrza suchego. Ztąd w pierwszych krajach pole odmian peryodycznych będzie mniejsze, w drugich większe, a często dla braku tu pary max. ranne znika. Zresztą bardzo naturalnie, że gdyby ze wzrostem ciepłoty ciśnienie atmosfery tyleż powiększało się przez sprężystość pary, ile się zmniejsza przez rozrzedzanie powietrza suchego, to, jakiekolwiek byłyby odmiany ciepła, barometr stałby zawsze w jednéj mierze.

Zmniejszenie się dziennego pola odmian barometrycznych w miarę oddalenia większego od równika jest prostym wynikiem malenia różnicy pomiędzy temperaturą dnia a nocy—téj zimy podrównikowéj. Różnica ta, w pasie zwrotnikowym do największych rozmiarów dochodząc, pozostaje przez cały rok niezmienną, w szeroko-

ściach zaś większych od pór roku jest zależną: tak np. u nas mniejsza zimą niż latem.

Odmienny ruch barometru na górach pochodzi z podnoszenia się powietrza przy ogrzaniu się jego w nizinach i z usuwania się na dół przy zmniejszoném cieple dzienném; przez co maximum i minimum ciśnienia w górnych strefach przypadają o innych godzinach. A że samo powietrze coraz jest rzadsze, przeto i pole odmian barometru w miarę wyniesienia zmniejsza się.

Tenże sam wpływ rozpręźliwości pary postrzegać się daje i w ruchu rocznym barometru. Oddzielając ciśnienie pary od ciśnienia powietrza suchego, znajdujemy, że, kiedy w czasie największego ciepła rocznego powietrze staje się najlżejszém, prężenie pary bywa najwyższe; i przeciwnie, podczas największego zimna, kiedy zgęszczone powietrze podnosi barometr najwyżéj, rozpręźliwość pary jest wówczas najsłabsza. Jedno więc i drugie oddziaływa wręcz przeciwnie na barometr, który zawsze ciśnienie całéj atmosfery wyraża. Tym sposobem prawidłowe ruchy roczne zależeć będą, jak i dzienne, od stosunku zmian rozpręźliwości pary do zmian rozpręźliwości suchego powietrza: w pewnych okolicach objawiać się będą pojedyncze, w innych podwójne peryody. W pasie zwrotnikowym różnica między największém a najmniejszém ciśnieniem roczném powietrza suchego jest najznaczniejsza, dlatego tam pojedynczy peryod ruchu barometrycznego, zmianą temperatury wywołany, nie łatwo przez wpływ pary zakłóconym bywa: ciśnienie zatém powietrzni maleje w tym pasie w miarę wzrastającego ciepła. Ten sam stosunek ma miejsce i w środkach wielkich bezwodnych lądów; tu bowiem prężenie skąpo rozlanéj pary nie może pokryć tego, co ciśnienie całéj atmosfery przez wpływ ciepła utraca. Przykłady tego widzimy w Ekaterynburgu, Bogosłowsku, Barnaule, Nerczyńsku i t. d. Przeciwnie tam, gdzie w większych szerokościach geograficznych prężenie pary w ciepléj porze roku oddziaływa stanowczo na stan barometru, tak, że rozpręźliwość jéj podnosi kolumnę barometryczną więcéj, niżli ta od rozrzedzenia ciepłem powietrza suchego opada, tam ciśnienie całéj powietrzni występuje w peryodzie podwójnym. Tak w ogólności w Europie ciśnienie powietrzni zmniejsza się od zimy aż do Kwietnia, wzrasta do lata z powodu przeważającego ciśnienia pary nad rzednieniem powietrza suchego, od Września barometr znowu obniża się, w Listopadzie dochodzi do stanu najniższego a następnie podnosi się dość prędko.

W kole biegunowém przy nizkiéj temperaturze prężenie pary zbyt jest małe, ażeby ruch barometru, od ciepła zależny, zmienić mo-

gło. I w rzeczy samej, najwyższe ciśnienie powietrza znaleziono tam na krótko przed wschodem słońca po kilkomiesięcznéj nocy, a najniższe wśród lata. Że stan średni barometru obniża się ku biegunom, wynika to prawdopodobnie ze zmniejszania się rozprężliwości pary.

Poznawszy tym sposobem ruchy prawidłowe z ich przyczyną, przygotowaliśmy do traktowania wahań barometru nieprawidłowych czyli przypadkowych, które w mniéj lub więcéj wyraźnym związku ze stanem pogody zostają i nas tu głównie zajmują.

Przechodząc do tych ostatnich, zastanawiamy się, że rozmaite przyrządy meteorologiczne rzadko kiedy jednakowy zachowują wzajemny stosunek; przy gruntowniejszém atoli badaniu postrzegamy między niémi związek, zwłaszcza między termometrem a barometrem. Za ogólne prawidło przyjąć możemy: *jeżeli opada termometr, stosunkowo do pory roku, to barometr podnosi się, i przeciwnie.* I w rzeczy samej, czyniąc długi czas postrzeżenia w pewném miejscu o jednéj i téj saméj dnia godzinie, znajdujemy powszechnie, że, jeśli kolumna rtęci w jednym z tych przyrządów obniżyła się, to w drugim podniosła. Zdarza się wprawdzie bardzo często, że robi się zimniéj, gdy tymczasem barometr nietylko nie podnosi się, ale jeszcze opada; w takim atoli razie znajduje się bez wyjątku okolica, mniéj lub więcéj odległa, gdzie temperatura nierównie znaczniéj obniżyła się, dokąd zatém powietrze spłynęło. Wynik więc tego wszystkiego możemy streścić w twierdzeniu: *jeżeli w pewném miejscu barometr opada, to ciepłota tego miejsca stała się wyższą w stosunku do poprzedniéj w miejscach okolicznych*—albo przez rzeczywiste podniesienie się ciepła w tém miejscu, albo przez obniżenie się okoliczne; *jeżeli zaś barometr podnosi się, to ciepłota tego miejsca stała się niższą w stosunku do poprzedniéj w miejscach okolicznych*—bądź przez zwyczajne opadnięcie w tém miejscu, bądź przez podniesienie się ciepła okolicznie. To posłużyło w swoim czasie do mniemania, że barometr jest więcéj termometrem, niż termometr sam. Atoli barometr nie może być brany za termometr zwyczajny; zasługuje on raczéj na miano termometru *różniczkowego.* Nie możemy przytém tracić z uwagi, że barometr wskazuje nam ciśnienie, a więc masę powietrza od miejsca, gdzie się znajduje, aż do najwyższéj granicy atmosfery; ciepłomierz zaś i wszystkie inne przyrządy są poniekąd miejscowe: już o kilka stóp od ich stanowiska stosunki mogą być wcale inne. Wypadałoby tu mianowicie przy porównaniu z barometrem mieć właściwie średnią ciepłotę całéj atmosfery. Lubo termometr w ogólności dość regularnie opada przy stopniowém podnoszeniu się do warstw wyższych, często jednak bywa w górze daleko cieplej lub zimniéj, aniżeli

ze spostrzeżeń czynionych u dołu oczekiwaćby wypadało. W okolicach górzystych często w zimie postrzegać się daje, jak na stokach gór na znaczném wzniesieniu śniegi topnieją, kiedy w dolinach dojmujące panuje zimno i śnieg nie robi się nawet wilgotnym. W takich razach górne strefy obwiewa zwykle prąd ciepły równikowy, kiedy w nizinach panuje wiatr zimny biegunowy. Dnia 22 Stycznia 1850 r. było na Brockenie — 9^{0},2R., kiedy w sąsiednich nizinach ciepłomierz wskazywał — 20^{0},R., a przy Mülhausenie nawet — 24^{0}R. Jednocześnie na równinach Szlązka panował mróz większy jeszcze, bo od — 27^{0}R. do — 30^{0}R. dochodzący, którego znowu mieszkańcy gór Olbrzymich wcale nie doświadczali. Liczne mamy przykłady, że warstwy powietrza cieplejsze i zimniejsze do znacznéj niekiedy wysokości na przemian przeplatają się. Tak tedy temperatura, do tych porównań ze stanem barometru używana, nie ściąga się bynajmniéj do całéj atmosfery; nie mniéj atoli prawidła powyższe, jakkolwiek ze stosunków ciepła warstw dolnych tylko wynikające, pozostają w całéj swéj mocy.

Kiedy ruchy peryodyczne barometru objawiają się w nader szczupłych rozmiarach, ruchy nieprawidłowe, powiększając się od równika, dochodzą w niektórych przypadkach i miejscowościach przeszło do 18‴. W Warszawie największą zmianę dzienną barometru spostrzeżono 17‴,05 dnia 26 na 27 Stycznia 1850 o godz. 10 wieczorem.

Czas, w którym największe i najmniejsze wahanie kolumny barometrycznéj objawia się, jest niezależny od szerokości geogr. miejsca i przypada w przecięciu na d. 19 Stycznia i 16 Lipca, tj. w średnim wypadku 15 dni przed i po 19 Stycznia zmiany przypadkowe ciśnienia powietrza są na naszéj półkuli największe, barometr bywa wówczas w najwyższym stopniu zaniepokojony. W Lipcu zaś te ruchy są najmniejsze, barometr w tym miesiącu zachowuje się najspokojniéj. Stan średni ruchów przypadkowych przypada 15 dni przed i po 18 Kwietnia, oraz przed i po 18 Października.

Ruchy więc w mowie będące odpowiadają zupełnie podziałowi ciepła w ciągu roku i zależą nietyle od stopnia temperatury miejsca, ile raczéj od podziału ciepła na ziemi w każdym miesiącu. Zmiany zaś przypadkowe ciepłoty pod równikiem są daleko mniejsze, aniżeli w szerokościach większych, to też i nieprawidłowe ruchy barometryczne występują tam w rozmiarach szczuplejszych niż u nas. Podział ciepła na naszéj półkuli zimową porą jest mniéj jednostajny, niż podczas lata, kiedy temperatura naszych okolic podnosi się często do stopnia krajom zwrotnikowym właściwego. Ztąd

różnica między ciepłotami mas powietrza z różnych okolic będzie podczas zimy większa aniżeli latem. Tak np.

w Rzymie temperatura zimy jest 6°,5, lata 18,8 R.

w Archangielsku „ 10°,1, „ 11°,4 „

Różnica przeto między ciepłotami obu miejsc wynosi zimą 16°,06, latem 7°,4. Dajmy teraz, że do nas płynie powietrze raz od Rzymu, drugi raz od Archangielska, tedy różnica ciepłoty tych dwóch prądów wynosiłaby zimową porą przeszło dwa razy więcéj, niż latem. A lubo swéj pierwotnéj ciepłoty powietrze zachować nie może, bo ulega wpływowi ciepła tych okolic, po nad któremi się unosi, w każdym jednak razie pokaże się znaczniejsza różnica pomiędzy ciepłotami tych dwóch prądów w porze zimnéj, niż ciepłéj. Ztąd właśnie wynika, że zmiany temperatury, a więc i stanu barometru większe są podczas zimy, a mniejsze latem.

Pod równikiem, mianowicie koło Ameryki, różnica pomiędzy najwyższym a najniższym stanem barometru w ciągu miesiąca, zdaje się mało co więcéj w przecięciu wynosić niż 1‴, przeciwnie w Indyach wschodnich przeszło 2‴ — zapewna po większéj części dla tego, że atmosfera przy zmianie mussonów wpada tu w wielkie zawichrzenie. W Afryce zdaje się przypadać najmniejszość pola odmian przypadkowych. Daléj na północ zmiany te są w Ameryce większe, niż na zachodnich pobrzeżach Europy, a tu znowu większe, niż w głębi lądu starego; daléj w kierunku na wschód wzrastają znowu.

Ciepłota zniża się w ogólności z szerokością geogr. tém prędzéj im bardziéj oddalamy się od równika. Dajmy na to, że do dwóch miejsc, z których jedno leży w mniejszéj, drugie w większéj szerokości, dostają się masy powietrza z okolic, położonych w równéj od nich odległości na północ i południe, to różnica między ciepłotami dwóch wręcz przeciwnych prądów będzie znaczniejsza w szerokościach większych, aniżeli w mniejszych; zkąd sama przez się wyjaśnia się różnica ruchów przypadkowych barometru. Im daléj zatém na północ tém zmiany ciepła są większe, a więc i barometr tém większy okazuje niepokój. Dlatego na głębokiéj północy, gdzie słońce nader słabo grzeje i gdzie przyczyny zewnętrzne silnie oddziaływają na stan ciepłoty, wiatry są w wysokim stopniu zmienne. Na granicy lodów morza podbiegunowego spotykają się skrajne: zimna ze strony lodów i ciepła ze strony otwartego morza; wiatry dmą tam w jedném miejscu z całą gwałtownością, kiedy o kilka mil zaledwie ich powiew czuć się daje. Na jednym i tym samym widnokręgu postrzegać można jak jedne okręty toczą walkę z wichrami, drugie tymczasem bez wiatru kołyszą się na falach rozhukanego morza, kie-

dy inne znowu żeglują z lekkiemi wiatrami, które z rozmaitych stron płyną. Na pobrzeżach morskich ruchy przypadkowe powinny być większe, niż pod tą samą szerokością w głębi lądów, albowiem w pierwszych krajach zachodzi jeszcze różnica pomiędzy ciepłotą morza a lądu.

Tak więc pomiędzy ciepłotą a stanem barometru najściślejszy zachodzi związek. Jeśli weźmiemy wysokość kolumny barometrycznéj przy różnych wiatrach, to otrzymamy tak zwaną *różę barometryczną wiatrów*, która, stanowczo przekonywa o wpływie jednego zjawiska na drugie. Tym sposobem znaleziono, że w Europie barometr staje najwyżéj przy wietrze północno-wschodnim. Od tego punktu kolumna zaczyna powoli opadać i między południem a południowym zachodem (około PdPdZ) staje najniżéj. Postępując daléj po krzyżownicy wiatrów, barometr wznosi się bez przerwy aż do maximum przy PnW. Małe niekiedy zboczenia od ogólnego prawidła w pojedynczych miejscowościach pochodzą, zapewne częścią ztąd, że kierunki wiatrów nie są z należytą spostrzegane ścisłością, jakby tego wymagała potrzeba, a częścią téż, że chorągiewka jak się często zdarza—tak umieszczoną bywa, iż wiatry nie ze wszystkich stron równie swobodny i otwarty do niéj przystęp mają.

Podobnież co do termicznego znaczenia wiatrów obserwacye długoletnie zgodnie wykazały, że wiatr PnW jest u nas najzimniejszy, a PdZ najcieplejszy. Ztąd widzimy najwyraźniéj, że pod względem wysokości barometru przy różnych wiatrach ten sam zachodzi stosunek, co i przy zmianach ciepłoty, tak, że linia, poprowadzona od PnW do PdZ rozdziela widnokrąg co do pogody na dwie wręcz sobie przeciwne strony: w jednéj połowie widnokręgu, wschodniéj, poczynając od PnW przez W do PdZ, barometr opada, a termometr podnosi się; w drugiéj połowie, zachodniéj, od PdZ przez Z do PnW, przeciwnie: barometr wznosi się, a termometr zniża. Tym sposobem maximum stanu barometrycznego występuje przy minimum ciepłoty i na odwrót. Z drugiéj znowu strony ze wzrastającą temperaturą suche powietrze, rozszerzając się, zmniejsza ciśnienie, lecz jednocześnie ilość sprężystéj pary wzrasta i swém prężeniem podnosi kolumnę barometryczną. Zmiany zatém ciśnienia suchego powietrza i stanu barometru w odwrotnym pozostają stosunku do zmian ciepłoty i sprężystości pary. Lecz jakkolwiek wiatry południowe ilością swéj pary podnoszą barometr, rozrzedzone jednak ciepłem powietrze nie tylko zobojętnia to podniesienie, lecz nadto zniża kolumnę, która bez udziału prężenia pary stałaby o wiele niżéj jeszcze.

Jeżeli zważymy, że głównie dwa tylko mamy prądy: biegunowy zimny, cięższy i zarazem suchy, i równikowy ciepły, lżejszy i wilgotny, które skutkiem wirowania ziemi dostają się do nas: pierwszy od PnW, drugi od PdZ, że w średnich szerokościach geogr. odbywa się walka tych dwóch prądów, skutkiem któréj krążenie wiatrów odbywa się najczęściéj przez Pn., PnW, W. i t. d. w kierunku ze słońcem czyli prawidłowym, przyczém prąd biegunowy wyciska równikowy nagle z dołu do góry, ten ostatni zaś rozpoczyna swe zapasy z pierwszym w strefach górnych i bardzo powoli zwycięża aż do powierzchni ziemi, to barometr we wszystkich tych zmianach brać udział powinien. Dajmy np., że koło południa wieje wiatr wschodni, to zrana zarywał on w ogólności więcéj z północnego wschodu, wieczorem zaś posunie się ku południowemu wschodowi; musi więc barometr stać z rana nieco wyżéj, niż wieczorem. Zupełnie przeciwne mieć będziemy zjawisko, jeśli o południu płynie wiatr z zachodu: w takim bowiem razie z rana był wiatr więcéj południowo-zachodni, a wieczorem zwróci się ku północnemu zachodowi; zatém barometr stać będzie z rana cośkolwiek niżéj, aniżeli wieczorem.

Atoli zjawisko to rzadko kiedy z właściwą prawidłowością dostrzegane bywa; peryodyczne bowiem wahanie dzienne barometru, pokrywając te ruchy, często je zaciéra. Kombinując wszakże odpowiednim sposobem obserwacye długoletnie, przekonano się, że barometr przy wietrze wschodnim, a jeszcze bardziéj przy południowo-wschodnim i południowym ciągle opada; przy południowo-zachodnim stoi dość spokojnie w ciągu dnia całego, dopiéro przy zachodnim, a więcéj jeszcze przy północno-zachodnim barometr poczyna nagle podnosić się, a to trwa bez przerwy i przy wietrze północnym. W ogólności zmiany barometru od Pn do PnW i od Pd do PdZ, t. j. kolo punktów skrajnych są bardzo małe; lecz jak tylko wiatr od tych stron widnokręgu usunie się, zaraz znamionuje ślad swój na barometrze rozleglejszemi ruchami.

Poszukiwania nad jednoczesnym stanem barometru, termometru i kierunkiem wiatrów wykazały, że wiatr płynie zawsze z okolicy, gdzie ciśnienie powietrza jęst wyższe, a ciepłota niższa. Tak np kiedy w Halli wieje podczas zimy wiatr południowo-wschodni, to w Wiedniu jest nietylko zimniéj niż w Halli, lecz zimniéj nawet niż w Petersburgu. W okolicy zimniejszéj barometr stoi wysoko; w niższych więc warstwach atmosfery powietrze musi pędzić od Wiednia ku Halli, gdzie tym sposobem powstaje wiatr południowo-wschodni. Im daléj na PdW od Halli postępować będziemy, tém wyższy stan ba-

rometru pokaże się; przeciwnie w kierunku na PnZ będzie się obniżał. Tak samo przy północno-wschodnim wietrze w Halli ciśnienie najwyższe powietrza, a ciepłota najniższa przypadają w odnodze Fińskiéj; na około tego miejsca barometr wszędzie obniża się. Z okolicy tedy najwyższego ciśnienia powietrze musi rozpływać się na wszystkie strony; i w rzeczy saméj, kiedy w Halli i Berlinie panuje wiatr północno-wschodni, w Dorpacie mamy wiatr między Pn a PnZ właśnie ze strony odnogi Fińskiéj. W innych znowu razach, podczas tego wiatru w Halli, najwyższy stan barometru, a najniższy termometru może być i daléj, np. na morzu Białém, lub téż bliżéj—w Gdańsku albo Berlinie.

Jeżeli zastanowimy się nad związkiem, jaki zachodzi między wpływami wiatrów na stan barometru, na ciepłotę i hydrometeory, o pojmiemy cały stosunek barometru do pogody, o którym równie doświadczenie jak i teorya nauczają. Dészcz u nas powszechny przy wiatrach południowo-zachodnich i zachodnich, którym towarzyszy latem chłód, zimową porą ciepło, objawia się zawsze przy *nizkim stanie barometru*; pogodne zaś ciepłe dni lata, a ostre mroźne zimy, przy wiatrach północno-wschodnich i wschodnich, połączone są z *wysokim stanem barometru.*

Atoli mylnie byłoby utrzymywać, że wysoki lub nizki stan barometru wynika ze stanu pogody: jedno i drugie jest raczéj skutkiem kierunku wiatrów. Nie ciśnienie zmniejszone powietrza—jako takie—sprowadza deszcz, ani podniesiona kolumna barometru—pogodę. Ale ponieważ cieplejsze, zniżające barometr wiatry zachodnie, płynące z pod równika, dla Europy—tego wielkiego wybrzeża zachodniego Azyi, są jednocześnie morskiemi, dżdżystemi, dla tego u nas deszcz pada przy nizkim stanie barometru; a znowu dla tego niebo wypogodzone jest przy wysokim, albowiem prąd biegunowy, dostający się do nas z północnego wschodu i podnoszący kolumnę barometryczną, jest zarazem lądowy, suchy. Owóż deszczom nie wszędzie towarzyszy nizki stan barometru: wschodnie pobrzeża lądów, gdzie prąd biegunowy staje się wiatrem morskim od wschodu, mają opad po większéj części przy wysokim stanie barometru.

Podobnież na południowéj półkuli, na południowo-wschodnich pobrzeżach Australii, w Ameryce po nad La Platą, barometr stoi najniżéj przy wietrze północno-zachodnim, przy którym deszcz nigdy nie pada; bo chociaż ten prąd podrównikowy odpowiada naszemu południowo-zachodniemu, lecz wieje tam ze strony lądu

i odznacza się posuchą. Deszcz tam sprowadzają przeciwnie wiatry południowo-wschodnie z pod bieguna, od morza, równoznaczące naszym północno-wschodnim, przy których barometr stoi najwyżéj. Takiż sam stosunek, na mniejszą tylko skalę, mamy i w Europie: Stockholm otrzymuje większą część deszczów nie przy nizkim stanie barometru z wiatrami południowo-zachodniemi, lecz przy wysokim z wiatrami północno-wschodniemi, ponad Baltyckiém morzem płynącemi.

A. Pietkiewicz.

(*Dok. nast.*)

POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

FRYDERYKA SPIELHAGENA.

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

(Ciąg dalszy).

KSIĘGA VI.

Nazajutrz po balu jenerał otrzymał list od pana Wallbacha. Był on krótki, ale musiał zawierać w sobie jakąś trudną do odgadnienia i straszną zarazem zagadkę, bo czytając go, jenerał zbladł najprzód okropnie, a potém wracał do niego kilkakrotnie, jak gdyby nie pojmując, o co w nim chodzi. Pochylony nad biurkiem, z wyrazem jakiegoś ponurego odrętwienia, mechanicznie odczytywał go wciąż; wreszcie wyprostował się, głęboko odetchnął i ręką potarł czoło, jak gdyby chcąc z myśli usunąć to, co wyczytał. I nie tylko to co wyczytał, ale i to, czego się domyślał po za skreślonemi wyrazami, a co niby widmo jakieś o nieokreślonych kształtach ukazywało mu się w mglistéj przyszłości i podbudzało wyobraźnię do tworzenia coraz nowych, a coraz straszniejszych obrazów. A jednak cóż mogło być jeszcze straszniejszego?! Zrywano związek z Werbenem, jako niezaszczytny dla siebie! Jednemu z Werbenów odmawiano satysfakcyi!

Zerwanie związku było rzeczą mniejszéj wagi: zdarzało się to nieraz w świecie i mogło się jeszcze zdarzyć. Było to jedno nic, skoro honor Ottomara, pozostawał przy tém nietknięty. Ale cho-

dziło tu jeszcze o coś większego: Wallbach tak dziwnie się wyrażał o pieniężnych interesach Ottomara. Doszły one do takiego stopnia i taki charakter przyjęły, że zachodziła wielka wątpliwość, czy pan Werben, jako oficer i szlachcic, pod względem honoru, chociażby na ten honor zapatrywano się tylko z punktu mieszczańskiego widzenia rzeczy, zasługuje jeszcze na danie mu satysfakcyi. Z tém się trzeba było załatwić! Może być, że tchórzostwo Wallbacha chciało się podszyć pod to haniebne podejrzenie, które rzucał na przeciwnika, trzeba jednak było oczyścić się z niego, trzeba wyjaśnić koniecznie. Jenerał sądził, że zapłaciwszy za syna ostatni weksel w jesieni i przedstawiwszy mu swój stan majątkowy, zaradził złemu, od tego bowiem czasu nie widział już ani jednego wekslu. Teraz dopiéro spostrzegł, że się omylił, srodze omylił; i rzecz naturalna,— z położenia, w jakiém się znajdował naówczas Ottomar, nie wychodzi się tak odrazu, a skoro prawdziwi przyjaciele usuwają pomocną swą rękę, wówczas człowiek w potrzebie musi się zwrócić do fałszywych. On sam przeto był przyczyną tego, co się stało. Ale mniejsza o to, wszystko będzie zapomniane, wszystko się jeszcze da naprawić, byle Ottomar pozwolił raz jeszcze zapłacić za siebie. Ale czy będzie możność zrobienia tego? Cały majątek jenerała wynosił zaledwie 10.000 talarów. Gdyby tego mało było, trzeba się postarać o więcéj, trzeba—nie może być inaczéj. Ottomar kazał przynieść do mieszkania Bertaldy, jak mówił sługa jego, mundur swój, chce zapewne oficyalny zdać raport przed pułkownikiem z tego, co zaszło. Ale pułkownik, zanim zwoła sąd honorowy, zażąda z pewnością, by pieniężne interesa załatwione zostały. Wówczas ojciec poręczy dług syna osobą swą i mieniem całém. Gdybyż tylko Ottomar nie chwycił się znowu lichwiarskich sposobów, bo o tych to zapewne była mowa w liście Wallbacha; temu to trzeba było zapobiedz koniecznie, nie tracąc czasu, i tak już zawiele go stracono.

Jenerał zadzwonił gwałtownie raz i drugi—chciał się przebrać. Kiedy nie mogąc doczekać się służącego, szedł śpiesznie do sypialni swéj, do drzwi gabinetu zapukano, i kapitan Schönau wszedł.

— Darujesz mi pan, panie jenerale, że wchodzę tak. Służącego niéma w téj chwili, a interes, jaki mam do pana, nie cierpi najmniejszéj zwłoki.

Na delikatnéj twarzy kapitana zamiast zwykłego spokoju i energii był wyraz głębokiéj troski.

— Przychodzisz pan w sprawie Ottomara, rzekł jenerał, przezwyciężając uczucie przestrachu i podając kapitanowi rękę.

— Tak jest, ale zaklinam jenerała, byś mię nie pytał skąd i jak wiem o tém, dość, że sprawa ta jest takiego rodzaju, że trzeba ją koniecznie załatwić, zanim dojdzie do wiadomości pana Rohl. Wiem gdzie się znajduje weksel, wiem także na jaką sumę jest wystawiony. Suma to wielka, tak wielka, że ani ja sam, ani o ile wiem, pan jenerał także, nie mógłbyś jéj złożyć; połączywszy jednak razem to, co posiadamy, będziemy może w stanie dokonać tego. Spodziewam się, że zechcesz mi pan powierzyć wszystko, czém w téj chwili rozporządzać możesz i pozwolisz zająć się tym interesem tak jakby to był mój własny.

Schönau mówił to szybko; jenerał nie wątpił, że i on miał na myśli to samo, o co i jemu chodziło, to jest, że chciał nie dopuścić Ottomara do ratowania się zwykłymi środkami, które mogłyby tylko pogorszyć sprawę. Duma jenerała cierpiała na tém, że potrzebował obcéj pomocy, postanowił jednak nie odrzucać jéj, jeżeli tylko będzie widział możność wypłacenia się. Powiedział to kapitanowi w krótkich słowach i wymienił sumę, jaką mógł dać. Czy to wystarczy? zapytał,—i wiele panu winien będę?

— Wystarczy, odrzekł Schönau; proszę tylko o kartkę do pańskiego bankiera.

— Nie odpowiadasz mi pan na ostatnie pytanie moje, rzekł jenerał, szybko pisząc żądaną plenipotencyą.

— Nie pytaj mię pan o to, dość że mam po temu środki, i że uważam się za szczęśliwego, iż mogę służyć jenerałowi i jego rodzinie.

Głos kapitana zadrżał przy tych słowach. Jenerałowi przyszło na myśl to, co mówili nieraz przyjaciele domu, łącząc żartem imiona Schönau i Elsy i żałując, że w nadto wielkiéj są przyjaźni, by mogli kiedy uczuć miłość dla siebie. On sam nie bez pewnego żalu tak myślał. Czyżby się omylił? Czyżby Schönau ofiarowywał swą pomoc nie ojcu przyjaciela ale ojcu siostry jego? Nie umniejszało to wcale zasługi jego ale...

Tu przerwał pisanie i spojrzał na kapitana.

Smutny uśmiech przemknął po ustach tego ostatniego. Pisz pan, panie jenerale, rzekł; niczego nie żądam, niczego się nie spodziéwam oprócz przyjaźni pana i rodziny jego.

Jenerał zacisnął usta i pisał daléj. Przykro mu, boleśnie było, że jak żebrak jaki musiał tylko brać ze wspaniałomyślnéj dłoni człowieka, a w zamian nic mu dać nie mógł. Boleśnie to, nadto boleśnie.

Oczy mu zaszły mgłą, zatrzymał się.

— Brakuje tylko podpisu, rzekł Schönau nagląc.

— Nie mogę, kapitanie, odpowiedział jenerał.

— Zaklinam pana, wołał Schönau, chodzi tu o życie! O mój Boże!

Usłyszawszy szmer koło drzwi, obejrzał się przestraszony i ujrzał pułkownika Rohl, który w téj chwili wchodził do pokoju.

— Zapóźno! szepnął. Podpisz pan, panie jenerale! rozpaczliwie zawołał raz jeszcze, chociaż widział, że już wszystko stracone.

Jenerał spostrzegł także pułkownika. A więc po wszystkiém! Ottomar był już u niego, i teraz bez naczelnika jego niepodobna już było prowadzić daléj sprawy.

Surowa zawsze twarz naczelnika teraz była uroczyście poważną:

— Może ustąpisz mi miejsca swego, kochany Schönau, rzekł po przywitaniu. Mam do jenerała interes, nie cierpiący zwłoki i o którym muszę pomówić bez świadków.

Schönau ukłonił się w milczeniu. Tymczasem, rzekł po chwili, złożę uszanowanie moje siostrze pańskiéj. Gdyby obecność moja potrzebną się tu jeszcze okazała, służyć panom będę.

Jenerał z przerażeniem patrzał za odchodzącym. Widocznie było jeszcze coś, czego Schönau nie powiedział mu, a z czém teraz przyszedł pułkownik. Dreszcz przeszedł po nim i znowu to samo, co za odebraniem listu od Wallbacha; uczucie przestrachu zatamowało mu oddech. Teraz było to już wyraźniejsze widmo—w postaci żelaznego charakteru oficera, którego zawsze uważał za wzór prawdziwego żołnierza.

— Wiem o wszystkiém! zawołał, chociaż sam czuł, że to nieprawda.

Pułkownik potrząsł głową. Nie wiesz pan wszystkiego, panie jenerale. Schönau nie mógł panu tego powiedzieć, a raczéj nie chciał, jak widziałem z miny jego.

— Na wszystko przygotowany jestem, rzekł znowu jenerał.

— Pragnąłbym tego bardzo, ale wątpię. Przygotuj się pan do tego, co może być najgorszego; wszystkie weksle syna pańskiego, których termin dzisiaj przypada, fałszywe są.

Na te słowa jenerał, jak gdyby kulą ugodzony w piersi wyciągnął naprzód ramiona i zachwiał się; pułkownik podskoczył ku niemu, ale zawsze panujący nad sobą jenerał już się zmógł: Dziękuję panu, wyjąkał—minęło już to. Daléj nie mógł mówić, padł na krzesło, siwą głowę ukrył w dłoniach i wyszeptał:—po wszystkiém, po wszystkiém!

— Nie wiem nawet, czém mógłbym pocieszyć was, jenerale, bo że waszego imienia użyto do sfałszowania weksli, tego nie zechcecie zapewne uważać za łagodzącą okoliczność.

— Masz pan zupełną słuszność, odrzekł jenerał.

Czy rozumiał go, czy sam wiedział, co mówił?

Pułkownik, patrząc na niego, wątpił o tém prawie.

Ciemne jego, zwykle tak żywe oczy, teraz bez żadnego wyrazu patrzyły gdzieś w dal; głos pełny, dźwięczny—cichy był jakiś i głuchy. Pułkownik sądził, że najprędzéj przywoła go do rzeczywistości, kiedy mu opowie szczegóły smutnéj sprawy.

Ottomar przyszedł do niego około godziny dziesiątéj rano, i z apatyczną miną człowieka, pozbawionego wszelkiéj nadziei, zawiadomił go, że w skutek pewnych wieści, krążących w towarzystwie o stosunku jego z panną Schmidt i o stosunku panny Wallbach z hrabią Golmem, które to wieści nie mogły pochodzić od nikogo innego, jak tylko od pana Wallbach, on wyzwał tegoż na pojedynek. Pan Wallbach, nie wchodząc w żadne wyjaśnienie, odmówną dał mu odpowiedź, żądając, by oczyścił się najprzód z podejrzenia, jakie nań pada, że w ostatnich czasach za pomocą nieczystych środków radził sobie w kłopotach pieniężnych. W razie, gdyby te podejrzenia okazały się bezzasadne, pan Wallbach wówczas zgodzi się na żądane zadosyć uczynienie.

Ale pan Wallbach—mówił daléj pułkownik—nadto pewny był swego. Nie wymienił on wprawdzie, nawet przed sekundantem, człowieka, na którego świadectwo się powoływał, ale syn pański przekonany jest, że człowiekiem tym nie może być nikt inny, jak tylko ten, z którego pomocą fałszerstwo owo dokonaném zostało; nazywa się on, jeżeli się nie mylę, Giraldi.

— To być nie może! zawołał jenerał; tego mój syn nie mógł— to niepodobna!

— Tak jest jednakże z pewnością; wiem o tém z ust samego Pana Werbena. Od pierwszéj chwili poznania, Giraldi okazywał mu największą przychylność; wiedział także o jego miłości ku pannie Schmidt i w tém go wspiérał także—jednakże pod tym względem pomoc jego okazała się bezskuteczna.

— Z całego opowiadania pana Werbena wyciągnąłem ten wniosek, że stał się on winną i niewinną zarazem ofiarą tego człowieka, który, nie wiem w jakim celu, wyzyskiwał jego zaufanie i do zguby doprowadził. Dla załatwienia pieniężnych interesów, namówił go do gry na giełdzie; z początku dopomagał mu do wygranéj, a potém naturalnie szczęście się odwróciło, i jak zwykle w takich razach szukano ratunku za pomocą weksli, które syn pański najprzód

swojém imieniem, a potém kiedy sumy rosły, pańskiem podpisywał. Giraldi dopomagał mu przytém kredytem swoim, chociaż sam, jak utrzymywał, nie miał żadnych środków. Weksle te przechodziły od bankiera do bankiera i nareszcie skupiły się w jedném ręku. Giraldi zawsze w porę załatwiał się z nimi i na dzisiaj także, kiedy suma już urosła do 20.000 tysięcy talarów, obiecał postarać się o nią.

— Naturalnie, że natychmiast po otrzymaniu odpowiedzi pana Wallbacha, syn pański udał się do Giraldi'ego. Powiedziano mu, że wyjechał, a ludzie hotelowi nie umieli objaśnić dokąd. Mając wszakże podejrzenie co do portyera, przekupił go i od niego dopiero dowiedział się, że Giraldi wyjechał do Warnowa i że tam kazał listy do siebie odsyłać. Z rozpaczą w sercu pan Werben udał się natychmiat do bankiera i tu dowiedział się tego tylko, czego się już domyślał, że pan Giraldi nie zostawił żadnego rozporządzenia co do weksli, że przeciwnie, ze znacznéj sumy, pół miliona zdaje mi się, jaką tamże miał, wczoraj jeszcze po południu odebrał resztę. W pół godziny późniéj pan Werben był u mnie.

Pułkownik zamilkł. Nie mógł dłużéj patrzéć na jenerała. O czém on myślał, patrząc tak przed siebie obłąkanym wzrokiem? O ostatecznym, krwawym końcu tej tragedyi?—końcu, który i on sam uważał jako jedyne wyjście, jedyne możliwe rozwiązanie zawikłanéj téj historyi. Przyszedł tutaj, uzbrojony w nieubłaganą surowość i bezwzględne poczucie sprawiedliwości i obowiązków wojskowych; teraz widok zrozpaczonego starca zbudził w nim uczucia ludzkości—niema rozpacz ojca do głębi poruszyła serce żołnierza. Chciał go pocieszyć jakiémś słówkiem współczucia, jakąś nadzieją ratunku, ale niestety i sam nie widział żadnego.

— Możebyśmy wezwali pana Schönau? rzekł wreszcie i, nie czekając odpowiedzi jenerała, zadzwonił.

Schönau tymczasem niecierpliwie oczekiwał wezwania tego. Z boleścią w sercu myślał o tém, że przybył za późno, że Ottomar był zgubiony, a ojciec jego pogrążony w bezdennéj rozpaczy. Niepokój jego wzrastał z każdą chwilą; nie słyszał prawie tego, co mu Sydonia opowiadała, wpadłszy na ulubiony sobie temat dworskich uroczystości i przepisów etykiety. Gorączkowo prawie porwał się z miejsca, kiedy August oznajmił mu, że panowie proszą go do siebie i wybiegł z salonu tak, że ciotka Sydonia z zadziwieniem obejrzała się za nim i z bardzo dwuznaczną miną pokiwała głową. Kiedy przechodzili przez kurytarz, prowadzący do pokojów jenerała, August zatrzymał kapitana i drżącym głosem zapytał:

— Przepraszam pana kapitana. Widzę, że coś się stało z naszym młodym panem, czy nie mógłbyś pan powiedzieć, co to takiego wiernemu słudze, który od lat ośmiu służy w domu i za pana jenerała, za młodego pana i pannę gotów w ogień i w wodę.

Łzy potoczyły się z oczu pocziwca. Schönau mocno był wzruszony.

— Nie, rzekł, wyciągając do niego rękę, nie mogę tego powiedzieć; ale miejmy nadzieję, że wszystko się to dobrze skończy.

— Dałby to Bóg! odrzekł August; ale wątpię.

Głuche milczenie panowało w pokoju jenerała, kiedy Schönau wszedł. Po chwili dopiéro jenerał podniósł głowę i złamanym głosem odezwał się:

— Wiedziałeś pan, panie kapitanie, to—o czém....

Słowa uwięzły mu w gardle.

— Tak, panie jenerale, rzekł Schönau. Pan Wallbach był u mnie dzisiaj rano, w zamiarze usprawiedliwienia siebie w obec przyjaciół Ottomara, i rodziny jego. Widocznie trzyma się on planu, mądrze naprzód obmyślonego. Żadném słowem nie obwinia bezpośrednio Ottomara, ale daje poznać wyraźnie, że od pana Giraldi'ego wie wszystko, aż do najmniejszych szczegółów nieszczęsnéj sprawy. Od niego to dowiedziałem się, o jaką sumę chodzi i u jakiego bankiera znajdują się weksle. Wypadek zrządził, że bankierem tym jest dobrze mi znany Haselow et Comp., u którego nieraz załatwiałem interesa stryja mego. Natychmiast udałem sie do niego—ale przyszłem zapóźno. Ottomar był już tam przed chwilą. Zapewniłem tych panów, zaniepokojonych już widoczném pomięszaniem i bałamutnemi pytaniami Ottomara, że weksle spłacone będą dziś wieczór jeszcze, spodziéwałem się, że z pomocą jenerała będę mógł to uczynić i—

Tu kapitan zatrzymał się.

— Takim sposobem uwolnić winnego od zasłużonéj kary, dokończył jenerał, nie patrząc na Schönau.

— Najzacniejszemu z ludzi oszczędzić boleści, na którą nie zasłużył, odparł kapitan.

— Jest to wyrzut, pośrednio mnie zrobiony, panie kapitanie, rzekł pułkownik, marszcząc brwi.

— Przepraszam pana pułkownika—położenie nasze jest zupełnie różne. Ja pragnę spełnić obowiązek przyjaźni, pan masz przed sobą tylko obowiązek służby; zresztą nie mógł panu przyjść na myśl środek, którego ja użyć chciałem.

— Bądź pan łaskaw, wyjaśnij myśl swoję.

— I owszem. Chodziło mi o to głównie, by oszczędzić jenerała i całą rodzinę jego—a zatem i mego przyjaciela. To znaczy chciałem najprzód, by weksle zostały spłacone jako dług jenerała; potém skłoniłbym przyjaciela mego, by pod jakimkolwiek pozorem opuścił służbę i prywatne odtąd prowadził życie.

Tu Schönau z proszącym wyrazem utkwił mądre swe oczy w pułkownika, który, ze swéj strony, nie spuszczał z niego wzroku. Teraz dopiéro zrozumiał, czego chciał kapitan, jaką drogę mu wskazywał i czego żądał od niego. Nakreślony mu plan postępowania nie łatwy był do wykonania, ale boleść zacnego człowieka, zasługi Ottomara, zdobyte na polu bitwy, jego dowiedziona waleczność, wreszcie uczucie ludzkości nie pozwalały mu posuwać się do ostateczności, témbardziéj, że i tak już może nawet za daleko zaszedł. Trzeba było zgodzić się na podany kompromis, a przynajmniéj nie występować przeciw niemu.

— Dziękuję panu za wskazówkę, rzekł, takim sposobem zawikłana ta sprawa nawet pod względem służbowym załatwioną zostanie. Pan Werben prosił mię o urlop na dni trzy; ma podobno wyjechać gdzieś na krótko, dla załatwienia interesów. Urlop ten zręcznie posłużyć może za wstęp do prośby i uwolnienie od służby, którą mi przedstawi, a którą ja poprę z méj strony. Przypuszczam naturalnie, że sprawa wekslowa zostanie przedtém załatwiona.

Schönau spojrzeniem podziękował pułkownikowi. Zadowolony z niespodzianego rezultatu narady podniósł się, chcąc zakończyć rozmowę; bał się, by słówko jakie nie pokrzyżowało znowu planów jego.

— Muszę teraz iść do sztabu i prosić o urlop na dzisiaj, rzekł. Załatwiwszy sprawę wekslową, jeżeli mię pan jenerał zechce upoważnić do tego, zawiadomię pana Werbena o tém, co tu postanowione zostało. Czy mogę prosić jenerała o pełnomocnictwo?

— Proszę panów zatrzymać się jeszcze chwileczkę, rzekł jenerał.

Przystąpił do biurka, wziął napisane pełnomocnictwo i rozdarł je. Zrobił to bez żadnego wzruszenia na pozór i jak gdy nie widząc tych, co stali koło niego i z natężoną patrzyli na to uwagą. Odzyskał już, jak się zdawało, zupełną nad sobą władzę.

— Dziękuję panu, panie pułkowniku, za ludzkość i łagodność okazaną synowi memu,—nie zrobiłbyś pan tego z pewnością dla własnego. Tobie, kapitanie, dziękuję także za przyjaźń, dla któréj tak jak pułkownik poświęciłeś nawet przekonania swoje. Ofiary waszéj jednak przyjąć nie mogę.

— Niechże ojciec wypowie to, czego przyjaciele przez litość nie śmieli; niech powie, jakie będą następstwa planu waszego. Gdybym z pomocą kapitana zapłacił weksle, bo własnemi tylko siłami nie mógłbym dokonać tego, w takim razie oszukaństwo syna mego przyjąłbym na siebie i pozwoliłbym, znaczy się—na to, by człowiek niebogaty, jak ty kapitanie, stał się ubogim dla oszusta. Następnie, gdyby się tak stało jak żądacie, syn mój bez żadnéj już przeszkody mógłby otrzymać zaszczytną dymisyą. Takim sposobem król nasz i zwierzchnicy nasi podpisem swoim stwierdziliby wówczas honorowość człowieka, który w obec Boga i własnego sumienia, w obec ojca swego i was, moi panowie, pozbawiony jest honoru. I gdyby kto ośmielił się wątpić o tém, a wielu takich znajdzie się, mógłby wówczas pociągnąć ich do odpowiedzialności on, co wie, że słuszność jest po ich stronie i że, bądź co bądź, nie mylą się, zowiąc go oszustem.

— I tak jedno kłamstwo pociągnęłoby ich za sobą tysiące, i my, my sami zastawilibyśmy tę sieć fałszu i nie moglibyśmy ani przestrzedz ani dopomódz tym, którzyby w nią wpadli.

Niemożebne to jest, niemożebne nawet dla syna mego!

— Nie mógł on jeszcze upaść tak nizko, by miał się zgodzić żyć z łaski, z łaski chociażby najlepszych, najwspaniałomyślniejszych przyjaciół swoich; żyć pomimo wzgardy, jaką każdy mógłby mu dać uczuć, a on bezsilny nie byłby w stanie bronić się nawet.

— Niemożebne to dla mnie.

— Wyobraźcie sobie, panowie, że składamy tu sąd honorowy, mający orzec o podobnym wypadku, ale nie o tym człowieku; zapomnijcie, że jestem ojcem tego człowieka, a będziecie musieli odpowiedzieć mi, że to niepodobna.

— Nie mogę zapomnieć o tém, nie mogę, zawołał Schönau.

— Musisz, odpowiedział jenerał; idź za przykładem pułkownika.

Pułkownik w wielkim był kłopocie. Czuł, że jenerał miał słuszność, a jednak!

— Powiedziałem już, odezwał się, że nie chciałbym doprowadzać rzeczy, do ostateczności. Wiem, że niełatwo to zrobić, możebne jednak. Mam nadzieję, że pan jenerał rozmyśli się jeszcze. Tymczasem pan Werben na urlopie jest. Weksle są płatne za dni trzy, a przy takich okolicznościach trzy dni wiele znaczą w życiu ludzkiém. A teraz może pożegnamy jenerała kapitanie?

Jenerał odprowadził panów aż do drzwi, machinalnie zatrzymał się i słuchał odgłosu ich kroków.

Oddalili się;—ludzie nieskazitelnego honoru, najzacniejsi przedstawiciele stanu swego wydali wyrok na człowieka pozbawionego czci.

Wyrok śmierci.

Śmierci z własnéj ręki.

I ojciec sam miał go o tém zawiadomić. Nie,—to nic—miał tylko potwierdzić to, co on sam zapewne postanowił już. Miał wyrzec: twój ojciec zezwala na to. Niech się Bóg ulituje nad duszą twoją!

Jenerał złożył ręce; zimny pot wystąpił mu na czoło: czyż tak koniecznie być musi, koniecznie? Boże, Boże! miej litość nademną, czyż tak być musi?

Nie było na to pocieszającéj odpowiedzi. Głucho i pusto było w pałającéj głowie, w ścieśnionéj piersi, i jeden tylko wyraz wciąż powtarzany przez niewidomą wyrocznię ponuro dźwięczał w uchu: śmierć, śmierć!

Kiedy na odgłos dzwonka, August wszedł do pokoju jenerała, ujrzał go siedzącego przy biurku, z głową opartą na ręku. Na stole za nim stała szkatułka, a na niéj list.

Staremu słudze zimno się zrobiło; w szkatułce téj jenerał chował pistolety, które odziedziczył był po ojcu swoim i które bardzo cenił.

— Mój syn ma wyjechać w drogę, rzekł jenerał; będzie potrzebował pistoletów moich. W liście jest klucz od szkatułki. Odniesiesz to natychmiast. Potem wróciwszy, złożysz rzeczy moje; wyjadę także na dni parę.

August, nie bardzo wiedząc, co robi, wziął w ręce szkatułkę i, przestępując z nogi na nogę, stał niepewny koło stołu—potém podszedł do drzwi, tu znowu stanął, wreszcie niepewnym głosem cicho zapytał: czy ma także młodego pana pozdrowić w imieniu pana jenerała?

Chwil kilka nie było odpowiedzi.

— Powiedz mu, rzekł wreszcie jenerał, że mam nadzieję połączyć się z nim wkrótce.

Wierny sługa odetchnął. Że było coś złego z młodym panem, bardzo złego, to pewna, ale kiedy pan jenerał powiada, że zobaczy się z nim wkrótce, to znaczy, że niema mowy o śmierci, i że wszystko dobrze się skończy, jak mówi pan kapitan.

Kiedy August wyszedł z pokoju, jenerał oparł czoło na załamanych rękach i długo tak siedział; od czasu do czasu dreszcz wstrząsał całém ciałem jego—chwilami jęk się wydobywał ze ścieśnionéj

piersi. Modlił się za duszę dziecka swego, żegnał z synem, którym się tak pysznił, a który nie mógł żyć z piętnem hańby, którą sam na własném czole wycisnął,—z synem, którego tak bardzo kochał niegdyś, ale—którego i teraz jeszcze tak bardzo, tak bardzo kocha!

Podniósł się wreszcie—starym, złamanym człowiekiem. Jedno jeszcze na ziemi pozostało mu do zrobienia.

Do tego będzie miał dosyć siły—wiedział o tém.

I teraz nie drżąc już wcale i bez palących łez jak wprzódy, kiedy gotował pistolet dla syna, pewną ręką i z błyszczącemi oczami nabił drugi, przeznaczony dla nędznika, co sprowadził hańbę na syna jego i śmierć mu zgotował.

Tegoż dnia Ferdynanda o zwykłéj godzinie udała się do pracowni swojéj. Od jakiegoś czasu systematycznie to robiła, gwałtem zmuszając się do pracy, która miała uleczyć ranę serca, a przynajmniéj choć chwilowo znieczulić ją, odrywając myśl od jednego i zawsze tego samego przedmiotu.

Ale napróżno walczyła z uczuciem odrętwiałości i osłupienia, co ją wciąż ogarniało, czyniąc niezdolną do niczego; zmęczona wysiłkiem, wkrótce opuszczała ręce; głowa ciężko opadała na piersi, dłuto wymykało się z dłoni, i po chwili sztucznéj energii znowu wracała do stanu apatii, w któréj wciąż żyła.

Ileż razy po wyjściu Cilli, która od dwóch miesięcy służyła jéj za model do posągu pobożności, padała na kolana i gorąco się modliła o jednę kroplę tego uczucia słodyczy i poddania się losowi, które przepełniało serce młodéj dziewczyny. Jedna kropla uratowałaby, ugasiłaby ten płomień, co ją pożerał wciąż.

Napróżno! Wczorajszy wieczór dowiódł tego.

Jakże długo opiérała się pokusie—wezwaniu Bertaldy, które miało pociągnąć za sobą widzenie się z nim,—z tym, którego przysięgła nie widziéć więcéj.

Dotrzymała przysięgi. W ostatniéj chwili uciekła przed nim; ale czyż to się mogło nazwać zwycięztwem—przeciwnie, czyż się nie czuła ostatecznie zwyciężoną, zgubioną bez ratunku?

W duszy jéj wszystkie uczucia zamarły—wszystkie, prócz jednego. Dziś jeszcze, kiedy ciotka z płaczem opowiadała jéj o tém, co zaszło u Filipa, serce jéj nie drgnęło nawet; z zupełną obojętnością słuchała wieści, co rodzinę jéj pogrążała w rozpaczy; i na myśl

jéj nie przyszło, by pójść do ojca i powiedzieć mu: jeszcze jedno dziecię pozostało ci, ojcze.

Bo czyż w istocie była dziecięciem człowieka, który korzystając z chwili szału, wyłudził u niéj ów list, którego każda litera była zatrutą strzałą, wymierzoną w jéj własne serce? Czyż przynajmniéj usiłował wynagrodzić jéj tę bezmierną ofiarę, jaką złożyła na ołtarzu osobistych jego przekonań; czyż okazał jéj miłość swą za to, czyż zmienił się względem niéj choć cokolwiek? Nie, duma nie pozwalała mu na to. Taż sama duma i teraz stanęłaby między nim a nią, między ojcem a córką. Gdyby teraz ujrzał ją u siebie, oburzyłby się na myśl, że ktoś się litować nad nim ośmiela, że go chce pocieszać; nie chciał tego, nie chciał za nic, chociażby to pochodziło od córki rodzonéj, z którą nie zgodziłby się nawet mówić o tém, co jednak zakrwawiało serce jego.

Nie, nie, ojciec nie potrzebował jéj, a ona także nie mogła upakarzać się przed nim.

Cilli to co innego. Ta siedziała przy łożu słabego ojca i cierpliwie słuchała dziecinnych skarg jego i gorzkich wyrzutów, które sam sobie robił, że tak lekkomyślnie stracił jedyny fundusz dziecięcia swego, że jak szalony postawił wszystko, co posiadał, na kartę gracza, który w jednę noc stracił i swoje miliony i cały majątek córki. Cilli uspakajała starego, pocieszała go; czasem tylko z lekka napomykała, że ona, skazana na wczesną śmierć, niczego już potrzebować nie będzie.

Patrząc na nią, mimowolnie się już teraz wierzyć chciało w te przeczucia słodkiego dziewczęcia. W ostatnich tygodniach cera jéj stała się tak dziwnie przezroczysta, wyraz twarzy tak natchniony, tak nadziemski blask ślepych oczu!

Szczęśliwa! umrzeć tak młodo, umrzeć spokojnie; skarbami własnego serca potrafiła sobie raj stworzyć na ziemi, a teraz ziemię tę zamienić miała na niebo, niebo, w które tak gorąco, tak mocno wierzyła.

A ona, ona, dla któréj od chwili jak myśléć zaczęła, istnienie nieba piękną bajeczką tylko było; ona, co nienasyconém sercem pożądała wszystkich rozkoszy ziemi; ona, któréj silna, potężna natura zdawała się być przeznaczoną na to, by straszny ciężar życia dźwigała przez nieskończoną ilość lat aż do późnéj, samotnéj śmierci, tak jak ów bohater, którego ramiona obarczono niezmiernym ciężarem i który nie może mieć nawet téj nadziei, że siły jego wyczerpią się, tak jak słabszych od niego towarzyszy; jemu nic innego nie pozostaje, jak rzuciwszy się na prześladowców swoich, zawołać: wy albo ja!

Nie, niema albo!

Śmierć jest dla tych, którzy się jéj nie boją.

A ona, czy boi się jéj? Ona?

Pierwszém lepszém narzędziem, które miała pod ręką, potrafiłaby ją sama sobie zadać, gdyby, gdyby w najgłębszym zakątku serca jakiś głos syreny nie szeptał jéj: nie umiéraj—jeszcze jedno spójrzenie na niego, jeszcze jedno na wieczność całą.

Jakże pragnęłaby wiedziéć, jak on zniósł wczorajszy zawód.

Tu Ferdynanda podniosła głowę i ze zdziwieniem obejrzała się. Zdawało się jéj, że słyszy pukanie jakieś do okna i jakiś głos. Nie, nie myli się, ktoś woła na nią: Ferdynando! ktoś puka do drzwi teraz. Może to on? Może potargawszy wszystkie względy, przychodzi do niéj nakoniec!

Drżąc cała stanęła; serce jéj biło gwałtownie, rozsadzając piersi uczuciem rozkosznego strachu.

Znowu pukanie, poskoczyła do drzwi, szarpnęła rygiel i ujrzała przed sobą Bertaldę.

— Bertalda! Co to jest? Ottomar nie żyje?

— Żyje jeszcze, odpowiedziała Bertalda, ale może niedługo.

Zwykle śmiejąca się i różowa twarzyczka lekkomyślnéj dziewczyny teraz blada była i pomięszana; w pośpiesznym biegu straciła prawie oddech. Kolana jéj drżały, padła na najbliższe krzesło.

— A więc chory? gdzie? u ciebie? Bertaldo, zlituj się, mów!

— Niewiele mam do powiedzenia, odrzekła ta nareszcie. Trzeba tylko, byś poszła do niego, zaraz, natychmiast, bo inaczéj będzie po nim. Sam już chciał się zastrzelić, a tu rodzony ojciec przysyła mu pistolet, dla nędznych dwudziestu tysięcy, które pod imieniem ojca wziął dla siebie! Boże, gdzie u tych ludzi serce? Jest tam u niego teraz oficer jakiś Schönau, ale co z tego? to ich gadanie żadnego niema sensu. Co tu mówić o Ameryce! On z mego pokoju nie wyjdzie, chyba ty go uratujesz i powiész mu, że z nim zostaniesz. Ale ty się wahasz! Jesteś tak, jak i inni: nie ma miłości w twém sercu, nie ma jéj u żadnéj z was!

Po pierwszych słowach Bertaldy, Ferdynanda zaczęła zbiérać rzeczy swoje w pracowni; a teraz, przyciskając rękę do sukni, stanęła nieruchoma. Mało co zrozumiała z poplątanéj mowy Bertaldy. Zdawała się namyślać nad czémś, a silne postanowienie i pewna zaciętość przeglądały jéj z oczu.

Przystąpiła do biurka, stojącego koło okna, otworzyła szufladkę jednę, pośpiesznie ją przetrząsnęła, a potém chwyciła pióro i, pisząc, mówiła:

— Na początek mam dosyć, tysiąc talarów. Chwała Bogu, wczoraj dopiéro wzięłam je.

— Ja także ofiarowałam mu, co miałam; ale odemnie nie przyjął naturalnie. Cóż to znowu za bazgranina?

Ferdynanda podawała jéj list, który właśnie dokończyła była pisać. To do mego ojca; oddasz mu. Ja—do Ottomara.

— Nie, nie, rzekła Bertalda. Wiész, że nie jestem wcale bojaźliwa, ale z ojcem twoim nie chcę mieć nic do czynienia. Zostaw list tutaj; znajdzie się ktoś, co go odda, a nie, to nie.

— Ja go oddam, odezwał się za niemi jakiś głos łagodny. Niewidziana przez nikogo, Cilli od kilku już minut stała we drzwiach i słyszała ostatnią część ich rozmowy.

— Moja ty najdroższa, mój ty dobry aniele, zawołała Ferdynanda, spostrzegając ją, powiédz mi, czy dobrze robię, że idę tam, gdzie mię serce woła; powiédz, że powinnam stać przy jego boku, kiedy nędza i rozpacz, a może śmierć nawet uderza na niego?

— I niech Bóg będzie z tobą, rzekła Cilli, kładąc rękę na głowie Ferdynandy, która uklękła przed nią. Niech Bóg będzie z wami! On żąda miłości i tylko miłości; miłości, która wszystko znieść, wszystko przecierpiéć potrafi. Teraz właśnie dowieść możesz, że miłość twoja jest prawdziwą miłością. Daj mi list do ojca twego, i bądź zdrowa!

Pochyliła się i ucałowała czoło Ferdynandy, która podniosła się i wsunęła jéj w rękę papier.

— Tak blado wyglądasz, Cilli, i ręce twoje zimne jak lód. Może ojciec twój ma się gorzéj?

— Słaby jest, ale doktór powiada, że wyjdzie z tego. Teraz śpi; ciotka Rikchen jest przy nim, mam właśnie czas.

Uśmiechnęła się swoim słodkim, melancholicznym uśmiechem.

— I bądź zdrowa! raz jeszcze.

— Chodź już, chodź, wołała Bertalda niecierpliwie i tak już za wiele czasu straciłyśmy.

Ferdynandzie trudno było oderwać się od Cilli; stosownie do swéj namiętnéj natury, rychło pokochała anielską istotę, która jak Samarytanin przyszła do niéj, do niéj zranionéj, opuszczonéj wśród gorącéj, spalonéj namiętnością pustyni. Przeczucie mówiło jéj, że widzi ją po raz ostatni, że na wieki się z nią żegna. Piękna była twarzyczka ślepéj, jasną była, jak nie bywają ludzkie twarze. I ona, co jak promień lepszego świata spłynęła na grzeszną, ciemną ziemię, ona brała jeszcze ciężar ziemski na swoje ramiona, w czyste ręce swoje ujmowała splątane nici zawiłéj, smutnéj sprawy.

Myśl ta nagle wzruszyła Ferdynandę. Sama pójdę do ojca, zawołała.

— To już lepiéj zupełnie pozostań, rzekła Bertalda.

— Idź, idź, mówiła Cilli łagodnym głosem.

Tak przynaglana i zachęcana Ferdynanda uległa wreszcie i opuściła pracownię, raz jeszcze uścisnąwszy Cilli.

Przed domem stały dwie dorożki.

Zaledwie ta, do któréj wsiadły, ruszyła z miejsca, Antonio wybiegł z domu i wskoczył do drugiéj. Miał na sobie szeroki hiszpański płaszcz, a w ręku trzymał worek podróżny.

— Mówiłem ci, byś stał na rogu, rzekł do woźnicy. Jedź za tamtą dorożką, jeżeli się zatrzyma, staniesz i ty.

— Dobrze, będę uważał.

Cilli, zostawszy sama, usiadła na stołeczku, trzymając w jednéj ręce list Ferdynandy, drugą podpierając głowę.

— On tego nie pojmie, szepnęła; będzie się bardzo gniewał. Nikt tego nie zrozumie, nawet Reinhold.

— Biedne serce, ściskasz się? nie chcesz dłużéj cierpieć? Zaczekaj jeszcze chwileczkę, pozwól mi spełnić to jedno jeszcze, może to twoja ostatnia przysługa.

Obie ręce przycisnęła do piersi; straszny ból rozpierał serce i wstrzymywał oddech. Od jakiegoś czasu bardzo często się to powtarzało. Cilli ze stoiczną odwagą zniosła atak, ale po nim nastąpiło takie osłabienie, że nadaremnie usiłowała się podnieść. Wreszcie dopełzła do stołu, gdzie wiedziała, że stoi karafka z wodą i wypiła jéj szklankę. Teraz już mogę, szepnęła. Ale myliła się, nie mogła, czuła się tak znużona, tak śmiertelnie osłabiona, że co krok mocując z sobą, stając, opierając o ściany i stołki, zaledwie wysunęła się z pracowni. Daléj trzymając się ścian i parkanu, doszła do mieszkania swego; tu stanęła u drzwi, przysłuchując się, cisza zupełna panowała w około. Ojciec śpi spokojnie pod opieką dobréj Rikchen. Biedny ojciec nie przeczuwa nawet, że najgorętsze życzenie jego nie może się już spełnić; tak pragnęła oszczędzić mu największéj boleści, boleści na widok umierającego dziecka. Biédny, biédny ojciec! a jednak mniéj biedny od tego tam dumnego samotnego człowieka, do którego ona szła teraz.

Dostała się nareszcie do głównego domu. Koło wschodów posłyszała kogoś idącego naprzeciw, oparła się o poręcz, i słabo uśmiechając, podniosła głowę w górę. Kochany Grollmanie! rzekła.

— Na Boga! panno Cilli, gdzie pani idziesz? Jesteś pani tak blada, możebyś się położyła?

— Nie mam czasu, kochany Grollmanie, ale czuję się bardzo słaba, pomóż mi wejść!

— Ale gdzież pani chcesz?

— Do niego, do pana Schmidta.

Grollman potrząsł głową. Nie mogę, nie mogę tego zrobić nawet dla pani, kochana panno Cilli. Jeżeli potrzebujesz czego dla ojca, to mu sam powiem o tém przy okazyi.

— Nie chodzi tu ani o ojca mego, ani o mnie, rzekła Cilli, ale tak mi ciężko mówić, kochany Grollmanie.

Znowu podniosła ślepe swe oczy ku niemu; stary sługa zadrżał; nie ośmielił się nic odpowiedzieć i, milcząc, powoli, troskliwie wprowadził ją na górę, aż do drzwi pana. Możebym oznajmił panu, szepnął.

— Otwórz tylko drzwi.

Stary zawahał się chwilę, wreszcie otworzył, i nie przechodząc progu, wprowadził ślepą, trzymającą ręce naprzód wyciągnięte, potém zamknął drzwi i usiadł na krześle stojącém nieopodal. Muszę odprowadzić to biédactwo, rzekł do siebie, niedługo tego będzie.

Stryj Ernest, założywszy w tył ręce, chodził po pokoju. Tak głęboko zamyślony był, że nie usłyszał wcale, jak się drzwi otwiérały, i nie spostrzegł wchodzącéj. Doszedłszy do drugiego końca pokoju, przypadkowo podniósł głowę i zawołał:

— Cilli! — Cilli, powtórzył raz jeszcze ze zdziwieniem, idąc ku niéj, co milcząc oczekiwała na niego.

— Czego chcesz dziecię, mówił daléj ze wzruszeniem, prowadząc ją do krzesła. Czy ojciec twój gorzéj się ma?

— Nie zdaje mi się, chociaż sądzę, że nie przeżyje tego.

— Wszystko to nie ma najmniejszego sensu, mówił stryj Ernest, a łagodny głos jego w dziwnéj był sprzeczności z ostremi wyrazami temi. Dwa tysiące talarów nie byłyby przecie zapewniły wam szczęścia. I dla czego mi nie ufa, dla czego sądzi, że mógłbym was opuścić kiedy.

— Wiém, żeś pan dobry, odrzekła Cilli, i dzisiaj właśnie chciałam panu podziękować za wszystko, coś pan dla nas uczynił i co uczynisz jeszcze, gdy mnie już nie będzie.

— Ani chcę słyszéć o tém, zawołał stryj.

— Śmierć ma przekonywający głos, kiedy wzywa do siebie, a mnie wezwała; słyszałam go i wierzę mu, wierzę też, że słowa moje, słowa skazanéj na śmierć trafią do serca twego, które, cho-

ciaż na pozór twarde jest i nieprzystępne, w gruncie jednak dobrém jest bardzo dla biédnych i nieszczęśliwych.

Mówiła tak cicho, że stryj Ernest ledwie ją mógł zrozumiéć tyle tylko się domyślił, że ma go o coś prosić.

— Mów Cilli, wiész że nie potrafiłbym odmówić ci, chociażby mi z trudnością przyszło zrobić to, czego żądać będziesz.

— I nie powinneś odmawiać, chociaż trudném ci to będzie, jesteś bardzo dumny. Ale pamiętaj, że duma przywiodła aniołów do upadku, pamiętaj, że Pan na krzyżu przebaczył prześladowcom swoim, i że powinieneś przebaczyć tym, co grzeszą a grzeszą z miłości. Kto błądzi i cierpi błędem i cierpieniem tego, kogo ukochał powinien budzić dla siebie miłosierdzie w każdym człowieku, a témbardziéj w sercu ojca, który dziecku swemu ma zastępować ojca niebieskiego. Bądź miłosierny dla Ferdynandy!

Cilli usunęła się z krzesła, na którém siedziała i padłszy na kolana, podniosła ku stryjowi biédne swe oczy. Nie mogła odgadnąć, czy słaby głos jéj przeniknął do dumnego serca jego, czy wywołał w niém burzę gniewu, czy téż obudził litość; odepchnie ją, czy swemi potężnemi ramionami podniesie z dobrocią.

On się pochylił nad nią, uniósł z ziemi i ostrożnie posadził napowrót. Ona w słabych drżących rękach zatrzymała dłoń jego i podniosła do bladych ust.

— Nie, moje dziecię! Wszystko to, co mówisz—ale—wdzięczny ci jestem, bardzo wdzięczny,—a papiér, który masz w ręku, ona ci go dała?

— Co pisała, nie wiem, rzekła Cilli; nie powinieneś zważać na słowa. Nie są to zapewne dobre słowa, może nawet złe są, ale w takiéj chwili człowiek nie wié, ani co robi ani co mówi.

Stryj przeczytał kartkę.

— Ferdynanda uciekła, kiedy?

— Może pół godziny temu, może więcéj.

— On ją wezwał?

Cilli wymieniła Bertaldę.

— A więc znowu nie on sam, szepnął z ponurym uśmiechem. Dobrze, kochana Cilli, dziękuję ci za twoję odwagę. Zawszem wiele trzymał o tobie, ale widzę, że jeszcze za mało. A teraz, pozwól, że cię odprowadzę, boś widocznie słabą bardzo.

Cilli oparła się temu, wyprosiła niemal. Powoli skierowała się ku drzwiom; tam stanęła, odwróciła się i podniosła ręce błagalnym ruchem ku stryjowi, który smutno ponurém wejrzeniem patrzał za nią; potém zaczęła ręką szukać klamki. Drzwi otworzono z dru-

giéj strony. Grollman tak jak wprzódy wziął rękę Cilli, wyprowadził ją i zamknął pokój.

— Wszyscy oni zmówili się przeciw mnie, szepnął stryj. I ona, dobre dziecię, ona, co więcéj warta jak my wszyscy, ona mi to przynosi! w swoich czystych, niewinnych rękach, to!

Utkwił oczy w papiér, który trzymał jeszcze.

„Żegnam cię na zawsze! Ty mojéj miłości nie potrzebujesz, a ja twojéj doświadczyłam już! Zdruzgotałeś mi serce; mnie samę, miłość moję poświęciłeś dumie twojéj, poświęciłeś bez litości, jak fanatyczny kapłan złożyłeś ofiarę na ołtarzu bożyszcza twego. A drugi! jego ojciec! Kto zabił duszę, miłosierny spełnia uczynek, zabijając ciało. Przechwalajcież się waszą cnotą, faryzeusze, cieszcie się dumą waszą! Nam pozostaje wstyd! nam nędza! nam śmierć!“

— A więc tak, śmierć!

Rozdarł list, potém w drobne kawałki go porwał, rzucił na ziemię i, założywszy w tył ręce, znowu zaczął chodzić, starannie omijając miejsca, gdzie leżały kawałki papieru. W tém burza wypchnęła okno nie dobrze zamknięte, przeciąg powietrza podniósł strzępki listu, jak płatki śniegu podniosły się w górę i wirowały w około niego.

— Oszaleję chyba! zawołał. Nie chcę oszaleć! Boże mój, Boże, cóżem zawinił, że mię tak karzesz. Cóż mogą więcéj zrobić biedni ludzie, jeżeli robią tak, jak im sumienie ich i rozum każe? Czyż nie tak robiłem, od czasu jak myśléć zacząłem? Za cóż karzesz ludzi, jeżeli nie ma w nich winy? Musisz wspomagać nas w potrzebach naszych, powiada pismo! Czyś to ty mówił do mnie przez usta tego biednego, ślepego dziecka? mam poświęcić mój rozum, moje przekonania, mam być ślepy i posłuszny jak dziecię? czy to ty, Panie, mówiłeś do mnie?

Rękami przycisnął gwałtownie bijące skronie, przystąpił do otwartego okna, szukając ulgi dla ścieśnionéj piersi.

Naraz, wśród uderzeń wichru dał się słyszéć głos ludzki: na pomoc, na pomoc!

Stryj wyjrzał na dziedziniec. Zdawało mu się, że widzi Grollmana, który z podniesionemi rękami wybiegłszy z pracowni Andersa, zdążał ku domowi. Teraz wyraźnie już słychać było wołanie: na pomoc, na pomoc!

— Biedne dziewczę, zawołał stryj i wybiegł z pokoju.

Kiedy Cilli wyszła od stryja Ernesta, stary sługa ujrzał ją tak bladą, że nie miał serca pytać ją o cokolwiek. Słyszał jak chwilami oddychała szybko, raz po raz, to znowu przycichała zupełnie,

jak gdyby powietrze przestało wchodzić w jéj płuca. Grollman zniósł ją prawie ze wschodów, a potém przez dziedziniec. Kiedy przechodzili koło tylnych drzwi pracowni Andersa, Cilli wskazała na nie ręką i szepnęła: tu!

— Jeszcze parę kroków, rzekł Grollman.

— Pożegnałam się już z ojcem.

Stary sądził, że biédne dziecko nieprzytomném już było, ale nie miał odwagi opiérać się jéj, kiedy z błagającą miną znowu wskazała mu na drzwi. Otworzył je przed nią; wyciągnęła do niego rękę i rzekła: teraz możesz mię już zostawić tutaj, i niech Bóg będzie z tobą!

— I z tobą, panienko, odrzekł Grollman.

Ale sam nie bardzo wiedział, co mówi; nie miał odwagi odejść i patrzał tylko na wątłą postać dziewczyny, która, podnosząc tylko ręce, jak ptak mający ulecieć, pomyślał Grollman, przesuwała się powoli między posągami i rozmaitemi sprzętami, których było pełno w pracowni.

Przy jedném z wysokich okien, gdzie sam Anders zwykle pracował, na niskiéj podstawie stał biust z białego marmuru. Był to biust narzeczonéj Andersa.

Tutaj Cilli zatrzymała się, jak gdyby chciała odpocząć. Pochyliła się na podstawę, potém podniosła ręce i przesunęła je po twarzy biustu; ręce jéj tak były białe, jak ten marmur i poruszała ustami, jak gdyby mówiła z posągiem i całowała go. Potém usiadła na stołku, oparła głowę o podstawę i nie poruszyła się więcéj.

— Biédne dziecię, pomyślał stary, zaśnie i zaziębi się tutaj, będę musiał znowu ją nieść.

Po cichu zbliżał się; miał zamiar obudzić ją, a jednak stąpał coraz ciszéj.

Nareszcie stanął koło niéj.

— Biedactwo! śpi na prawdę, z nawpół zamkniętemi oczyma, a jak się uśmiecha! szkoda ją budzić, gdyby ją czém okryć, a, ot tam koc jakiś.

I stary zwrócił się w stronę, ale w tejże chwili trącił o drabinkę jakąś, która z hałasem upadła. Odwrócił się niecierpliwie, pewnie ją obudził, ale nie, spała wciąż i wciąż się uśmiechała.

Dziwna rzecz, pomyślał Grollman, i pochylił się nad siedzącą, ale natychmiast wyprostował się, drżąc cały, gwałtownie rzucił się do drzwi i, biegnąc do mieszkania Kreiselsa, wołał na pomoc bezprzytomnie prawie, chociaż wiedział dobrze, iż nic tu już pomódz nie zdoła.

Zanim ciotka Rikchen przybyła, drugiemi drzwiami weszli Justus i Mieting.

Mieting już od dni kilku bawiła w Berlinie, mocno zajęta wyprawą, a jeszcze więcéj narzeczonym swoim. Tegoż dnia właśnie wyszli byli oboje dla zakupienia mebli i długą odbyli przechadzkę, wesoło gwarząc i tworząc projekta na przyszłość. Dla nich było to szczęściem, że papiery spadły, że towarzystwo kolejowe rozwiązało się, a nawet, że Filip uciekł, bo następstwem tego wszystkiego była zmiana w usposobieniu pana Strummina, który, jak przepowiedział Reinhold, zawiedziony w finansowych widokach swoich, chętnie się zgodził na małżeństwo córki z artystą. Narzeczeni, ciesząc się szczęśliwem rozwiązaniem losu swego, ubolewali nad tymi, którym to bankructwo gründerskie tak boleśnie jak Kreiselsowi dało się uczuć. Biedny stary aż zachorował ze zmartwienia.

Mówiąc właśnie o Kreiselsie i córce jego, weszli do pracowni.

— Cicho, nie mów tak głośno, rzekła Mieting wchodząc; takie tu echo jak w kościele, jak wtenczas, kiedy nas Cilli.... Boże kochany, a toż ona sama, śpi zdaje się.

— Gdzie?

— Tam, pod moim biustem.

Ale Justus, rzuciwszy tylko okiem na siedzącą Cilli, poznał natychmiast, że blady anioł spał wprawdzie, ale snem wiecznym.

Chwycił Mieting za rękę, chcąc ją stamtąd uprowadzić, ale ta z wyrazu twarzy jego domyśliła się wszystkiego. Dreszcz ją przeszedł; przytrzymała rękę Justusa i wraz z nim powoli zbliżyła się do Cilli.

— Modliła się za nas, szepnął Justus, ostatnią myślą jéj....

Łzy przytłumiły głos jego.

W téj chwili stryj Ernest stanął za nimi. Z rękami skrzyżowanemi na piersiach patrzał na zmarłą.

Grollman i ciotka Rikchen weszli także. Ciotka drżała i płakała, ale starała się przezwyciężać to wzruszenie i zajęła się potrzebną koło Cilli posługą. Spokojnie i stanowczo wydawała rozkazy. W chwili kiedy miano wynieść ciało do głównego domu, stryj ujął rękę siostry i łagodnym głosem, jakim nigdy nie przemawiał do niéj, rzekł: dziękuję ci, Rike! Na te słowa Rike o mało się nie rozpłakała, ale brat dodał: postaraj się, by wszystko było dobrze, Rike, wiele jest jeszcze dobrego do zrobienia.

Wszyscy wyszli, on sam pozostał w pracowni. Oczy jego znowu wróciły do miejsca, gdzie przed chwilą spoczywała Cilli, widział ją tu wciąż przed sobą.

— Ze śmiercią w sercu, szepnął, wiedziała o tém, mówiła, a ja nie zrozumiałem jéj.

— Nie ma cudów, ale są znaki dla tych, co widzą.

— Chciałeś znaku!

Dwie gorące łzy spłynęły po policzkach jego. Obejrzał się przerażony, nikt ich nie widział!

Z opuszczoną głową ale pewnym krokiem wyszedł z pracowni.

W godzinę potém, na kilka minut przed dwunastą, przed dworcem berlińsko-sundińskiéj kolei stanęła doróżka i wysiadł z niéj jenerał.

Napróżno August oglądał się za tragarzem, pusto było zupełnie przed gankiem, i nic nie wskazywało odejścia pociągu.

— Mówiłem, że zmieniono godziny, mruknął doróżkarz.

W istocie, urzędnik, którego jenerał spotkał na kurytarzu, zawiadomił go, że od pierwszego tego miesiąca jeden pociąg odchodzi o 11-éj, a następny, pospieszny, o północy dopiéro.

Od niego także jenerał dowiedział się, że przed chwilą właśnie przybył tu także pan jakiś i zażądał extra cugu. W tym interesie udał się sam do inspektora dworca; ale wielka była wątpliwość, czy się to da zrobić, albowiem z powodu okropnéj burzy, która wybuchła z Sundin, dwie lokomotywy potrzebne będą do każdego pociągu, a parę innych trzeba mieć w zapasie na przypadek nieszczęścia jakiego, témbardziéj że burza zerwała telegraf do Sundinu.

August, załatwiwszy się z kufrem swego pana, przyszedł do niego na salę, pytając go o rozkazy. Jenerał kazał mu czekać, gdyż jak powiadał, sam jeszcze nie wié, co pocznie. Zafrasowało to wielce starego sługę: po raz pierwszy słyszał z ust pana, że nie wié co ma zrobić.

Rzeczywiście, nieszczęśliwy człowiek zdawał się być nie zupełnie przytomny. Po zamknięciu strasznego rachunku z synem, resztki sił skupił na jednę myśl, jedno postanowienie: pomszczenia się nad nędznikiem, który pozbawił go teraz syna, zabrawszy mu poprzednio siostrę, i dumne imię Werbenów okrył wstydem i hańbą. Szczegółów intrygi nie znał, ale wiedział dobrze, kto był sprawcą nieszczęścia i kto miał za nie odpowiadać. W chwili, kiedy wsiadał do powozu, oddano mu dwa listy; na jednym z nich poznał pismo Elsy; drugi wręczył mu sługa Schönau'a. List Elsy przeczytał naj-

przód i nie bardzo zrozumiał treść jego. Jakże mógł zrozumiéć cokolwiek, dopóki się nie dowiedział, co się znajduje w drugim liście. A jednak nie miał odwagi otworzyć go. Był pewny, że wié, co się w nim zawiéra, wié dobrze; Schönau nie miał odwagi stanąć przed nim osobiście i powiedziéć: nie żyje!

I tak długo trzymał papiér w drżących rękach i z wyrazem rozpaczy i obłąkania prawie wpatrzył się weń. Nakoniec machinalnie prawie rozerwał pieczęć i przeczytał. Ręce mu opadły, bladą twarz wykrzywił konwulsyjny uśmiech. Zgniótł list, wetknął go do kieszeni, zasunął się w głąb powozu i zamknął oczy. Z osłupienia tego obudził się, znalazłszy się dopiéro przed dworcem.

Teraz, pozostawszy sam w sali, począł chodzić powolnym sennym ruchem. Czasami zatrzymywał się przed stolikiem, na którym stała szkatułka; raz nawet wyciągnął do niéj rękę, ale opuścił ją, pokiwał głową i poszedł daléj. Do czego to wszystko służyć miało? Po co wziął pistolet? po co sam jechał? Czy nie lepiéj było pozostać w domu i przed samym sobą przynajmniéj przyznać się do niemocy w obec rzeczy i ludzi, co go otaczali? Cóż mu pozostawało? patrzéć, jak inni walczą, obojętnym być widzem nędznéj, smutnéj gry życia?

Dla niego wszystko się skończyło; nawet szczęście Elsy było dla niego źródłem przykrości. Nie o takiém szczęściu marzył dla niéj wprawdzie, ale to mniejsza; nieświetny los wybrała sobie, ale kochała człowieka, i ten—pominąwszy wszystkie uboczne względy, godnym był jéj miłości. Rzecz naturalna, że w chwili, kiedy obce oczy odkryły jéj tajemnicę, nie sam ojciec tylko wiedziéć o niéj powinien,—trzeba ją ogłosić światu. Ale dla czego miało się to stać dzisiaj, dzisiaj koniecznie? Żadna wina nie ciążyła na niéj, ani na nim także, ale nazwiska ich zbeszczeszczone zostały przez najbliższych członków rodzin ich,—tak na mieszczańskiém, jak na szlacheckiém niezatarta plama hańby znalazła się. Śmierć, jedna śmierć tylko mogła coś na to poradzić. W ciemnym grobie skryłby się wstyd a ślady jego, szepty złośliwych ludzi czas zatarłby. Czyż śmierć nie była stokroć lżejszą od takiego życia? Czyż ucieczka przed nią nie była większym wstydem od samego wstydu oszukaństwa? I Schönau mógł się zgodzić na to? Czyż on sam tylko pozostał z dawnych lepszych czasów, niezrozumiany przez żyjące pokolenie i nie rozumiejący go wzajemnie? Jakaż rożnica zachodziła między szlachcicem, oficerem a komedyantem, który uciekał przed wierzycielami swoimi, lub kupczykiem, który kradnie kasę pryncypała swego. Jaka różnica między Ottomarem Werbenem a Filipem Schmidtem? Żadna: mieszczanin bankrut i szlachcic fałszerz na jednéj stali linii; ale tam-

ten mógł przynajmniéj powiedzieć: ja nie miałem czoła starać się o córkę uczciwego człowieka, nie zmusiłem moralnie ojca mego, by spotkała go upakarzająca odmowa—odmowa słuszna i sprawiedliwa, jak się pokazało!

W wyobraźni jenerała żywo się przedstawiła scena owego poranku. Był to dzień pochmurny także. Na dworze burza szalała, i deszcz padał—jak dzisiaj. Straszna to była chwila, kiedy tak głęboko musiał się upokorzyć przed tym dumnym plebejuszem, co na wyniosłém czole i w każdym rysie pięknego oblicza miał wyryte piętno szlachectwa. Gdyby kiedy spotkał tego człowieka, gdyby znieść musiał spojrzenie jego wielkich, błyszczących oczu,—gdzie, gdzie podziałby swoje?

Tak dumając ze spuszczoną głową, zatrzymał się przed drzwiami prowadzącemi na ganek; podniósł wzrok, kiedy drzwi te otworzyły się, i ukazał się w nich—stryj Ernest!

Ujrzawszy go, jenerał przesunął ręką po czole: byłaż to gra wyobraźni tylko? czyż człowiek, stojący przed nim teraz, a tak mało podobny do tamtego, był w istocie tym samym człowiekiem, o którym myślał przed chwilą? Czoło jego, podnoszące się wówczas tak wysoko, teraz pochylone było; w oczach przygasł ogień namiętności; w głosie znikł dźwięk nienawiści i gniewu. Głębokim, łagodnym głosem, łagodnym jak słowa, przemówił.

— Dowiaduję się w téj chwili, że i pan, panie jenerale, pragniesz jechać do Sundina; przypuszczam, że w tym samym interesie, dla którego i ja się tam udaję. Obiecano mi dać extracug za półgodziny. Czy zrobisz mi pan zaszczyt jechania razem?

Surowa twarz jenerała tak była wzburzona; jasne, rozkazujące niegdyś oczy miały wyraz tak błędny, niepewny i słaby, że teraz z kolei stryj Ernest uczuł się silniejszym od przeciwnika. Spostrzegłszy, że jenerał, zatoczywszy się prawie, oparł o stolik, grzecznym ruchem podał mu krzesło i sam zajął miejsce przed nim.

— Przypuszczam, żeś pan otrzymał list od pana Schönau, i że w skutek tego widzę pana tutaj.

Zdawało się, że jenerał nie zrozumiał pytania. Skąd pan Schmidt wiedział o liście Schönau'a? Pytanie to powtórzył głośno. Z kolei stryj Ernest okazał zdziwienie.

— Aleś pan otrzymał list od kapitana?

— Tak.

— Schönau zawiadamia pana, że syn pański wyjechał do Sundinu?

— Do Sundinu? powtórzył. Dziwna rzecz, że mu to na myśl nie przyszło? Zemsta nad nędznikiem mogła być pierwszą myślą

Ottomara, jeżeli pragnął żyć, a mogła też być ostatniem pragnieniem człowieka, który chciał umrzeć. Nie było w tém żadnéj pewności, ale zawsze było to jakieś światełko w téj ciemnéj nocy, jakaś nić, co łączyła serce syna z sercem ojca.

— Nie było tego w liście, rzekł.

Podniósł głowę trochę wyżéj; w oczach błysnął słaby ogień i przypomniał owego żołnierza, co nie tak dawno stoczył bój ze stryjem Ernestem.

Z kolei twarz stryja zasępiła się, i głos stał się znowu ostrym.

— A więc nie było w nim wzmianki, że pan Werben udał się w podróż z moją córką?

Jenerał wyprostował się przy tych słowach, jak gdyby chciał odeprzeć niespodziewany zarzut. Spojrzenia obu ludzi spotkały się, ale oczy Schmidt'a coraz większego przytem nabiérały blasku, jenerała zaś wzrok opuścił się ku ziemi; z cichym jękiem padł na krzesło.

— Nieszczęśliwy! wyszeptał.

— Téj okoliczności, to jest obecności córki mojéj, zawdzięczasz pan życie syna swego, rzekł Schmidt.

— Żadnéj nie czuję wdzięczności za to, odpowiedział głucho jenerał.

— I że ojciec nie ma śmierci syna na sumieniu swojem.

— Ojciec brał odpowiedzialność za to na siebie.

— Mogłem się tego domyślić, szepnął Schmidt.

Siedział milcząc, ze spuszczonym, posępnym wzrokiem, po chwili przemówił znowu spokojniejszym głosem.

— Pozwoli pan siebie zapytać, w jakim celu tu przybyłeś, jeżeliś pan nie wiedział, ani gdzie syn pański pojechał, ani też że pojechał z córką moją?

— Chciałem ukarać nędznika, który wniósł hańbę do rodziny mojéj: zabrał mi siostrę a teraz zabił syna. Przyznaję, że teraz myśl ta straciła znaczenie swoje i że....

Tu jenerał chciał powstać.

— Pozostań pan rzekł Schmidt; miałem zamiar, jak tylkoby mi czas pozwolił na to, prosić pana o chwilę rozmowy. Teraz, kiedy przypadek sprowadził nas tutaj, skorzystajmy z téj półgodziny czasu, oszczędzi to nam może wiele próżnego żalu.

Jenerał rzucił ponure, niepewne spojrzenie na mówiącego.

— Tak jest, żalu, powtórzył stryj Ernest, chociaż obydwaj dotąd nie wieleśmy zaznali uczucia tego, obydwaj w ciągu życia całego staraliśmy się o sprawiedliwość w miarę sił naszych, wiedzy i su-

mienia. Ale z pierwszéj rozmowy naszéj utkwiło mi w pamięci jedno wyrażenie pańskie,—powiedziałeś pan wówczas, żem nic nie zapomniał, ale i niczegom się nie nauczył. Był to wyrok bardzo surowy, bardzo ciężki dla tego, kto jak ja od młodości dążył bez wytchnienia do coraz lepszego, coraz czystszego poznania, do jasności i prawdy. I dla tego sąd ten uważałem za najzupełniéj niesprawiedliwy. A jednak nie mogłem słów tych zapomniéć: dzień i noc stawały mi one w myśli i doprowadzały do szaleństwa prawie; sądziłem bowiem, że nie mogę przyznać im słuszności, chybabym się zaparł samego siebie, a przynajmniéj zgodził się z tém, że i na mojém słońcu są plamy, bardzo wielkie plamy dla tego, kto za nieskazitelny blask jego gotów był z radością głowę swą położyć. Nadaremnie jednak przerażone serce wzdrygało się—nieubłagane słowa wciąż wracały: ty, co się przechwalasz, żeś nie zapomniał niczego, niczegoś się téż nie nauczył!

— Walkę tę, która z pewnością zabrała mi siły kilku lat życia, prowadziłem z sobą do dnia dzisiejszego. Nawet haniebny czyn syna mego nie przełamał mego uporu. Cóżem temu winien, mówiłem, że z miodu wyssał truciznę? Od dzieciństwa ośmieszałem przed nim przesądy, a on wraz z przesądami zatracił poszanowanie dla świętości praw; wpajałem w niego przekonanie, że obowiązkiem człowieka jest stać o własnych siłach, a on przekręcił to i mniemał, że prawo siły powinno zagarniać pod siebie wszystko, czego ramię dosięgnąć może, i deptać nogami wszystko, co jako słabsze może się dostać pod nogi. Zepsutym był od urodzenia, mówiłem sobie, natura więc tylko odpowiedzialną jest za to, co sama stworzyła! My plebejusze, co się śmiejemy z dumy arystokratów, powołujących się na przodków swoich, czegóż się mamy troszczyć o drogę, jaką idą dzieci nasze; niech one same sobie obiérają tę drogę! Dla czego pytanie *dokąd* ma mieć dla nas więcéj znaczenia, niżli *skąd*, o które w zasadzie nie dbamy wcale? Blade to widmo rodowego honoru pisze swoje: Mene, Tekel, Fares na ścianach zamków książęcych i domach sług pańskich; ludzie wolni jeden tylko honor znają, honor wierności dla samych siebie!

— I kiedy tak spieram się z sobą samym i z Bogiem swoim,—ja wierzę w Boga panie jenerale, chociaż jestem republikaninem i demokratą,—na progu moim stanął anioł, jeżeli można tak nazwać istotę, któréj dobroć i czystość nic ziemskiego zdawała się nie mieć w sobie, córka buchaltera mego, ślepa dziewczyna, o któréjś pan może słyszał nawet. Ona to przyszła mi powiedzieć, że córka moja uciekła z synem pańskim. Kochając go wszystkiemi siłami namięt-

nego serca swego, chciała go uratować, uchronić przed śmiercią, na którą skazał go rodzony ojciec jego. Poprzednio odegnawszy widmo od progu mego, nie chciałem teraz słuchać głosu anioła, pomimo dziwnego dreszczu, co mię przejął. Znaczenie dreszczu tego prędko zrozumiałem. Nieograniczona miłość tylko dała jéj siłę wypowiedzenia świętych słów, którém usłyszał od niéj—były to jéj ostatnie słowa; w kilka minut potém najczystsze serce, jakie kiedykolwiek biło w piersi ludzkiéj, uderzać przestało.

Stryj przycisnął oczy ręką i, gwałtownie tłumiąc głębokie wzruszenie, mówił daléj:

— Nie mogę żądać, byś pan odczuł to, co ja czułem wówczas; nie będę także mówił, com zrobił już, chcąc uratować to, co jeszcze nie zupełnie straconém było; zmusiła mię do tego moc, któréj odtąd nie chcę i nie mogę opiérać się więcéj. Dosyć panu wiedziéć, że od lekkomyślnéj dziewczyny, która w ostatnich czasach była powiernicą syna pańskiego, a zarazem, sama o tém nie wiedząc, wspólniczką owego wroga rodziny pańskiéj, dowiedziałem się prawie wszystkiego, co wiedziéć potrzebowałem z owéj smutnéj historyi, odegranéj przed naszemi oczami, chociaż bez naszéj świadomości. W skutek tego nabyłem przekonania, jeżeli nie o niewinności syna pańskiego—byłoby to kłamstwem, a dzisiaj musimy miéć odwagę bezwzględnéj prawdy,—to przynajmniéj upewniłem się, że wśród nieszczęśliwego zbiegu okoliczności każdy niedoświadczony młody człowiek, z sercem, chociażby nie zupełnie czystém, ale zdolném do szlachetnych porywów, takiejże winy dopuściłby się. A teraz kiedy zrobiłem przed panem wyznanie, które wiele kosztowało dumie mojéj, przed panem, któryś był dla mnie zawsze uosobieniem najnieprzyjaźniejszych i najnienawistniejszych mi zasad, i względem którego tak się wysoko stawiłem dotąd; kiedym to zrobił, kiedym się zgodził na to, że zasada nieograniczonéj wolności i absolutnéj samowoli w ostatecznéj swéj konsekwencyi zaprowadzać może słabsze umysły na bezdroża, a może nawet musi zaprowadzić, jak tego przykład mam teraz na własnych dzieciach—jedno z nich stracone zupełnie, a drugie idzie nad przepaścią, w którą lada przypadek może ją wtrącić; teraz więc po tém wszystkiém pytam pana, czy sam niczego nie żałujesz i nic nie pragnąłbyś naprawić? Czyż ze swéj strony nie przyznasz pan, że ciasne szranki wojskowéj i szlacheckiéj rutyny, w jakiéj starałeś się zamknąć syna swego, równie zgubnemi dla niego były? że w lżejszéj, swobodniejszéj atmosferze mógłby był szczęśliwie rozwinąć piękne zdolności umysłu swego i szlachetne porywy ciepłego serca. A tak, ze wszystkich stron otoczony przesądami, wplątany w nierozwikłane sprzeczności, powoli przyzwyczaił się do tego, że

sâmo życie, złożone z przeciwieństw, uważał za rzecz naturalną, a w każdym razie nieuniknioną tak dalece, że i śmierć nawet w téj chwili wydała mu się tylko jedną więcéj sprzecznością.

— Bo i czemże, wreszcie byłaby śmierć z własnéj ręki w chwili, kiedy rękę tę ujęła dziewczyna, która skazanego na śmierć kocha całą potęgą serca swego, kocha z pewnością więcéj niż życie własne i kiedy dziewczyna ta głosem pełnym rozpaczy i miłości mówi mu: żyj, żyj dla mnie, dla któréj jesteś wszystkiem! dla mnie, która opuściłam ojca i dom i ojczyznę, by żyć z tobą! żyć bez nadziei lepszéj przyszłości—z tobą, w nędzy i wstydzie, kiedy inaczéj już być nie może.

Stryj zamilkł pokonany wzruszeniem szlachetnego serca swego. Jenerał, który posępnie patrzył przed siebie, podniósł smutne oczy.

— Co być musi, musi być, rzekł.

— Musi! zawołał stryj Ernest. Dla czego? Dla tego, żeśmy starzy podróżni zmęczeni już drogą? Ależ oni młodzi i silni, z nową odwagą i świeżémi zmysłami rozpocząć mogą życie, otwiérające się przed nimi! Czyż umierać powinien ten, kto zbłądził, ale ma odwagę rozpocząć życie na nowo, kto może wyznaczyć sobie nowy zakres działania i zdobyć potrafi dom dla ukochanéj swojéj—dla dzieci! dzieci, panie jenerale, z którymi się poczyna nowy świat, nic nie wiedzący o starym. Dzieci nie potrzebują i nie powinny nic wiedziéć o winie ojca, chociażby téj winy ojciec nie odkupił jeszcze skruchą swą, pokutą, jednym, chociażby jedynym szlachetnym czynem.

Oczy Schmidta świeciły jasnym, wielkim płomieniem; oblicze jenerala nie rozpogodziło się wcale. Powoli potrząsł głową.

— Muszę zadać panu pewne pytanie, które może wyda mu się okrutném, ale w rzeczywistości robiąc je, mam tylko na myśli sprowadzić pana z fantastycznego świata na ciemną ziemię: czy perspektywa, którą pan otwiorasz przed moim synem—ma także służyć i dla pańskiego.

Schmidt zadrżał; ogień oczu jego przygasł na chwilę; odpowiedź nie zaraz nastąpiła.

— Najmniejszego porównania, rzekł wreszcie, nie może tu być między dwoma czynami; jeden jest tylko lekkomyślnym postępkiem, do którego syn pański, namówiony został, w którym nie widział żadnéj krzywdy dla nikogo. Drugi zaś popełniono z zimną rozwagą i ze świadomością, że następstwa jego zgubne bedą dla tysiąca osób.

— Pozwól pan przypomnieć sobie—rzekł jenerał—że każdy z nas na wszystko się zapatruje z własnego punktu widzenia, stosownie do swego pochodzenia, wychowania, ukształcenia itd. Czy myślisz pan, że gracz, spekulant, grynder potępiłby syna pańskiego, tak jak to czyni uczciwy fabrykant, chociaż jest ojcem jego? I dla czegóż masz pan za złe człowiekowi honoru, oficerowi, że potępia niehonorowy czyn innego oficera, a może właśnie dla tego, że ten oficer jest jego synem? Czy sądzisz pan, że sam nie pragnąłbym dla niego tego życia, którego obraz kreślisz pan? Ale ja muszę się inaczéj na to zapatrywać. Może być, że ciasne szranki, o których pan mówisz, ścieśniły mi umysłowy horyzont i polot myśli ograniczyły, ale to stosować się musi do całego stanu, a zatém stosuje się i do mego syna. Nigdy już on sam nie potrafi zapomnieć, że splamił swój herb, że zhańbił swą szpadę, i że przed każdym kolegą, chociażby go spotkał na pustyni, musi spuścić oczy; pozostaje mu odtąd towarzystwo takich tylko ludzi, których dotąd sam unikał starannie,—on, co mógł stanąć przed królem swoim, on któremu król jego...

Tu znowu głośno i ciężko odetchnął.

Twarz stryja zadrgała. I znowu stanął przed nim ów mur, mur dumy i ambicyi, zagradzający drogę istotnemu życiu; mur, który w burzliwych dniach młodości swéj chciał zdobyć jednym szturmem, a w latach dojrzalszych usiłował zburzyć powoli i cierpliwie. Nadaremnie! Wznosił się on zuchwale jak dawniéj cały i mocny, niezdobyty i niepokonany! I on sam bezsilny stał przed nim, a za nim dziecię jego, które miało, zginąć, bo tak chciały duma i ambicya. Nie, nigdy!

Porwał się z krzesła.

— A więc sam muszę działać!

Jenerał powstał także.

— Co pan zamierzasz? spytał.

— Najprzód pojednać się z córką moją, wesprzeć ją radą i środkami, jakie są w mocy mojéj. Kiedyś pan przysłał pistolet synowi swemu, zdawało się, że nic go już uratować nie potrafi; ojciec skazywał go na śmierć—a najlepszy przyjaciel radził córce mojéj, by wróciła do siebie, bo jéj obecność utrudnia tylko położenie pana Werbena. Ale ta, któréj chodziło o to, by uratować ukochanego za jaką bądź cenę, chociażby nawet kosztem politowania najlepszego przyjaciela jego, skwapliwie chwyciła się projektu, który zręczna powiernica nasunęła znowu, a który miał tę dobrą stronę, że usuwał pana Werbena z pod wpływu tak niebezpiecznéj przyjaźni. Nadto pociąg do Sundinu odchodził rychło,—co nie zostawiało długiego czasu do namysłu, i tak syn pański dał się namówić do podróży,

mającéj na celu ukaranie oszusta, który go zgubił. Mam nadzieję, że w Sundinie spotkam ich i będę mógł powiedzieć mu, że długi jego do mnie już należą teraz. Jeżeliby pojechali do Wissowa, i tam pogonię za nimi. W Wissowie synowiec mój połączy się ze mną, i do błogosławieństwa ojca doda serdeczne życzenie przyjaciela, a jednak przyjaciel tén na punkcie honoru nie da się prześcignąć nikomu.

Wyczerpała się nareszcie cierpliwość namiętnego człowieka, w ostatnich słowach brzmiał już gniew hamowany. Zapiął surdut i wyciągnął rękę po kapelusz.

W tém urzędnik wszedł na salę i oświadczył, że pociąg gotów już. Jednocześnie oddał jenerałowi depeszę telegraficzną.

Jenerał przeczytał w niéj, co następuje:

„Przybywaj natychmiast. Okropna burza. Będę musiała może do Reinholda. Ciotka sama z nim—przybywaj dla mnie, dla ciotki, która oddaje się nam. Chodzi tu o wszystko

Elsa.“

Schmidt zbliżył się do jenerała.

— Żegnam pana, rzekł.

— Jadę z panem, odpowiedział jenerał.

Schmidt spojrzał zdziwiony. Milcząc, wyszli obadwa i razem siedli w jednym wagonie.

Pani Wallbach była już w swoim pokoju, kiedy hrabia Golm, wyprzedziwszy baronowę i Elsę, wrócił raz jeszcze na zamek i w krótkich słowach zawiadomił Karlę o niespodzianém spotkaniu swojém z Elsą i Reinholdem.

Wiadomość ta żywo poruszyła Karlę, bo chociaż oddawna już nie tajną jéj była miłość Elsy, brakowało jeszcze temu owéj jawności, która ostatecznie, odbiérając wszelką nadzieję hrabiemu, miała posłużyć do ustalenia jéj własnego z nim stosunku. To téż zaledwie powiedziano jéj, że bratowa obudziła się, natychmiast pobiegła do niéj i w żywych barwach skreśliła obraz wczorajszego wypadku.

Ludwika słuchała ją w milczeniu, powoli popijając czekoladę, którą zwykle przynoszono jéj do łóżka.

Ona jedna w całym domu, zdaje się, miała minę spokojną jak zawsze. Po całodziennéj drzemce, doskonale spała w nocy, pomimo grzmotów i piorunów; budziła się na chwilę i znowu zasypiała snem szczęśliwych, i tak wypoczywała aż do godziny 10-éj rano. Wówczas nastąpiła chwila odświeżenia sił czekoladą, którą najspokojniéj spożywała, pomimo wzruszającego opowiadania Karli.

— I cóż mówisz na to? zakończyła ta nareszcie.

— I cóż mam mówić? Nie rozumiem tylko, dla czego cię to tak porusza. Co cię to obchodzi, ciebie albo Golma? On przecie z jedną z was tylko mógł się ożenić, i zdaje się, że tą jedną ty teraz będziesz.

— Ale co Edward powie na to?

— Edward? nie wiem. Ale im bardziéj zastanawiam się nad tém, tém większego nabiéram przekonania, że on sam wysłał nas tutaj dla tego tylko, byście się z sobą porozumieli. Sądzę tylko, że tak z jego, jak z waszéj strony byłoby daleko przyzwoiciéj, gdybyście mię o tém uprzedzili. Powiem to dzisiaj Edwardowi, za przyjazdem naszym do Berlina.

— Naszym? zdawało mi się, że miałaś sama jechać.

— Co ty mówisz Karlo? jakżebyś tu mogła teraz pozostać? Nie powinnaś ani jednego dnia dłużéj bawić u ciotki Ottomara. Ja przynajmniéj nie chcę brać w tém żadnego udziału i dziś stanowczo wyjeżdżam, a jeżeli ty nie pojedziesz,—no, to jak sobie chcesz. Posłałam już do baronowéj, prosząc o konie.

W téj chwili wróciła pokojowa, oznajmując, że baronowa przeprasza, ale na żaden sposób nie może teraz dać koni, bo sama koniecznie musi jechać z panną Werben.

Ludwika udała się natychmiast sama do baronowéj, chcąc się z nią osobiście rozmówić.

Znudzona wsią i oburzona intrygą, którą szwagierka odegrywała w jéj oczach, postanowiła nieodmiennie wyjechać dnia tego, ale na widok baronowéj bladéj i znużonéj, zapomniała o wszystkiém. Żal się jéj zrobiło biednéj kobiety; radziła jéj, by położyła się do łóżka i sama ofiarowała się zastąpić jéj miejsce i jechać z Elsą do Wissowa. O narzeczonym Elsy słuchała bez zadziwienia i bez żadnéj oznaki nagany lub szyderstwa. Na prośbę baronowéj, by w jéj nieobecności chciała przyjąć Giraldi'ego, który oczekiwanym jest za chwilę i wytłómaczyć konieczność jéj wyjazdu, zgodziła się chętnie.

Uprzejmość i wyraźna życzliwość Ludwiki wielką zrobiły przyjemność Elsie. Podziwiała dobroć i odwagę téj kobiéty, któréj nicość w przysłowie prawie weszła, a która jednak w chwili stanowczéj i w obecności Karli, nie troszcząc się o nikogo i o nic szła za popędem własnego serca i uznawała to, co sama uważała za dobre.

Szybko się pożegnawszy z panią Wallbach i raz jeszcze przeprosiwszy ją za naruszenie praw gościnności i wyjazd, który w takiéj chwili mógł się tylko tłómaczyć wielkością niebezpieczeństwa, na

jakie narażony był narzeczony Elsy, i zupełnym brakiem wiadomości od niego, baronowa z Elsą opuściły Warnow. Elsa jednego tylko pragnęła w téj chwili: jechać, jechać co najprędzéj!

Ale o prędkości jazdy mowy dzisiaj być nie mogło. W skutek nieustannego deszczu, grunt tak rozmiękł, że koła zarzynały się aż do osi prawie, a konie ledwie stąpać mogły. Dało się to uczuć szczególnie, jak tylko wjechano na pochyłość, która łączyła Warnow i grunta dworskie z rozległą płaszczyzną, przytykającą aż do wzgórz nadmorskich. Dwór i wieś leżały na podwyższeniu, w razie więc powodzi, która, jak utrzymywał Reinhold, musiała nastąpić, jeżeli burza nadejdzie od wschodu, wody zalałyby całą płaszczyznę i zamieniłyby Warnow na wyspę. Położenie to wcale niemiłe, mówił dzierżawca Warnowa, gdyż nie mamy naturalnie żadnéj łodzi, a historya może potrwać, nie wiedzieć jak długo, i trudno będzie wyżyć bez komunikacyi ze światem i z ludźmi, jeżeli naczelnik nie przeznaczy parę łodzi dla Warnowa.

We wsi, któréj powódź nie zagrażała nawet wcale, pomieszanie było ogólne. Burza ogromne poczyniła szkody, pozrywała dachy, potłukła okna, poprzewracała parkany i całe drzewa powyrywała. Ludzie we wsi radzili baronowéj, by się wróciła do domu, lecz Elsa wołała wciąż: daléj, daléj! i jechano daléj.

Dotąd jeszcze Elsa miała dość sił do ukrycia tego, co się w duszy działo, ale kiedy znalazła się po za obrębem zamku, gdzie było względne bezpieczeństwo, i kiedy na wszystkich twarzach ujrzała przerażenie, a wszędzie przedwstępne oznaki walki, do któréj natura się gotowała, odwaga ją opuściła, pochyliła głowę na ramię przyjaciółki i gwałtownym wybuchła płaczem.

— Płacz, płacz, kochane dziecię, mówiła Walerya, tuląc ją do siebie, przyniesie ci to ulgę.

— Przebacz mi, droga ciociu, że do własnych trosk twoich dodaję jeszcze i niepokój o siebie. Dziś w nocy jeszcze, kiedym czuwała przy tobie, przyszło mi już na myśl, że przeceniłam siły moje, że będę musiała opuścić cię i do Reinholda się udać. Rano więc zatelegrafowałam do ojca, by przyjeżdżał natychmiast. Wiem, że ojciec przybędzie dziś wieczorem jeszcze, a kiedy ten, którego się lękasz stanie przed tobą, ojciec mój znajdzie się obok ciebie, a on cię lepiéj niż ja potrafi obronić.

— Daj Boże, by się tak stało, jak mówisz, ale ja nie spodziewam się tego. Dla twego ojca istnieje tylko sprawiedliwość; wyrazu łaski on nie rozumie i pogardza tymi, którzy proszą o nią. Ach, Elso, nie chcę oskarżać ojca twego, ale wierz mi, że inaczéj i lepiéj byłoby dla mnie i dla nas wszystkich, gdyby on był rozumiał

te słowa pełne głębokiego znaczenia, że niebo się zamyka przed dumnymi.

Elsa umilkła; myśl jéj znowu wybiegła naprzód. Powóz posuwał się tak powoli, że zdawał się wcale nie ruszać z miejsca. Parę razy tam, gdzie się przerywało pasmo wzgórz, tak gwałtowny zadął wicher, że zdawało się niepodobieństwem, by powóz mógł się utrzymać. Utrzymywał się jednak, jak gdyby cudem; konie same stawały i ciężarem ciał swoich opiérały się natarczywości burzy. W takich chwilach, kiedy oko sięgało po za płaszczyznę aż do morza, przed falistą linią szarych wzgórz, od Golmberga aż do przylądka podnosiła się i opadała druga, biała linia; tu i owdzie piętrzyły się na niéj wysokie jak dom wały, co niby olbrzymie jakieś, magiczne postacie wznosiły się groźnie i opadały w jednéṁ miejscu, aby za chwilę pokazać się na innéṁ. Było to morze, to samo morze, co o sto kroków od wzgórz uderzało o płaskie brzegi i rozlewało się po gładkim piasku, jak owego wieczora, kiedy Elsa z zachwytem przyglądała się burzliwym falom jego. Biała piana pryskała wówczas na uśmiechniętą jéj twarzyczkę, a ona patrzyła spokojnie w ciemną noc i zachwycała się długiemi wstęgami traw, co słały się po wzgórzach. Gdzież się podziała owa wesołość, co umiała ciemny, dżdżysty wieczór uczynić piękniejszym od najjaśniejszego dnia? Gdzie swoboda serca, które marzyło o miłości pełnéj blasków słońca, zapachu róż, śpiewu słowików? Gdzie się te sny podziały, gdzie znikły przed rzeczywistością? A jednak rzeczywistości tej biedne serce dziewczęcia nie zamieniłoby na raj, jeżeliby w tym raju nie miało widzieć jego ukochanéj postaci.

— A jeżeli i teraz go nie ujrzę!

Słowa te głośno wypowiedziała, przerażona widokiem, jaki się przedstawił jej oczom, kiedy minąwszy pasmo wzgórz, które na krańcu przylądka nad samém morzem się urwało, tuż przed sobą ujrzała Wissow. Mały półwysep, długi na ćwierć mili a szeroki na połowę tego zaledwie, wyglądał jak wązka deska, na któréj dziecię ustawiło zabawkę swą, chcąc ją zrzucić potém w wir szumiącego potoku. Morze, które dotąd wciąż widziała tylko z daleka, i to po większéj części zasłonięte piaszczystemi wzgórzami, tutaj mały ten kawałek piasku otoczyło jednym olbrzymim wałem, którego ząbkowana linia wciąż się wznosiła i opadała, i znowu wznosiła, i pienistą falą uderzała o szary piasek i rozlewała się między małemi domkami.

A jednak i te małe, maluczkie domki były jeszcze pewném schronieniem, ale czyż mogła się spodziéwać, że on ją spotka na progu któregokolwiek z nich? Nie, nie było go tu! Był on tam,—

tam, gdzie jak okiem dojrzéć, ogromne bałwany piętrzyły się jeden za drugim,—tam gdzie morze łączyło się z szarém niebem, jak gdyby na zagładę świata całego.

Tegoż dnia, około czwartéj po południu, pani Wallbach siedziała w salonie Warnowa, i pomimo hałasu, co panował na dworze, zamierzała utopić nudy w poobiednim śnie, kiedy oznajmiono jéj o przybyciu Giraldiego.

— Mógłby był zaczekać jeszcze godzinę, rzekła do siebie pani Wallbach; niech mu podadzą obiad, a potém prosić go do mnie.

— Pan Giraldi usilnie prosi o to, by mógł natychmiast widzieć się z panią, rzekł François.

— Dobrze, wszystko mi to jedno.

Giraldi wszedł natychmiast. Był jeszcze w stroju podróżnym. Pomięte ubranie, włosy rozrzucone, ponury blask oczu zwykle spokojnych i oblicze, zawsze gładkie, a teraz porysowane bruzdami i zmarszczkami, tak niezwykły wyraz nadawały całéj postaci jego, że pani Wallbach, spojrzawszy na niego, zawołała:

— Ale, jakże pan wyglądasz!

— Przepraszam panią. Przez całą noc dzisiejszą walczyć musiałem z tysiącznemi przeszkodami, które utrudniały mi drogę, nareszcie przybywam tu i dowiaduję się, że pani baronowa, z którą mam do pomówienia o bardzo nagłych i ważnych interesach, wyjechała gdzieś.

— Najprzód usiądź pan, rzekła pani Wallbach. Stojąc wciąż i tak szybko mówiąc, drażnisz mi pan strasznie nerwy.

— Przepraszam panią raz jeszcze.

— Niema potrzeby; zostałam tutaj dla tego tylko, by przyjąć pana, chociaż przyznam się, że mi to wcale przyjemności nie robi.

— Nie będę więc utrudzał panią i zajmował drogiego jéj czasu.

— Bądź pan łaskaw siédzieć i wysłuchać mię spokojnie. Muszę wypowiedziéć przed panem to, co sobie postanowiłam. Tak, tak, możesz pan sobie pogardliwie patrzéć na mnie. Uważasz mię pan zapewne tak jak i inni za istotę nawpół dziecinną a na wpół ograniczoną; ale, kochany panie, wiesz pan o tém, że dzieci i głupcy mówią prawę, a prawdą jest to, że gdybyś pan nie wmięszał się do tego, Karla byłaby została żoną Ottomara, i wszystko byłoby jak się nale_

ży; tymczasem teraz, ona sobie galopuje z hrabią, chociaż mówiłam im, że to szaleństwo i wstyd.

— Nie możesz pani przecie czynić mię odpowiedzialnym za pociąg wzajemny dwóch serc, rzekł Giraldi szydząc.

— Daj pan pokój. Te trochę serca, jakie Karla posiada, należało do Ottomara. A co się tyczy hrabiego, z początku ona sama za nic go nie miała, ale jak pan przybyłeś, wszystko się zmieniło. I dla czego? Boś pan chciał, żeby się on nie ożenił i lekkomyślne swe życie dalej prowadził. Postanowiłeś pan mieć go w swoich rękach. I doskonale się to panu udało, jak powiada Karla, a ja mówię, że nie doskonale ale szkaradnie, bo Ottomar zawsze był uprzejmy i grzeczny dla mnie, i wolę go tysiąc razy od hrabiego; a Elsę szanuję za to, że nie dba wcale o hrabiego, chociażby on był hrabią dziesięć razy, i zaślubi swego kapitana, chociaż, jak dla panny Werben, jest to trochę dziwna, ale to już jéj rzecz. A teraz pojechała do narzeczonego z baronową, co znajduję zupełnie naturalném. Za parę godzin powrócą i to właśnie miałam panu powiedzieć. Ale jeszcze słów kilka dodam. Sądzisz pan, żeś dokazał cudu, zerwawszy związek Karli z Ottomarem; nie mniej pana musi cieszyć to, że Elsa traci także swój majątek, ale mylisz się pan bardzo: baronowa i Elsa to jedno serce i jedna dusza, baronowa nie będzie miała nic przeciwko temu, by Ottomar zaślubił kuzynkę kapitana, i spadek swój zostawi Elsie i jéj bratu. Jabym to samo na jéj miejscu zrobiła. A oto François, przyszedł zapewne prosić pana do stołu. Życzę panu dobrego apetytu.

Ostatnie te słowa pani Wallbach wymówiła tak jak poprzednio, bez cienia szyderstwa. Całą tyradę wypowiedziała zwykłym swym powolnym tonem, opierając swą piękną głowę na fotelu i wciąż patrząc na sufit, jak gdyby wszystko to było tam napisane, a ona po prostu odczytywała.

Nic wszakże nie mogło doprowadzić Giraldiego do większej wściekłości, jak ten nienaruszony spokój i otwarta mowa kobiéty, którą on dotychczas uważał za zero. I ta to lalka ośmieliła się wypowiedzieć mu to wszystko w oczy, odsłonić sieć intrygi, którą tak tajemniczo i tak starannie zaciągał, a co największa, ukazać najzupełniejszą bezużyteczność jéj.

Póki mówiła, siedział blady i nieruchomy, potém milcząc ukłonił się i przeszedł do sali jadalnéj. Tu dopiéro puścił wodze szalonemu gniewowi, którym wrzały piersi jego. François, kręcąc się koło stołu, najspokojniéj patrzał na to, jak pan jego tupał nogami, rwał włosy i przeklinał.

— Czemu nie mówisz nic? zawołał wreszcie.

— Tak szczegółowo pisałem panu o wszystkiém

— Nie pisałeś mi nic, coby warte było czytania! Dla czego nie zawiadomiłeś mię o przyjaźni baronowéj z panną Werben? Mów, co tu więcéj zaszło!

— Oprócz tego, com już panu powiedział, nie wiem nic ważnego. A prawda—ledwiem nie zapomniał!

Kłamał. Nie zapomniał o tém, ani na chwilę—rozmyślał tylko nad tém, kogo ma zdradzić z kolei, baronowę czy włocha, co mu więcéj przyniesie?

— Czy będziesz mówił? zawołał Giraldi, podnosząc pięść.

— I znowu zapomniałem, odrzekł François, zuchwale patrząc w oczy Giraldiemu.

Giraldi spuścił rękę.

— Ile? zapytał.

— Nie mogę żądać mało; pani baronowa tyle dowodów dobroci swéj dawała mi teraz,—a pan, nie będziesz mi już zapewne ufał więcéj.

— Ile? powtórzył Giraldi.

— Dziesięć tysięcy franków.

Giraldi rzucił pieniądze na stół. François podał mu kartkę. Była to kopia telegramu Elsy do ojca.

François spodziéwał się ujrzeć najwyższe przerażenie na twarzy pana swego, ale się zawiódł. Giraldi, który przed chwilą drżał z wściekłości i gniewu, krzyczał i rzucał się jak szalony, teraz zwykłym swym spokojnym tonem zapytał:

— Gdzie i kiedy to oddano?

— Dzisiaj rano o piątej.

— Jak daleko stąd do Wissowa? konno?

— Szybko jadąc, można stanąć za półgodziny.

— A powozem?

— Ledwie za godzinę.

Giraldi popatrzał na zegarek.

— Niema jeszcze pół do piątéj. Przygotuj się, za dziesięć minut powieziesz list do Wissowa.

— Niepodobna panie. Ani jednego konia na stajni.

— Szukaj go sobie, gdzie chcesz. Jeżeli baronowa wróci na szóstą do zamku, dostaniesz jeszcze 1.000 franków.

— Dwa tysiące, panie.

— Dobrze! A teraz papiéru i atramentu—prędko.

François wybiegł z pokoju. Giraldi pisał:

„Twój wyjazd, Waleryo, jest albo ucieczką, albo pozorem tylko. Niestałość twą przebaczam ci przez wzgląd na przeszłość naszą. Jeżeli miłość twoja przygasła, to ją wskrzesi na nowo kopia listu, którą tu załączam — oryginału boję się powierzyć posłańcowi. Wiara moja nie omyliła mię—jak widzisz—wiara i miłość czynią mię silniejszym od ciebie; siły téj mojéj używać teraz będę już nie dla siebie, ale dla syna mego; używać będę bez miłosierdzia. Znasz mię Waleryo! Z uderzeniem godziny szóstéj opuszczam zamek na zawsze, unosząc z sobą całą sumę wziętą za dobra warnowskie. Pieniądze te należą do ciebie i do syna twego, albo do syna twego tylko, jeżeli się go wyrzekniesz. Ale to być nie może. Serce matki musi się wzruszyć, musi skłonić do dziecięcia swego.

Warnow. Godzina pół do piątéj po południu.

Giraldi.

Potém wyjął list, który po powrocie z balu Filipa znalazł był u siebie i przeczytał dopiéro na sali dworca. Teraz przepisał go szybko.

Był to list ojca Ambrosia, który na śmiertelném już łożu zawiadamiał Giraldiego, iż pewna staruszka w Arcoli, na przedśmiertnéj spowiedzi zeznała przed nim, iż się nazywała niegdyś Barbarą Cecutti i była matką owego Lazzaro, co porwał był dziecię w Pestum. Matka Michele znalazła ją w lesie, umierającą z głodu wraz z dziecięciem porwaném. Zabrała do siebie oboje. Kobiéty wzajemnie związały się przysięgą milczenia co do dziecka: Barbara dla uniknięcia prześladowań policyi; matka Michele dla tego by nie stracić dziecięcia, które sobie przyswoiła, nie mając własnych. Śmierć obu kobiét rozwiązała przysięgę, a zarazem wykryła, że Antonio Michele jest prawdziwym synem Giraldiego.

Zeznanie to ojca Ambrosia stwierdził własnoręcznie przeor klasztoru jego i dołączył do tego wiadomość, że ojciec Ambrosio nie żyje już.

Giraldi, wyprawiszy François, zbliżył się do stołu i, nalawszy szklankę wina, wypił ją powoli; potém założywszy w tył ręce, zaczął chodzić po pokoju.

Teraz już znowu spokojnie rozważał położenie swoje. Czego, się tak unosił przed chwilą? czego zaniepokoił? Nic się nadzwyczajnego nie stało; nic, coby mogło mu popsuć oddawna ukartowane plany. Ottomar, wplątany w zawikłaną intrygę, znajduje się w położeniu bez wyjścia. Elsa miłość swoję dla biédnego kapitana musi opłacić bogatém dziedzictwem. W jego ręku ogromny kapitał wzięty za dobra warnowskie; kapitał ten należy do Waleryi, a te-

raz do syna jéj, szczęśliwie odnalezionego, a zatém musi się jemu samemu dostać. Bo czyż może być inaczéj? Cóż zostaje Waleryi do wyboru? Chce czy nie chce, musi już teraz stać zawsze przy jego boku. A jeżeliby się zawahała nawet, dość mu będzie chwilki rozmowy sam na sam, a znowu będzie ją miał w swéj mocy. Wpływ jego nie mógł tak osłabnąć, by śmiała się nie stawić na jego wezwanie. Cierpliwości zatém! Jenerał nie może stanąć przed szóstą w Warnowie, a zatém godzina czasu jeszcze pozostaje. Godzina cała! W godzinę nie jedno królestwo zdobyto, nie jedno utracono!

(*dok. nast.*)

DAWNE DROGI I SZLAKI

NA PRAWYM BRZEGU DNIEPRU

i ich znaczenie historyczne.

Od epoki, która poczyna historyą, od pierwszego prawie zawiązania się w stan towarzyski ludów, osiadłych na prawym brzegu Dniepru, tj. Polan i Drewlan, musiały się koniecznie pojawić i drogi, bądź dla komunikacyi osady z osadą, bądź dla powiązania z sobą odleglejszych a również zamieszkałych części kraju. Jakkolwiek Polanie rozdzieleni byli od Drewlan zaporami natury, rozległemi lasami, jednakże od pierwszego osiedlenia tych dwojga plemion słowiańskich, z pewnością łączyć ich z sobą musiały jakie takie stosunki, ile że jedni i drudzy nie byli ludem w lasach przeważnie rozpierzchłym, w dzikości zagrzęzłym, ale plemieniem zamożném, usposobioném do towarzyskości, i nie bez stosunków z obcemi. Posiadając nadto miejsca ochronne i ubezpieczone, to jest tak zwane „grody,“ i zamieszkując krainę „dobrze uprawną“ i „ludną,“ jak się wyraża jeden z arabskich pisarzy (Monum. pol. hist. Bielowski. T. I. str. 845), z pewnością wcześnie téż bardzo przestali oni żywić się zdobyczą myślistwa lub owocem boru i chodzić ścieżką dzikiego zwierza. I jeżeli wznosili oni już u siebie miejsca obwarowane, tak zwane „grody,“ toż znaczyło, że ludność ich zdołała się ciaśniej skupić, społecznie urządzić i krąg swych stosunków pomiędzy zamieszkałemi punktami ziemi swojéj coraz to daléj rozszerzać. Toż naturalnie wykształciły się, co za tém idzie, i urządzenia komunikacyjne; najprzód handlu miej-

scowego, a potém sięgającego daleko już po za obręb plemienia, wytworzyły się związki.

Stąd bardzo wcześnie stosunki handlowe spowinowaciły ich z Grecyą. Dniepr, będąc przyrodzoną wodną drogą, wcześnie też, jak wiadomo, sprowadził do nich greckich handlarzy, którzy, przybywając tu w widokach zysku, nie przestawali na samym Kijowie, jako wybraném siedlisku najbardziéj rozwiniętych społecznych stosunków i w którém mógł być główny niejako punkt zetknięcia się i porozumienia ich z krajowcami; ale do zacisznych polan ich i lasów zaglądali i rozpraszali się po manowcach, prowadzących od zagrody do zagrody. Niektórzy z przybyszów tych, dla frymarku i handlarstwa stale osiadali tu nawet. Niezaprzeczenie iż stalszy pobyt w tych stronach Greków, przynoszących tuziemczéj ludności rozmaite dary kultury, musiał też zarówno wpłynąć i na zaprowadzenie w ich ziemiach ulepszonych nieco drożnych komunikacyj. Następnie dowiadywali się tu dla handlu Żydzi i Arabowie. Ci ostatni przywozili z sobą wschodnie towary a w zamian dostawali bobrów i innych kosztownych futer, (Massudy, Łąka złota etc. między 743 r. a 998— d'Ohsson, Des peuples du Caucase 86—89).

Ale jednocześnie oprócz Greków i innych kupieckich ludzi, dla krajowców dość zawsze pożądanych gości, tenże Dniepr oną ziemię Polan i Drewlan niezbyt już miłemi, ale nierównie donioślejszego znaczenia nabawił gośćmi. Mamy tu na myśli Waręgów. Cudzoziemcy ci, już nie z południa, ale z północy, przybywający z początku pod pozorem handlu, płynęli Dnieprem, aby dostać się na Czarne morze do Bizancium (jak mówi Nestor, że Dnieprem była droga z Warąg do Grecyi—bie put' z Warag w Greki); ale w końcu wyprawy swoje kupieckie na zbrojne zamieniwszy wycieczki, z kupców i gości przeistoczyli się powoli w „zaborców“ (nasilnicy). Toż najpierw Waręg Oskold w przejeździe swoim do Grecyi zatrzymał się w Kijowie w postaci „gościa“ czyli kupca jadącego do Carogrodu, i zabrał ten gród i zapanował „nad polską ziemią“ (i naczęsta władieti polskoją zemleją—Nestor Monum. polon. hist. str. 565); następnie Oleg krewny Ruryka Waręga z Nowogrodu, mieniąc się też „gościem“ czyli kupcem w przejeździe też do Grecyi, podstępnie zabił tegoż Oskolda i „siadł na księstwo w Kijowie“ (tamże str. 567). Odtąd ci poszukiwacze przygód i losu, pospołu ze zbrojnymi swymi orszakami wdarłszy się w kraj, wrośli tu i zagnieździli się. Naturalnie, że Kijów, który stał się odtąd stolicą ich, musiał też im służyć za podstawę dalszego rozszerzenia się, za punkt wyjścia, skąd dokoła mogli oni już swoje szerzyć zabory i podboje. Drogi lądowe istniały już wtedy w kraju Polan i Drewlan; bo jeszcze za narodowych rzą-

dów legendarnego Kija tak zwany „przewóz“ jak to widzimy z Nestora (tamże str. 556) wiązał przeciwległe brzegi Dniepru, ale prawdopodobnie tych dróg mało się widzieć dawało; te zaś źle przeprowadzone i utrzymane były, ile że tam co krok prawie natura człowiekowi, przez postać gruntu, wielkie i niepokonane stawiała przeszkody. Rzeki i strugi z bagnami i moczarami co chwila stawały mu w poprzek. Toć przeprawy przez te wylewy i bagniska dla drużyn orężnych waręgskich obarczonych żywnością i bronią musiały być bardzo niedogodnemi, bo na tych trzęsawiskach ani krzepko stopy postawić, ani kroku pomknąć było, a właśnie w epoce, o któréj mówimy dla drużyn tych wojskowych, tu i tam śpieszących, swoboda w przechodach i ruchu była koniecznie potrzebną.

Jeszcze zimą, gdy stanęły wody, ziemia skostniała, błota stężały, mieli oni drogę otwartą po lodach, zamarzłych rzekach, ale latem, aby dotrzéć we wnętrze kraju, zbrojna ich siła musiała używać chyba dróg wodnych, owych przyrodzonych gościńców, stanowiących w one czasy jedyne drogi wojenne. Bo na drogach lądowych nie tylko sama natura stawiała im niepokonane częstokroć przeszkody, ale drogi te zagradzała im jeszcze nieprzyjaźń samychże krajowców, którzy w obronie swych zagród wrogowi w przeprawie jego przez bory, tysiące umieli stawiać przeszkód i zasadzek. Toż Waręgowie, aby uniknąć tego wszystkiego i głąb kraju mimo to dostępną sobie uczynić, za pomocą swoich łodzi i wioseł drogami wodnemi po rzekach spławnych dostawali się gdzie chcieli. Obfitość dróg wodnych była wielka: z Dniepru z jednéj strony wpływali oni na Teterów lub Irpień, Uszę lub Horyń, z drugiéj na Sożę, Trubeż lub Desnę (drogi komunikacyjne w dawnéj Rusi przez Chodakowskiego—rękopism).

W czasach jednak, gdy ci przybysze coraz to mocniejszą utwierdzali się stopą w kraju zabranym, to jest tak w Kijowie jak w „Polaniech“ i w „Derewniech,“ przy wyższym rozwoju państwowych i społecznych stosunków potrzebować téż musieli i komunikacyj lądowych, dróg nieco ulepszonych, odpowiednich, dogodnych, bądź dla ruchu i przewozu (ile że owe pomniejsze rzeki tylko w pewnéj porze roku to jest na wiosnę były do żeglugi zdatne), bądź dla dostania się do więcéj oddalonych i mniéj dostępnych miejsc, i dla uobecniania wszędzie, chociażby w najdalszym i najgłuchszym kraju tego zakątku swojéj władzy, swojego podboju.

A władza ta uobecnianą była właśnie przez owe wojskowe orężne drużyny, wysełane co chwila dla wybiérania dani od krajowców. Toż zaraz tak od brzegów ku wnętrzu jak i na odwrót, stanęły szersze, przestronniejsze otworem drogi, i zatętniły od cwału kopyt. Drużyny

książęce, lecąc tam i owdzie owemi drogami, gdzie wypadała potrzeba, to jest gdzie należało ściągnąć z mieszkańców daninę, nigdy z próżnemi nie wracały rękami. Toć np. mołodcy Swenaldowi (r. 945) w kraju Drewlan „w oręże się i suknie przyodziewali;“ to znów inni z nich „szukali dani“ lub po prostu „jak wilcy pragnący łupów i grabieży“ (Nestor w Monum. polon. hist. T. I. str. 596, 7, 8) wilczém żyli prawem, wszędzie się wciskając, jako nieproszeni goście natrętni a groźni i robiąc wycieczki śmiałe aż do najgłuchszych, dotąd od żadnego podboju niedosiężonych okolic. Za ich konnemi orszakami szły tedy i naładowane wozy, pełne uzbiéranych danin, kosztownych futer, kuju biłek. Rzecz prosta, że dla przeprowadzenia tego ciężkiego wojska, dla przejazdu onych naładowanych wozów, w kraju błotnistym, grzązkim, leśnym musiano téż budować mosty, sypać groble, przecinać lasy albo brzegiem trzęsawisk twardą znaczyć drogę. Już na drodze tak zwanéj Wasylewskiéj (w r. 996) idącéj do Kijowa, stał most, pod którym jak wiadomo, ukrył się był Włodzimierz W. przed ścigającym go nieprzyjacielem (tamże str. 671). Kiedy w 1014 r. Jarosław syn Włodzimierza W. nie chciał płacić dani do Kijowa, Włodzimierz rzekł do drużyny: „*trzebcie drogi i mośćcie mosty*, chciał bowiem iść na Jarosława syna swego“ (tamże str. 676).

Widać tedy, że przed każdą wyprawą był wysélany pewien oddział wojska, który szedł przodem już dla wybadania leśnych tajników, już dla robienia przesiek, stawiania mostów na oparzeliskach i trudnych do przeprawy miejscąch. Nigdy może na tutejszych drogach nie było tyle orężnego ruchu co wtedy: żelazna stopa tych rycerzy wciąż deptała tę ziemię, wędzidłami dzwoniły ich rumaki; jedni z nich spieszyli „w nieznajome pola“ na Pieczyngów lub Połowców; drudzy uwikłani w waśń swoich kniaziów, uganiając się po tych drogach jedni z drugimi walczyli, krwawe i zacięte staczając boje. Drogami temi przeciągały ich tabory, skrzypiały telegi, jak mówi śpiewak o półku Igora: „kurz pokrywał pola, konie rżały, ziemia tętniła.“

Już w innem miejscu tylekroć nadmieniło się, że rzeka Stuhna w bliskiéj okolicy Kijowa, w dalszéj Unauda, Irpień stanowiły jakby linię rozdziału dwóch zupełnie innego pozoru, innego oblicza miejscowości, to jest leśnéj i polistéj.

Rzut oka na mapę łatwo okazuje różnicę tych dwóch okolic odrębnego typu i natury. Ale w epoce, która nas zajmuje dwie te miejscowości o ileż bardziéj jeszcze różniły się między sobą postacią, typem i fizyognomią.

Na téj linii rozdziału konały już lasy a rozpoczynały się wiel-

kie, nieobjęte, w wypasy obfitujące równiny, rozpoczynał się kraj otworzysty, którego cechą przeważną była bezleśność. Dwie te dzielnice nie tylko różniły się między sobą znamionami fizycznemi, ale i pod względem społecznym stanowiły one wówczas dwa osobne, ostro odgraniczone światy, tworzyły dwie niemniéj charakterystyczne krańcowe sprzeczności. W pierwszéj bowiem płynęło życie osiadłe, w drugiéj bezdomowe. I w istocie gdy w pierwszéj rozlegał się głos oracza idącego za pługiem, przewijały się pasma żniw, dymiły wiejskie kominy, dzwoniły niedzielne dzwony; w drugiéj tylko odłog wieczysty, step jednostajny, przestrzeń dzika, pusta, bez pożytku leżała ziemia; i gdy w pierwszéj wszędzie były miejsca urzędowe na stały pobyt ludzi, to jest liczne grodziska i sioła, z których dokoła wiał duch rodzinny z gospodarskiemi zachody, to w drugiéj przeciwnie ani wsi ani grodów nie było, tylko kraj w posiadaniu pokoleń konnych, hord luźnych, ludów niszczących, pod upięciem swoich namiotów dziś tu, jutro tam żyjących, z wrodzoną do gwałtownych czynów, do napadu i łupieztwa chęcią. Jedném słowem jak w pierwszéj obyczaj przeważał, tak w drugiéj chyba dziki nałóg.

Toż te dwie dzielnice, dwa niejako osobne światy, dwa odrębne rodzaje bytu mieszczące w sobie, miały téż i drogi odpowiednie sobie i właściwe.

Wspomniawszy o drogach, które w pierwszéj znajdywały się dzielnicy, zwrócimy teraz uwagę czytelnika na drogi dzielnicy drugiéj.

Jeograficzne położenie kraju wyradza częstokroć jego historyczne stosunki. Toć smuga stepu docierająca aż do wybrzeża lasów, położonych w bliższéj okolicy Kijowa, wiecznie téż, bo od najdawniejszych czasów, sprowadzała tu dzikie koczownicze narody, gnieźdźące się w głębiach Azyi środkowéj. Z tego téż powodu straszne o tę ścianę nieustannie biły gromy. Krocie też mogił pod Kijowem zaświadczają po dziś dzień, że tu od wieków koczownictwo usiłowało przełamać granice społeczności osiadłéj i regularnéj. Wiadomo, że jak dawniéj jeszcze Scytowie, Sarmaci, Roksolanie rozbijali z kolei w różnych odstępach czasu swoje namioty na tymże dzikim stepie, tak w chwili, która nas obecnie zajmuje, nowe też hordy barbarzyńców najezdniczą stopą swą wstąpiły w ich ślady. Chcemy tu mówić o Pieczyngach i Połowcach. Fale tych najezdników co chwila też uderzały o brzeg Rusi. To téż Rusini ze swéj strony walczyć bez przerwy musieli z temi dzikiemi napastniczemi hordami, które los na ich granicach umieścił. Granica ta była nie tak daleko od Kijowa, bo zaczynała się ona tam prawie, kędy się las kończył a step zaczynał, kędy już nie widać było dymów wijących się nad gościnnemi strze-

chami, a tylko słychać było kiedy niekiedy tentent cwałujących po stepie koni, gdzie się nareszcie urywały drogi właściwe, wozowe, ułatwiające społeczne obcowanie, a zaczynały koczownicze. Drogi te ostatnie wydeptywane co chwila najezdniczemi stopy, dawały téż wyobrażenie zakresu, który oddzielał posady ruskie od ludów koczowniczych, bo Rusini lubo w téj dobie miewali bardziéj jeszcze wysunięte stanowiska swoje aniżeli Kaniów i Pereasław, bo i Korsuń i Targowicę do swoich zaliczali grodów, w istocie jednak zajmowali oni tylko ten kraj ale go nie posiadali. Gdzie się więc te drogi zaczynały tam już się kraj Rusi osiadłéj kończył a zaczynał step—deptak, harcowisko ludów konnych.

Toć gdzieś od stepów od Donu Pieczyngi lub Połowcy drogami temi (przez gęslarza Igorowego nie dość zrozumiałym dziś terminem nazywanemi bo „**неготовами**“) jak gdyby „nieprzegotowanemi,“ improwizowanemi, rok w rok prawie napływali i rozpuściwszy w Ruś zagony swoje, łupieżyli, wsie z ludzi obierali, a narabowawszy się, temiż znów, co przyszli, uciekali manowcami. A drogi te, tak jak ich najazd, były tajne, skryte nie torowane, a tém mniéj znajome. Żałośny téż był widok tych dróg po każdym takim napadzie. Nestor, świadek współczesny, z prawdą wzruszającą kreśli obraz najazdu Połowców i owych nieszczęśliwych tłumów w jeństwo zebranych, z Rusi w stepy dalekie pędzonych. Te łupy z ludzi szły prawie co dzień: „Pędzono mnóstwo ludu chrześciańskiego (mówi on), smutni, dręczeni, od zimna skrzepli, w głodzie i pragnieniu i biedzie, z wybladłemi licami, ciałami zczerniałemi, językiem spalonym, nadzy i bosi szli w obce kraje, nogi mając cierniami pokłute; ze łzami opowiadali jeden drugiemu, mówiąc: jam z tego grodu, a drudzy: jam z téj wsi“ (tamże str. 773).

Jakże straszne w tych pustyniach odbywać się wtedy musiały dramaty!

Połowcy, napływając od Donu, szli tak zwaną u latopisów „drogą połowiecką“ przez dzikie „nieznajome pola“ się ciągnącą. Droga ta szła w przypuszczalnym kierunku, znacząc się tylko mogiłami i dotarłszy do Dniepru u brodu w Witvczynie pod Kijowem wchodziła na prawy brzeg Dniepru i tu się łączyła z właściwemi torowanemi osiadłéj Rusi drogami. Książęta Kijowscy dla dania odprawy tym najezdnikom nieraz kładli oręż swój wpoprzek téj drogi, i jak mówi stary pieśniarz, zagradzali ją „czerwoną tarcz ścianą.“ Mężni ci witezie albo plon i łupy odbijali albo w nieszczęsnym krew swą wylewali boju. Rusini lubili te stepowe pochody, świadomi owych dróg kryjomych, „pól nieznajomych,“ Rusin co nie znał manowca,

wstydziłby się. Toć śpiewak o półku Igora powiada, że drużynom książęcym w stepach „każdy przesmyk, jar każdy był znany.“

Ale od tych dróg, że tak powiemy, samorodnych, doraźnych, które koczownictwo udeptało, zaimprowizowało na prędce, wróćmy znów do dróg właściwych, które przemysł ludzki i kultura utorowała, ile że o drogach koczowniczych, zachowujemy sobie jeszcze szerzéj pomówić, gdy już dobrze późniéj, bo za czasów najazdów tatarskich opisywać nam wypadnie znowu te same dorywcze manowce tylko w większym zakresie, znane pod ogólném i krwawo pamiętném w dziejach naszych nazwiskiem „szlaków tatarskich.“

U samego Kijowa od strony zachodniéj na błoniu szeroko rozpościerającém się falowatą równiną, od miejsca, gdzie się zaczyna tak nazwany jar Hłuboczycki i skąd bierze wypływ swój mała rzeczułka Hłuboczyca aż do rzeki Syrca włącznie i Kryłowskiego monasteru, w 11-ym i 12-ym stóleciu rozciągała się miejscowość nazywająca się „Dorożyczem“ albo „Dorohożyczem“, miejsce to z pewnością było tak nazwane dla tego, że leżało u węzła dróg, u zbiegu trzech walniejszych do Kijowa schodzących się gościńców. Pierwszy z nich przychodził z południa, od przybytków cywilizacyi ówczesnéj, z Grecyi, stary historyczny jakby z góry naznaczony szlak dla kulturowego połączenia Rusi kijowskiéj ze starożytnym greckim światem, którym wędrowali kupcy tak zwani „grecznicy;“ drugi szedł z Wołynia, od czerwińskich grodów i Polski, jedném słowem z zachodu; trzeci nareszcie przyciągał od północy z Siewierza, Suzdalu i Litwy.

Ale to rozdroże, tak u wrót Kijowa położone, było szczególnie ważną miejscowością pod względem strategicznym.

Kijów w owe czasy od strony wschodniéj z powodu Dniepru i gór, za wyjątkiem pory zimowéj, był prawie niedostępny; od południowéj téż strony jary przepaściste i lasy utrudniały do niego wszelki przystęp; od północy zaś także broniły przystępu szerokie bagna, lasy i głębokie jary, tak że z jednéj tylko strony zachodniéj miasto to stało niejako otworem i właśnie tam gdzie owo leżało trójdroże. I aczkolwiek i tu Kijowa strzegły aż trzy bramy i wały, w każdym atoli razie oblegającym łatwiéj było, rozłożywszy się na tém szerokiém błoniu, na one bramy i wały nacierać, aniżeli z innych stron, atakując Kijów, walczyć nie tylko z ludźmi ale i z naturalnemi przeszkodami, jakie im wszędzie z każdéj innéj strony niedostępna nastręczała miejscowość.

Kijów więc wiecznie z téj strony stał dla każdego przychodnia otworem, skąd go téż zawsze oblegano i dobywano; i dla tego to pole zamiejskie, to trójdroże, było ustawiczną krwawych bojów

i zapasów widownią, i na niém téż najkrwawsze Kijowa i Rusi spoczywają wspomnienia. Książęta w ciągłych usiłowaniach dobicia się władzy i wzajemnego spychania się, kłócąc się z sobą i wojując, nieraz na tém, tak smutną sławą cieszącém się polu, przed temi bramami do orężnéj między sobą stawali rozprawy. Ileż to było wtedy zgiełku, ile kurzawy, ile tłumnego zamieszania! Zastęp na zastęp uderzał, iskry z mieczów leciały, strzały w powietrzu świstały, wrzał bój krwawy i zacięty („była siecza zła"). Owóż można powiedzieć, że to pole jest prawie całe krwią ociekłe i kośćmi zasiane. Ale oprócz tych walk i zapasów książąt z książętami, na témże polu stawały jeszcze do boju z Kijowianami hordy niszczycieli: Pieczyngów, Połowców, Berendejów, Torków, Czarnych Kłobuków i nareszcie Mongołów, których stepy ustawicznie nasełały na Kijów. Połowcy, przebrodziwszy u Wityczewa lub Zaruba Dniepr niżéj Kijowa, znaną już nam smugą stepu przypierającą do lasów kijowskich, ukradkowemi drogami na prawym brzegu Dniepru już się znajdującemi, wpadali i tuż pod Kijowem niezliczonemi pułkami jak las (aki borowe) czarnym stawali zastępem.

Od północy zaś inny znowu wróg—Suzdalczycy napływali, a także nie od Dniepru, ale zawsze od tego nieszczęśliwego pola grozili napadem. Na tém też krwawéj pamięci polu, wśród stanowczéj bitwy niejeden kniaź Warąg stawiał swą ostatnią stawkę; nie jednego z tych kniaziów niestateczny los tu się rozstrzygnął. Tu Włodzimierz W. w 980 r. wygrał bój walny, a brat jego Jaropełk poległ; tu w 1146 r. Igor Olgowicz przegrał bitwę i schwytany w Dorohożyckiém błocie; tu w 1151 r. Jerzy Dołhoruki oblegał przemożnie Kijów lecz musiał odstąpić; (Liet. Nestorowa według Królew. rękopismu, wydanie Berkowa str. 68, 199, 217). Tu nareszcie zaszła ostatnia walna rozprawa, nastąpił wielki krwi rozlew, gdy w 1240 r. Batuchan, chcąc zdobyć Kijów, najsilniejszy przypuścił był szturm do tak zwanéj bramy „polskiéj." (Karamzin Hist. p. ross. przekł. Buczyńskiego Tom IV str. 9).

Spotykające się atoli na „Dorohożyczu" tylko co rzeczone drogi, nie zawsze jednak orężnych do Kijowa sprowadzały gości, ale i w innén znaczeniu pojętych „gości" (hosti) czyli kupców cudzoziemskich, którzy do Kijowa głośnego ze swych bogactw i handlu z dalekich, a nawet zamorskich stron przybywali i w nim „gościli;" stąd „gośćmi" nazwani, prowadzący handel wielki zagraniczny i wielkiego znaczenia używający. Toć i drogi od tych „gości" zostały w mowie krajowéj „gościńcami" (hostynci) przezwane.

Ale dajmy bliższe nieco szczegóły o trzech onych walnych

drogach, które, jak wyżéj się rzekło, przy „Dorohożyckim“ splocie dróg schodziły się i łączyły z sobą.

Pierwsza z tych dróg prowadziła, jak mówiliśmy, z południa.

Znany jest wpływ cywilizacyjny Grecyi na Ruś kijowską.

Od najdawniejszych czasów Dniepr, jak wiadomo, był ową tak zwaną „grecką drogą“, za pomocą któréj cywilizacyjna potęga dawnego Bizancyum, ręka w rękę postępująca z handlem, aż do Kijowa docierała. Jednakże rzeka ta z powodu naturalnych, jakie miała w swém łożu, przeszkód to jest, tak zwanych „porohów,“ wcześnie musiała być zastąpioną przynajmniéj w znacznéj części przez drogę wozową, dogodniejszą nierównie dla przewozu, która, pilnując się brzegów téjże rzeki, szła od Kijowa aż do progów i daléj. O niéj tu właśnie mowa. Gościniec ten przeto, opuściwszy „Dorohożycze“ kijowskie i biegnąc jakiś czas w dół Dniepru, dzielił się na dwie drogi: z tych pierwszą był tak zwany w epoce dzielnicowéj „put' solany“, a drugą był tak zwany „put' założny.“ O ile zaś wszakże kierunek i położenie pierwszéj z tych dróg znaném jest mniéj więcéj, o tyle położenie drugiéj, z powodu milczenia w téj mierze latopisców, jest tylko przypuszczalném i stąd tylko same domysły i niepewności zapisaćby można. Czy „put‘ założny“ u „Wityczewa brodu“ lub u „Zaruba“ przechodził na lewy brzeg Dniepru i ze znaną już nam drogą „połowiecką“ się łączył, czyli też przeciwnie zwracał na południo-zachód i zmierzał na Wasylew (Wasylków) ku Bohowi, nie wiemy. Nawet samo nazwisko „założny, założnik“ jest dotąd niewytłumaczoném.

Ale wróćmy do pierwszéj drogi, zwanéj „solany put'“, idącéj, jak mówiliśmy, w dół Dniepru.

Droga ta jak zarówno i „put‘ założny“, według latopisców, ułatwiała stosunki handlowe Kijowa z Grecyą, a dla tego nosiła to nazwisko, że przemysłowcy, jak zaświadcza Rubruquis, chodzili tą drogą po sól do Tauryki. W ciągu peryodu dzielnic, aż do zapanowania mongolskiego, handel kijowski z Grecyą tak był obszernym i przedmiot jego tak ważnym dla książąt, że nieraz brali oni na siebie powinność przeprowadzania osobiście kupców, kupczących z Grecyą, i ochraniania ich taborów i transportów od napaści łupiezkich plemion, koczujących po ich drodze. Kupców handlujących z Grecyą nazywano „grecznikami“, tak jak Normanowie jeżdżący do Grecyi nazywani byli „Griskir-Grickir“ i o tych „grecznikach“ i straży bezpieczeństwa, którą im dawać musieli książęta, ochraniając ich od rabunku, ciekawe są wspomnienia latopisców. W 1084 r.

Dawid Igorowicz, młodszy wnuk Jarosława, jeden z najburzliwszych tego wieku książąt awanturników, zaskoczył „greczników" u Olesza (dziś Aleszki na lewym brzegu Dniepru na przeciw Chersonu) i zabrał im dużo towarów (Letop. Nestor. wydanie Berkowa str. 128); w 1167 r. według latopisa Kijowskiego, Połowcy, dowiedziawszy się o niezgodach książąt ruskich, zaczęli krzywdzić (pakostiti) „greczników." Widać ztąd, że w czasie pokoju ochraniali książęta tych kupców; jakoż tego samego roku Rościsław wnuk Monomacha posłał wojsko pod wodzą Władysława Lacha dla przeprowadzenia kupców w górę Dniepru. W 1168 r. tenże Rościsław sporządza całą ludną wyprawę z zebranych sił po całéj Rusi, z Włodzimierza, Łucka, Bielska, Dorobuży, Owrucza, Horodca, Halicza, a to dla obrony kupców idących z Grecyi. Jedenastu książąt, nawet oddalony Halicz, zebrało się na tę pomoc. Nie bywało większego skupienia sił nawet na wyprawy przeciwko Połowcom. Dowodzi to ogromu kupieckich karawan i ważności ich jednakiéj dla wszystkich krain Rusi. Wyrazy latopisców godne są uwagi. „Posłał Rościsław wielki kniaź kijowski po braci swoich i synów swoich. I poszli Mścisław z Włodzimierzem, Jarosław brat jego z Łucka, Jarosław z Buska, Włodzimierz Andrzejowicz, Włodzimierz Mścisławicz, Hleb Jurjewicz, Ruryk, Dawid, Mścisław, Hleb Horodeński, Iwan Jurjewicz syn i Halicka pomoc i stali u Kaniowa długi czas aż przyjdzie „*założnik i grecznik*" (u' Karamz. podług kron. Woskr. Kijow. i Nowogr. T. II. nota 410). Zastanawia, że książęta „długi czas" stoją u Kaniowa; wnosić by można, że kupców było dużo, więc nie odrazu wszyscy przyciągnąć mogli. Ale dla czego stanowisko strzegącego wojska jest u Kaniowa, zkąd do Kijowa żadne niebezpieczeństwo już karawanom grozić nie mogło? Chyba że u Kaniowa był tylko punkt zebrania, że tu stali póki nie odebrano wiadomości o powracających kupcach, a wtedy udawali się niżéj, albo że z pod Kaniowa jako z głównego stanowiska wyprawiali dolne czaty, lub też że koczowiska Połowców sięgały wtedy już Kaniowa i Rosi. Takie wyprawy dla bezpieczeństwa kupców musiały być coroczne, a tylko nie zawsze tak gromadne i znaczące, dla tego w latopisach zamilczane. Stosunki handlowe z Grecyą musiały być zwyczajne w tym peryodzie dzielnic, jak i w peryodzie normandzkim, wojskowo kupieckie karawany musiały co roku przeciągać, szczególne tylko wydarzenia ściągające się do tego handlu zapisywano. Tak w 1170 r. znowu wielki książe Mścisław Izasławicz zbiera książąt z całéj niemal Rusi, bo Połowcy „odejmują put';" to jest „grecki" (Dniepr), „solany" i „założny." Wyprawa była pomyślna; książęta wrócili ze zdobyczą i sławą (Latop. Kijow). Wi-

dzimy ztąd, że rycerze, ochraniający powrót kupców, korzystali razem jeżeli mogli z nieprzyjaciela, i ze swéj strony powracali nie tylko z ocalonym transportem karawany ale i z łupami zdobytemi na napastnikach w ich ziemi. Wyprawy zaś ogromne, w których liczni książęta i księstwa uczestniczyły, co roku, co dwa się ponawiały i zawsze ściągały się do Kaniowa.

Ale ci sami Połowcy, którzy na drodze „greckiéj” przeszkadzali, byli téż sąsiadem, z którym zachodziły także niejakie handlowe stosunki, i przyjeżdżali od nich kupczący (hosti). W 1184 r. książęta idący na Połowców spotykają się z „gośćmi“ to jest kupcami tego ludu jadącemi na Ruś (Karamzin hist. p. r. Kijow. Kron. nota 68, T. III).

Drugą zaś z kolei drogą, schodzącą się w Kijowie na rozdrożu „Dorohożyckiem“ był gościniec z Zachodu, idący od Sandomierza, Krakowa i Niemiec. W Rusi szedł on na Łuck, Peresopnicę i Białhorod. Lelewel powiada o téj drodze, że była głównym kupców ogólnego handlu przejazdem. Cały handel ówczesnego Zachodu ze Wschodem odbywał się wtedy za pośrednictwem Kijowa, gdzie wszystkich kupi i towarów ówczesnych to miasto było jedyném depozytorium. Kijów, dodaje tenże dziejopis, był główném stanowiskiem, koło którego wszystko się toczyło, przezeń przechodziło, do niego ciągnęło (Polska wiek. średn. T. II. str. 437). Można téż sobie wyobrazić jak musiała być ożywioną droga, po któréj właśnie ów handel się odbywał. Zalegały ją karawany kupców podróżnych: Niemców, Genueńczyków, Wenecianów, Morawczyków, nareszcie Arabów i Żydów. Daniłowicz zebrał świadectwa, że w XII-m wieku były domy handlowe z Ratyzbony w Kijowie. Jakiś Hartwic stamtąd przebywał: *in regione Ruscie in civitate Chiebe*. Przez Ems i Wiedeń, jeździli handlarze ratyzbońscy po futra, których tam był wtedy skład główny.

Podróżnicy ci do Rusi jeżdżący nazywali się w Niemczech „Ruzarii,” tak samo jak Rusini w Grecyi bywający „Griskir“ i „greczniki;“ i opłacali cło dekretami książąt austryackich ustanowione, jadąc i wracając, co dowodzi regularności tych stosunków (Przyw. Leopolda ks. austryackiego dany w 1190 mieszkańcom Ratyzbony patrz u Daniłowicza). Oprócz Niemców, cały ten główny trakt, mówi Lelewel, od głębin Niemiec aż do Kijowa żydami się zapełniał. W Kijowie ci niemieccy żydzi spotykali się z swoimi współwyznawcami żydami kozarskimi i z niemi téż utrzymywali stosunki (Geograph. du moyen age. T. IV. str. 217).

Droga ta nareszcie, przeszedłszy Dniepr w Kijowie, pomykała się, powiada tenże dziejopis, przez Połowców posady, do Wołgi,

tak iż główne, najliczniéj uczęszczane drogi, tak wodna Dnieprem, jak lądowa w Kijowie się przecinały. (Polsk. śred. wiek. T. II. str. 436).

Handel więc kijowski za pomocą dwóch tych dróg swoich, daleko ręką sięgał, bo z jednéj strony Lewantu z drugiej Zachodu, skąd dwie cywilizacye napływały, jedna Bizancka, a druga zachodnia przez Polskę i Węgry.

Trzeci nareszcie gościniec, należący do systematu dróg, które w Kijowie u „Dorohożycza“ się schodziły szedł w górę Dniepru ku Mozyrowi i daléj na północ.

Drogę tę przecinały w różnych punktach mniejsze poprzeczne drogi, które państwowe i społeczne stosunki pomiędzy Kijowem a środkowemi kijowskiéj ziemi częściami ułatwiały. Z różnych okolic szły téż temi drogami do Kijowa jako stolicy, transporta z „miodem“ i „skórami“ to jest daniną książęcą, co nazywało się „zwozić powóz“ (Karamz. Hist. p. r. T. I. str. 225).

Takie to drogi istniały za dawnéj Rusi. Ciąg wieków był je wytworzył. Jednakże przyszła chwila, że i one, za zniszczeniem za upadkiem całego kraju upadły téż, i pozatracały się nawet.

Wiadomo z dziejów jak Batuchan dziki zdobywca z tłumami Mongołów w 1240 r. zgniótł był srodze i zniszczył Kijów i Kijowszczyznę. Miasta i wsie poginęły z oblicza kraju; ludność wszystka była wytępioną co do nogi, tylko małe jéj szczęty, tam i owdzie w pozapominanych gdzieś miejscach, zaledwie z powszechnéj ocalały zagłady. Zniszczenie to było bezprzykładne w dziejach; a czasy tak straszliwe, że żyjący, jak mówi latopisiec, zazdrościli uspokojenia umarłym.

Z kraju wprzódy osiadłego, liczną zajętego ludnością, Mongoły dziką utworzyli pustynię, bez ludzi, bez uprawy, i po całéj téj ziemi jak pobojowisko opuszczonéj, cisza i samotność zapanowała. W Kijowie trawa porosła około ołtarzy, a dzikie zwierzęta zamieszkały w zwaliskach świątyń. Zwierz po ludziach objął puściznę.

Z ludźmi znikły i drogi. Przerwał się bieg handlu, kupcy cudzoziemscy stracili z oka Kijów i cały ten kraj nieszczęśliwy. Po drogach zarosłych śladu nie mających nikt nie przyjeżdżał. Owa np. droga wolna kupiecka, o któréj tylko cośmy mówili, że tak była uczęszczaną ożywioną karawanami z Polski i Niemiec idącemi jakże teraz była zmienioną! Cisza na niéj i samotność zaległa w miejscu zgiełku. Wiadomo, że Baty, idąc z nawałą swoją ku Polsce nie inną kroczył tylko tą samą drogą i siał do koła zniszczenie. Toż w lat pięć po zniszczeniu Kijowa, gdy Plano Carpini, poseł papieski do Ordy przejeżdżał tą drogą, spotykał same pustki.

Droga ta szła przez kraj zupełnie pusty, bez ludzkich siedzib, wśród mroku nigdy niekończących się lasów, niewygodna, nużąca tak dalece, że tenże poseł musiał całą tę drogę jechać konno i z przewodnikiem, którego dał mu dla bezpieczeństwa kniaź Wasilko we Włodzimierzu Wołyńskim. (Voyages.... en Asie par P. Bergeron T. I. str. 1). Ale jeżeli w takim stanie zapuszczenia zostawała jedna z główniejszych dróg kraju, cóż dopiéro mówić o poprzecznych, międzywioskowych drogach, prowadzących z osady do osady i jakby siecią powiązanych z sobą; te właśnie dla braku osad i powszechnego zniszczenia nie tylko zbyt mało uczęszczane ale i najzupełniéj zatracone zostały.

Dróg zatém właściwych wozowych nie stało, a zajęły ich miejsce manowce i przesmyki, jako wynikłość i następstwo życia koczowniczego, które zapanowało nad życiem osiadłém.

Dzieje z tego czasu, historycy zbywają krótko, jako dzieje kraju, w którym nic się nie ostało; nic z minionych lat i dawnego bytu kraju, który uległ wytępieniu i który się stał na całéj swéj przestrzeni koczowiskiem, bezludną i bezdrożną pustynią.

Po całowiekowéj przerwie znów się atoli dzieje rozjaśniają.

Życie osiadłe znów bierze górę nad koczowniczém. Oto Gedymin (w 1333 r.) a następnie Olgerd (1362) wydziérają nareszcie Tatarom tę nieszczęśliwą tak przez nich spustoszoną i zgniecioną śmiertelnie Kijowszczyznę.

Wypłoszeni przez Litwinów Mongołowie zostawili wprawdzie pustki, ale pustki te zaczęły się odradzać. Władcy Litwy obudzali życie na zniszczonéj Rusi. Zasłużonym wydzielali darowizny ziemskie w tych stronach. Kraj, który z winy Mongołów zarosł był lasami, w których nowe i kto wié które już wzrastało pokolenie drzew, nagle się prześwietlił, przetrzebił i zapełnił ludnością, która na nowych karczunkach nowe pozakładała siedziby. Gdy lasy, zwłaszcza w północnéj Kijowszczyznie, ustąpiły miejsca ludziom, w ślad za tém poszło dalsze odradzanie się okolic, musiano też stare zagubione odnajdywać lub nowe w różnych kierunkach, wedle potrzeby, torować drogi i drożyny sposobne do jazdy wozem, prowadzące od sioła do sioła, a które już cały kraj odrodzony teraz, ocknięty, i dzień po dniu coraz to bardziéj zapełniający się ludnością, nietylko w głównych punktach ale w najgłuchszych poprzerzynały zakątkach. Znany jest wpływ przemożny Witolda na ordy Kipczaku i Krymu; trzymając je jakby w hołdowniczych karbach i posłuchu, otworzył on kraje kijowskie dla handlu zagranicznego. Michalon litwin pisał, że w środku saméj Tauryki widno było za jego czasów (1544), mogiły,

studnie, mosty, przekopy i stare obozowiska, które *Gedyminowemi* i *Witoldowemi* nazywano (Michalonis Lituani de moribus Tartarorum etc.)

Pod Oczakowem tenże Witold łaźnię sobie zbudował, do któréj mówi Marcin Broniowski ilekroć „jechać się mu zabażyło, to Tatarowie z Tauryki uciekali“ (Wojcicki bibl. starożytna—Pogrom tatarski T. I. str. 225). Tak trzymał na wodzy Krym, owe gniazdo łupiezcy, nie dziw więc że za sprawą tego władcy zakwitł kraj kijowski. Drogi, które niedawno jeszcze koń Tatara deptał, wstecz się cofnęły gdzieś daleko w stepy a w kraju ubezpieczonym zapłużyła pomyślność. Toż Witold o ile mógł, zaludniał go ruchem, zapełniał życiem. Kupcy genueńscy, tatarscy, ormiańscy, i moskiewscy znowu Kijów zaczęli odwiedzać. Witold dla zachęcenia kupców, sam niekiedy wchodził do spółki z nimi handlowéj (Narbutt VI str. 553. Jaroszewicz Obraz Litwy część 2, str. 209). Znowu téż, jak za dawnych lat, jak za dawnéj handlowéj świetności Kijowa, wszystkie do tego miasta zmierzające gościńce zahuczały kupieckich wozów turkotem. Witold warował tym kupcom wolne przejście i wszelkie po drogach bezpieczeństwo. W okolicach tych dróg postawiał on załogami opatrzone warownie. (Michalon l. c. p. 35. Narusz. w Tauryce str. 95).

Połączenie Litwy z Polską niemniéj wpłynęło na ożywienie handlowe drogi walnéj kijowskiéj, jako przechodzącéj z Zachodu do Kijowa przez ziemie polskie i litewskie. Inne téż dwa gościńce z Kijowa się rozchodzące, a będące jakby dalszém owéj głównéj kijowskiéj drogi, ku morzu Czarnemu przedłużeniem, niemniéj się ożywiły. Pierwszy z gościńców tych tak jak dawniéj za Rusi kijowskiéj, szedł i teraz równolegle z Dnieprem, następnie przez Tawań, komorę celną litewską, daléj przez Perekop do Kaffy czyli Teodozyi, osady genueńskiéj na południowym brzegu Krymu, która była handlu wschodniego składowém miastem; drugi przecinając rzekę Boh, na któréj Witold, przy ujściu rzeczki Kuczmania dwa mosty był zbudował, do jezior Koczu-bejowskich po sól, prowadził (Sarnicki w zbiorze Miclera str. 273). A więc wszystkie trzy walne kijowskie gościńce, znane nam jeszcze za Rusi kijowskiéj, następnie za czasów mongolskich zatracone, znowu pod panowaniem Litwy odżyły.

Ale wkrótce ta tak pomyślna postać rzeczy odmienić się już miała. Póki żył Witold, a raczéj póki żył Hadżi-giréj, han Krymu, sprzymierzeniec jego i jego następców, południowe prowincye Litwy żyły bezpiecznie i w pokoju, ale gdy on umarł a następcą jego na hańtwie został Mengligiréj, wiarołomny wróg Polski i Litwy, nowa kolej nieszczęść rozpoczęła się dla Kijowszczyzny. Jakoż zdarzony

za panowania Kazimierza Jagielończyka w 1483 r. napad na Kijów tegoż Mengligireja, na długo przerwał bieg handlu kijowskiego, ile że jeszcze przedtém to jest po zdobyciu przez Turków na Genueńczykach Kaffy i Białogrodu (Monkastru) już przystęp do morza Czarnego dla tego handlu był zamknięty (Jaroszewicz obr. Litw: Część II str. 94).

Kijowszczyzna tedy wzdłuż i wszerz stopami najezdników stratowana, ponownie zaćmiła się pustyniami, bo gdziekolwiek Tatarzy dotarli byli, tam już koléj gęstszych grodów i siół poznikała, drogi się pozatracały a tylko szlaki znów zajęły ich miejsce, jakby ślad po burzy lub po niszczącym szarańczy przechodzie.

Jednakże, dzięki osobnemu systematowi kniaziostw na Wołyniu, który w tych czasach był się wyrobił i rozrósł, Kijowszczyzna w tak niedalekiéj od Wołynia zostająca odległości, pomimo ogromnego wyludnienia, jakiemu uległa była, pod tychże kniaziostw ochroną, powoli téż dźwigała się z tak ciężkiego razu i do dawnego powracała bytu. Bo téż kniaziowie wołyńscy, jak mówił Paprocki „pogany na plecach swych prawie trzymali". Lud téż kijowski z lasów do siół powrócił; drogi zaczęły się znowu ożywiać a szlaki odsunęły się wstecz, gdzieś w południową Kijowszczyznę lub Bracławszczyznę, ile że ta ostatnia jako bezpośrednio z budziackiemi i nogajskiemi ordami sąsiadująca ciągłych, nieustannych ich napadów zostawszy ofiarą, już była pod tę porę jeno skołatanym szczątkiem. Odradzanie się atoli Kijowszczyzny, mianowicie wyższéj, szło dość sporym krokiem, ile że w dziesięć lat po zniszczeniu onéj przez Mengligireja na tyle już było w niéj ruchu i ożywienia, że jak to w ówczesnym czytamy dokumencie (r. 1494) w pobliższéj już okolicy Kijowa myto pobiérano na drogach tj. w Wyszohrodzie, Biłhorodzie, i Hlewasze (akty otnosiaszcz. k istor. Z. R. T. I. str. 128). W innéj zaś *hramocie* królewskiéj z tego czasu (1499 r.) powiedziano, że kupcy idący z Kijowa wozy swoje towarem nakładają dla myta iżby wozów mniéj było, a więc gdy wóz połamie się z jednéj strony po wrota, z drugiéj po Poczujnę rzeczkę, to ten wóz na wojewodę iść ma (tamże) Otóż okazuje się stąd, że pomimo zniszczonego kraju, ponowne już handlu istniały zawiązki, chociaż na mniejszą prowadzonego skalę, nie zagranicznego, jak dawniéj bywało, ale miejscowego.

Bo téż dla kupców tak tureckich jak tatarskich, z powodu zerwanych stosunków z Krymem, tak przy końcu panowania Kazimierza Jagiellończyka jak za Olbrachta i Aleksandra, na długo wszelki wjazd na drogi kijowskie był wzbroniony. Jakoż gdy poseł turec-

ki, z synem swoim i mnóstwem kupców tureckich chciał się puścić z Kaffy do Moskwy przez Kijów, wojewoda kijowski wzbronił mu przez to miasto przejazdu. Toć król Aleksander skarżącemu się o to posłowi moskiewskiemu Iwanowi Tretiakowi przyczynę tego wzbronienia w akcie urzędowym polecił w tych oto wyłuszczyć w słowach. „Prawda że za Kazimierza ojca Aleksandrowego, mówi akt rzeczony bywali tureccy kupcy w Litwie lecz to się działo w skutek istniejącego natenczas traktatu, mocą którego często zobopólni posłowie razem z kupcami przyjeżdżali, którzy to kupcy natychmiast z posłem do kraju wracali. Kupcy zamorscy innego rodzaju nigdy do krajów litewskich wpuszczani nie byli, ale przyjechawszy tylko do Kijowa, w nim sprzedawali towary i na powrót wracali; za Kazimierza bowiem dwa były składowe miejsca dla kupców zamorskich, jedno w Kijowie, a drugie w wielkim Łucku.

Gdy teraz przymierza z Turkami czas upłynął, a kraje Aleksandra od nich szkód ogromnych doznają, nieprzyzwoitą byłoby rzeczą, w granice wpuszczać litewskie kupców, jadących jedynie dla szpiegowania“ (skarbiec dyplom. Daniłowicza T. II, str. 246).

Następnie atoli pewnemi tylko tak zwanemi „dozwolonemi drogami“ kupcy tureccy i tatarscy mogli przyjeżdżać. W ten sposób chciano mieć nad nimi dozór i oko.

Ale i to nie na wiele się przydawało. Pod pozorem kupców nietylko szpiegów swoich ale i „ratną rękę“ Krym nasyłał. W poczcie kupców poprzebierani tatarscy oręźnicy wpuszczeni do kraju i na tak zwaną „dozwoloną drogę“ wprowadzeni, szli natychmiast w rozsypkę na rabunek. Bo też w owe czasy nie łatwo było rozróżnić kupca od żołnierza; tak kupiec jak żołnierz nigdy nie rozstawał się z orężem; i stąd karawany kupieckie zawsze miały cechę na poły militarną, na poły handlową. Oto np. w r. 1500 poseł Moskiewski Michał Pleszczejew, wracając od Mengligireja z Krymu, cały obóz bojownych tatarów za kupców przebranych z sobą w Kijowczyznę wprowadził; dojechawszy zaś do Czerkas i Kaniowa, ominął Kijów, gdzie mogło być łatwo jego udanie i podstęp odkryty, i przebrawszy się następnie manowcami, to jest „niedozwolonemi drogami“ do Putywla, Tatarów, onych rzekomych kupców po kraju rozpuścił, którzy zrządzili byli „wielkie szkody i spustoszenia.“

Poseł moskiewski, z tego że nie pojechał „dozwoloną drogą,“ ale bocznémi manowcami tłómaczył się tém, że chciał jakoby uniknąć extorsyi od mytników.

Byłto wszakże łatwo tylko wyszukany pozór, wymówka źle zamaskowana. Król Aleksander wytoczył tę sprawę przed carem Iwanem (skarb. Daniłowicza II. str. 252).

Cóż tedy za różnica była między owemi drogami „dozwolonemi“ oficialnie tak nazywanemi a „niedozwolemi“?

Prawo samo zastrzegło i ustanowiło różnicę pomiędzy temi drogami. Gdy w owe czasy niektóre tylko miasta były przeznaczone na skład towarów zagranicznych, a więc pewnemi tylko tak zwanemi „dozwolonemi“ do tychże miast składowych czyli *emporjów* prowadzącemi drogami kupcy mogli swoje zagraniczne przewozić towary. Towary wszelkie prowadzone innemi, a nie temi drogami, poczytywane były za kontrabandę. Ustawa ta jak wiadomo obowiązującą była dla całego kraju.

Ale jeżeli w całym kraju stosunkowo ludnym, pomimo zakazu, kupcy przemycający potrafili różne przecież sobie boczne „niedozwolone“ powynajdywać drogi, to tém łatwiéj uczynić to mogli na Ukrainie, gdzie już sama jéj pustynność mnóstwo im manowców i przesmyków bezdrożnych nastręczała. Kupcy przemytnicy, puszczając się wszakże takowemi manowcami, musieli z nich wyszukiwać tylko takie, któreby dla ich wozów lub koni jucznych, dogodne wszędzie ułatwiały przejście, inaczéj wozy ich lub konie juczne grzęzłyby, więzły lub topiły się na przeprawach przez rzeki bez mostów lub grobel. Stąd się zdaje, że handel to pokątny, ukradkowy pierwszy powyszukiwał dla siebie dogodne do przejazdu brody, i dopiéro potém Tatarzy skorzystali z tego i już po śladach przemytników swoje, późniéj powszechnie znane, powydeptywali szlaki. Jednakże w czasie obecnym, drogi te przemytnicze „niedozwolone“ nie pojawiły się jeszcze były na prawym brzegu Dniepru, ale tylko na lewym istniały, „murawskiemi“ szlakami nazywane. Szlaki „murawskie“ zaczynały się u Perekopu, i nieprzechodząc wcale Dniepru szły lewym jego brzegiem, daléj pilnując się działu wodnego między Dnieprem i Donem, zmierzały na Tułę do Moskwy (Knig. bolsz. czerteż.) Jednakże na wysokości Perejasławia, jedno ramię oddzielało się od nich, i nagle zwróciwszy, biegło ku Dnieprowi, gdzie naprzód na rz. Sule był jeden bród „Choroszyn“ zwany, i jeszcze dwa na Dnieprze, jeden u Wityczewa, drugi u Zaruba. Tym szlakiem tak handel pokątny, przemytniczy jak i Tatarzyn za jassyrem i zdobyczą goniący, przekradał się i napływał.

Jednakże zerwane stosunki z Mengligirejem potém za jego następców, znowu zaczęły się zawiązywać. Ale było to już pod tę porę, kiedy stepy czyli tak nazwane „dzikie pola“ nominalnie tylko liczyly się za posiadłość litewską, bo *de facto* były już w posiadaniu tatarów nogajskich, którzy z początku wynajmując je na pastwiska, w końcu na dobre się w nich rozgościli. Tak jeziora słone Koczubejowskie i zamki przy ujściu Dniepru wypadły już były z ręku Li-

tewskich. W r. 1540 pomiędzy Zygmuntem I a Sahan Girejem, carem perekopskim stanęła umowa, mocą któréj tenże car „żyć powinien w przyjaźni z młodym królem i w. księciem Augustem i przeciwko wszystkim ich nieprzyjaciołom działać za jedno etc.“ ale w dalszym ciągu téj umowy był punkt, który brzmiał następnie: „kupcom Korony i Litwy wolno brać sól w Koczubiewie (Chadżybej dziś Odessa) i opłaciwszy zwyczajne myto, rozwozić do Kijowa i Łucka, oraz miast innych. Gdyby w Koczubiewie szkodę wyrządzono ludziom królewskim, tę car wynagrodzi. Wszelkim kupcom lackim i litewskim wolno z towarami swojemi przyjeżdżać do Perekopu i Kaffy, i przedawszy wyjeżdżać po zapłaceniu myta; carskim ludziom, zupełna na wzajem daje się swoboda jechania do państw królewskich byle płacili myto“ (Skarb. Daniłowicza str. 313).

Toż teraz handel obu państw ożywił się znacznie.

Tak zwani „solnicy“ czyli kupcy idący po sól do jezior koczubiejewskich zapełniali karawanami swojemi tak nazwaną drogę „dozwoloną.“ Solnicy ci, za wóz soli, mówi współczesny świadek, dawali po dziesięć strzał Tatarom (Michalon l. c. p. 34). Co do dostawania się do Kijowa kupców tureckich lub tatarskich, stosownie do dawniejszych w téj mierze rozporządzeń, taki uregulowano porządek. Tak dawniéj tak i teraz dozwolono im jednéj tylko drogi, a ta prowadziła na Tawań, gdzie był na Dnieprze tatarski przewóz, potém szła na zamki króla Polskiego Czerkasy i Kaniów, a stąd do Kijowa. Skoro zaś ci kupcy przeprawili się byli u Tawania przez Dniepr, nie wprzódy się w dalszą puszczali drogę, aż o tém swojém przebyciu czerkaskiego uwiadomili starostę; ten zaś wysełał straż, która ich bezpiecznie odstawiała do Kijowa. (Kniga posols. Metr. w. kniaz. lit. Oboleńskiego str. 28). Ale ci kupcy nieraz chcąc uniknąć opłat i myta drogowego, umyślnie z téj zbaczali drogi a przebierali się, jak pisano „jałowemi pustyniami, niedrożnemi manowcami“ (tamże str. 32). Wszakże, chcąc ujść zdzierstwa mytników, częstokroć ku gorszemu przychodzili, bo na owych pustych „jałowych“ stepach, często im działy się gwałty i nagabania od Kozaków rabusiów, ile że, ci już w tę porę usadowili się byli u progów dnieprowskich dla obrony kraju od Tatarów. Stepowi ci rycerze spotkawszy tabor kupiecki zwłaszcza źle strzeżony, napadali i obiérali ze wszystkiego, nieznając innego rzemiosła i innego prawa nad rozbój i dorywczą napaść. Owóż razu pewnego tak się zdarzyło, że jedna z tureckich karawan natknęła się była na stepie przy uroczysku „Sawcza“ na stanowisko tych szlakowych rabusiów. Ci, rzecz prosta, pogromili ją i zrabowali. Han z tego powodu podał skargę. Król zaś Zygmunt August w hramocie swéj tak odpowiedział, „że oni kupcy

tureccy (zrabowani przez Czerkasów czyli Kozaków) w tém winni są, że tym razem poszli przez pola dzikie, kędy dawniéj nigdy nie chodzili. Niechże kupcy, powiedziano daléj, nie chodzą więcéj *nowémi* drogami, ale chodzą *starodawnémi*, jak bywało: a w takim tylko razie król może ręczyć za bezpieczeństwo ich i odpowiadać za szkody jakie poniosą (tamże str. 28).

Istotnie król mógł tylko ręczyć za bezpieczeństwo kupców tych, co szli po drodze starodawnéj i „dozwolonéj“, jak się wyrażano, ustawami jego zastrzeżonéj i wskazanéj, a nie za tych, co przekradali się skrytemi, tajemnemi, niekontrolowanemi przez zwierzchność miejscową, manowcami, i od niedawna bo dopiéro od czasów Zygmunta I już na prawym brzegu Dniepru powstałemi, a któremi coraz to częściéj Tatarzy swoje pustoszące zapuszczali zagony, tak sąsiednim bracławskim stronom jak téż niemniéj i dalszéj cokolwiek zagrażając Kijowszczyznie.

Jak dalece te części kraju przez ciągłe napastowania od Tatarów jeszcze zapanowania Zygmunta I i przedtém były zniszczone dowodem tego, iż jedna z dróg walniejszych „hospodarskich“, jak je nazywano, idąca w poprzek kraju, bo z Bracławia na Zwinogródkę, Czerkasy i Kaniów do Kijowa, zupełnie pod tę porę zaniechaną i dla bezpieczeństwa odwróconą cokolwiek w górę na Winnicę została. Jakoż widzimy, że w 1545 r. mieszczanie bracławscy upraszali rewizorów królewskich, aby, dla utrzymania dawniejszéj téj, a dziś zagubionéj drogi, i tak potrzebnéj dla *podwody* pod posłańców hospodarskich, i w ogóle dla komunikacyi handlowéj, z łaski króla zbudowany był na téjże drodze zamek w Zwinogródce, któryby bronił i osłaniał bezpieczeństwem tak kraj ów cały jak i oną drogę (archiw. J. Z. R. opis bracł. zam. 1545 Część 6-sta T. I str. 22).

Ale podczas gdy z dwóch walniejszych gościńców *niższą* przebiegających Kijowszczyznę, ten oto co z Bracławia szedł zatracony został, jak równie i ten, co prowadził z dzikich pól do Kijowa, już się był prawie w przesmyk zamienił tatarski; w częściach kraju osiadłego, w miejscach ludniejszych *wyższéj* Kijowszczyzny, pokrytych wsiami, miasteczkami, uprawnemi łanami, nie tylko było pełno dróg walnych ale poprzecznych i pomniejszych wiele; które komunikacyą od wioski do wioski ułatwiały. Drogi te prawami opisane były. Statut Litewski, rozciągając na nie pieczołowitość swoję, przepisał ich porządek, oraz wybieranie myta i mostowego w dobrach szlacheckich z obowiązkiem utrzymania własnym kosztem w porządku dróg, grobel i mostów. Oprócz tego w drugim *statucie* dodano: „Ustawujemy iż drogi, wielkie gościeńce mają być według *starodawnego obyczaju* tak szerokie, aby na półtora pręta być mogły, a wóz

próżny ma ustępować wozowi nałożonemu; pieszy jezdnemu, a to jeśliby ciasna droga była jako na mostach, i w innych złych razach.

A czasu zimowego gdy śnieg bywa wielki mają potkawszy się drogą po połowicy dzielić, a jeden drugiego spychać nie mają (Rozdz. 9, XXXII).

Toć z czasem i lepsze mosty i groble oraz inne przejazdy przez rynki na walniejszych kupieckich, zwłaszcza na tych, na których myto pobierano, pojawiły się gościńcach. Brano na nich „mostowe i grobelne“ to jest opłatę przy wjeździe. Dla nakładania tych opłat był osobny rewizor od skarbu. Na Litwie mosty były pod specialnym nadzorem tak zwanego „mostowniczego.“ Myta zaś były „prywatne“ i „hospodarskie“; jednak myta prywatne pobiérano zawsze z dozwolenia i za przywilejem królewskim. Najczęściej tak zwane „mytnice“, to jest budynki, w których mieszkali pobierający myto, stały u przewozów i przepraw ale niekiedy i u granic dóbr w polu lub lesie. W bliższéj okolicy Kijowa, jak to już widzieliśmy, w 1499 r. pobiérano myto w Wyszogrodzie, Białhorodce i Hlewasze, to jest na trzech walnych do Kijowa prowadzących gościńcach. Około tego czasu pobiérano też myto i w Czarnobylu (archiwum Hańskich.)

Akta miejscowe przechowały nam pamięć walnych dróg i gościńców, przebiegających w dawnych czasach Kijowszczyznę, ile że w tamtych czasach zwyczajnie służyły one za znaki graniczne. Toż wertując dawne procesowe akta, nie rzadkie napotykają się wzmianki o drogach, jedne dobra od drugich dzielących i dla tego będących przedmiotem sporów granicznych. Dziś jeszcze, dzięki tym sporom, jesteśmy w możności zdać sobie sprawę mniéj więcéj dokładną z dróg jakie w tym przeciągu lat zapełniały okolicę zwłaszcza przypierającą do Kijowa, na granicy obszarów leśnych z przestrzenią polną, to jest tak zwanego pod ten czas „pola“ i „zapola“ położoną i zostającą już na krawędzi—u kończyn kraju zaludnienia i uprawy.

Drogi te przy końcu XVI i w pierwszej połowie XVII wieku przedstawiają się nam w porządku następującym:

I. *Gościniec Iwnicki*, często wzmiankowany w dokumentach granicznych, jako idący w bliższéj okolicy Kijowa i krajem osiadłym, znany téż niekiedy pod nazwą „drogi kijowskiéj“ lub „smolanego“ wielkiego kijowskiego gościńca, prowadził z Kijowa na Łybed’ obok Żelan, na Borszczajowkę, Romanowy most, Brusilów do Iwnicy i daléj.

II. *Gościniec Biłhorodzki*, lub stara żytomirska droga czyli „stare putiszcze.“ Gościniec ten musiał z pewnością zastąpić miejsce onéj znanéj już nam drogi, dawnéj, przez setki lat na Rusi książęcéj istniejącéj, walnéj, przewozowéj, idącej na Peresopnicę i Łuck, lecz która następnie z powodu opustoszenia Kijowa i kraju całego przez Mongołów, najzupełniéj zagubioną została, lub w wielu miejscach dawny swój porzuciła kierunek.

Zdaje się, że tą drogą w 1479 r. musiał jechać znakomitego rodu weneta, poseł do Persyi, Contarini. Droga ta szła wtedy głuchemi lasami, z trudnemi przeprawami po rzekach i bagniskach.

III. *Gościniec Trypolski* częstokroć i „gończą drogą“ nazywany w dokumentach, szedł na Łybed’, wzdłuż pobrzeża dnieprowego. Z Trypola prowadził daléj na Kaniów i Czerkasy. Droga ta szła prawdopodobnie temiż samemi miejscami, co i „put’ solany“ za Rusi Kijowskiéj, i co znana już nam w XV wieku tak zwana „dozwolona droga“ za pośrednictwem któréj to jedynie pewne i mniéj więcéj regularne z Krymem i Turcyą handlowe utrzymywały się związki. Podróżny, jadący tą drogą nie opuszczał prawie pobrzéża Dniepru aż do Czérkas, lecz daléj droga ta zwracała się ku Targowicy nad Siniuchą i tam wchodziła w dzikie pola i kończyła się ku na Tawani; w tym zaś końcowym ustępie swoim drożnym „Królewską“ téż drogą nazywaną była, ale nie dla tego jak Scherer (annales de la Petite Russie str. 42) utrzymuje, że nią jakoby mieli jeździć królowie polscy (?) ale dla tego, że pod dozorem zostawała królewskim i stąd téż każda droga publiczna w owe czasy „królewską“ lub „hospodarską“ się nazywała. W czasach Zygmunta I, jak o tém było wyżéj, już ta droga w przesmyk czyli szlak tatarski zamieniła się była. „Gończą drogą“ nazywała się dla tego, że jeździli nią gońcowie tak tatarscy tureccy, moskiewscy, jak i królewscy.

4. *Gościniec Bracławski* szedł z Bracławia na Zwinogródkę do Czerkas i tu się łącząc z powyższą „królewską“ czyli „gończą“ drogą, prowadził do Kijowa.

Była to także tak nazwana „gończa droga“, bo po niéj kursowała, „podwoda“ czyli poczta ówczesna. Widzieliśmy wyżéj, że i ten gościniec w 1545 r. z powodu zniszczenia kraju, przez który przechodził, zaniechanym został.

5. *Stary gościniec litewski* szedł z Kijowa na Bielicze, gdzie była przeprawa na Irpeniu, potém na Rubieżówkę, Drużnię, Zahale, daléj na Owrucz.

6. *Droga Wyszogrodzka*, tak nazywana w bliższéj okolicy Kijowa, szła na Wyszogród, a daléj na Piotrowce, Luteż do Czarnobyla. Prowadziła ona daléj za Dniepr, bo w Wyszogrodzie był przewóz.

7. *Droga zapolska* często wspominana w granicznych dokumentach. Tak nazwana, że z „pól“ prowadziła do „zapola,“ to jest do kraju zaludnienia i uprawy, od rzek Rosi, Stuhny, Irpienia ku górnym województwa kijowskiego stronom.

Droga ta, prowadząc od „pola,“ przecinała drogę Białocerkiewską u Jankowicz i wchodziła w kraj „zapola“ czyli tak zwanych „zapolskich horodów“; następnie przeciąwszy drogę wielką Kijowską prowadziła, po pod Chabne, przez most na r. Uszy w Polesie owruckie.

8. *Droga Białocerkiewska* szła z Kijowa na Chotów, Jankowicze, na tak zwane „Neweselowskie pole,“ Kruszynkę, Wasylków, i Białącerkiew. Za Białącerkwią gubiła się ta droga w stepach i łączyła się bezpośrednio ze szlakami tatarskiemi, ale u Białéjcerkwi jedno jéj ramię zwracało ku wsi Jachnom, Rohoźnie i w Pawołoczy łączyła się z tak zwanym gościńcem Iwnickim. Drogą tą szli „solnicy“ po sól lądową do miast Czerwonéj Rusi. Paprocki wspomina, że „koło wsi Rohoznéj, pamiętnéj tém, że na jéj polach w boju z Tatarami poległ był odważny Stanisław Struś, nad tąż drogą był las, tak nazwany „haj pod dorohami“ kędy Tatarowie zapadali, czatując na idące „solniki“ ze wszystkich stron, i nasi także kto kogo ubieży (Herb. ryc. str. 221). Uroczyskiem tém był z pewnością dzisiejszy las Strokowski, ciągnący się po nad rzeką Rastawicą.

Oprócz tych dróg, w dawnych miejscowych dokumentach spotykamy wzmiankę o tak nazwanéj „Storożewskiéj“ drodze, któréj położenie ściśle nie da się oznaczyć. Dokument, określający pewnych dóbr granicę nadmienia, że ta droga przecinała pod Kijowem „stare putiszcze“ i przechodziła Łybed’ (akty hist. Z. R. tom II. str. 308). Być może tą drogą wyjeżdżały czaty konne z bojarów kijowskich złożone na „szlaki,“ aby się tatarzyn kryjomo i niepostrzeżony nie przemknął (Rejestr albo inwentarz zamków J. K. M. roku 1570).

Już kilkakroć w ciągu naszego opowiadania nadmieniliśmy o szlakach. Ale tym razem dłużéj zatrzymamy przy nich naszą uwagę, ile że nawet właściwe znaczenie ich potrzebuje dziś wyjaśnienia.

Hordy stepowe w pustyni, która zaczynała się gdzieś od Donu a przypierała znaną już nam smugą stepu aż do osiadłych jak najbliższych Kijowa stron, miały od wieków wśród tych stepów uprzywilejowane swoje przesmyki i manowce. Tak było za dawnéj Rusi, tak było i późniéj. Ale na granicy z jednéj strony kraju osiadłego, z drugiéj pustyni tuż u progu Kijowa leżącéj, manowce te spotykały się z drogami zwyczajnemi i to tworzyło szczególne przeciwieństwo,

ile że w niém tkwiła pewna różnica historyczna i społeczna, którą należy uwzględnić. Drogi zwyczajne, przewozowe, z wiekami ustalone, oddawna dla społecznego utorowane obcowania, jak to widzieliśmy, nazywane językiem urzędowym „starowiecznemi, zwykłemi, prawem postawionemi i *more antiquo* ugruntowanemi,“ drogi te, które od wieków handlowe i społeczne niezmiennie ustaliły stosunki, a które służyć się zdają po wsze czasy za najwierniejszą niejako skalę, wedle któréj mierzyć się może względna cywilizacya danego kraju, drogi te nareszcie, spotykając się oto tu z tak nazwanemi szlakami, z owemi manowcami samorodnemi, istotnie tworzyły uderzającą różnicę, ale różnicę, wypływającą nie tyle ze sprzeczności saméjże tych dróg natury i przeznaczenia, ile z kontrastu i odrębności dwóch kardynalnie sobie przeciwnych na obszarach Ukrainy spotykających się światów; to jest osiadłego i koczowniczego. Toć ta ich między innemi różnica polegała téż przeważnie na tém, że w drugim z tych światów nie było tak jak w pierwszym widać, ani spokojnych zatrudnień ludzkiego przemysłu, ani stosunków, któreby ludzi z ludźmi łączyły, ale przeciwnie ziemia pusta, zapomniana, żadnemu prawu ludzkiemu niepodlegająca, wszystkie dokoła zalegała przestrzenie, a na nich najezdniczo tylko błąkała się dzicz, co dopadłszy dzikich biegunów, peryodycznie swoje skryte, zdradzieckie odbywała wycieczki w kraj tuż obok leżący, osiadły, uprawny, uobyczajony i oddawna ludzkiemi ożywiony stosunkami. Toć dla tego téż na téj granicznéj, przedziałowéj miedzy, na jakiéj dwa te światy spotykały się tu z sobą, trwała odwieczna między niemi walka, nieustająca, bez przerwy z odwetu w odwet się odnawiająca, walka z jednéj strony cywilizacyi, z drugiéj łupieży.

Linde w swoim słowniku wyprowadza wyraz polski *szlak* od gockiego wyrazu *slaha*, tyle znaczącego co przesmyk, droga skryta, tajemna, wzbroniona, cicha; stąd niemiecki *schlich*, skryta droga, skryte miejsce; *schleichweg*, manowiec, przesmyk, kręte ścieżki.

Brodziński zaś tak określa znaczenie tegoż wyrazu: „Szlak jest wązka ścieżka przechodu oznaczona, ze śladu stopy trawę tłoczącéj tworzy się szlak; wąż pełzając z rosą po trawniku zostawia po sobie szlak, to jest ciągłą bez przerwy linią przejścia.

Taką ciągłą linią przejścia były i szlaki tatarskie.

Toż ruchome te drogi jak namiot koczownika, dziś tu jutro tam wydeptywane nie mogły téż mieć jednéj kolei i toru, jak w drogach wozowych, nieodmiennie oznaczonego. Jeźdzcy tatarscy nie trzymali się stałego miejsca, szli to tędy, to owędy, tu i tam wydeptywali ścieżki, jak się zachciało, lubo zawsze w jednym zamierzo-

nym kierunku. Step jak morze nie zostawiał śladu przechodu po sobie, i tylko po świéżych znakach kopyta końskiego, po trawie świéżo zdeptanéj, jak taśma wśród niego się wijącéj można było obrany przez Tatarów rozpoznać kierunek. I ową to właśnie taśmę świéżo udeptaną, tu i owdzie wijącą się po stepie, właściwie „szlakiem tatarskim“ nazywano. Szlak był „wielki“ ile że czasem rozciągający się „na dwoje strzelenie z łuka,“ niekiedy i szerszy, a czasem „mały“ stosownie do liczby oddziału tatarskiego co po nim kroczył, stosownie do tropu świéżo wytłoczonego na trawie. Trawy zaś po tych niezmiernych stepach tak były wysokie, tak wybujałe i rozrosłe, że „wozami tam jeździć nie podobna było, opowiada świadek naoczny, bo trawa oblegała koła i nie dawała wozowi przejść daléj“ (Pam. Millerowe str. 181). Toż w XVI-m wieku poseł Taranowski, jadąc przez stepy nogajskie, pierwszy ślad musiał robić wśród traw i burzanów (Podróż, bibl. Turow.). Toż jeszcze dziś w stepach kirgiskich toż samo się dzieje i tęż samę trudność w przejeździe swoim napotyka podróżny. „W bezdrzewnych okolicach tych zielnych stepów, powiada Humboldt, jadąc w powózkach tatarskich, nie można się inaczéj orientować jak tylko powstawszy na nogi, a wtedy widzi się przed sobą gęsto ściśnione jak las wybujałe trawy i burzany, ścielące w ciągłych pokłonach pod kołami drożynę“ (Obrazy).

Ale w ścisłém jedynie znaczeniu szlak tak był rozumiany; w rozciąglejszém przez szlak nie zawsze pojmowano wązką taśmę, którą po stepie znaczyli za sobą tatarzy, ale już raczéj całą tę przestrzeń, którą oni najczęściéj wpadali. (Czacki o lit. i polsk. praw. I. str. 182).

Szlaki w tém znaczeniu pojęte obejmowały w sobie cały obszar ziemi na pięć mil niekiedy rozciągający się, stosownie do tego jak na to warunki miejscowego położenia pozwalały. Tatarzy téż w przeprowadzeniu swoich szlaków głównie pilnowali się rozdziału wód (divortium aquarum), starając się aby jak najmniéj rzek przebywać i ile możności suchą nogą je obchodzić. Toć główne dwa znane nam szlaki temiż samemi geograficznemi kierowały się warunkami, ile że jeden z nich szedł w pośrodku rzek z jednéj strony do Dniepru, z drugiéj do Bohu wpadających; a drugi również przechodził miejscami, gdzie przypadał rostok wód, z których jedne ku Bohowi drugie ku Dniestrowi płynęły. To nam niejako wskazuje na związek topografii z historyą, bo jużciż obszary między Dnieprem a Dniestrem położone, z powodu mnóstwa swoich tak zwanych *jarów* ukrytych pośród równin pozornych, któremi można się było,

nie będąc prawie postrzeżonym, aż do samego wnętrza kraju przekradać, z powodu rzek swych brodzistych, łatwych do przeprawy, z powodu nareszcie téj ich dostępności, która jest ich cechą zasadniczą, obszary te, powtarzamy, były przedewszystkiém miejscowością nieszczęśliwą, fatalną, która po wsze czasy zwabiała do siebie pustoszycieli, stała dla nich zawsze otworem. I kto wié, gdyby nie owa tak zwana geograficznie pochyłość czarnomorska, która kilkoma międzyrzeczami ułatwiała wstęp do nich, możeby karta dziejów Ukrainy nigdyby nie była, z winy Tatarów do tego stopnia krwią i łzami zapisana. Dolinami wśród równin pozornych zwyczajnie przesuwały się *szlaki*. Ale póki taka droga samorodna, taki szlak szedł i czaił się jarem czyli dnem wyschłéj przed wiekami rzeki, to sam jar, czyli tak zwana językiem stepowym *bałka* czy *kujalnik*, dalszą mu zamierzoną drogę i kierunek wskazywał, ale gdy tenże *szlak* wybrał się na czysty step, wysoczyznę międzyrzeczną, to wtedy już same tylko mogiły mogły jadącemu nim za podróżną posłużyć wskazówkę. Toż częstokroć ciąg takowych wzgórzy mogilnych „szlakiem“ nazywano; i takową to niby wzgórkowatą równiną, takowym to mogilnym szlakiem pędził zwyczajnie tatarzyn, i już się nie czając, ale z bacznie wytężoném okiem chciwie na wszystkie strony wypatrywał obłowu i zdobyczy, lub śledził czy mu gdzie „passów“ nieprzejęto. Zaledz, przejąć lub przeciąć „passy“ lub „zamknąć wstępy i uchody“ wkraczającemu lub uciekającemu hordyńcowi, w ówczesnych pismach źródłowych czytamy co kartka. „Przejąć passy,“ w dawnym sposobie wojowania znaczyło tyle co w „ciasném lub ścisłém miejscu“, jak się wtedy wyrażano, to jest gdzieś w punkcie zamykającym drogę u brodu np., lub u przeprawy tak zaskoczyć Tatarów z nienacka, żeby się nie mogli wyśliznąć, kędyby w jakąkolwiek stronę zawrócili. Zazwyczaj téż polskie wojska, aby nie dopuścić wstępu do kraju, lub przeciąć im odwrót, zasiadały przeto w takich właśnie „ciasnych miejscach“ i wielekroć gromiły ich doszczętnie.

Jakoż znajomość szlaków, co do miejsca i kierunku ich, w owe czasy za wielce ważną uważaną była. Znajomość ta była rzeczą koniecznie, niezbędnie prawie potrzebną, tak dla wodzów ówczesnych wojska polskiego jak i dla ogółu samychże mieszkańców ukraińskich. Wodzowie potrzebowali wiedzieć o nich, już dla tego, aby uniknąć niebezpieczeństwa zbicia się z drogi, i próżnego na domysł wałęsania się po stepie w czasie wypraw; już aby mieć dokładną wiadomość o tych wszystkich miejscach kędyby najdogodniéj mogli Tatarów zaskoczyć i odciąć im „passy i uchody.“ Potrzebował téj znajomości i ogół, a zwłaszcza jeńcy nieszczęśliwi, co wracali

i uciekali, dla niewiadomości właśnie tych stepowych dróg, częstokroć, jak mówi współczesny pisarz, „wieczną cierpiéć woleli niewolę, niż się puszczać w stepy na śmierć z głodu lub pożarcie od zwierząt (Sarnicki Descriptio veteris et novae Poloniae). Pilne przeto i szczegółowe rozpoznanie tych dróg stepowych należało do głównych trosk ówczesnych, było celem życzeń wielu, sprawą naglącą i jakby niezbytą owego czasu. Jakoż jeszcze za Zygmunta Augusta w 1568 r., Piotr Zborowski „ukazował królowi J. Mości, iżby te zagony tatarskie tém łatwiéj zachowane były, potrzeba gdzie na szlaku zamek zbudować, zaczém ukazał wszystkie *pola wymiarkowane*, któremi Tatarowie i *wielkim* i *małym* szlakiem chodzą, także uroczyska, które nam Turcy jeszcze przyznawają i których nieprzyznawają" (Poselstwo tegoż w bibl. Turow.). Następnie już za Stefana Batorego Jan Sienieński, kasztelan halicki, z wielką dokładnością dla nauki ziomków, ile że sam nieraz „jeżdżał w poselstwach do Carogrodu i posiadał z dziada pradziada dobra na szlakach", szlaki te „opisał i odmalował", to jest mapę, ich nakreślił i takową królowi złożył w 1585 r. Toż historyk Sarnicki, którego wziął był on do pomocy w téj pracy, mówi, iż mąż ten nienmiéj na chwałę zasłużył jak Antonius Pius, który dla ułatwienia Rzymianom powrotu z niewoli barbarzyńców, wydał książkę, opisującą drogi, prowadzące z Rzymu do barbarzyńskich narodów (Sarnicki).

Powrót do ojczyzny dla uciekających z niewoli, zwłaszcza dla tych co uciekali pieszo, był nader trudnym, prawie niepodobnym. W bezludnéj pustyni wystawieni oni byli na wszelkie okropności głodnéj śmierci, gdzie nietylko dzikie zwierzęta, pogoń tatarska, zbicie się z drogi i zabłąkanie w stepie, ale nadewszystko zagrażał niedostatek pożywienia i brak wody. Toć czasem bez kawałka chleba, bez kropli wody ci nieszczęśliwi wlec się musieli przez stepy i prawie najdziwniejszemi cudami męztwa i wytrwałości ludzie ci odpychali śmierć co dzień pewniejszą. Toć niejednego z nich głodna śmiérć na dzikim téż zaskoczyła stepie. Znaną jest piękna duma ukraińska o „ucieczce trzech braci z Azowa."

Trzech braci uciekało stepami z niewoli bisurmańskiéj. Dwóch było na koniach, trzeci wlókł się za nimi pieszo. Gdy odstał od jezdnych, to jezdni zaczęli wierzchy tarniny ścinać i dla poszlaki rzucać. A gdy na szlaku *bojraków* nie stało, i nie było już z czego śladów zostawiać, więc „czerwoną kitajkę, jak pieśń mówi, z pod żupana wydzierali, po szlaku rozrzucali, idącemu pieszo ślady zostawiali." Szedł więc bosy, ze stopami popieczonemi od pożarów na stepie, krwią ślady swe zalewając, szedł póki mu jeszcze nie

brakło sił do chodu, ale w końcu głodem i pragnieniem „bezchlebiem i bezwodziem“, jak się duma wyraża, pokonany, na stepie u mogiły Bogu ducha oddał. Dziki zwierz i ptastwo wnet sutą sobie z ciała jego wyprawiło ucztę. Ale gdy się to działo, jezdni bracia tymczasem dojeżdżali już prawie do miejsc zamieszkałych, ledwie że nie widzieli już dymów wijących się nad gościnnemi strzechami, gdy o to z nagła bisurmańska wpadła na nich pogoń, i obu na szablach rozniosła.

Iluż to scen podobnych pustynie te bywały świadkiem.

(*Dok. nast.*)

FRANCYA DAWNIEJSZA.

Les Origines de la France contemporaine par H. Taine.—La Revolution, Tome I. Paris. Librairie Hachette et Comp. 1878.

W jednym z ostatnich poszytów *Ateneum* zdaliśmy sprawę z dzieł Tocqueville'a i Taine'a o wewnętrznym organizmie politycznym i charakterze społecznym dawnéj Francyi, witając je zarazem jak pojaw dodatniéj reakcyi nowoczesnéj historyografii francuskiéj przeciw dotychczasowéj zdawkowéj metodzie traktowania nie mniéj dziejów Francyi przedrewolucyjnéj, jak samejże rewolucyi. Według dotychczasowéj metody, jak zaledwie przypominać choćby najpobieżniejszemu znawcy literatury francuskiéj warto,—dostawał się niepodzielny cień *dawnéj* Francyi, „*à la France de l'ancien régime*," padało nieprzyćmione choćby najlżejszą plamką światło na epokę rewolucyjną i jéj organiczną płodność. Była w tém bezwątpienia przesada i jednostronność, właściwa niestety niemniéj charakterowi narodowemu francuskiemu; jak jego historyografii, przesada i jednostronność nie wierna zresztą sobie, nietrwała, ani konsekwentna, lecz przeskakująca odpowiednio do zmieniających się prądów politycznych i chwilowych usposobień, we wręcz przeciwne kierunki.

Przypomnijmy sobie w epoce restauracyjnéj ów prąd, który w rewolucyi widział tylko same zbrodnie i gwałty, przypomnijmy sobie owéj epoki dzieła historyczne, przedstawiające wielką katastrofę rewolucyjną i epopeję napoleońską, jako szereg obłędów, którym Francya popadła za mniéj lub więcéj szczęśliwego panowania królów Ludwika XVI, XVII i XVIII. Przypomnijmy sobie ową niegodną *przeciw* rewolucyi i Napoleonowi reakcyą literatury history-

czno-politycznéj, w któréj mętach nawet ludzie talentu, stanowiska i charakteru Chateaubrianda ręki umaczać się nie powstydzili. Nastąpiła reakcya przeciw reakcyi w epoce panowania Ludwika Filipa, reakcya znów jednostronnéj i przesadnéj aż do najwyuzdańszego stopnia natury. Nie było prawie głośniejszego na jakiém bądź polu literatury francuskiéj imienia, któreby nie było doznawało pokusy złożenia ostatecznego popisu przez poświęcenie pióra swego dziejom rewolucyi francuskiéj.

Czy to ekonomista polityczny Sismondi, czy dziennikarz i adwokat Thiers, czy historyk Michelet, czy socyalista Cabet, czy poeta Lamartine, czy mąż stanu Mignet, czy filozof Quinet, czy publicysta Blanc,—próbował każdy z nich z kolei pisarskiego talentu i składał wyznanie wiary, politycznéj przez historyą rewolucyi francuskiéj. Dodajmy przy téj sposobności, że jakiekolwiekbądź różnice przekonań i stanowisk dzieliły wszystkich owych pisarzy, że jakkolwiek obszernym może być przestwór między Thiersem a Cabetem, między prezydentem zachowawczéj rzeczypospolitéj francuskiéj a przewrotnym i wywrotnym autorem *Podróży do Ikaryi*,—wszystkich przecież sprowadzał do pewnego wspólnego mianownika, składając się na fakt niesłychanéj, szkodliwéj prawdzie historycznéj przesady i jednostronności,—niepodzielny podziw dla *rewolucyi* saméj i jéj organicznych produkcyj. Po podobnéj rehabilitacyi *rewolucyi*, jéj dzieła i ludzi, przyszła później nieco, z kolei rzeczy, w epoce panowania Napoleona III łaska rehabilitacyi historyograficznéj na Napoleona I i wszystko co stworzył. Przypomnijmy sobie długi ów szereg publikacyj sporządzonych nakładem rządowym przez pana du Casse, ową trzydziestokilkotomową korespondencyą Napoleona I, ogłoszoną nakładem księcia Napoleona: brzmiała z tych wszystkich wydawnictw jednozgodnym chórem apoteoza wielkiego cesarza, by znów i jeszcze za życia i panowania jego synowca siłą reakcyi wywoływać na scenę *nie*, jakby się spodziewać było można i należało, głos jakiejś upominającéj w imię prawdy historycznéj refleksyi, lecz znów jednostronny i przesadny protest namiętności politycznéj. Charras w swéj *Historyi kampanii roku 1815*, Quinet w historycznéj próbie dotyczącéj tegoż samego przedmiotu, Barni w genewskich odczytach o Napoleonie I-m, Lanfrey w swéj *Historyi Cesarstwa*, Michelet w równie płytkiéj, jak niegodnéj diatrybie przeciw Napoleonowi,—stanęli jako zastęp zwartéj reakcyi przeciw kierunkowi idealizującemu cesarstwo, nie przynosząc ani źdźbła prawdzie, służąc tém wierniéj własnéj namiętności. Wieczna, słowem, oscyllacya między przeciwieństwami i ostatecznościami na polu nowoczesnéj historyografii

francuskiéj, wśród którćj prawdzie i równowadze nadaremno dotąd domagać się głosu i uznania.

Na widok dzieł, jak Tocqueville'a i Taine'a, dzieł nie jedynych, jak zauważyć należy, w tym kierunku i téj treści, a poświęconych z widocznym nakładem badawczéj pracy i talentu pisarskiego analizie przeszłości przedrewolucyjnéj Francyi, doznaliśmy szczerego zadowolnienia, owego zadowolnienia właściwego w obec zwrotu na drogę prawdy kogoś, kogoby się z niéj schodzącego nigdy nie chciało widzićć. W dziełach pomienionych obu znakomitych pisarzy francuskich przemawiało także widocznie uczucie jakoby pewnego protestu przeciw owemu bezwzględnemu idealizowaniu rewolucyi, jakie zapanowało niepodzielnie w historyografii Ludwiko-Filipowéj epoki i w dziejopisarstwie opozycyjném drugiego cesarstwa. Reakcya podobna przemawiająca z pod piór tak znakomitych, jakiemi są pióra Tocqueville'a i Taine'a zdawała się nam równie prawdziwą pod względem ściśle historycznym, jak zbawienną pod względem moralno-politycznym. W imię prawdy i ścisłości historycznéj trzeba było odrzéć nieco ze sztucznego blasku rewolucyą francuską, przypomnićć, że ani Ludwik XVI był tyranem, ani szturm Bastylli czynem bohaterskim, ani zwycięztwo jéj na polu bitwy tak wyłącznie zasługą Marsyljanki i bajecznych czternastu nowozaciężnych armij, ani nawet organizm administracyjno-polityczny wychodzący z jéj chaotycznego łona, wyłączném katastrofy podobnéj dobrodziejstwem. Był czas nareszcie otworzyć Francuzom pod tym względem oczy, wystąpić w obec nich w imię dziejowéj prawdy, wprowadzić pewną równowagę zdrowego zastanowienia i sądu między bezwzględne potępienie Francyi „*de l'ancien régime*" a bezwzględną apoteozę Francyi rewolucyjnéj. Tocqueville i Taine zdawali się w swych dziełach, poświęconych badaniom nad przeszłością przedrewolucyjną Francyi, słusznemu oczekiwaniu temu czynić zadosyć. Obaj dowiedli w sposób przekonywający, że nie wszystko, czém się dzisiejsza Francya jako dziełem rewolucyi szczyci, jest istotnie jéj dziełem i zasługą, że przeciwnie Francya *de l'ancien régime* ma w tém swój szeroki udział i część wielce uznania godną.

Obaj nie apoteozowali przecież bynajmniéj monarchicznéj, przedrewolucyjnéj Francyi, a Taine był dla niéj jeśli nie wręcz niesprawiedliwym i jednostronnym, to bezwątpienia bardzo surowym, nie bez dotatku pewnego pierwiastku ironii. Zastanawiając się nad dziełem Taine'a, traktującém staréj Francyi dzieje, zdałoby się nam nawet, jakoby autor był dla niéj nieco jednostronnie niesprawiedli-

wym, jakoby skreślając pasożytność dworu i stolicy, jakoby rozpisując się z pewną drobiazgową lubością nad zabijającym wszelką myśl i ducha, niewolniczym ceremoniałem dworskim, jakoby przedstawiając czarny obraz rozkoszowania arystokracyi a cierpień i dolegliwości ludu,—a był przepomniał *dodatnie* owéj staréj Francyi strony. Cokolwiek bądź i jakąkolwiek była, dyktowała przecież na *zewnątrz* owa Francya przez pewien czas Europie prawa, na *wewnątrz* miała swą oświatę, świeciła Europie pomnikami sztuki i przemysłu, stworzyła wspaniałą literaturę, organizowała wychowanie publiczne. Wspominając o jéj *ujemnych* stronach, czyż nie wymagała prawda i sprawiedliwość historyczna dać miejsce i *dodatnim*, wytłómaczyć czytelnikowi, że *ancien régime* miał takie niegdyś swe „*piękne dni*,“ swą racyą bytu, że nie zawsze miał tylko władców tonących w szykanach etykiety i nie zawsze arystokracyą, wyzyskującą dolne warstwy społeczeństwa francuskiego w celu własnego rozkoszowania?

Takąż jednakże jest metoda Taine'a w pierwszéj seryi jego dzieła. Z jaskrawego przedstawionego przezeń obrazu widać jak na dłoni, że *taka* Francya, na jakiéj karykaturę zdobyła się druga połowa XVIII stulecia, istnieć nie mogła, że pozbawiony wszelkiéj równowagi w ponoszeniu ciężarów przez różne swe składowe cząstki organizm nie mógł nie skończyć katastrofą i był wskazany na ruinę. Słowem wynika z obrazu skreślonego przez znakomitego pisarza nieuniknioną logicznie konieczność rewolucyi, a jeżeli z podobnego początku i założenia mogłaby dla interesującego się prawdą historyczną czytelnika wynikać pewna obawa, mogłaby się wyrażać tylko przez wątpliwość, czy też autor nie stanie może w roli zbyt energicznego rzecznika katastrofy, która swym wulkanicznym wybuchem staréj Francyi koniec kładzie.

Tymczasem rzecz dziwna, popada dalszy ciąg Taine'owego dzieła, wydany co dopiéro pod tytułem *La Révolution*, w przeciwieństwo wręcz przeciwne, w grzeszną i błędną jednostronność, do któréj się autor poniekąd z góry przyznaje. „Ta druga część“ mówi w przedmowie „*Początków współczesnéj Francyi*” będzie się składała z dwóch tomów. Rozruchy ludowe i prawa zgromadzenia ustawodawczego kończą na zniszczeniu wszelkiego rządu we Francyi i jest to przedmiotem niniejszego tomu. Następnie tworzy się stronnictwo około pewnéj ostatecznéj doktryny, chwyta w ręce władzę i praktykuje ją odpowiednio do swéj doktryny, będzie to przedmiotem następnego tomu. Trzebaby jeszcze, ciągnie autor daléj, „*trzeciego*;“ bardzo słusznie, powiedzieliśmy sobie zaraz, ale czyż może, jakby się tego logicznie spodziewać należało, dla przedstawienia *or-*

ganicznéj fazy rewolucyi francuskiéj? Nie; trzebaby właściwie autorowi owego trzeciego tomu,.... „dla odbycia krytycznego przeglądu źródeł.“ Równocześnie zastrzega się autor w przedmowie przeciw przypuszczeniu, jakoby dziełem swém służył jakiemubądź z dzisiejszych stronnictw politycznych i jakoby książka jego zawierała jakiebądź pod tym względem aluzye. „Według mego pojęcia,“ mówi, „ma przeszłość swoję fizyonomią właściwą, a portret jéj skreślony niniejszém przedstawia jedynie tylko dawną Francyą. Skreśliłem go nie kłopocząc się bynajmniéj o nasze obecne rosterki; pisałem, jak gdybym miał za przedmiot rewolucyą Florencyi lub Aten. Co tu tworzę, jest rzeczą historyi, niczém więcéj, a jeżeli trzeba powiedzieć wszystko, ceniłem moje zadanie historyka zbyt wysoko, aby tymczasem, kryjąc się, traktować inne.“

Zakreśliwszy w ten sposób własnemi słowy autora jego stanowisko, ustąpmy chwilowo z naszém zdaniem i z naszemi zapatrywaniami na bok, by zdając sprawę z interesującego cokolwiekbądź dzieła, uczynić czytelnika samego sędzią jego wartości i kierunku. Przedewszystkiém zauważyć nam wypada, że sama metoda traktowania dziejów rewolucyi francuskiéj ze strony Taine'a jest odmienną od metody wszystkich jego dotychczasowych przeciwników. Wszyscy dotychczasowi historycy rewolucyi spoglądają na nią z bruku wersalsko-paryskiego, a grupują przebieg jéj dziejów około stanów generalnych, zgromadzenia narodowego, wypadków w Wersalu i Paryżu, jako centralnego ogniska. Co się dzieje po za obrębem sali zgromadzenia ustawodawczego, po za Paryżem, czy Wersalem, jest dla nich rzeczą podrzędną i obojętną. Skreślana z *tego* stanowiska i z *takich* punktów obserwacyi rewolucya francuska przybiérała od razu pewną idealną, namaszczoną fizyonomią, stawała się z góry opatrznościowym wypadkiem, hasłem i początkiem nowéj ery dziejów europejskiéj ludzkości, Mirabeau ze swym protestem rzuconym w oczy mistrzowi ceromonii Ludwika XVI de Brézé, stawał się bohaterem wolności; scena z 4 Sierpnia 1789 aktem szczytnéj rezygnacyi na rzecz niższych warstw społeczeństwa francuskiego; szturm Bastylli czynem niezrównanego zapału i heroizmu; mowy może nawet Kamillów Desmoulins czy Saint-Hurugue'ów z przewróconych stołów i krzeseł Palais-Royalu tyluż szczytnemi objawami zmartwychwstającego ducha długo tłumionéj swobody. Metoda Taine'a jest wręcz przeciwną unika tego, co się nazywa *la mise en scène*, idzie za kulisy wielkiego widowiska rewolucyjnego, by je czytelnikowi przedstawić ze strony wcale nie idealnéj. Rzuca Paryż, Wersal, zgromadzenie narodowe, by zstąpić na widownię *kraju*, *prowincyi* i rozpocząć rzecz od obrazu *głodu i nędzy*, jaki Francya w skutek nie-

urodzaju, zimna i gradów przedstawia z r. 1788 na 89. Głód ów staje się hasłem bezpośredniego wybuchu, jego przyczyną i nieustającą podnietą, a katastrofa mająca odmłodnić Francyą i Europę, rozpoczyna się, wchodzi w życie wśród wcale nie różowych, ani idealnych objawów.

W zimie z roku 1788 na 1789 tworzą się na całéj przestrzeni Francyi głodowe bandy, przeciągają kraj istnie jak stada drapieżnych wilków, wypowiadają wojnę własności, popełniają straszne gwałty, plądrują magazyny, śpichlerze, sięgają do pałaców. Nie inaczéj dzieje się w samym Paryżu, gdzie rozpasany i zrozpaczony lud rzuca się na składy mąki, na piekarnie, na magazyny przedmiotów jakiéjbądź żywności. Pojawy podobne byłyby bezwątpienia smutne, ale nie przedstawiałyby nic nadzwyczajnego. Rozpacz wywołana głodową klęską nie wtedy tylko i nie w jednéj Francyi stawała się powodem podobnie tragicznych widowisk. Co ważniejsza i smutniejsza, to że wśród owego rozbestwienia, to że wśród owych gwałtów ludu nie widać ramienia wykonawczéj władzy państwa. Lud rzuca się na publiczną i prywatną własność, niszczy gmachy, morduje tu i owdzie ludzi; *władza* policyjna czy wojskowa spogląda na wszystko z założonemi rękami, nie używa nigdzie siły, posługuje się co najwięcéj, nieusłuchaną nigdy i nigdzie, w obec gwałtu perswazyą. Wśród podobnego położenia rzeczy rozprzęga się i rozkłada rząd, rozwiązuje się cały jego organizm.

„Z początku", mówi autor, „są to tylko wybuchy oderwane, odosobnione, które przytłumiają, lub które gasną same w sobie. Wkrótce jednakże potém, w tém samém miejscu, lub w jego pobliżu, tleje na nowo, a mnogość podobnych objawów, jako i powtarzanie się ich, pokazuje ogrom, głębokość, żar palnego materyału, który ma wybuchnąć. W ciągu czterech miesięcy poprzedzających wzięcie Bastylli, można naliczyć więcéj, niż trzysta podobnych wybuchów we Francyi. Powtarzają się od miesiąca do miesiąca, od tygodnia do tygodnia, w Poitou, Bretanii, Touraine, Orleańskiém, Normandyi, Ile-de France, Pikardyi, Szampanii, Alzacyi, Burgundyi, Nivernais, Overnii, Languedocu, Prowancyi. Dnia 28 Maja oznajmia parlament w Rouen o rabunkach zboża, „gwałtowne i krwawe zamięszania, w których wielu ludzi z obu stron zginęło," na przestrzeni całéj prowincyi, w Caen, Saint-Lô, Mortain, Granville, Loveaux, Bernay, Pont-Audemer, Elbeuf, Louviers i jeszcze w innych miejscach. Dnia 20 Kwietnia pisze baron de Bézenval, naczelnik wojskowy prowincyj środkowych. „Przedstawiam ponownie panu Neckerowi obraz straszliwego położenia okolicy Tours i Orlea-

nu. Każdy list, który z tych dwóch prowincyi odbiéram, obejmuje szczegóły trzech czy czterech wybuchów powstrzymanych z trudnością przez wojsko i żandarmeryą.“ A na całéj przestrzeni kraju widowisko jest podobne. Zwykle, a jak to rzeczą naturalną, są kobiéty na czele, one to w Montlhéry, psują worki ze zbożem nożycami. Co tydzień, w dnie targowe, dowiadując się, że cena bochenka chleba poszła w górę o trzy *sous*, o cztery *sous*, o siedm *sous*, krzyczą i oburzają się; za tę cenę, z lichą płacą ich mężów i kiedy zbywa na pracy, jak wyżywić rodzinę? Tworzą się gromady около worków zbożowych i u drzwi piekarzy; pośród krzyków i wyzywań zaczyna się tłum popychać; właściciel czy kupiec jest potrącany, wywrócony, kram jego opanowany przez tłum, towar w ręku kupujących lub ogłodzonych; każdy bierze go sobie, płaci lub nie płaci, zmyka unosząc swą zdobycz. Niekiedy są to wyprawy umówione i ułożone z góry. W miasteczku Bray nad Sekwaną, d. 1 Maja, wieśniacy zebrani z czterech mil do koła, zbrojni w kamienie, noże, kije, a w liczbie czterech tysięcy, zmuszają robotników i dzierżawców, którzy zwieźli zboże, sprzedawać im je po 3 livry zamiast 4 livrów 10 *sous* za półćwiartkę i zapowiadają, że powtórzą to samo za przyszłym targiem. Dzierżawcy nie powrócą naturalnie, targowisko pozostanie próżném, trzeba żołnierzy, w razie przeciwnym mieszkańcy miasta Bray będą zrabowani. W Bagnols miasteczku Languedocu, dnia 1 i 2 Kwietnia, wieśniacy uzbrojeni w kije gromadzą się przy odgłosie bębna, przebiegają miasto, grożąc spalić i wymordować wszystko, jeżeli im nie dadzą zboża i pieniędzy; biegną szukać zboża u osób prywatnych, dzielą je pomiędzy siebie za umiarkowaną cenę z przyrzeczeniem zapłaty na przyszłe żniwa; zmuszają rajców oznaczyć cenę chleba na 2 *sous* za funt a powiększyć o 4 *sous* płacę dzienną. Podobna praktyka jest też najczęstszą.

Nie lud słucha władz, lecz władze są posłuszne ludowi. Rajcy, urzędnicy miejscy, merowie, prokuratorowie, syndycy, reprezentanci municypalności mięszają się i słabną w obec olbrzymiego krzyku. Czują, że będą zdeptani lub wyrzuceni oknem. Inni silniejszego temperamentu pojmują, że spędzony tłum jest szalonym i robią sobie skrupuły przelewać krew; ustępują przynajmniéj na ten czas, spodziéwając się, że za przyszłym targiem żołnierze będą liczniejsi a środki ostrożności lepiéj obliczone. W Amiens po zawierusze bardżo żywéj, uchwalają zabrać zboże Jakobinom i sprzedać je ludowi w obrębie otoczonym przez wojsko, za trzecią część wartości. W Nantes, gdzie ratusz jest opanowanym przez tłum, są zmuszeni zniżyć cenę chleba o jeden *sous* na funcie. W Angoulême, dla u-

niknienia rozlewu krwi, domagają się u hr. d'Artois, by się zrzekł na dwa miesiące swego prawa do mąki i kładą taksę na chleb, dla wynagrodzenia piekarzy. W Cette są wystawieni na tego rodzaju przykrości, że rzucają wszystko. Lud zburzył ich domy i rozkazuje im; każą ogłaszać przy dźwięku trąby, że wszystkie jego żądania są mu przyznane. W innych razach, obywa się tłum bez urzędu, działa sam przez się. Jeżeli zboża zbywa na targu, idzie go szukać tam, gdzie go znajdzie, u właścicieli i dzierżawców, którzy go z obawy rabunku przywozić nie chcą, w klasztorach zakonnych, które z rozkazu króla mają obowiązek mieć zawsze w zapasie jeden rok poprzedniego żniwa, w spichlerzach, w których rząd zachowuje swe zapasy, w przesyłkach, które intendent wyprawia do miast ogłodzonych. Każdy troszczy się o siebie; tém gorzéj dla sąsiada. Mieszkańcy miasta Tongives biją i wypędzają mieszkańców miasteczka Ernée, którzy przychodzą kupować na ich targu; podobne gwałty w miasteczku Vitrée przeciw mieszkańcom miejscowości Maine. W Saint-Léonard zatrzymuje lud zboże przeznaczone do Limoges, w Bost zboże, które przesyłano do Aurillac, w Saint-Didier zboże przeznaczone do Moulins, w Tournus zboże przeznaczone do Mâcon."

Otóż to wcale nieidealna inauguracya rewolucyi, którą dotychczasowa historyografia francuska z tak idealnéj przedstawiała strony, inauguracya nacechowana pożogą i rabunkiem, nie woniejąca bynajmniéj zapachem *Układu Społecznego* Rousseau'a, ani będąca echem humanitarnych frazesów encyklopedystów. Od rabunku, nieładu, pożogi posuwa się ogólne rozkiełznanie do mordu. W saméjże okolicy Paryża rzuca się lud na intendentów rządowych, Foulona i Berthiera, morduje ich, zatyka głowy na piki i obnosi w tryumfie. Przykład podobny staje się zaraźliwym; mordy takie powtarzają się na całéj przestrzeni Francyi, ofiarami ich padają nie mniéj urzędnicy państwa, jak tak zwani „*arystokraci*" i to właśnie najlepsza i najszlachetniejsza ich część, ci właśnie, którzy trwają na miejscu swego przeznaczenia, którzyby radzi ulżyć ciężarom i dolegliwościom ludu, którzyby go radzi nakarmić a zarazem oszczędzać, o ile możności, jego kieszeń.

Taki obraz, ponury i jaskrawy razem, przedstawia *prowincya*. Czyż przedstawia dodatniejszy *stolica* ze swą cywilizacyą, ze swą centralną władzą, z dworem, z radzącemi już nad dobrém kraju stanami generalnemi? Częściową odpowiedź na to zapytanie dają już wspomniane co dopiéro wyżéj mordy Foulona i Berthiera, by znaleść jaskrawsze jeszcze naśladowanie przy sposobności szturmu Bastylli i napaści na pałac wersalski w dniu 5 i 6 Października

1789 r. Bruk stolicy w owéj epoce zasługuje jednakże jeszcze na nawiasową, specyalną uwagę pod *innym* względem. Dość rzucić okiem na jakąkolwiekbądź z dotychczasowych historyj rewolucyi francuskiéj, by się przekonać, jakim entuzyazmem tchną ich autorowie do ludzi epoki poprzedzającéj wybuch, do mówców i trybunów ludu, którzy na placach i rynkach Paryża grzmieli zapalnemi frazesami przeciw dotychczasowemu uciskowi w imię przyszłéj swobody, którzy obdziérali drzewa Palais-Royalu z zielonych liści, by z nich robić sobie demonstracyjne kokardy i godła, którzy, jak Kamil Desmoulins lub Saint-Hurugue, co wieczór karmili tłumy paryskie strawą, która pobudzała tylko nowy apetyt, objawiający się w gwałtach i wybrykach. Przypomną sobie daléj może jeszcze czytelnicy dotychczasowych historyj rewolucyi francuskiéj, owe czułe, łzawe stronnice, jakie autorowie ich poświęcać zwykli ostatnim chwilom wskazanego na śmierć Kamila Desmoulins, listom do żony Lucylli i do dwuletniego synka Horacego. Bezwątpienia, są to ustępy pełne patetyczności, zdolne rozrzewnić i rozczulić na rzecz młodego trybuna ludu, ginącego jako ofiara zimnéj ambicyi idealizowanego również przez tych i owych Robespierre'a. Miałże jednak i ów Desmoulins litość i czyż, wyszedłszy późniéj na ofiarę, nie był poprzednio katem? Otóż, co twierdzi i czego dowodzi najniezaprzeczeniéj Taine, przedstawiając go bądź to podżegającego lud do gwałtów w swych wieczornych mowach, bądź pochwalającego ów lud bez osłony, za spełnione już gwałty i mordy, za rozszarpanie Foulona i Berthiera, za obnoszenie głów ich na ostrzu pik....

Autor na każdym kroku odziera rewolucyą i jéj wybitniejsze objawy z uroku, jakim je dotychczas osłaniać się przyzwyczajono. Obejrzawszy przy świetle dziennem owych wyrosłych w jakichś półbogów nowożytnéj historyi trybunów i podżegaczy bruku paryskiego, rozpatruje się autor tém samém okiem i przy tém samém świetle w fakcie, jakim jest *szturm Bastylli.* Komuż nie wiadomo, komuż nie pamiętne, jaką aureolą otacza dotąd historyografia francuska ów wypadek, robiąc go jutrzenką swobody, mieniąc go aktem jakiegoś szczytnego bohaterstwa ludowego. Posłuchajmy tymczasem prozy, w jakiéj go przedstawia *prawda* p. Taine'a.

„Napastnicy strzelają pod Bastyllą od dziewiątéj z rana do piątéj wieczorem do murów wysokich czterdzieści stóp, grubych trzydzieści a przypadkiem tylko jeden ze strzałów dotyka na murach inwalida. Oszczędzają ich jak dzieci, którym się usiłuje jak najmniéj, o ile możności szkodzić. Na pierwsze żądanie, rozkazuje komendant cofnąć działa z otworów; nakazuje przysiądz załodze, że

nie będzie strzelała, będąc zaczepioną; zaprasza na śniadanie pierwszą deputacyą, pozwala wysłannikowi ratusza zwiedzić całą twierdzę; wytrzymuje kilka wystrzałów bez odpowiadania na nie i pozwala zabrać pierwszy most, nie spotrzebowawszy ani jednego ładunku. Jeżeli nareszcie strzela, jest to ostateczną koniecznością, aby bronić drugiego mostu i po zawiadomieniu oblegających, iż ogień się rozpocznie. Słowem, jego wyrozumiałość, jego cierpliwość idą do ostatecznych krańców, odpowiednio ludzkości owego czasu. Co się *ich* tyczy, są rozbałamuceni nowém uczuciem ataku i oporu, zapachem prochu, wrażeniem walki; pragną tylko rzucić się na kamienne mury, a środki ich odpowiadają ich taktyce. Pewien piwowar myśli zapalić tę masę murów, pryskając na nie pompami oléj i fosfór. Młody cieśla, mający pewne wiadomości archeologiczne, proponuje zbudować *katapult*. Niektórzy rozumieją, iż im się udało pochwycić córkę komendanta i chcą ją spalić, aby zmusić ojca do poddania. Inni podkładają ogień pod budynek wysuniony naprzód, napełniony słomą i zamykają sobie w ten sposób przystęp. Bastylla nie była wzięta szturmem, powiadał dzielny Elie jeden z walczących; poddała się, nie będąc jeszcze zaczepioną, przez kapitulacyą, w skutek obietnicy, że nikomu się nic złego nie stanie. Załoga, zbyt dobrze zasłoniona, nie miała serca strzelać bez własnego niebezpieczeństwa na żyjące ciała, a z drugiéj strony była zaniepokojona widokiem ogromnego tłumu. Ośmiuset do 900 ludzi tylko szturmowało, po większéj części robotnicy lub kramarze przedmieściowi, krawcy, kołodzieje, mali handlarze, sprzedawacze wina, pomięszani z gwardzistami francuskimi. Plac Bastylli jednakże i wszystkie przylegające ulice były przepełnione ciekawymi podobnego widowiska; pomiędzy nimi, mówi naoczny świadek, mnóstwo eleganckich i przyzwoitych kobiét, które pozostawiły swe powozy z pewnéj odległości. Z wysokości ich murów, zdawało się 120 ludziom załogi, że cały Paryż wylewa się na nich. To téż oni spuszczają zwodzone mosty, wprowadzają nieprzyjaciela; wszyscy stracili głowę, tak obleżeni, jak oblegający, ci ostatni jeszcze więcéj, ponieważ są upojeni zwycięztwem. Zaledwie weszli poczynają wszystko niszczyć, a ci co przyszli na ostatku, strzelają do tych co weszli pierwsi; na chybi trafi, każdy strzela, nie zważając ani gdzie, ani na kogo strzały padają. Nagła wszechwładność i swoboda zabijania są winem zbyt mocném dla natury ludzkiéj; przychodzi obłęd, człowiek *widzi czerwono*, a jego zawrót kończy się dzikością. Jest bowiem właściwością wszelkiego ludowego powstania, że ponieważ nikt w nich nie słucha nikogo, złe namiętności są równie wolnemi jak szlachetne, a bohatérowie nie mogą powstrzymać rozbójników. Elie, który wszedł pierwszy, Cholat, Hulin,

waleczni postępujący w pierwszym rzędzie, gwardziści francuscy, którzy się znają na prawach wojny, starają się dotrzymać słowa, tłum jednakże, który idzie za nimi, umie tylko rozbijać, a bije i uderza na chybi trafi. Oszczędza szwajcarów, którzy doń strzelali, a którzy w swych mundurach niebieskich, zdają mu się być więźniami. Przeciwnie za to, rzuca się na inwalidów, którzy mu bramy otworzyli. Ten, który przeszkodził komendantowi wysadzić twierdzę w powietrze, ma rękę odciętą uderzeniem pałasza, jest przebity dwoma pchnięciami szpady, powieszony, a jego ręka, która ocaliła część Paryża, jest obnoszona w tryumfie po ulicach. Włoką oficerów, zabijają pięciu z nich wraz z trzema żołnierzami, zaraz na miejscu, lub po drodze. Podczas długich godzin strzelaniny, obudził się krwiożerczy instynkt, a chęć zabijania, zamieniająca się w manią, rozpowszechnia się daleko w tłumie, który się nie znajdował w akcyi. Własny wrzask jego wystarcza, aby go przekonać. Na teraz wystarcza mu okrzyk nienawiści; odkąd jeden uderzył, pragną wszyscy rąbać. Ci którzy nie mieli broni, mówi pewien oficer, miotali kamienie na mnie; kobiéty zgrzytały zębami i groziły mi pięściami. Już dwóch z pomiędzy moich żołnierzy, zostało zabitych w tyle za mną. Przybyłem nareszcie wśród ogólnych krzyków, domagających się mego powieszenia, na kilkaset kroków od ratusza, gdy przyniesiono przedemnie głowę zatkniętą na pikę, którą do mnie zbliżono, abym na nią patrzył, mówiąc, że to głowa komendanta P. de Launay.... *On*, wychodząc, odebrał ranę szpadą w prawe ramię; przybywszy na ulicę Ś. Antoniego, wszyscy wyrywali mu włosy i zadawali ciosy; pod arkadą S. Jana był już ciężko rannym. Około niego mówili jedni: trzeba mu uciąć głowę, drudzy: trzeba go powiesić, inni: trzeba go przywiązać do końskiego ogona. Wtedy zdjęty rozpaczą i chcąc skrócić swą męczarnię, woła: niech mnie zabiją! i wydzierając się, uderza nogą w brzuch jednego z ludzi, którzy go trzymają. W téj chwili jest pokłuty bagnetami, ciągną go do strumyka, rąbią jego trupa, krzycząc: jestto łotr i potwór, który nas zdradził; *naród* domaga się jego głowy, aby ją pokazać publiczności i wzywają człowieka, który odebrał uderzenie nogi, aby ją sam uciął. Człowiek ten, kucharz bez miejsca, nawpół gap', który poszedł do Bastylli, aby zobaczyć co się tam dzieje, uważa, iż ponieważ takiém jest ogólne zdanie, czyn sam jest *patryotycznym* i sądzi nawet, że zasłuży sobie na medal, zgładzając potwora. Podaną sobie szablą uderza w obnażoną szyję, lecz ponieważ szabla źle oprawiona nie kraje, wydobywa z kieszeni małego noża o czarnéj okładce, a umiejąc w rzemiośle swém kucharskiém robić około mięsa, kończy szczęśliwie operacyą. Następnie zatykając głowę na

widły o trzech zębach, udaje się w pochód w towarzystwie dwustu ludzi zbrojnych, nie licząc tłumu, na ulicy S. Honoryusza, każe do głowy przypinać dwa napisy, aby dobrze oznaczyć *czyją* była. Budzi się następnie wesołość; przeciągnąwszy przez Palais-Royal, przybywa orszak na Pont-Neuf; w obec posągu Henryka IV nachylają trzykrotnie głowę, wołając: Pozdrów Twego pana! Jestto żart ostateczny, odnajduje on się w każdym tryumfie a z pod rzeźnika ukazuje się ulicznik.“

Przytoczyliśmy umyślnie szeroki ten opis szczegółów wzięcia Bastylli z opowiadania p. Taine‘a, z jednéj strony, aby dać czytelnikowi wyobrażenie, z jak dalece nieidealnego stanowiska autor sam zapatruje się na czyn rewolucyi, który dotąd, według wszystkich jéj historyków, uchodził za czyn inaugurujący nową erę, za akt bohatérstwa ludowego, daléj z drugiéj strony, aby przy sposobności tego długiego przytoczenia zauważyć, iż „*Rewolucya*“ p. Taine‘a składa się, prawdę powiedziawszy, z malowniczéj i jaskrawéj, ale zarazem i wielce jednostajnéj mozajki podobnych scen i widowisk. Mord, gwałt, pożar i rabunek na przestrzeni całéj Francyi, czy to na roznamiętniającém się łatwo południu Prowancyi, Delfinatu i Langwedoku, czy to w łagodnéj na pozór Burgundyi i Szampanii, czy w Celtyckiéj Bretanii, czy w chłodnéj Normandyi, czy w napół niemieckiéj Alzacyi. Wszędzie przez lata 1789, 1790 i 1791 te same patologiczne objawy wśród tych samych szczegółów, powtarzających się wiernie ze strony władz, zagrożonych warstw i osób, i zagrażającego ludu.

Lud jest przedewszystkiém *podejrzliwym*; widok podróżnego przejeżdżającego przez wieś lub miasto; ukazanie się wozu z mąką lub zbożem pod eskortą żandarmów; uczta w zamku jakiego „*arystokraty*“ na prowincyi; najniedorzeczniejsza pogłoska puszczona w obieg z krzywdą jakiego urzędnika cła lub administracyi, wszystko to rozdrażnia i roznamiętnia lud okoliczny w niesłychany sposób, zbija go w tłumy, które na wpół ze strachem, na wpół z ciekawością z przymieszką podejrzliwéj niechęci, udają się, zbrojne w widły, cepy, kosy, kije i drągi na miejsce *rumorem* publicznym wskazane. Według reguły bez wyjątku, spotykają się tu zawsze z pewną wyrozumiałością i względnością zagrożonych. Zamiast energii i oporu znajdują wszędzie kapitulacyjne intencye i uległość. „*Arystokraci*“ otwiérają im regularnie swe zamki, zaręczają swą niewinność, pozwalają przepatrywać wszystkie kąty; władze celne, czy administracyjne pozwalają im równie łaskawie zaglądać do swych biur, rewidować swe papiéry, wchodzić do najdyskretniejszych swych

tajników, poddawać śledztwu wskazanych mściwością publiczną urzędników.

Naturalnie nie potrzeba dowodzić, iż wszelkie tego rodzaju podejrzliwości nie mają w dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu razach żadnéj podstawy. Cóż się jednakże bezwiednemu a namiętnemu tłumowi o to pytać? Pierwszy lepszy wychodzący z łona jego okrzyk, pierwszy lepszy widok jakiego światła w tém lub owém oknie, jakiéj zardzewiałéj szpady, jakiego starego munduru, roznamiętnia motłoch, podburza do niszczenia i rabunku. Najlżejszy opór budzi jego krwiożerczość. W ostatnim akcie kończy się każdy tego rodzaju wypadek pożogą zamku lub budynku urzędowego, zamordowaniem kilku lub kilkunastu niewinnych ludzi, tryumfalnym pochodem z głowami zatkniętemi na piki. Co zaś w podobnych wybrykach rzeczą najsmutniejszą, to, że ofiarami ich padają niemniéj uczciwi i ludzcy panowie, jak uczciwi, zdolni i ludzcy urzędnicy. W przeświadczeniu czystości swego sumienia pozostają oni na miejscu, pragnęliby dotrwać, chcieliby pełnić obowiązki swego stanowiska społecznego czy urzędowego i giną najczęściéj z niesłusznie i bezwiednie mściwéj ręki ludu, kiedy inni pomyśleli zawczasu o bezpieczeństwie, kiedy uchronili życie i szczątki mienia, wynosząc sie za granicę, zwiększając pod Koblencyą liczbę przyszłéj armii Kondeuszowéj.

Drugą, nie mniéj tragiczną dla Francyi, podobnych wybryków stroną, jest najzupełniejszy rozkład państwowego jéj organizmu, najzupełniejsza zatrata pojęcia *władzy*. *Władza* jakiegobądź nazwiska i wydziału smutną wśród podobnego położenia rzeczy odgrywa rolę. Czy to wojsko, czy policya, czy administracya, czy instancye fiskalne, czy sprawiedliwość nie mają *wiary* w siebie, nie mają ani odwagi cywilnéj, ani chęci posługiwania się środkami materyalnéj repressyi w obec rozkiełznanych namiętności ludu. *Tłum* jest w najwłaściwszém znaczeniu tego wyrazu panem Francyi i dyktuje prawa czy to dworowi, sprowadzając go, w orszaku strojnym w głowy zatknięte na piki, z Wersalu do Paryża, czy zbrojnemu wyrazowi rewolucyi w osobie Lafayetta, każąc mu się ściskać i całować z przekupkami paryskiemi, z „*dames des Halles*“ stolicy Francyi, czy naczelnikom wszelkich magistratur, czy komendantom zamków i twierdz kraju. Nie ma przypadku, aby sprawiedliwość pod naciskiem terroryzmu ludowego, póki jeszcze choćby nominalnie tylko funkcyonuje, wydała wyrok sprzeczny z jego pretensyami; niema przypadku, aby jaka bądź instancya cywilna, miała odwagę odmówić mściwości ludowéj urzędnika, który jéj się słusznie lub niesłusznie naraził; nie ma przypadku, aby komendant jakiéjbądź cytadelli, lub

twierdzy francuskiéj, wezwany do poddania jéj, do oddania jéj w rozporządzenie ludu, był odpowiedział kartaczami na podobne wezwanie, był przypomniał sobie obowiązki swego zadania i stanowiska. Wszędzie kapitulacya, wszędzie wstręt przelania *kropli* krwi, by oszczędzeniem podobném wywołać przelew jéj *strumieni*; wszędzie oddawanie głowy pod nóż z rezygnacyą i spokojem Indyanina, klękającego pod skalpel zwycięskiego przeciwnika. *Władza* wszelka, wraz ze swém pojęciem, cały organizm państwowy Francyi, giną wśród podobnych wybryków, a nie należy bynajmniéj sądzić czy przypuszczać, że z pośród podobnego chaosu, że z pośród podobnych ruin rozpadającéj się i walącéj staréj monarchii, wykwita władza i organizm nowego porządku rzeczy. Broń Boże!

Nadewszystko myliłby się bardzo, ktoby przypuszczał, iż dziedzictwo władzy po staréj monarchii objęło np. zgromadzenie narodowe. I ono ulega swoją drogą terroryzmowi ludowemu, a nie dość na tém, nie cieszą się bynajmniéj jego dekrety i rozporządzenia na prowincyi jakiémbądź uznaniem i posłuszeństwem. Dekret np. znoszący ciężary feodalne tłómaczy sobie lud na prowincyi na wygodniejszą dla siebie uchwałę zniesienia wszelkich podatków, tak, że nowy rząd znajduje się w najistotniejszym kłopocie zadosyćuczynienia ciężarom machiny państwa. Wyprawia daléj np. rząd centralny nowego autoramentu, furgony z pieniędzmi do Szwajcaryi, lub daje pozwolenie ciotkom królewskim wyjazdu do Rzymu. Tłum na prowincyi nie pyta o podobne rozporządzenia swéj reprezentacyi, czy władzy, i zatrzymuje czy to przeprawę pieniędzy, czy podróż biédnych dam dworskich.

Zresztą nie jest autor bynajmniéj wielbicielem ani ludzi, ani postanowień owego zgromadzenia, które dzięki swym co wybitniejszym osobistościom i co charakterystyczniejszym ich wystąpieniom było dotąd przedmiotem samych tylko entuzyastycznych uniesień historyografów rewolucyi francuskiéj. Autor charakteryzuje owo zgromadzenie, jako zbiorowisko mniéj lub więcéj uzdolnionych deklamatorów i frazesistów, którym trudności ich zadania były najzupełniéj obce, którzy papierowemi uchwałami mniemali zmieniać radykalnie stan rzeczy społeczny i polityczny, na jaki się składały wieki. Obecni obradom zgromadzenia narodowego francuskiego Anglicy i Amerykanie, potrząsali głową na widok uchwał powziętych w godzinę, nad któremi *oni* byliby miesiące trawili. Z tego téż stanowiska zapatruje się autor na prace i dzieła owego zgromadzenia, nie wyjmując jego najdramatyczniejszych, najbardziéj przez ilustracye obrazkowe rozpowszechnionych i spopularyzowanych momentów. Owa tyle urocza i tak idealizowana przez dotychczasową historyo-

grafią francuską noc 4 Sierpnia, owa noc uświęcona zbiorową rezygnacyą uprzywilejowanych stanów Francyi z wszelkich ich prerogatyw na rzecz ludu, zamienia się także pod piórem chłodniej na podobne widowiska zapatrującego się p. Taine'a na akt, który swą pospiesznością i teatralnością zbliża się raczéj do owego *ridicule*, aniżeli *sublime* napoleońskiego. Podobnie jak szturm Bastylli nie jest, według niego, aktem bohatérstwa ludowego, tak téż i owa noc 4 Sierpnia nie jest tak zupełnie i wyłącznie na sam podziw tylko zasługującym ołtarzem, na którym miały spłonąć w zapale szczytnego, humanitarnego entuzyazmu, ciężary ludu, przywileje feodalizmu. Deklamacyjność i przesada, teatralność i śmieszność tworzą, według autora, *magnam partem* i tego aktu.

Posłuchajmy sądu autora o najwybitniejszych i najcharakterystyczniejszych osobistościach tak zgromadzenia narodowego, jak owéj fazy rewolucyi francuskiéj w ogóle. „Dym próżności i szumnie brzmiących wyrazów rozchodzi się po mózgach. Kto najwięcéj szaleje, jest koryfeuszem tłumu, staje się przewodnikiem egzaltacyi, którą wzmaga. Przypatrzmy się głównym osobistościom, najpopularniejszym, są to owoce suche lub niedojrzałe literatury i adwokatury. Każdego poranku gazeta jest straganem, wystawiającym ich na sprzedaż, a jeżeli się podobają rozdrażnionéj publiczności, dzieje się to właśnie tylko przez jéj smak kwaśny lub gorzki. W głowach ich nie ma żadnéj idei politycznéj, żadnego uzdolnienia, żadnego praktycznego doświadczenia. Desmoulins ma lat 29, Coustalot 27, a ich zasób nauk składa się z nauki kolegialnéj, ze wspomnień szkoły prawa, z komunałów pozbiéranych u Raynala i gdzieindziéj. Co się tyczy Brissota i Marata, deklamacyjnych humanistów, znają oni Francyą i zagranicę tylko przez otwór swego poddasza, przez okulary swych utopij. Tego rodzaju umysły, sprowadzone z prostéj drogi, lub pozbawione wiedzy, biorą naturalnie *Układ społeczny* Rousseau'a za ewangelją, ponieważ on sprowadza wiedzę polityczną do ścisłego zastosowania elementarnego axiomu, co ich uwalnia od wszelkiéj nauki, a oddaje społeczeństwo pod dowolność ludu, co znów je oddaje w *ich* ręce. Dla tego to niweczą, co tylko pozostaje z władzy, i popychają ku niwelacyi, aż wszystko będzie zrównaném. Z mojemi zasadami, pisze Desmoulins, łączy się zadowolnienie z tego, że mogę zająć moje stanowisko, pokazać moję siłę tym, co mną gardzili, doprowadzić do równi z sobą tych, których fortuna postawiła ponademną. Hasłem mojém jest dewiza poczciwych ludzi: *precz z wyższością!* Pod wielkiém mianem wolności szuka w ten sposób każda próżność swéj zemsty i pożywienia. Nic naturalniejszego i słodszego, jak usprawiedliwienie swych namiętności

za pomocą swojéj teoryi, być stronniczym uważając się za patryotę, obejmować interes własnéj swéj ambicyi interesem rodzaju ludzkiego.

„Wyobraźmy sobie owych kierowników opinii takimi, jakimi byli przez trzy miesiące: Desmoulins adwokat bez praktyki, żyjący w umeblowanym pokoiku, z niepokojących długów, lub z kilku lujdorów wydartych swéj rodzinie. Coustalot jeszcze mniéj znaczy, przyjęty roku poprzedzającego do parlamentu w Bordeaux, przybył do Paryża w celu szukania karyery; Danton, inny adwokat drugiego rzędu, pochodzący z małéj mieściny w Szampanii, odłużony dla zapłacenia swego stanowiska, a którego kłopotliwe gospodarstwo utrzymuje się tylko za pomocą lujdora dostarczanego co tydzień przez jego teścia, sprzedającego limonadę. Brissot, wędrowny literat, dawniéj pomocnik rabusiów literackich, który jeździ od pietnastu lat, nie przyniosłszy z Anglii czy z Ameryki nic innego, oprócz dziurawych łokci i przewrotnych idei. Marat wreszcie, pisarz wygwizdany, niedoszły uczony, poroniony filozof, fałszerz swych własnych eksperymentów, pochwycony przez fizyka Charles'a na gorącym uczynku oszukaństwa naukowego, spadły z wysokości swoich przesadzonych ambicyj na poziom podrzędnego medyka w stajniach hrabiego d'Artois. Obecnie, Danton, prezes Kordelierów, może w obrębie swéj władzy kazać aresztować kogo mu się podoba, a gwałtowność jego wniosków, jego głos piorunujący oddają mu na tymczasem rządy jego okręgu miasta. Jedno słowo Marata starczy, by w Caen wyprawić na śmierć majora de Belsunce. Desmoulins oznajmia z uśmiechem tryumfu, że wielka część stolicy wymienia go pomiędzy głównymi sprawcami rewolucyi, a że wielu nawet utrzymuje, iż jest jedynym jéj autorem. Wyniesieni tak wysoko i tak nagłém uderzeniem laski czarodziejskiéj, czyż można przypuścić, aby chcieli zawrócić, zstąpić, i czyż nie jest rzeczą widoczną, że będą się przykładali wszelkiemi siłami do ruchu, który ich wyprowadza na pierwsze szczyty? Zresztą zawraca im się głowa na téj wysokości, rzuceni na chybi trafi w przestwór i czując, iż wszystko około nich się wywraca, wmawiają krzykliwie sobie i innym oburzenie i terroryzm, dopatrują wszędzie machinacyi, wyobrażają sobie egzystencyą niedostrzegalnych powrozów, które wszystko ciągną w tył, wołają na lud, aby je przecinał. Całym ciężarem swego niedoświadczenia, swéj nieudolności, swéj nieprzezorności, swego strachu, swéj łatwowierności, swego dogmatycznego uporu, popychają do zamachów ludowych, a wszystkie ich artykuły i mowy mogą się streścić w następnym frazesie: Narodzie, to jest wy ludzie ulicy, którzy mnie słuchacie, macie nieprzyjaciół, dwór i arystokratów, a macie także reprezen-

tantów, ratusz i zgromadzenie narodowe. Połóżcie rękę, rękę silną na waszych nieprzyjaciół, aby ich powiesić, na waszych reprezentantów, aby ich poruszyć. Desmoulins proklamuje się generalnym prokuratorem latarni a jeżeli żałuje zabójstwa Foulona i Berthiera to tylko dla tego, że zbyt pośpieszna sprawiedliwość pozwoliła zniknąć dowodom konspiracyi, co ocaliło znaczną liczbę zdrajców; on sam wymienia ich ze dwudziestu, na chybi trafi, a zależy mu mało na tém, czy się myli. Znajdujemy się w ciemności; dobrze więc, że wierne psy szczekają nawet na przechodzących, aby odstraszyć złodziei. Odtąd to Marat denuncyuje króla, ministrów, administracyą, sądownictwo, adwokaturę, skarbowość, akademików; wszystko jest *podejrzaném*; cokolwiekbądź, cierpi lud tylko z ich winy. Rząd to zabiéra zboże, aby nam sprzedawać za cenę złota chléb, który nas zatruwa. Rząd to daléj, za pomocą nowego spisku, zabiéra się zamykać Paryż, aby go ogłodzić tém łatwiéj. Podobne gadaniny w podobnym czasie są materyałem palnym, rzucanym na strach i głód, aby zapalić tamże wściekłość i okrucieństwo. Temu rozdrażnionemu i wygłodzonemu tłumowi powtarzają agitatorowie i dziennikarze, że trzeba działać, działać *obok* władz a w razie potrzeby i *przeciw* nim. Innemi słowy: róbmy, co nam się podoba, jesteśmy, wyłącznie prawowitymi panami; w rządzie dobrze ukonstytuowanym jest naród *in corpore* prawdziwym władzcą; nasi delegaci są na to tylko, aby wykonywać nasze rozkazy; jakiém prawem ośmiela się glina buntować przeciw garncarzowi?

„Nie dość na tém, stawia się burzliwy klub, zapełniający Palais-Royal, na miejscu zgromadzenia wersalskiego; czyż niéma wszystkich tytułów prawnych do zajmowania podobnego stanowiska? Przecież to Palais-Royal w dniach 12 i 13 Lipca ocalił naród. On to przecież przez swych mówców i broszury zrobił wszystkich, nie wyjmując żołnierza *filozofami*. Jest ogniskiem patryotyzmu, miejscem spotkania wyboru patryotów tak prowincyonalnych, jak paryskich, którzy mają wszyscy prawo głosowania, a nie mogą lub nie chcą go wykonywać w swoim okręgu. Jest rzeczą prostszą przyjść do Palais-Royalu. Tam nie ma potrzeby domagania się głosu u jakiegobądź prezydenta, odczekiwania swéj kolei przez dwie godziny. Kto chce występuje ze swoim wnioskiem; jeżeli znajduje zwolenników, każe się wstępować mówcy na krzesło. Jeżeli mu klaszczą, redaguje swój projekt; jeżeli jest wygwizdany, odchodzi sobie. Tak robili Rzymianie, a otóż to prawdziwe zgromadzenie narodowe.

„Więcéj przecież warto od tego drugiego, na wpół feodalnego, zapełnionego przez sześciuset deputowanych duchowieństwa i szlachty, którzy są intruzami, a których by trzeba wysłać na galery,

Dla tego też to rządzi zgromadzenie czyste zgromadzeniem nieczystém, a kawiarnia Foy ma pretensyę rządzić Francyą.“

Otóż to wcale niepochlebny obraz pierwszych początków wielkiéj katastrofy, które czy to w pamiętniejszych swych wypadkach, czy to w wybitniejszych swych reprezentantach dotychczas tylko *idealizowaniem* historyografa się cieszyły. Pod piórem p. Taine’a zamieniają się wydarzenia, jak szturm Bastylli, lub noc 4 Sierpnia, na sceny obrzydłego gwałtu lub jaskrawéj śmieszności; postacie koryfeuszów, czy to zgromadzenia narodowego, czy klubów paryzkich, na reprezentantów pretensyonalnéj anarchii z armią rozwścieklonego ludu w odwodzie. Rzeczywistość staje się tu tém brudniejszą i straszliwszą, im więcéj sentymentalizm, idealizm polityczny, nieznajomość rzeczy podawały sobie ręce, by ją przyodziewać złotym szychem bardzo niewczesnego nimbu. Wieńczy szereg gwałtów i wybryków *owéj* właśnie epoki rewolucyi francuskiéj ponura orgia nocy 5 i 6 Października 1789 r. „Od piątéj z rana, przededniem, uwijają się owe dzikie zwierzęta około krat zamkowych. Lafayette wycieńczony znużeniem odpoczywał sobie godzinę, a ta godzina starczyła im. Tłum zbrojny w piki i drągi, składający się z mężczyzn i kobiét, otacza pluton liczący 80 ludzi gwardyi narodowéj, zmusza go strzelać na gwardzistów króla, wywala jedną bramę, porywa dwóch gwardzistów, ucina im głowy. Ów operator głów, wyszły z warsztatu, człowiek z długą brodą, pokazuje swe czerwone ręce, przechwalając się z tego co zrobił, a wrażenie na gwardzistów narodowych jest tak wielkie, że przez uczuciowość usuwają się, aby nie być świadkami podobnych widowisk; otóż cały ich opór. Podczas tego tłum zajmuje wschody, morduje i depcze nogami gwardzistów, których spotyka, wybija drzwi wśród przekleństw przeciw królowéj. Królowa ocala się jeszcze zawczasu w kaftaniku. Uchroniona u króla wraz z całą rodziną królewską, a nadaremno zabarykadowani w apartamencie *Oeil de Boeuf*, którego drzwi pękają, czekali tylko śmierci, gdy Lafayette przybywa ze swymi grenadyerami i ocala, co jeszcze może być ocaloném, życie nic więcéj. Z tłumu bowiem zapełniającego podwórze marmurowe zrywa się okrzyk: *Król do Paryża*, a król poddaje się temu rozkazowi. Teraz więc, gdy mają w swym ręku wielki zakład, czyż będą chcieli przyjąć drugi? Jestto rzeczą wątpliwą. Gdy królowa zbliżyła się do balkonu z synem i córką, wznosi się pomruk: *Precz z dziećmi*! Chcą ją mieć samą na celu swych karabinów i ona to rozumie. W téj chwili Lafayette zakrywając ją swoją popularnością, ukazuje się wraz z nią na balkonie, i całuje jéj z szacunkiem rękę. W rozdrażnionym tłumie nastaje przemiana nagła; w podobnym stanie wytężenia nerwowego, czło-

wiek, nadewszystko kobiéta przeskakują stromo z jednéj ostateczności w drugą a wściekłość graniczy ze łzami. Portyerka, towarzyszka Maillarda, słyszy w swéj wyobraźni Lafayette'a przyrzekającego w imieniu królowéj, że będzie kochała swój naród i że będzie doń przywiązaną, jak Jezus Chrystus do swego kościoła. Następują rozczulenie i ściskania; grenadyerzy przybiérają w swe czapki gwardzistów królewskich. Wszystko będzie dobrze, naród odzyskał swego króla. Teraz tylko trzeba się radować i orszak udaje się w pochód; w środku rodzina królewska i stu deputowanych w powozach, następnie artylerya z kobiétami, siedzącemi na armatach; daléj transport mąki; około tego wszystkiego gwardziści królewscy, mający każdy za sobą na koniu gwardzistę narodowego; daléj gwardya narodowa paryzka, ludzie zbrojni w piki, kobiéty pieszo, konno, w dorożkach, na taczkach; na czele banda niosąca na ostrzu dwóch drągów ucięte głowy, która się zatrzymuje w Sevres u perukarza, aby je kazać upudrować i ufryzować, pochylają je, aby się kłaniały; walają je mlekiem, wśród śmiechów i konceptów. Jedzą i piją po drodze, zmuszają gwardzistów królewskich do trącania kieliszkami; krzyczą i strzelają z muszkietów; mężczyzni i kobiéty, trzymając się za ręce, śpiéwają i tańcują w błocie.

„Takiém to jest nowe braterstwo; żałobny kondukt wszystkich legalnych władz i prawowitych instancyj, tryumf brutalności nad inteligencyą, tłusty wtorek morderczy i polityczny, straszliwe zstąpienie szarańczy, która poprzedzona symbolami śmierci, ciągnie za sobą naczelników Francyi, króla, ministrów i deputowanych, aby ich zmusić do rządzenia według swych szaleństw i aby ich trzymać pod swémi pikami, aż do chwili, w której się będzie podobało ich zamordować.“

Gwałt ten i orgia przenoszą się, nie dość na tém wszystkiém, z ulicy, z placów i rynków, od osób i reprezentantów dawnego rządu, we wnętrze samegoż zgromadzenia narodowego, zmierzają przeciw osobom i reprezentantom wolnego wyboru ludu. Swoboda słowa i zdania nie istnieje w owém zgromadzeniu; trybuny mieszają się do dyskussyi, przyklaskują tylko wnioskom i mowom odpowiadającym prądom chwili, tłumią krzykami i pomrukiem wszelkie objawy odmiennego kierunku. Osobiste bezpieczeństwo reprezentantów narodu, którzy sobie ściągnęli niełaskę trybun i klubów, jest narażone w najdotkliwszy sposób za każdą chwilą, kiedy opuszczają salę obrad i wychylają głowę na ulicę. Pistolet i szpada są często w robocie, wychodzą na *ultima ratio* korporacyi, mającéj wśród podobnego bezpieczeństwa, wśród podobnie zabezpieczonéj swobody zdania, radzić nad dobrém i organizacyą Francyi!

Zresztą zaś, czyż to, co wśród podobnego usposobienia tłumów, co wśród otoczenia podobnéj atmosfery przychodzi do skutku w dziedzinie *organicznéj*, zasługuje tak niepodzielnie i tak bezkrytycznie na bezwzględną pochwałę i uznanie? *Tu*, niechaj nam będzie wolno zauważyć, odzywa się w krytyce autora, echo bolesne wrażeń i doświadczeń wyniesionych z klęsk *zewnętrznych* ostatnich czasów, wyniesionych niemniéj z tylokrotnie w nowoczesnych dziejach Francyi powtarzającéj się klęski *wewnętrznéj*, utraty wolności narodowéj na rzecz militarnego despotyzmu lub korupcyi pseudo-konstytucyjno-parlamentarnych rządów. Rewolucya zniszczyła szlachtę, zniszczyła niemniéj duchowieństwo Francyi, czyli pozbawiła kraj dwóch żywiołów, których ubytek pociągnął za sobą niwelacyą społeczeńską, ułatwił dzieło centralizacyi administracyjnéj, uniepodobnił możność istnienia wolności politycznéj w kraju. Już Tocqueville w dziele poprzednio przez nas rozebraném zauważył, iż warunkiem prawdziwéj swobody politycznéj w *każdym* kraju jest istnienie równoważnych w organizmie jego społecznym żywiołów, których walka czyli chęć każdego z nich utrzymania się na własném stanowisku, stanowi właśnie to, co się nazywa autonomią narodową a co jest wolnością polityczną. P. Taine nie poczytuje tedy bynajmniéj zgromadzeniu narodowemu za zasługę, ani owego dekretu moralnéj śmierci przeciw szlachcie, ani pretensyi zmetamorfozowania duchowieństwa przez tak zwaną *constitution civile du clerge* na korporacyą urzędników państwa. „Czyż trzeba było,“ mówi autor, „nasamprzód oczyścić widownię, a wartoż było niszczyć, a choćby tylko reformować stany i korporacye?“

(dok. nast.).

LISTY Z PODRÓŻY
Antoniego Edwarda Odyńca.

(Warszawa 1875—1878, 4 tomy).

Żadna książka polska w przeciągu ostatnich lat dziesięciu nie doznała tak ogólnego a tak sympatycznego w prasie naszéj i wśród publiczności przyjęcia, jak Listy Odyńca z podróży. Ze zwykłą u nas skłonnością do pochwalnych superlatywów wyścigano się w dobiéraniu najwyszukańszych i najpochlebniejszych określników, ażeby dać poznać wielką piękność i nadzwyczajną wartość tego utworu.

„Wdzięk, nieporównany humor, mistrzostwo:“ oto cząstka tych słów, jakie w setnych waryacyach przeciskały się przez usta i pióra rozmówców lub sprawozdawców; ale i one wydały się w końcu zbyt słabemi dla uwielbienia „arcydzieła“; musiano więc uciec się do jedynego pozostałego w zapasie frazesu i zawyrokowano, że żadna literatura nie posiada pracy tak znakomitéj, tak wielkiéj, tak wspaniałéj...

Cóż było powodem tego wylewu uczuć najserdeczniejszych, słów najgorętszych? Czy Odyniec dał nam poznać zagranicę z jakiéj nieznanéj dotychczas strony, czy nam przedstawił jakiś obraz wspaniały społecznego rozwoju ludów, stojących na czele oświaty, czy zwrócił uwagę na wytwory rolnictwa, przemysłu, handlu, o jakich kraj nasz nie ma pojęcia; czy zastanowił się nad skarbami wiedzy i sztuki, czy wykazał ich znaczenie ogólno-cywilizacyjne, czy po-

większył tym sposobem sumę naszych myśli i naszych uczuć estetycznych, czy wreszcie czarem słowa rozbudził w duszy naszéj poczucie piękną natury, odmiennéj od téj, wśród któréj my żyjemy?... Nie, tego wszystkiego Odyniec nie zrobił i zrobić nawet nie mógł; bo przedewszystkiém drukował swe listy zprzed lat 5o, a powtóre poczucia piękna sam nie miał w zbyt wysokim stopniu; a potrzecie zrzekł się dobrowolnie badania i opisywania rządu, instytucyj, zwyczajów, obyczajów, przemysłu, nauki, sztuki, a przedstawił jedynie wypadki, myśli i uczucia pewnéj garstki ludzi, zgromadzonych razem w przeciągu 17 mniéj więcéj miesięcy, ludzi, którzy nie doznali żadnéj szczególnéj przygody ale żyli życiem zwykłém, powszedniém, jakiem żyją setki innych.

A więc może rozgłos autora sprawił, że każde jego słowo za świętość poczytywano i jako świętość uwielbiano? I to nie. Zapewne, Odyniec miał kiedyś chwilę sławy poetyckiéj; ale ta chwila minęła już oddawna; tak że kiedy przybył w r. 1865 do Warszawy i zaczął kuryer warszawski redagować, mało kto o nim jako o „wieszczu“ pamiętał; a ci, co mieli lepszą od innych pamięć, przypominali też sobie rok 1858 i nie garnęli się zbytecznie do proroka smutnéj pamięci. Dopiéro kiedy od r. 1868 *Kronika Rodzinna* zaczęła pomieszczać „Listy z podróży,“ które dawniéj z nielicznych jedynie znano wyjątków, niechęci znikały, pochwały rosły, zwiększały się, olbrzymiały, tak je wreszcie wśród łatwo zapominającego urazy społeczeństwa wytworzyły kult Odyńca, kult trwający już od lat 1o, kult prawdziwy, mający swoich kapłanów i wyznawców.

Odyniec atoli był tu właściwie zastępcą tylko, pośrednikiem; uwielbiano go dlatego, że rozpowiadał o Mickiewiczu, listy jego czytano dla tego, że mówiły o świetnym brzasku nowożytnéj poezyi naszéj. To był właściwy powód tego zainteresowania się utworem, który w każdym innym razie przeszedłby jak tyle innych bez zwrócenia na siebie szczególniejszéj uwagi. Wśród zapału obudzonego wspomnieniem pięknych poetycznych czasów nie wglądano nawet bardzo drobiazgowo w to, co opowiadacz podawał; klękano właściwie przed muzą pamięci własnéj nie zaś przed tym obrazkiem, jaki Odyniec okurzał z pyłu i podmalowywał. Gdzie przemawiało uczucie, nie było miejsca dla krytyki. Ale po dziesięciu latach upojenia, czasby zastanowić się nad przedmiotem uwielbienia, rozróżnić to, co ma wartość od tego, co wartości nie ma, oddzielić pszenicę od kąkolu, mówiąc językiem biblijnym. Warto rozważać, kto to pisze, wśród jakiego usposobienia i stanu umysłu, do kogo mowę zwraca, jakie ma audytoryum i co o wielkim naszym poecie opowiada, co zwraca jego uwagę i do jakiego stopnia go rozumie.

I.

Kiedy Odyniec rozpoczynał swe listy (4 Maja 1829), miał rok 25-y i był znany jako autor dwu tomików poezyj, dramatu romantycznego *Izora* tudzież jako wydawca noworocznika *Melitele*; krzątał się wielce w literackich kółkach i był pewnym łącznikiem pomiędzy Warszawą a Wilnem w sprawie odradzającéj się poezyi polskiéj. Młodzieniec światowy, posuwający uwielbienie płci pięknéj aż do śmieszności, chętnie biorący udział we wszystkich wieczorkach, kasynach, majówkach, na których można się było z jakim dwu lub czterowierszem popisać, żywy wielce, potrafił wszędzie być pożądanym gościem. Mając łaski u dam, wybornym był w rozpowszechnianiu biletów prenumeracyjnych, w graniu ról drugo lub trzeciorzędnych na wszelkiego rodzaju zabawach towarzyskich. Bez pretensyi i bez głębokich przekonań nie urażał nikogo, żarty za dobrą monetę przyjmował, rozczulał się łatwo, śmiał się chętniéj, kiedy się zdarzyła sposobność, umiał się przypodobać i młodzieży i starszym...

Zdolność wierszopisarska niepospolita, podatność na wszelkie wrażenia, usłużność wielka, łagodność i nieuszczypliwa jowialność, obok umysłowości średniéj, uczyniły go jednym z tych zwolenników nowéj idei, co ją tylko z wierzchu pojmują i zewnętrzne jéj cechy podnosząc aż do przesady, gorliwość swą apostolską okazać pragną. Odyniec młodzieniaszkiem wpadł w wir romantycznych prądów i całą jego pianę do mózgu swego przeniósł. Nadzwyczajne, nieprawdopodobne awantury, upiory, widziadła, cuda, przerażające zbrodnie stały się tematem jego ballad i pieśni, rzadko ustępując miejsca trywialnym, a rzadziéj jeszcze istotnie pięknym uczuciom. Jeśli chcecie się o tém przekonać, przeczytajcie to, co naówczas Odyniec sam tworzył, albo co z innych przekładał, weźcie pod uwagę takie wiersze jak: Matylda albo zamek Little-kot-hai, Zbrodniarz, Myśliwiec itp. gdzie występuje komiczna dla nas groza i porównajcie z trywialnemi pomysłami „Strachów,“ „Rywali“ itd. Wówczas niewątpliwie nie wpadnie wam na myśl różnostronność talentu ale raczéj płytkość uczuć poety, który ani wzniosłości odczuć i obudzić w umyśle nie umiał, ani trywialności od piękna nie odróżniał, lecz jak wirtuoz chciał grać na wszystkich instrumentach a na żadnym dobrze nie zagrał.

Ponieważ umysł jego przywykł pełzać po ziemi, a talent wyrobił się głównie w kierunku lekkiéj poezyi, nie mógł się przejąć głęboko ani wiarą romantyków w ścisły związek świata duchów z światem ziemskim, ani podniosłością ich uczuć, obszarem ich pragnień

i dążności. A jednakże potrzeba było być koniecznie natchnionym: potrzeba było świat zaziemski na scenę wprowadzać; więc biédny poeta nadymał się, jak mógł, ażeby regule zadość uczynić; a nie można mu się dziwić, że spłaciwszy dań wzniosłości, któréj nie czuł, musiał się zanurzyć w trywialnych stosunkach, ażeby sobie odpocząć i nowych sił do nowych egzercycyj gimnastycznych nabrać. Wyobraźcie sobie położenie człowieka, który dla zadosyć uczynienia modzie musiał napisać następne wiersze, przedstawiające zjawisko ducha:

Trwoga wieje, burza ryczy,
W tém coś z ziemi sunie paszczę,
Ogniem bucha, żądłem syczy,
Rozwiera się, zębem *klaszcze*;
Bucha i syczy i zgrzyta,
Chce go porwać—i już chwyta!

I pisać to w tonie najpoważniejszym, z przekonaniem najgłębszém! A skądże je wziąć? Wszak ten człowiek nigdy nic podobnego we dnie ani w nocy nie widział, a co gorsza, nawet w wyobraźni nie wystawiał sobie zazwyczaj; lecz wtedy dopiéro, gdy go jakiś poeta na ten tór myśli wprowadził. To prawdziwie rozpacz może takiego człowieka ogarnąć. On też będzie rad bardzo, gdy takie zjawisko, folgując swemu prozaicznemu usposobieniu, wyśmieje w inném miejscu:

Nikt nie zgadnął, nikt nie wiedział,
Co téż tam za kaduk siedział.
Ale że siedział, to pewna.
Czy to zaklęta królewna?
Czy upiór o djabléj mocy?
Czy czarownik, czy złe duchy?
Nie wiem;—dość że o północy
Drzwi skrzypią, brzęczą łańcuchy,
Wicher świśnie, piorun strzeli itd. itd.

Aż lżéj odetchnął; teraz jest w swym właściwym żywiole; sprowadził hasło romantyczne do najtrywialniejszego zastosowania. Czytanie Goethego, Schillera, Byrona mogło na chwilę umysł jego rozszerzyć, a wyobraźnię zapełnić postaciami większego, podniośléjszego znaczenia; ale po minucie egzaltacyi następowały długie, bardzo długie godziny najpowszedniejszéj prozy. Sam Odyniec wyzna-

je, że „smak boćwinowy przemagał w nim nad estetycznym“ (II, 325), że senność go ogarniała przy czytaniu książki poważnéj (III, 138), że w bibliotece wielkiéj stał „jak baran“ (III, 275), że wśród posągów martwiał (III, 312), że rozmowa Goethego z Dawidem Angerskim i Mickiewiczem o architekturze była dla niego „zimna jak granit“ (I, 132), że chronologia i metryka były rzeczą niezrozumiałą dla jego rozumu (IV, 295), że rozprawy o moralności nudzą go (IV, 315) i że najlepiéj lubi szczebiotać z paniami o niczém (IV, 351). Stądto bierze on w obronę szlachcica, który na moście Westchnień w Wenecyi, z westchnieniem o zaniedbanym jarmarku mówił; stąd wiedząc o panteizmie tylko ze słyszenia, zarzekał się go jak czarta na chrzcie; stąd Faust zrobił na nim smutne i przykre wrażenie (I, 211, 212); stąd rozumowe przestawanie z Bogiem za rzecz złą poczytywał (I, 291); stąd woli mierne powieści Zschokkego niż genialne utwory Goethego (II, 61).

Dziecinne prawie usposobienie jego w czasie podróży jeszcze maluje wybornie następna opowiedziana przezeń anegdota. Idąc w Dreźnie w odwiedziny do pewnych państwa, kupił sobie dwa jabłka i schował do kieszeni, myśląc je zjeść po wyjściu. Tymczasem, towarzystwo tak go zajęło, że się zgodził zostać na cały wieczór. Ale jednocześnie z tém postanowieniem przyszły mu na myśl owe jabłka a wpływ ich tak jakoś sympatycznie zaczął działać na podniebienie, że aż go złość brała na samego siebie, że tego pokonać nie mógł. „Była to istotna pokusa—powiada—a im bardziéj usiłowałem ją zwalczyć, tém ona natarczywiéj wracała. Przeżegnałbym się, gdybym się nie wstydził; ale ten wstyd i gniew wewnętrzny tak mi jakoś mięszały w rozmowie, że aż staruszka zapytała troskliwie. Co to panu? może nie dobrze? Zaczerwieniłem się jak rak; ale nie było rady: trzeba było wyjść, albo wyznać prawdę, a że mi się nie chciało wychodzić, zdecydowałem się na ostatnie. I dopiéro wtedy się uspokoił, gdy gospodyni kazała przynieść talerzyki i wydobyła nożyk do krajania owoców.....“

W drodze zajmowały go widowiska, wieczorki, ludzie rozmowni a nie bardzo uczeni, a przedewszystkiém kobiéty i to nie tylko młode i piękne, ale także stare i brzydkie; jakaś szczególna namiętność, którą tłómaczył chęcią dobrego zaprezentowania grzeczności polskiéj na obczyźnie, kazała mu zawsze znajdować się tam, gdzie były kobiéty. Dobrze mu się z tém działo, dostawał uśmiech, karmelek albo dobry obiad; grzeczność odpłacano równą grzecznością.

Wielkich ludzi zwłaszcza romantyków cenił wysoko, z biciem serca, z czcią głęboką do nich się zbliżał; ale jak tylko zagadali o cokolwiek poważniejszych rzeczach, gdy np. Wilhelm Schlegel o języku sanskryckim i o swoich nad nim studyach zaczął rozprawiać, ach! wtedy usiedzieć nie mógł i przeklinał wszystkie znakomitości, wtedy nad Wilno nie było poetyczniejszego miasta, a nad kolegów—rozumniejszych mężów. On, którego jedyną erudycyą, jak sam powiada (II. 282) był Walter Scott, nie mógł ocenić tego, że żaden umysł nie może utrzymać się na wyżynach, jeżeli go poważnemi badaniami zasilać nie będzie, jeżeli wyobraźnię puści na rozdroża. Poetyczna lektura, bez żadnego planu prowadzona, napoiła go wieloma wrażeniami, ale nie zdołała umysłu jego systematycznie wykształcić; a brak teorytycznych podstaw nawet w estetyce nie pozwoli mu mieć jasnego i trafnego zdania o sztukach pięknych. Stąd przelotne zwiedzanie galeryj drezdeńskiéj i włoskich nie przyniosło mu żadnego prawie pożytku; jak był tak i nadal pozostał profanem pod względem oceny dzieł sztuki, dla niego Wenera Canovy wyższą jest od Wenery Medycejskiéj; (II, 356), dla niego zadaniem poezyi jest uczczenie miłości bliźniego i mądrości niebieskiéj (I, 369; II, 842), narówni widocznie z katechizmem. Całkowicie jeszcze oddany chęci używania życia realnego, nie umiał wznieść się do wyższéj sfery życia idealnego i pierwszą lepszą na ulicy spotkaną dziewczynę wyżéj estetycznie cenił niż posąg najpiękniejszy; żyje daleko więcéj ciałem niż umysłem.

W podróży umysł jego ustatkował się i pod wpływem rozmów z Mickiewiczem wichry romantyczne uspokajały się, prawda w obrazach i myślach stawała się kardynalném prawem w poezyi (III, 409). rozum poważniał i wchłaniał w siebie, choć okolicznościowo tylko, pierwiastki bardziéj stałe i ciężkie niż były dawniejsze marzenia bezcelowo rozkołysanéj wyobraźni;—ale reforma ta odbywała się bardzo powoli i widoczniéj dopiéro pod koniec Listów z Podróży.

Ci, do których Odyniec korespondencyą swoję adresował, nie byli to bezwątpienia ludzie pospolici, bez wykształcenia lub bez talentu. I owszem, skończyli oni szkoły duchowne, wówczas jeszcze nader powszechne, a nawet uniwersytet wileński, a nadto byli lub mieli zostać twórcami mniejszych lub większych dzieł poetycznych. W każdym atoli razie wyłącznego do nauki powołania nie mieli, a mieszkając na partykularzu, bardzo mało stosunkując się z ruchem umysłowym za granicą, nie tylko w ciągu życia nie zwiększali zasobów wiedzy, ale je owszem trwonili, zamieniając na zdawkową monetę życia codziennego wśród społeczeństwa niezbyt żądnego

zdobyczy naukowych. Talent zaś ich nie przechodził skali mierności i nie lubił się wznosić do wyżyn twórczości. Ignacy Chodźko starszy od Odyńca o lat 10, nie był jeszcze wówczas znany szerszemu kołu literackiemu i nie myślał nawet o stałéj jakiéjś pracy powieściopisarskiéj, która w następstwie imię jego po kraju rozniosła. Z szarmanta prowincyonalnego, który był szkolnym ideałem Odyńca i z autora szumnych ód w smaku klasycznym, Chodźko stał się poczciwym i na powagę pewną zakrawającym ojcem rodziny, wszedł w świat obywatelski i w wirze jego zabaw, kłopotów i zatrudnień pędził spokojne, prozaiczne życie litewskiego szlachcica. Z literaturą wprawdzie nie zrywał; zaczął nawet się cokolwiek skłaniać do nowego kierunku w poezyi, zaczął szanować Mickiewicza; ale się z pisaniem nie kwapił, tak że z tego czasu znamy tylko malutką jego powiastkę umieszczoną w Meliteli na rok 1829 p. n. Poddany. Nie ma w niéj jeszcze ani śladu owej rzewnéj a spokojnéj nuty, jaka w „Obrazach litewskich" miała późniéj zadźwięczyć; nie ma téż śladu wielbienia dla tak zwanych staropolskich cnót i obyczajów. Chodźko był wtedy jeszcze kompletnym wychowańcem pierwszéj ćwierci naszego stulecia; na wady narodowe patrzył okiem „Wiadomości brukowych;" partyą postępową za czasów Stanisława Augusta cenił wysoko i chwalił bezwarunkowo, uważając, że ona to z królem na czele wystąpiła dzielnie przeciw barbarzyństwu epoki saskiéj, przeciw przesądom szlacheckim i wzięła natomiast w obronę lud wiejski i rozszerzała promienie światła wśród zaciemnionego świata. Patrzał więc na rzeczy dosyć trzeźwo naówczas; ale w jego talencie nie znać było oryginalności i dzielności, a w jego poglądach— szerokości, gruntowności i głębi.

Drugi korespondent Odyńca jeszcze mniejsze przedstawiał warunki do pobudzania umysłu swego przyjaciela, do utrzymywania go na pewnéj wyżynie. Julian Korsak, młodzieniec ospały, dosyć leniwy, nie wielką przytomnością umysłu się odznaczający, bardzo wcześnie zasmakował już w epikureizmie życiowym, ozłoconym niejakiemi, od czasu do czasu budzącemi się marzeniami w zakresie poezyi. Tłómacz Horacego, według Mickiewicza najlepszy, jacy do owego czasu w piśmiennictwie naszém się zjawili, dokonał późniéj mozolnéj pracy:—przełożył Boską komedyą Dantego. Przekład ten stanowi niejako sumę jego duchowego żywota w przeciągu lat kilkudziesięciu. W czasie, gdy Odyniec do niego pisał, tworzył bardzo mało i bardzo licho, pisał wiersze okolicznościowe, albumowe, ale na większą pracę się nie zdobył. Najpiękniejszą jego piosenką jest „barkarola," inne są zarówno nudne jak niedołężne, nawet pod względem zewnętrznym. Jeżeli przypomnimy sobie, że nawet późniéj

gdy cokolwiek większe utwory ogłosił (Twardowski, Kamoens), pomysły jego żadnym świetnym nie odznaczyły się rysem; jeżeli pozostały one bibliograficznym jedynie zabytkiem, o treści którego bardzo mało wié nawet ukształcony człowiek; to będziemy mieli pojęcie, że w r. 1829 i 1830 Julian Korsak mógł mieć znaczenie w takim tylko kraju, gdzie życie umysłowe bardzo słabemi postępowało krokami.

Dla takich umysłów jak byli nasi korespondenci nie mogła się otworzyć w całéj swéj pełni potężna dusza Mickiewicza; oni widzieli w niéj niektóre tylko, powierzchowne zazwyczaj a co najwyżéj sercowe, uczuciowe strony. Mickiewicz był świetném, wspaniałém zjawiskiem, które oczy ich, a nawet serca pociągnęło ku sobie urokiem nieprzepartym; wpatrywali się w nie z zajęciem, z sympatyą, każdy chcieli zauważyć szczegół, każdą grę światła, każde zaciemnienie i rozjaśnienie; ale było ono zbyt wielkiém, zbyt rażącém, zbyt niepospolitém, ażeby mogło być zrozumianém przez samo wpatrywanie się okiem, nie bardzo wprawném....

Nie rozumiejąc atoli, można było pokochać:—tak téż zrobili nasi przyjaciele, a szczególniéj Odyniec, który obok braków swego umysłu i wyobraźni, miał tę wielką zaletę, że serdeczne względem Mickiewicza okazywał przywiązanie, że się niczém zrazić nie dawał i że nawet odrobiny zarozumiałości w obec gieniusza nie odczuwał w sobie. To proste poddanie się wpływowi wielkiego poety stanowi najlepszą stronę Listów z Podróży. Mickiewicz, jak Goethe z poczciwym Eckermannem, nie rozmawiał z Odyńcem o wszystkiém, a mianowicie o kwestyach ważnych i głębokich; nie otwiérał swéj duszy w zupełności, bawił się nim, posługiwał, żartował i opowiadał mu anegdoty, zewnętrzne życia swego wypadki, ale nigdy z nim nie miał szerokiéj rozprawy o kwestyach ważnych, nigdy głębi swego serca nie odkrywał. Mickiewicz lubił Odyńca jako towarzysza lat młodych, jako spółkrajowca, jak osobę wreszcie potulną, serdeczną i usłużną. Pomimo jednak jego towarzystwa czuł się nieraz osamotnionym, bo nie widział w nim duszy bratniéj, umysłu zdolnego zrozumiéć w zupełności to, co chciałby wypowiedziéć, wyobraźni ognistéj i serca namiętnego. Nie spodziewajmy się więc odnaleść w Listach z podróży Mickiewicza w jego wielkim gieniuszu; zobaczymy przedewszystkiém i głównie człowieka w szlafroku, w codziennéj prozie życiowéj; a wielkość jego tylko przez szczeliny....

Ludzie nie przywykli do badania warunków twórczości zazwyczaj przykrego doznają wrażenia, gdy się im wielkiego człowieka, przedstawi ze strony powszedniéj, która wielkich ludzi łączy ze zwy-

kłymi śmiertelnikami i na ich poziom niejako sprowadza. Ale trudnoż przemieniać rzeczywistość. To co poeta utworzył, jest skoncentrowanym wynikiem jakiéjś chwili wielkiego skupienia ducha, odczucia wielkich wrażeń i gdyby atoli chwile takie ustawicznie po sobie następowały, machina nerwowa nie zdołałaby siły wrażeń wytrzymać i musiałaby uledz rozkładowi. Po chwili natchnienia muszą nastąpić długie godziny wytchnienia, będącego powrotem do normalnych, zwykłych stosunków; wielki twórca nowych kształtów ukazuje się nam wtedy śmiertelnikiem, żyjącym ze spólnego kapitału ludzkich myśli i uczuć ludzkich; a spólny ten kapitał częstokroć bywa komunałem, jeżeli go z punktu artystycznego rozpatrzéć zechcemy.

II.

Pięcioletni blisko pobyt Mickiewicza na wielkich obszarach Rosyi wpłynął bardzo silnie na rozwój jego umysłu. Poznał on różnorodne okolice, bo podróżował nie koleją żelazną, któréj naówczas jeszcze nie było, ale zwykłą bryczką, przypatrzył się ludziom różnéj narodowości, różnego stanu i zatrudnienia, rozmawiał ze zwoszczykiem, czumakiem, chłopem wielko- i małorosyjskim, z mieszczaninem, z majtkiem, kapitanem okrętu, gubernatorem, hrabiami, książętami, dziewczętami wiejskiemi i damami wielkiego świata; zwiedził mnóstwo wiosek i miasteczek, żył w Odesie, podróżował po Krymie, bawił się w Moskwie, rozprawiał w Petersburgu z ludźmi najodmienniejszych pojęć i poglądów. Z partykularza, w którym życie szło żółwim krokiem a z jednostajnych składało się pierwiastków, przeniósł się do stolicy, gdzie najróżnorodniejsze elementy gorączkowo dobijały się uznania i znaczenia, gdzie rozmowa z konieczności dotykać musiała interesów najszerszych i najpowszechniejszych. Z pośród osób serdecznie dla niego usposobionych, szczerych, prostych i uczciwych przeszedł do grona ludzi wyżéj nieraz ukształconych, ale zastępujących serce frazesem, prostotę—konwencyonalnemi regułami, rzewność—dowcipem, uczciwość—ambicyą, a szczere przywiązanie do kraju choćby w bardzo ścieśnionych granicach—wyrozumowaném zgodzeniem się na istniejący porządek rzeczy. Miał wprawdzie i tam najbliższych swoich przyjaciół, spotykał się bezwątpienia i z osobistościami, którym życie wielkoświatowe przydało tylko więcéj ogłady i rozumu, nie ujmując szczerości i prostoty; ale obracając się w towarzystwach mięszanych musiał częściéj spotykać się z pierwszą niż z drugą, zwykle szczuplejszą kategoryą ludzi.

Mickiewicz musiał przedewszystkiém odmienić się zewnętrznie, nabrać ogłady towarzyskiéj, poduczyć się niezbędnéj francuszczyzny salonowéj, wdrożyć umysł do spostrzeżeń nagłych a dowcipnych; słowem ż młodzieńca o niezbyt zgrabnych ruchach i niezbyt śmiałém zachowaniu się wyrość na salonowca, na szarmanta względem płci pięknéj, na specyalistę w rzeczy tużurków, krawatów i kapeluszy. Były to wprawdzie naleciałości tylko, nie zmieniały nawet z gruntu nałogów dawniejszych, nie obudziły w poecie pragnienia komfortu. Jak dawniéj tak i teraz Mickiewicz u siebie obchodził się byle czém, mieszkał byle jak, wspominał chwile swego dzieciństwa i czasy szkolne zawsze z rozrzewnieniem i nie wrastał w ten grunt, na którym chwilowo przebywać musiał. Bądź co bądź odtąd i przez cały czas podróży zwracał większą uwagę na swój ubiór, musztrował pod tym względem Odyńca, umiał bawić damy, mówić słówka dowcipne, jak np. w Weimarze (I, 148) albo późniéj w Rzymie w stosunku z panną Klustin.

Drugim nieporównanie ważniejszym wynikiem obeznania się ze światem stołecznym było zagłębianie się w rozbiór stosunków międzynarodowych, ogarnianie wzrokiem całego ustroju społecznego i losów świata. Dawniéj zamykał się on w jaźni swojéj, mówił o uczuciach własnych lub téż swego najbliższego otoczenia, albo téż o zadaniach czysto-artystycznych; a jeżeli puszczał się myślą w światy obszerniejsze, to bardzo ogólnikowo tylko, powołując w sposób nieokreślony do przebudowania zmurszałego gmachu społecznego. Teraz szczegółowo się już zajął badaniem położenia narodów europejskich i taką w téj mierze okazywał biegłość, że Odyniec wydziwić się nie mógł obszarowi jego wiadomości. Mickiewicz mu objaśnił, że przez ostatnie dwa lata bardzo wiele czytywał dzienników a szczególniéj francuski „Globe“ (I, 15o). Znając ówczesne usposobienie Odyńca, nie możemy jego zdziwieniem mierzyć głębokości pojęć politycznych naszego poety, w każdym jednak razie przekonywa nas ono, w połączeniu z poematem Konrad Wallenrod i późniejszemi artykułami treści politycznéj, że Mickiewicz zajmował się wtedy kwestyami szerszéj natury. Rozumie się, że i teraz działało w nim uczucie i wyobraźnia, że pod ich przewodnictwem i przy wskazówkach przez nie podawanych chciał wszystkie zawikłania rozplątać, wszystkie skazy zmyć, wszystkie rany wyleczyć. Do tego przyplątał się jeszcze mistycyzm, który w wyższych sferach petersburskich panował głównie w ostatnich latach rządów Aleksandra I, ale w kółkach polskich przetrwał dłużéj i miał wpływowego na natury wrażliwe przedstawiciela w osobie Oleszkiewicza. Mickiewicz wprawdzie, usposobiony jeszcze w młodości kierunkiem romantycznym do

wiary w stosunek świata zaziemskiego do ziemskiego, otrzeźwiony chłodną atmosferą wielkoświatową, stawiał jeszcze opór i żartobliwie traktował pomysły i upodobania mistyka, ale w głębi serca czuł odnawiające się wierzenia poetycznéj młodości. Odgadywał to Oleszkiewicz i mówił poecie: „Nic to nie szkodzi! Ty myślisz teraz, że ty strasznie rozumny i że nie ma światła nad rozum. Ale to nic nie szkodzi! Jak Pan Bóg chce, tak będzie.“ A obracając się do Odyńca przytomnego téj scenie, dodał: „On broni się przeciw duchowi, jak Jakób; ale to nic nie pomoże. Jest on naczyniem wybranem i prędzéj późniéj *łaska* go napełni i przez niego spłynie na drugich“ (I, 51). Nie mylił się, jakkolwiek w owéj chwili i cokolwiek późniéj jeszcze Mickiewicz używał swego „daru proroczego“ czy téż „ducha wieszczego“ do wywoływania rezultatów dosyć powszednich, jeżeli nie trywialnych. Opowiadał np. Odyńcowi, że polegając jedynie na „wewnętrznem poczuciu“, wygrał parę tysięcy rubli asygnacyjnych w zakłady od różnych osób, które z nim różniły się w zdaniu co do mających nastąpić wypadków podczas kampanii tureckiéj i miały wszelką „racyonalność“ za sobą.... (I, 56, 57). Inną razą, już w Weimarze, poprosił damy na wieczorku u pani Otylii Goethe zebrane, ażeby najulubieńsze swe pierścionki na talerzu złożyły, a on odgadnie, który czyją jest własnością. „Gdy już kilkanaście pierścionków leżało na porcelanowym talerzu, opowiada Odyniec, powstał Mickiewicz z miną poważną, wziął talerz i odszedł na stronę. Rozmowa prawie całkiem zamilkła, starsi mężczyzni zbliżyli się ku damom i nastąpiła chwila ogólnego oczekiwania. On tymczasem stał zdaleka od wszystkich, twarzą obrócony ku oknom i przy lampie przeglądał pierścionki. Trwało to może minut z dziesięć a milczenie było w końcu powszechne. Nagle Adam odwrócił się prędko i wielkim krokiem postąpił ku damom. *Zimne mrowie* przebiegło po mnie, gdy ujrzałem szczególną zmianę w jego twarzy. Kubek w kubek tak samo, jak się niekiedy w Wilnie przy improwizacyach *przemieniał*. Ta sama marmurowa bladość; ten sam wzrok skupiony w sobie, co zda się widzi wszystko, choć na nic nie patrzy. Odgadywanie udało się w zupełności i sprawiło ogromne wrażenie na czułych damach, które zaczęły się lękać polskiego magika.... Odyńcowi zrobiło się wtedy miło i rozkosznie,“ że był świadkiem czarnoksięskiéj chwały Adama, a i teraz nawet widocznie téż same w nim pozostały uczucia, gdy list swój do druku przepisywał; ale nam jakoś nieswojo się robi, czytając to opowiadanie i myśląc sobie, że najznakomitszy nasz poeta, pod bokiem Goethego, występował w roli.... magnetyzera.

Mickiewicz wprawdzie nie wierzył w rozpanoszony naówczas

magnetyzm i zapewne wraz z „Szubrawcami“ wyśmiewał komiczne nieraz przedsięwzięcia naszych magnetystów; nie przeszkadzało mu to jednak przemienić go, że tak powiem, w magnetyzm duchowy. On sam powiadał Odyńcowi, że jego „prorocze widzenia przyszłości“ przyszły mu „jakby z czyjegoś wyraźnego poszeptu“ a władzy natchnienia przyznawał bezwarunkową wyższość nad działaniami rozumu. Rozmawiając np. ze Stefanem Garczyńskim, młodym zwolennikiem filozofii Hegla, o prawie każdéj jednostki ludzkiéj dociekania wszelkiéj prawdy przez siebie i o potędze rozumu ludzkiego, że sam o własnych siłach dociec jéj jest mocen, zaprzeczał stanowczo „na mocy praw fizycznych i moralnych natury ludzkiéj, na mocy doświadczenia dziejów i wieków téj pretensyi i pysze rozumu.“ Zdanie Mickiewicza pod tym względem streszcza Odyniec w słowach następnych: „Bóg sam tylko jak źródłem życia, tak jest źródłem mądrości i prawdy i on sam tylko objawia je światu. Ale jak siebie objawił tylko przez siebie, tak wszystkę resztę objawia *przez ludzi*, do których sam przemawia *natchnieniem*. W natchnieniu jest pierwsze ziarno, pierwsza iskra, pierwsze słowo wszelkiéj mądrości i prawdy, którą już potém rozum i ogół ludzki uprawia, rozpromienia, pojmuje i wykonywa. Wszystkie wielkie rzeczy na świecie: narody, prawodawstwa, instytucye wiekowe; wszystkie wiary przed przyjściem Chrystusa; wszystkie nauki, wynalazki, odkrycia, wszystkie arcydzieła poezyi i sztuki: wszystkie wzięły początek w natchnieniu proroków, mędrców, bohaterów, poetów. Ale prorok musi być świętym, mędrzec a człowiek cnotliwy nazywany był jednakowo u Greków. Doskonałość ludzka zależy na tém, *aby stać się godną natchnienia*. Tymczasem pycha rozumu, odrzucając powagę praw i natchnień boskich, a sądząc, że je może własną siłą zastąpić, tworzy tylko *mądrość fałszywą*, to jest owe przeróżne doktryny, szkoły, systemata filozoficzne, które na rzece wieków i dziejów ludzkich powstają i znikają jak bańki na wodzie. Przypomina to naszę bajkę ludową o djable, który widząc jak Pan Bóg stwarzał człowieka, ulepił też postać ludzką, ale gdy ją tchem swym ożywił, powstała stąd tylko małpa“ (III, 284, 285). Mądrość tylko, powstająca z natchnienia i najściśléj ze świętością połączona, może być słońcem ożywczem dla ludzi, a filozofia, jako nauka, zawsze będzie jedynie zwierciadłem, które „odbijając blask słońca, może tylko puszczać *zajączki*“ (III, 283).

Odyniec utrzymuje, że Mickiewicz już wówczas serdecznie nienawidził wszystkich filozofów nowożytnych, od Spinozy poczynając i gardził nimi głęboko, jako trucicielami ludzkości „a to z zupełną świadomością ich dzieł, idei i celów.“ „Bo co do mnie—dodaje

naiwnie—wiem o nich tyle tylko co *o strachach*—ze słychu i *poznawać bliżéj nie pragnę*, tak jak codzień przed zaśnięciem żegnam się na tę intencyą, aby stracha nigdy nie widzieć“ (I, 292).

Jeżeli jednak Mickiewicz nawet we 12 lat potém, wykładając literaturę słowiańską w Collége de France nie okazał gruntownéj znajomości filozofii niemieckiéj, to pomimo zapewnienia Odyńca, niekompetentnego w téj mierze świadka, musimy przypuścić, że wieszcz nasz, który kawałki tylko Kanta i Schellinga studyował, zapewne bardzo fragmentarnie zapoznał się z ich poprzednikami i następcami, może z jakich sprawozdań, może z czytania pojedynczych urywków. Wykładu historyi filozofii nigdy nie słuchał, bo w uniwersytecie wileńskim za jego czasów przedmiotu tego nie dotykano, a późniéj zbyt rozproszone wiódł życie, zbyt wiele czasu na pisanie i czytanie poezyj i dzienników poświęcał, ażeby mógł się zabrać do studyów wymagających spokoju i skupienia ducha. Mając wstręt do ścisłego rozumowania, które z punktu mistycznego widzenia rzeczy, za bezpłodne poczytywał, nie mógł poddawać krytyce szczegółów filozofii, ale zabijał je swemi twierdzeniami, wygłaszanemi z siłą i przekonaniem; brał odosobnienie jakieś aksyomatu lub hasła i przylepiwszy do nich etykietę niedorzeczności, starał się na śmieszność je wystawić. Wprowadzony przez młodzież akademicką na jeden z odczytów Hegla o loice, wysłuchawszy dosyć niezaradnego pod względem retorycznym wykładu, ten tylko wniosek wyprowadził, że mąż, który tak niejasno mówi i tak się męczy calutką godzinę, by rozjaśnić znaczenie dwu pojęć, *pewnie się sam nie musi rozumiéć*.... A do jednego ze słuchaczów, Cybulskiego, rzekł razu pewnego, mówiąc o złym wpływie filozofii: „Zamknij filozofa do kościoła lub ciemnego lochu piwnicznego lub każ mu iść w nocy przez cmentarz, a zobaczysz jak sie będzie modlił i żegnał.“ (Odczyty Cyb. o lit. pols. I, 211—214). Odyńcowi zaś dowodził nicości filozofii tym sposobem, że żaden z filozofów dzisiejszych nie dałby się umęczyć za prawdę swoich idei.... (I, 284).

Wiadomo, że dzisiaj filozofia Hegla nie ma już zwolenników, bo wykazano zasadnicze błędy w konstrukcyi systematu. Byłoby to więc prawdziwą chlubą poety naszego, gdyby w czasie największego jéj rozgłosu wykazał był jéj braki, gdyby w sposób rozumowy zburzył jéj fantastyczną budowę.... Ale niestety, Mickiewicz nie posiadał po temu należytego przygotowania, zamiast dowodów miał żarty na ustach; zamiast znajomości dokładnéj—urwane zdania, zamiast przedmiotowéj oceny—dowolne przypuszczenia. Sądził uczuciem i fantazyą, a w dodatku taki sposób sądzenia za jedynie mądry poczytywał; dlatego téż zdań jego o filozofii niemieckiéj nie

tylko spółcześni ale i potomni za przekonywające uznać nie mogą.

Równie nienaukowym był pogląd poety na znaczenie dziejów i ich do poezyi stosunek. W drodze z Eger'u do Franzesbadu Mickiewicz wspomnieniem Wallensteina ożywiony miał wyrzec słuszne pod względem charakterystyki poglądów ogółu zdanie, że nie historya sama, ale dopiéro poezya nadaje wypadkom tę posągową, nieśmiertelną postać, w jakiéj ją widzi potomność. Poeta nasz atoli nie zadowolnił się stwierdzeniem faktu, lecz wysnuł na prędce teoryą uwielbiającą poezyą, a lekceważącą historyą. Historya przez poezyą tylko może być mistrzynią ludzkości, mówił, poeta więc, nie kronikarz, jest *prawdziwym kapłanem historyi*. Ale jakaż-to powinna być poezya? Zapewne nie sztuka dla sztuki, ale chyba prawda dla prawdy. Ale dojdźże lub dopatrz *prawdy samym tylko rozumem!* W *zachwyceniu* ją chyba obaczysz; *natchnienie* ci ją chyba przyniesie! Bez tego nie odgadniesz *przeszłości*, tak jak przyszłości nie odsłonisz. Sami tylko prorocy byli prawdziwymi poetami w pełném tego słowa znaczeniu; wszyscy inni są więksi lub mniejsi w miarę, jak się ku nim zbliżają, w miarę większego lub mniejszego natchnienia, jakie na nich zstąpiło z góry. Ależ jeżeli natchnienie ma być darem bożym, to czyliż Pan Bóg może je dać temu, o kim wié, że nim gotów dla pychy i namiętności frymarczyć? Tacy udają tylko natchnienie, naśladując prawdziwie natchnionych, w formie przynajmniéj, gdyż nic innego naśladować nie można. Ztąd powstała poezya-sztuka. Naśladownictwo form starożytnych przez tak zwany *wiek odrodzenia*, stało się rzeczywiście *zamarciem* nowéj poezyi chrześciańskiéj i narodowéj, jaka się w średnich wiekach w Europie rozwijała. Sztuka ta wystarczała dla tych wieków, w których życie narodów skupiało się w dworach monarszych albo w społeczeństwach dworaków, których téż uczucia i życie były ciągłém udawaniem i sztuką. Dziś, gdy świat znów prawdy zapragnął, sztuka już nie wystarcza ludzkości i poezya musi wrócić do prawdy. Jakoż i zaczyna już wracać, ale jeszcze tylko przez sztukę, przez naśladownictwo form nowych, których szuka w poezyi ludowéj, gdzie natura góruje nad sztuką. Ale ciasny obręb pojęć ludowych, sama szczerość i prostota uczuć, nie wystarczają jeszcze poezyi wyższéj. Źródło zaś żywych i najwyższych jéj natchnień, *żywa wiara jako prawda najwyższa*, jest jeszcze dla dzisiejszych poetów jakby owym skarbem zaklętym w bajce, jakby ową zapomnianą przez ludzi drugą półkulą świata, którą natchniony chyba geniusz odnajdzie a natchnione słowo otworzy (I, 137, 138).

Jeśli weźmiemy ściśle wypowiedziane przez Mickiewicza zdanie o stosunku poezyi do historyi, to ujrzymy w niém taką samą niechęć do zbadania zmudnych szczegółów w zbutwiałych kronikach lub zapleśniałych monetach, jak poprzednio odkryliśmy wstręt do studyowania filozofów. Mickiewicz słusznie twierdził, że poezya musi trzymać się prawdy i rzeczywistości i niejednokrotnie temat ten w rozmowie poruszał, potępiając szukanie wzorów w książkach (I, 343); ale rozumiejąc, że prawdę tę zdobyć łatwo, odrazu, jednym skokiem, byle się tylko posiadało natchnienie, potępiał a przynajmniéj lekceważył pracę rozumu, doświadczenia i analizy. Mamy nawet dowody na to bezpośrednie, stanowcze. Mickiewicz „gniewał się strasznie na uczonych pedantów, którzy dla popisu z erudycyą i krytycznym swoim niby rozumem odzierają z uroku legendarnych podań sławne historyczne fakta albo pomniki, w które je wiara i miłość ludu, jak ołtarz w kwiaty przybrała“ (IV, 61); potępiał prace komisyi edukacyjnéj i tak je doskonale miał skreślić, że Odyniec zrozumiał jasno, dla czego literatura polska aż do czasów wystąpienia jego przyjaciela była błahą i bezpłodną (II, 104). Rozum według poety ma tylko znaczenie w badaniu zjawisk materyalnych, ale w rzeczach ducha musi ustąpić *uczuciu*. Rozum wprawdzie woli przez pychę zaprzeczyć raczéj z góry prawdzie, któréj nie zna, a którą uczucie przez pokorę ducha pojmuje, aniżeli dla jéj poznania zacząć od wyrzeczenia się pychy „przyrodzonéj siostry swojéj po grzechu“ (II, 304). To jednakże ma być tylko dowodem, że człowiek rozumny z natury nie cierpi geniuszu.... A więc zarówno w zapatrywaniu się na teraźniejszość, jak w poznawaniu przeszłości dano pierwszeństwo fantazyi i uczuciu, to znaczy pomocnicze do odtworzenia sobie plastycznego obrazu chwil obecnych lub ubiegłych, zamienione na główne narzędzia zdobycia prawdy.

Tak samo było i z przyszłością. Wiadomo, że przewidywania naukowe (jakich najlepsze przykłady mamy w astronomii) opierają się na dokładném i ścisłém zbadaniu praw rządzących zjawiskami. Ponieważ wszystkie wypadki na świecie łączą się łańcuchem przyczynowości, trzeba więc znać wszystkie jego ogniwa poprzednie ażeby określić następne. W niewielu naukach doszliśmy dotychczas do niewątpliwych w tym względzie rezultatów, ale mamy nadzieję, że do nich stopniowo dojdziemy. Mickiewicz czekać nie chciał, a porzucając drogę doświadczenia i rachunku, zawierzył tylko intuicyi własnéj i przedsięwziął pracę obszerną, w języku francuskim p. n. Historya przyszłości. W r. 1829 w maju było już 30 arkuszy tego dzieła, zarzuconego późniéj zupełnie, którego niektóre pomysły spożytkował może poeta w późniejszym urywku z Gazety Szawel-

skiéj. Mickiewicz, według sprawozdania Odyńca, chciał w poważnym tonie historyi przedstawić przewidywane skutki *materyalnego egoizmu* i egoistycznego racyonalizmu, którym świat obecny hołduje, a to w losach całych narodów, zestawiając obok siebie: najwyższy szczyt cywilizacyi materyalnéj i najniższy upadek uczucia, ducha i wiary, ale tylko w mężczyznach. Kobiéty bowiem, jakkolwiek emancypowane już całkiem i porównane we wszystkich prawach z mężczyznami, nie mogą się jeszcze pozbyć „owych starych przesądów i stanowiąc „izbę niższą“ w obradach sejmowych, stanowią téż jedyną opozycyą i tamę przeciw absolutnemu panowaniu tego, co „izba wyższa“ t. j. męska zowie „czystym rozumem,“ potępiając wszelkie uczucie (1). Opowiadanie miało się zaczynać od r. 2000 i ciągnąć się przez dwa stulecia.

Po ogólnym poglądzie na ówczesny stan świata, a mianowicie Europy, następował opis jéj przygotowań i narad sejmowych w obec grożącéj napaści Chińczyków, która w końcu przychodzi do skutku. Bitwa stoczona przez same kobiéty i niewielką liczbę dwudziestoletnich młodzieńców, pod wodzą bohaterki z nad Wisły, kończyła okres już w 1829 napisany. Cała zaś historya miała się zaokrąglić wejściem ziemi w stosunki z planetami a to za pomocą balonów, które naówczas tak żeglować będą po powietrzu, jak dziś okręty po morzu.

Odyniec zdumiewał się opisami cudów przemysłu, wynalazków i odkryć; nie mógł dostatecznie wyrazić przyjaciołom swoim zachwytu, jaki go przejmował, kiedy czytał o całych miastach domów i sklepów budowanych z żelaza na kołach a pędzących po kolejach żelaznych ze wszystkich stron lądu na wielki jarmark pod Lizboną, o archimedesowych zwierciadłach, ustawionych na ogromnych przestrzeniach w ten sposób, że ogniste litery, odbite w pierwszém, w okamgnieniu odbijają się w ostatniém, o teleskopach, przez które z balonu można całą ziemię obejrzéć, a z ziemi widziéć, co się dzieje na jéj satellitach, o *akustycznych przyrządach*, za pomocą których siedząc spokojnie przy kominku w hotelach, można słuchać dawanych w mieście koncertów lub „wykładów lekcyj publicznych.“ A wszystko to, dodaje Odyniec, opisane tak prosto, tak naturalnie, jakby w tém nic nadzwyczajnego nie było. I Adam téż na seryo utrzymuje, że to wszystko być kiedyś może i musi (I, 57—59). Ci,

(1) Zdania te dziwnie się zgadzają z teoryami i poglądami Henryka hr. Rzewuskiego niejednokrotnie w Teofraście polskim i Wędrówkach umysłowych wypowiadanemi.

co wierzą w „proroczego ducha,“ mogą utrzymywać na seryo, że Mickiewicz przepowiedział wynalazek *telefonów*, ale nie przywiązując się do szczegółów, a biorąc ogół owych marzeń o przyszłości, zrozumimy, że to wszystko, co poeta opisywał, było tylko przesadą bujnéj wyobraźni, spotęgowaniem tego, co już wówczas rzeczywiście istniało. Jako dzieło wyobraźni mogła Historya przyszłości mieć pewne znaczenie, zwłaszcza jeżeli sobie przypomnimy, jak niedokładne mamy o niéj sprawozdanie; ale widziéć w niém proroctwa może ten tylko, kto sny bierze za rzeczywistość. I w snach oczywiście znajdują się pewne dane rzeczywiste, bez których nie istniałyby wcale, ale te dane są tak przeinaczone, tak częstokroć odbiegają od warunków istnienia, że jedynie za pomocą ścisłéj analizy można w nich prawdę od złudzenia oddzielić.

Jakkolwiek Mickiewicz nieprzyjaźnie występował przeciw rozumowi analitycznemu; jakkolwiek pierwsze miejsce zarówno w poznaniu prawdy mianowicie w zakresie ducha, jak i w produkcyi wielkich dzieł przyznawał uczuciu i natchnieniu, nie doszedł przecież do takich wniosków jak obskuranci, jak niektórzy zaciekli ortodoksi; nie mieszał z błotem prasy naukowéj, nie uważał jéj za szkodliwą, bo zanadto sam posiadał nauki, zanadto wiele czytał książek poważnych, bo nie stracił zupełnie równowagi ducha. Co więcéj, chociaż w głównych poglądach swoich wielce konsekwentny, nie sformułował ich przecież jeszcze naówczas w żaden system, w żadną całość, wypowiadał je owszem przypadkowo i aforystycznie, umiejąc przy sposobności ocenić badania ściśle umiejętne jak np. w odwiedzinach u Wilhelma Schlegla. To tylko potrzeba zaakcentować, że w każdym razie fantazya, uczucie górowały w nim nad ścisłym rozumem i że dążności romantyczne połączone z kierunkiem mistycznym zaczynały zapanowywać nad jego umysłowością.

Poetą był—możnaby zauważyć; jakżeż wymagać po nim przymiotów uczonego? Zapewne, pojęcie poetycznego usposobienia łączy się zawsze z pojęciem przewagi fantazyi i uczucia nad rozumem; to téż idzie tu głównie o stopień téj przewagi. I mimowoli nastręcza się porównanie z Goethem. I Goethe w młodości swojéj, podbudzony pośrednio przez Roussa a bezpośrednio przez Herdera, był apostołem, „praw serca“; i Goethe naprzeciw martwéj, książkowéj uczoności postawił genialną postać Fausta; atoli z biegiem czasu pojednał się z rozumem analitycznym i przedsięwziął bardzo szczegółowe badania nad zjawiskami przyrody i dziejami sztuki. Od początku już bieżącego stulecia żył już w innéj sferze pojęć a utwory swojéj młodości i tych, którzy z nim spółcześnie w okresie „burzy

i wrzenia" wystąpili, rozważał już przeważnie jako zabytki przeszłości. Dziwnego musiał doznać wrażenia, gdy 19 Sierpnia 1829 stanął przed nim Mickiewicz w towarzystwie Odyńca. Pomiędzy poetami tymi nie było istotnéj spójni duchowéj. W Mickiewiczu musiał widzieć Goethe widmo swojéj młodości, z którém on dawno się już pożegnał. Znał on w tłómaczeniu Karoliny Jänisch wyjątki z Konrada Wallenroda; jakżeż przykro uderzyć musiała jego artystycznie wykształcone ucho ta mięszanina form poetycznych, ta niespójność części, jaka w tym czasie samemu Mickiewiczowi już się nie podobała (I, 128). Czytał także balladę Odyńca p. n. „Branka Litwina" i dowiedział się w rozmowie, że tenże tłómaczył Bürgera! Jakżeż młodzieńczą wydała mu się pewnie ta literatura, w któréj delektowano się tém, co od lat trzydziestu przynajmniéj, jako dawno przebyta faza rozwoju, w lekceważeniu u niego pozostawało. Odyńcowi zdawało się, że na wzmiankę o owych tłómaczeniach widział we wzroku Goethego „wyraz uprzejméj dobroci"—chyba pobłażliwości tylko dla poetyzującego młodzieńca... Goethe słyszał, że Mickiewicz stał na czele ruchu romantycznego w Polsce; czyż mógł temu z duszy przyklasnąć on, co tak serdecznie nie cierpiał romantyków niemieckich?

Gdyby był znał Grażynę, albo choćby Sonety Krymskie możeby w przedmiotowości i w potężnéj fantazyi swego gościa odnalazł był jakiś łącznik z ówczesnym stanem swego ducha; ale zdaje się, że ich nie znał... Przyjął więc gości jak wytrawny dworak i człowiek pełen uprzejmego dla wszystkich usposobienia. Powiedziawszy kilka komplementów dosyć chłodnych, korzystał według swego zwyczaju z nadarzonéj okoliczności, ażeby się czegośkolwiek dowiedzieć o nieznanéj sobie literaturze polskiéj. Słuchał tedy z zajęciem opowiadań Adama o historycznym przebiegu literatury polskiéj od najdawniejszych do najnowszych czasów, o charakterze pieśni ludowéj itp. W długie jednak rozprawy nie wdawał się. Odyniec zanotował zdanie Goethego, że przy coraz wyraźniejszém dążeniu wszędzie do prawdy ogólnéj, poezya i literatura stawać się musi i będzie coraz bardziéj powszechną; przystał wszakże na uwagę Adama, że nigdy cech odrębnych, narodowych nie straci.

Było to zapewne ustępstwo z grzeczności, bo on, co kończył wtedy drugą część Fausta, nie mógł w teoryi zaprzeczyć symbolice artystycznéj, którą w praktyce przeprowadzał... To była jedyna dyskusya; potém mówił o rzeczach potocznych o spólnych znajomościach, o Janie Potockim i księżnéj Lubomirskiéj, których widział niegdyś.

I odtąd, chociaż goście jego bawili w Weimarze dwa tygodnie blisko, nie zaprosił ich na poufną pogadankę; oddał ich w opiekę dam i tylko na obiedzie lub wieczorze niekiedy z nimi się widywał. Bo i czemże zresztą mógłby z nimi szerzéj rozmawiać? W pojęciach poetycznych różnili się wielce; dyskusya pod tym względem nie mogła mu obiecywać korzystnych dla wykształcenia wyników, bo on już praktycznie przeszedł tę fazę tworzenia. Zamiłowany był w naukach przyrodzonych, to téż długo z astronomem Quetelet'em rozprawiał i z wyraźném odznaczeniem traktował; ale jego goście elementarne tylko mieli co do nich wiadomości. Interesowały go ogromnie sztuki piękne; to téż o wiele uroczyściéj, że nie powiem serdeczniéj, przyjął rzeźbiarza Dawida z Angers i architekta Coudray. Ale goście jego polscy przybywali z kraju, w którym sztuki piękne nie doznawały wcale systematycznéj uprawy, w którym znajdowały się wprawdzie tu i owdzie jakieś arcydzieła malarstwa ale pomieszane zazwyczaj z bohomazami, w którym nie było żadnéj galeryi publicznéj, gdzieby smak ogółu mógł się ukształcić. Jednostki wprawdzie mogły się samoistnie wyrobić; mogły nabrać gruntownych wiadomości artystycznych; ale do nich nie należał Mickiewicz ani tembardziéj Odyniec. Odyniec co prawda podziwiał ogrom wiedzy Adama nawet pod tym względem; i sądził, że Goethe musiał uznać to samo, ale z przytoczonych słów Mickiewicza o rzeźbiarstwie, widzimy, że w rozmowie posiłkował się ogólnikami: „rzeźbiarstwo jako sztuka najbardziéj plastyczna, najwyraźniéj znamionuje stopień umysłowego rozwoju w narodzie.“ Goethe w odpowiedzi swojéj na to zdanie dał poznać, jakim ono było komunałem; zauważył bowiem, że sama także natura materyału, który artyści mają do użycia, musi mieć wpływ konieczny na ogólny charakter ich utworów, jak np. zbyteczna twardość egipskiego granitu należy bezwątpienia do przyczyn, że wszystkie z niego wykute posągi mają zawsze ręce przy ciele (I, 172).

Widocznie Mickiewicz w rozmowie z Goethem czuł się wielce zakłopotanym, brakło mu wiadomości ścisłych, lub wprawy techniczněj, ażeby wypowiedziéć jakieś zdanie, któreby poklask ze strony takiego jak Goethe znawcy znalazło. To téż bardzo często np. w rozprawie o ludzkości lub o przyrodzie zachowywał zupełne milczenie. Może nawet w duszy nie kapitulował; może sądził, że jego stanowisko jest bardziéj uprawnione, aniżeli z jednéj strony panteizm z drugiéj specyalne pod wielu względami wykształcenie Goethego; ale nie chciał rozpoczynać sporu, albo nie czuł sił dostatecznych do jego stoczenia. Przeciwnie w towarzystwie ludzi entuzyastycznych np. Dawida z Angers, lub téż niezbyt głośnych, niezbyt specyalnych

Mickiewicz umiał być wymownym i niejednokrotnie porywał nietylko Odyńca... W obec dam miał poeta również pewną odwagę; salonowe doświadczenia w Moskwie i Petersburgu dały mu wiele śmiałości, a jakkolwiek w ogólności mało z niéj korzystał, był przecież pożądanym dla nich gościem.

31-letni Mickiewicz był bądź co bądź młodzieńcem wobec 80-letniego Goethego. Gdy otrzymał bilecik Goethego z prośbą, ażeby pozwolił malarzowi zdjąć dla niego swój portret „zaczerwienił się cały (I, 202). Rozstanie się téż stosunek ten dobitnie wyraziło: Adam pocałował Goethego w ramię, Goethe Adama w czoło. Pani Ottylia (synowa) powiadała: że to był osobliwszy dowód *łaski* i że nie pamiętała, ażeby ją komu z obcych kiedykolwiek okazał. Potém przez wnuka swego przysłał gościom swoim dwie złotobrzeżne kartki z napisanym na nich czterowierszem, oraz dwa pióra odarte z pierza i starannie w kształcie iglicy cieńszym końcem w rozszczepiony środek włożone... Byłato małoważna pamiątka dziadka dana wnukom; droga dlatego tylko, że ją dał dziadek... Wnukowie zresztą sami o nią prosili, a Mickiewicz nawet dodał, że będzie ona dla nich najdroższą na życie całe... (I, 244). Goethe miał powiedzieć o Mickiewiczu: „C'est un jeune homme, qui promet d'être grand“ (IV, 188).

Odyniec stara się nakreślić paralelę pomiędzy Goethem a Mickiewiczem nie pod względem ich geniuszu, ale pod względem rozmowy. Jak wiemy poeta nasz nie brał udziału w rozmowie toczonéj u stołu między Goethem a Dawidem z Angers, chociaż siedział tuż koło niemieckiego poety; ale późniéj rozpoczął ją z samym Dawidem. Otóż Odyniec zauważył w niéj wyższość naszego poety nad niemieckim. U Goethego znalazł sam rozum, u Adama i rozum i zapał i jakby prorocze widzenia. „Myśli które wypowiadał Goethe— to jak twarde błyszczące talary na zimno już w mennicy wybite, które możesz nosić przy sobie; myśli Adama płyną jak roztopiony metal, który się w tobie samym rozpływa.“ Odyniec nie podał szczegółów téj rozmowy z Dawidem, nie możemy więc sami porównać treści pierwszéj z osnową drugiéj, samo jednakże porównanie, zrobione przez Odyńca nie jest tak zaszczytném dla Adama, jak się napozór wydaje i za jakie sam autor je pewnie uważa. Istotnie Odyniec przywodząc treść kilku innych rozmów Adama, zawsze się niemi zachwyca, ale zachwytu tego czytelnik nie podziela zawsze; widocznie metal, który się rozpłynął w sprawozdawcy, nie mógł ukazać swoich przymiotów osobom postronnym. Subjektywizm był jeszcze wówczas nadzwyczaj silnie w Mickiewiczu rozwinięty; działał on potężnie na tych, którzy mu pokrewni byli usposobieniem, ale dla in-

nych nie miał wartości przedmiotowéj, jaką nadać może nie chwilowe uczucie, nie chwilowy entuzyazm, ale głębokie a trafne podpatrzenie natury rzeczy, podpatrzenie, którego dokonać można długiém doświadczeniem i subtelną analizą.

Rozmowy Mickiewicza, streszczone przez Odyńca, mają właśnie ten charakter podmiotowy, mogący wzbudzić zapał na chwilę, uznanie gorące, poklask, ale niezdolny do przekonania nawet upornych o prawdziwości zdań wygłoszonych. Odyniec rozpływa się nad spostrzeżeniem poety, jakoby w krajach rolniczych najprędzéj, a w fabrycznych i handlowych najpóźniéj wyrabiało się poczucie równości. „Rolnik bowiem—rozumował M.—zawsze jest pewny, że zboże jego każdy kupić musi; a czy to będzie graf, czy żyd, czy cygan, zawsze mu jednostajnie za korzec zapłaci. Sklep zaś albo fabryka przeciwnie, im są większe i doskonalsze, tém więcéj mają takich towarów czy wyrobów, które tylko bogatsi kupują, konsekwencya zatém naturalna, że kupiec albo fabrykant dbać musi i starać się więcéj o względy bogatszych, którzy to czując, traktują go z góry, a on ich za to nie lubi.“ Gdyby Odyniec przytoczył to zdanie jako koncept, mógłby on ujść zapewne, ale jako poważne zdanie wydaje się prawie dziecinném, boć i rolnik tak samo jak fabrykant mogą mieć do czynienia zarówno z bogatymi jak i z biedniejszymi nabywcami, a ten kto kupuje 1.000 korcy zboża nie jest ani gorszym ani lepszym od tego, kto nabywa u fabrykanta odpowiednią ilość towarów. Zresztą, czyżto nie w kupieckiéj Anglii wyrobiła się idea prawdziwéj, nie urojonéj jak u nas, równości?

Więcéj prawdy zawiera rozmowa o poezyi i księgarzach, ale i ona od mrzonek nie jest wolna. Póki poeci pisali tylko dla chwały—mówił Mickiewicz—musieli myśléć nad tém, jakby na nią zasłużyć; a i złoto niekiedy było im *przydane*. Jak zaczną pisać dla złota, skończą na tém, że ani chwały ani złota warci nie będą. Protektorat królów i panów sto razy był mniéj niebezpiecznym dla poezyi od protektoratu księgarzy i dziennikarzy. Król czy pan, kiedy protegował poetów, to musiał przecież lubić poezyą i mniéj więcéj znać się sam na niéj; żeby więc zyskać względy mecenasa, trzeba było *coś dobrego* (?) napisać. Księgarzowi nie idzie o wartość, ale tylko o odbyt książki; dziennikarz pragnie tylko pomnożyć prenumeratorów. Płacą tylko to, co popłaca tj. trafia do gustu—nie znawców, których nie wielu, nie masy prostaczków, która książek nie czyta, ale właśnie do gustu istotnego gminu we frakach i do półmędrków albo próżniaków, którzy mogą i gotowi są kupić książkę, tylko dla tego, aby ją sądzić i rozprawiać o niéj, albo też, żeby ich

ona rozbawiła w nudach. Poezya w ubóstwie była jak chrześcijaństwo w katakumbach; honorarya księgarskie dla poezyi staną się tém, czém bogate prebendy dla wiary (I, 250—252).

W rozumowaniu tém widzimy dwa błędy, najprzód sielankowe pojęcie o protektoracie możnych, znających się na rzeczy i wymagających czegoś dobrego a nie pochlebnego tylko; a powtóre przeoczenie téj okoliczności, że choćby nawet poeta dbał o zadowolnienie przeciętnego gustu publiczności, ażeby się stać popularnym i pokupnym, to i w takim razie społeczny jego działalności rezultat obfitszym będzie w skutki dobroczynne, aniżeli wtedy gdy pisał dla zadowolnienia jednéj lub kilku osób, których dobry lub zły humor musiał być dla niego wyrocznią. Prawda, dzisiejsze stosunki wytwarzają wiele lichéj tandety, ale dawniéj czyż wszystko było znakomitem a co ważniejsza, niezależném i swobodném? Nie są one ideałem, ale powrót do dawnego chleba pańskiego tém bardziéj być niém nie może...

Nawet w tych kwestyach, które mógł znać najlepiéj, Mickiewicz wypowiadał raczéj świetne paradoksa, niż prawdy wyrobione i niezachwiane. Poeta był raz „prawdziwie w natchnieniu"—opowiada Odyniec—i mówił o powołaniu i celach autorstwa w ogólności. Zdaniem jego, jakkolwiek osobistość autora jest i musi być zawsze *bodźcem* do pisania, istotna wartość jego moralna przedewszystkiém polega na tém, aby osobistość ta nie była dla niego *celem ostatecznym*. Służba w duchu i prawdzie Bogu i ludzkości—to kapłaństwo nauki i sztuki, to źródło prawdziwego natchnienia, to rękojmia prawdziwéj chwały... Sam błąd najjawniejszy, skoro go autor bez względu na siebie (?) ze szczerego, chociaż mylnego przekonania ogłasza mniéj jest szkodliwy w skutkach swoich od fałszywego (?) schlebiania błędnym ideom lub namiętnościom chwili. Błąd taki, jak zuchwała herezya w wierze, zawsze nakoniec wywołuje walkę, w któréj prawda zwycięży; fałsz taki, jak nikczemna hipokryzya, prawdę tylko coraz bardziéj zaćmiewa i tryumf jéj przez to opóźnia. Ostatecznie obowiązkiem pisarza jest pisać prawdę, jak ją sam pojmuje i czuje; obowiązkiem zaś człowieka w autorze jest najpierwéj starać się o to, ażeby sam tę prawdę pojął i poczuł najjaśniéj (IV, 346,347). Bardzo wiele znajdujących się tu niewłaściwości odtrącić musimy na sprawozdawcę; w każdym jednak razie wpatrując się w treść rozmowy, niepodobna nie zauważyć, że pomimo zastrzeżenia naczelnego, ażeby autor służył Bogu i ludzkości, pozostawia się przecież wszystko jego subjektywizmowi. Gdyby poeta miał na celu zapewnić utworom autora niezależność sądu i oryginalność pomysłów, to przeciw takiemu określeniu jego powołaniu niby zarzucić się nie

dało; ale tu idzie w ogóle o przedstawianie prawdy. Otóż Mickiewicz zastrzega, ażeby autor wprzód poznał ją sam jak najjaśniéj; ale jakim sposobem. Poeta nasz, jak wiemy, odrzuca doświadczenie, nie dowierza rozumowi; ale wszystko każe robić natchnieniu, a zatém znowuż czysto podmiotowemu czynnikowi; a zatém poznanie prawdy równa się tu poprostu bezpośredniemu jéj poczuciu. A wówczas gdzież będzie koniec dla milionowych wylewów tych wszystkich szumowin, jakie na mózgu jednostek osiądą i kształt „poczucia prawdy“ przybiorą, gdzie kres roszczeniom każdego roznamiętnionego serca i każdéj rozbujanéj wyobraźni do wytwarzania prawdy absolutnéj; gdzie będzie sprawdzian wszystkich tych dążności, pragnień, marzeń i widziadeł! Sprawdzian ten, odpowiedziałby zapewne Mickiewicz, leży w cechach istotnego natchnienia..... Ale jakże te cechy poznać? Do tego potrzeba znowuż natchnienia.... i tak aż do nieskończoności!

III.

Mickiewicz od młodości był małomówny, więcéj rozważał niż rozprawiał, więcéj słuchał cudzych myśli niż wypowiadał własne. Rozmowy jego miały charakter wybuchowy t. j. powstawały wówczas, gdy jakiś wypadek lub zdanie poruszyły go do głębi; wtedy płynęły mu słowa pośpiesznie i pełnym strumieniem; poczém wpadał znowu w zwykłe milczenie lub téż odpowiadał na pytania urywanemi zdaniami. Lubił przemawiać w kółku zaufaném; dlatego w podróży niełatwo znajomości zabiérał, w czém stanowił najsilniejszy kontrast ze swoim towarzyszem, który musiał zawsze z kimś gadać, choćby nawet nie rozumiał tego, co mu opowiadano. Raz zdarzyło się tak, że przez znaczny przeciąg czasu musiał słuchać szerokiego opowiadania kobiéty, którą prowadził pod rękę na przechadzkę, musiał się śmiać i migami przynajmniéj potakiwać, bo kobiéta mówiła po hiszpańsku.... Mickiewicz przeciwnie zawsze się trzymał odpornie i odpowiadał tylko wezwany, a nieraz groził palcem Odyńcowi, albo go za ucho kręcił, gdy ten niezmordowany „gadacz“ zadaleko się posuwał w robieniu coraz nowych znajomości lub w wyzywaniu ich na rozmowę.

Prostota i naturalność, która nas tak czaruje w jego arcydziełach, odbijała się wyraziście i w życiu; nigdy on nie lubił pozować; nigdy nie przybiérał naumyślnie jakiegoś tonu lub gestów, któreby mogły podnieść zewnętrznie to, co wypowiadał lub to, co przypuszczalnie myślał. Usposobienie jego odźwierciadlało się w jego ułożeniu i ruchach tak dalece, że pod tym względem gwałtu

sobie zadawać nie lubił i kiedy był smutny, wesołego nie udawał. Z pierwszego wejrzenia nie wywierał żadnego nadzwyczajnego wrażenia; Zygmunt Krasiński, 18-letni naówczas a wrażliwy młodzieniec, zobaczywszy Mickiewicza, w liście do ojca, pod sam jego koniec, te tylko słowa zapisał: „Towarzystwo Odyńca niezmiernie mi jest miłém, wiele przyjaźni okazuje i wdzięczności za dobroć papy. Mickiewicz jest zimny, ponury, wygląda na rozsądnego bardzo człowieka. Ja myślałem, że wcale przeciwnie. Dziwne czasem robimy sobie o ludziach wyobrażenie, które upada za ich poznaniem." W sześć dni potém dodał: „Rozmowy, rozprawy z Odyńcem, wiersze, kontemplowanie Mickiewicza, bo mało bardzo, *prawie nic* w pierwszych dniach nie mówił, skracały mi nudy niepogodnego dnia." Dopiéro po upływie nowych pięciu dni znajdujemy wykrzykniki: „Mickiewicz nieco się ożywił i z nami lepiéj zapoznał. O! jakże fałszywe sądy były o nim w Warszawie! Rozległéj on jest nauki, umie po polsku, po francusku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku. Doskonale zna politykę europejską, historyą, filozofią, matematykę, chemią i fizykę. W literaturze nikt może w Polsce tyle nie ma znajomości (t. j. wiadomości). Słysząc go mówiącym, zdaje się, że każdą książkę czytał. Sądy ma bardzo rozsądne, poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony, nieszczęścia już mu zmarszczki na trzydziestoletniém czole wyryły. Zawsze spokojny, cichy, ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach. Wydał mi się być *idealem człowieka uczonego i geniuszu pełnego*." Tak więc potrzeba było dni jedenastu i szczególnéj okoliczności (rozmowy o Lauterbruńskim wąwozie), ażeby młodzieńca bystrego naprowadzić na myśl, że miał przed sobą ideał genialnego człowieka!....

Prostotę swoję posuwał niekiedy aż do dziecięcych niemal igraszek: chował się w niewygodnych framugach, ażeby nastraszyć nieobecnością swoją towarzysza podróży, bazgrał po godzinach całych jakieś krajobrazy albo portrety, chociaż wiedział, że najmniejszéj zdolności rysunkowéj nie posiadał; bawił się w taczanie kraszanek na ruinach klasycznéj willi Mecenasa, chociaż jeden z towarzyszów po żywéj z tego powodu dyspucie odszedł rozgniewany; grał w szubieniczkę i t. p.

Był krotochwilny, lubił mistyfikacye, i jak za czasów studenckich pisał poemat heroikomiczny p. n. „Kartofla," tak i teraz po pierwszém przedstawieniu Fausta w Weimarze, opowiedział Odyńcowi pomysł do poematu o *Twardowskim*, trzymanego w tonie na półjowialnym. Jowialność ta miała być mianowicie w ustawicznych kłopotach djabła o duszę swojego pupila, która mu się co chwila

chce wymknąć, t. j. że ulegając wszelkim pokusom, które mu diabeł podsuwa i broiąc złe na wszystkie strony, działa on zawsze tylko z fantazyi, junakieryi i lekkomyślności, ale pomimo wszelkich usiłowań złego ducha, nigdy nie daje się doprowadzić do popełniania nikczemności lub występku przez zamiłowanie do nich. Chce on tylko tego jednego, ażeby módz wszystko i robić wszystko, co mu się podoba, bez żadnéj innéj pracy, prócz zachcenia, i dlatego wyłącznie zapisuje duszę diabłu. Tymczasem na każdym kroku spotyka się z kimś albo z czémś takiém, co go ku *dobremu* pociąga i diabeł tedy musi wysilać się na sztuki, aby go od dobrych intencyj odwrócić, co mu się téż bez trudności udaje. Największy jednak ma kłopot ze szczerą i niezachwianą w nim miłością matki, choć ją sam dręczy i zabija i w ogólności z Polkami, bo w każdéj znajduje się jakiś pierwiastek, który go na dobrą nawraca drogę, tak że diabeł musi nakoniec sprowadzić jakąś Paryżankę na dwór królewski w Krakowie, aby się już z téj strony całkiem zabezpieczyć. Ale i na innych punktach toż samo. Twardowski bowiem w gruncie boi się Boga jak ojca, a nie śmiejąc mu jako ojcu, nawijać się na oczy, akkomoduje się skrycie w głębi serca Najświętszéj Pannie jako matce, skarbiąc sobie jéj łaskę w potrzebie. A że jest przytém poetą, spotkawszy więc raz, jadąc na łowy, kwestarza, któremu jego charty z poduszczenia diabła, wydusiły barany, obiecuje mu na przeproszenie napisać *godzinki* i ciągle do nich w myśli powraca, ilekroć lepsze uczucie w serce jego zaświta. To drugie udręczenie szatana. Trzecie ma w życiu jego publiczném. Twardowski robi wszystko, co mu djabeł podszepnie, ale zawsze w tém przekonaniu, że co on chce, to będzie najlepiéj. Krzyczy, wichrzy, przeszkadza i psuje to wszystko, co rozumni dobrego chcą zrobić, ale ledwo złe skutki spostrzeże, gotówby się upamiętać po szkodzie, gdyby go zaraz djabeł nie pokusił na nowo. Ale i diabłu brak nakoniec konceptów i cierpliwości, tém bardziéj, iż Twardowski zamiast brnąć z wiekiem w egoizm i pychę, wytrzeźwia się owszem coraz widoczniéj z fantazyi i szału i tylko względem niego butniejszym się staje. Nie czeka więc już na przyjście złéj woli i postanawia porwać go podstępem, nim się całkiem z płochości wyleczy. Tu następują sceny według tradycyi ludowéj, Twardowski nie idzie wprost na potępienie, ale jak za życia chwiał się tylko między złém i dobrém i ani do złéj woli ani do skruchy nie doszedł, tak zawieszony w powietrzu pomiędzy niebem a piekłem, oczekuje na sąd ostateczny (I, 213—216).

Pomysł tego poematu, którego Mickiewicz nie zamierzał zresztą nigdy napisać, ale go tylko opowiedział Odyńcowi, kreśląc nawet sceny, poruszając słuchacza jego do gwałtownego śmiechu,

okazuje ten rodzaj dowcipu, jaki właściwy był poecie naszemu. Poważne jego w ogóle usposobienie lubiło swobodne, rubaszne, jowialne niekiedy wylewy, nie mające w sobie ani złośliwości, ani humoru, ani subtelnego komizmu. Jest to rodzaj dowcipu właściwy ogółowi narodu, nic więc dziwnego, że największy jego przedstawiciel w poezyi posiadał go także i umiał tak świetnie zastosować w kilku ustępach Pana Tadeusza. Dodać jednak trzeba, że pomysł ów jest raczéj tragiczny niż komiczny w treści: ten fatalizm usposobienia chwiejnego, bez stanowczéj woli, bez cnót wielkich i występków przerażających, to kołatanie się ciągłe między wzniosłością a trywialnością może w pojedyńczych scenach przedstawiać się komicznie, ale w wyniku ostatecznym smutném przejmuje wrażeniem, zwłaszcza, gdy się pomyśli, że przeciętny nasz ogół zarówno w dziejach jak i w chwili obecnéj ma bardzo wiele z tego nieszczęśliwego usposobienia....

Dowcip salonowy przebija się w niektórych francuskich bilecikach do panny Klustin; ale w Listach z podróży oprócz jowialnych żartobliwych uwag znajdujemy jeden tylko dosyć udatny koncept Mickiewicza. August Goethe, jedyny syn wieszcza, pokazywał piękny zbiór biustów różnych wielkich ludzi i swój mineralogiczny gabinet, a w nim mianowicie wiele zębów rozmaitych zwierząt, zachowanych doskonale w kamieniach. Adam zrobił uwagę, że żaden przedpotowowy dentysta nie mógł posiadać piękniejszych. Poecie niemieckiemu żarcik ten tak się podobał, że zaraz zwróciwszy się ku damom, z uśmiechem to samo im powtórzył.

Rzewność natomiast, przywiązanie do stron rodzinnych i do kolegów są tak wzruszające, tak piękne, że każdego muszą ująć koniecznie. Z jakim wdziękiem i z jaką prostotą umie on opowiadać o latach swoich dziecięcych i o czasach studenckich, z jakim uczuciem wspomina o towarzyszach swoich, z jakim bałwochwalstwem niemal uwielbia przyrodę Litwy ukochanéj, jéj dęby, brzozy, jarzębiny w koralach a nawet jałowce karłowate. Podobieństwo krajobrazu do znanéj jakiéjś okolicy sprawiało mu sto razy większą przyjemność, niż najpiękniejsze widoki nadreńskie. Ta miłość stron rodzinnych była w nim tak głęboka i tak drobnostkowa i tak naiwna, że miała coś w sobie z parafiańskich przyzwyczajeń. Kiedy zobaczył we Włoszech zastawione przed sobą pierożki, zwane na Litwie szołtonosami, których od lat dziesięciu nie kosztował, aż się zaczerwienił z radości (II, 78). A chociaż w Novi obiad był dobry, oberża wygodna, to przecież poeta miał powiedzieć, że „jeśli, da Bóg, powróci kiedy do Litwy, będzie trzy dni popasał w pierwszéj karcz-

mie żydowskiéj, choćby mu kozy siano z łóżka wyciągały.“ (IV, 194).

IV.

Trafnie się wyraża w jedném miejscu Odyniec, że wraz z Mickiewiczem podróżowali „po polsku, co znaczy wpół po poetycku, wpół po pańsku, t. j. używali swobodnie *dzisiaj* a jutro.... jakoś to będzie!“ Przejażdżka poety naszego w niczém prawie nie była podobna do téj, jaką niegdyś odbywał 30 kilkoletni Goethe. Mickiewicz nie badał ani mchów i porostów, nie zbiérał roślin ciekawych i rzadkich, nie zastanawiał się nad pokładami geologicznemi Alp; nie wpatrywał się godzinami całemi w jakiś obraz Tycyana, Rafaela lub Michała-Anioła, nie spisywał swoich spostrzeżeń nad ludem włoskim, nad jego zwyczajami i stosunkiem do klas zamożniejszych nie uczył się jak student malarstwa, nie szukał podobieństwa między opisami Odysei a niebem nadmorskiém.... I nic dziwnego. Nie przygotowywał się on do swéj podróży przez lata całe, nie zrobił sobie żadnego planu na przyszłość.... wyjechał, bo zostać było niepodobna, co się z nim stanie, nic a nic nie wiedział; przenoszenie się z miejsca na miejsce zupełnie bezcelowe stało się dla niego rozrywką, może potrzebą fantazyi, ale nie środkiem wzbogacenia wiedzy. Sam nie wiedząc, dlaczego jechał daléj a daléj, odwiedzał po drodze nielicznych znajomych lub sławnych ludzi, pośpiesznym krokiem przebiegał kościoły, muzea, galerye; pobieżnie spoglądał na sławniejsze budowle i o tém co widział, nie tylko szeroko nie rozprawiał, ale nawet i krótkiego zdania nie formułował. To téż sztuki piękne, których tyle skarbów obejrzał we Włoszech, nie wiele zdaje się wpłynęły na bieg jego myśli, na urozmaicenie jego wyobraźni; a przynajmniéj nie pozostawiły śladu w pismach późniejszych. Był on zanadto w sobie skupiony, zanadto wspomnieniami kraju przejęty, ażeby módz swobodnie używać rozkoszy artystycznych i mówić o nich z zadowoleniem, obszernie i spokojnie.

Jechali szybko dosyć, o ile naturalnie najętemi końmi jechać było można. Cokolwiek więcéj czasu zabawili tylko w Weimarze (od 17 Sierpnia 1829 do 1 Września), odbyli parodniową przejażdżkę po Renie, a wyjechawszy następnie ze Strasburga zatrzymali się dopiéro w Medyolanie, a potém w Wenecyi (od 7 do 20 Września) i we Florencyi (od 27 Września do 14 Listopada). Wreszcie 18 Listopada przybyli do Rzymu i tu przepędzili całą zimę i część wiosny aż do 6 Maja. A więc tu może osiedliwszy się na czas dłuższy, rozpoczną nasi podróżni swoje artystyczne wykształcenie, może tu więcéj czasu poświęcą dla nauki i sztuki?.. Niestety, kolonie polska i ro-

syjska, wśród których czas spędzali, składały się po większéj części z ludzi podróżujących tak jak oni bez celu, nudzących się po wszystkich stolicach europejskich i z nudy bawiących się w zachcianki artystyczne. Z pomiędzy Polaków, którzy przez zimę z 1829/30 tu wegietowali, trzech tylko zajmowało się poważniejszemi studyami: Strzelecki, Stattler i w końcu najpóźniéj przybyły—Stefan Garczyński. Pierwszy z nich studyował archeologią, drugi malarstwo, a trzeci—umiejętność. Byli wprawdzie w Rzymie i księża polscy, którzy albo spełniali obowiązki swego stanu, albo się do nich przygotowywali, jak: Wilczyński, Brzozowski, Scypio, Zajączkowski, Parczewski, Chołoniewski, ale ci w ciasnym kółku swych nauk teologicznych zamknięci, nie mogli pociągać ku sobie nie-specyalistów, i z niemi téż nasi znajomi przelotnie się tylko widywali; zażylszy bowiem stosunek z ks. Parczewskim był całkiem odosobniony i nie wpływał wcale na bieg życia Mickiewicza, a zbliżenie się z ks. Chołoniewskim nastąpiło dopiéro w zimie r. 1830/31.

Wszyscy inni przyjechali do Rzymu dla zabawy i chcieli używać życia z całą swobodą ludzi nie troszczących się o jutro. Mickiewicz miał lat 31, Odyniec 25, byli więc w pełni sił młodych i przeciw rozrywkom nic nie mieli do powiedzenia. Odyniec nawet nie mógł zrozumiéć, jakim sposobem mógł Garczyński siedzieć nad książkami, zamiast jechać z nimi na rozmaite wesołe wycieczki; a pocieszał się jedynie teoryą Mickiewicza i kontent był niezmiernie, że rozum Garczyńskiego znajduje się dopiéro w *antresolu*, gdy jego rozum dzięki „natchnieniu" przebywa na wyższych piętrach, nie potrzebując się nudzić w dusznéj atmosferze zapylonych druków...

Tak więc Mickiewicz odczytawszy kawałek Liwiusza a Odyniec Gibbona—w oryginale—spełniwszy niejako formalność wzięcia książki do ręki w „stolicy świata", żyli już przeważnie tylko na zewnątrz. Były tam trzy ogniska, w których skupiało się dobrane dosyć towarzystwo. Zeneida Wołkońska, dawna znajomość Mickiewicza z Moskwy, kobiéta niepiękna, ale „niewysłowionym powabem" odznaczona, szczera, dobra, znająca zarazem świat wielki, otworzyła swój dom nie tylko dla rodaków, ale dla wszystkich poetów, artystów i „wyższéj arystokracyi rzymskiéj, która niełatwo, jak mówią, zwykła się udzielać cudzoziemcom."

Dom ten atoli mniéj pociągał Mickiewicza, może był teraz trochę za nudny dla niego, zwłaszcza, że sama księżna Zeneida napytała sobie rywalkę w pięknéj, młodéj i uroczéj pannie Anastazyi Klustin, córce możnéj rodziny z gubernii Tambowskiéj, z matką wdową od lat kilku podróżującéj po całéj Europie a tak rozmiłowanéj w sztukach pięknych a szczególniéj w ich mistrzach, że ci nawzajem

jak Thorwaldsen w Rzymie albo Bonstetten w Genewie kochali się w niéj lub ją „admirowali.“ I to jednakże towarzystwo musiało ustąpić pierwszeństwa rodzinnemu w domu hr. Ankwiczów, gdzie pociągał Mickiewicza pięknie rozkwitły kwiat—panna Henryetta. Tu najczęściéj spędzano wieczory, tu najserdeczniejsze toczono rozmowy, tu bawiono się najlepiéj, jakkolwiek i dwu poprzednio wymienionych domów nie zaniedbywano. W dni niepogodne obiady, wieczorki ze śpiewem i muzyką, z rozmowami „genialnemi“, z przeróżnemi grami towarzyskiemi, z komedyą francuską, w któréj czynny udział brał musztrowany przez wszystkich Odyniec; w pogodne zaś przechadzki po Rzymie, dyletanckie zwiedzanie zabytków, a począwszy od 10 Marca 1830 wycieczki w okolice Rzymu do Fiumicino, Frascati, Palestrina, Genezzano, Tivoli, Subiaco, zapełniały dnie całe w normalnym stanie rzeczy tj. gdy podróżni nasi nie byli zaproszeni na jaki bal do posła rosyjskiego, lub téż gdy nie odwiedzali królowéj Hortensyi.

Po przez całą tkaninę zabaw przeciągała się różowa wstęga miłości cichéj, spokojnéj, jaka łączyła serce Adama z sercem Henryetty. Nie miała ona żadnych dramatycznych perypetyj, była prosta i naturalna, jak uczucie wieszcza naszego; jakaś krótkotrwała chmurka, jakiś kaprysik, trochę niechęci ojca, cyganka wróżąca niepomyślnie, żmija przewijająca swe kręgi przed oczyma kochanka, rozstanie się dwumiesięczne i najserdeczniejsze potém przywitanie: oto główniejsze wypadki z tych krótkich dziejów miłości, których strony wewnętrznéj co do Mickiewicza domyślać się tylko można, gdy ze strony Henryetty mamy bardzo późne wprawdzie ale osobiste zeznanie...

Twórczość poetycka była w uśpieniu; zaledwie bowiem kilka urywków lirycznych do czasu podróży Mickiewicza się odnosi. Po wierszu „Na Alpach w Splügen“, który odbrzmiewa jeszcze uczuciami dawniejszéj chwili, idzie w chronologicznym następstwie: Do matki, napisany w Poggiborsi 14 Listopada 1829 pod wpływem rozmów z księciem Ogińskim, następnie Do mojego Cicerona w Rzymie, Do Maryi Łempickiéj, Wezwanie do Neapolu. Tyle dowiadujemy się z listów Odyńca. Cybulski zalicza do tego czasu; Arcymistrza, Mędrców, Rozmowę wieczorną. Wreszcie tu także odnieść należy wiersz bez tytułu („Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą)“ ponieważ znajdujemy go w „Noworoczniku litewskim“ na rok 1831, a drukowanym w końcu roku poprzedniego. A nadto wiemy z korespondencyi Mickiewicza, że przetłómaczył jakiś urywek z Fausta, którego nie odnaleziono jeszcze, o ile wiem, do téj pory.

Szczupły to bardzo plon z kilkunastomiesięcznego przeciągu czasu; on sam, gdyby innych świadectw nie było, mógłby nam dowieść, jak rozproszone naówczas prowadził życie Mickiewicz i jak mało druga jego silniejsza miłość „uplotła mu wieńców“, przynajmniéj bezpośrednio, boć nie należy zapominać o udziale jéj w utworzeniu „Pana Tadeusza“. Mickiewicza nie dotykała wtedy ani troska o byt powszedni, bo miał pieniędzy podostatkiem, ani téż ucisk okoliczności zewnętrznych, roztargnienia więc jedynie światowe były powodem, że twórczość jego w „okresie rzymskim“ nie upamiętniła się żadném arcydziełem.

Listy z podróży odsłaniają nam w Mickiewiczu to, co w nim z zewnątrz widziéć można było, ale nie to, co skrywało się w głębi jego umysłu, co zrobiło z niego największego naszego poetę. Życie jego zewnętrzne nie posiada tego poetycznego uroku, jakim Słowacki otoczył się w listach swoich; bo sam w korespondencyi był niezmiernie prostym i lakonicznym, a towarzysz jego, przestający z nim codziennie przez kilkanaście miesięcy najlepiéj chwytał i najchętniéj odwzorowywał proste, dziecinne a czasem nawet trywialne rysy charakteru, których bezwątpienia niebrak żadnemu wielkiemu człowiekowi i o których dobrze jest wiedziéć, ale które nie stanowią tytułu do wielkości. Z listów Odyńca możnaby ułożyć dokładne *regesta* z pewnego okresu życia poety naszego; możnaby nakreślić barwny obrazek drobnostkowych zabaw i rozrywek w Rzymie i po za nim; możnaby napisać sielankowy dramacik miłosny; możnaby wreszcie zrozumiéć i wyjaśnić spólne jego cechy z całym ogółem ludzi wykształconych: ale niepodobna nabrać pojęcia o Mickiewiczu jako Mickiewiczu t. j. o tym potężnym umyśle, o tém gorącém uczuciu, o téj wspaniałéj fantazyi, które zrobiły przewrót w literaturze naszéj.

Piotr Chmielowski.

SZTUKA

NA

Wystawie Powszechnéj w Paryżu.

MALARSTWO.

(Dokończenie).

FRANCYA.

Ta sama Francya, która krwią swoich synów okupywała prawo obywatelstwa dla postępowych idei, ta sama Francya w dziale sztuki pierwsza rozkuła kajdany teoryi, ciążące na nogach artystów i pozwoliła ich temperamentowi żyć w sztuce swobodnie. Naród francuski, jeżeli nie jest nawskroś artystyczny, to w każdym razie poczuciem sztuki przewyższa o całą głowę wszystkich swoich cywilizowanych sąsiadów. Począwszy od małego mieszczanina i pleśniejącego w tradycyach wiejskiego szlachcica, a skończywszy na królach i książętach, każdy w swym pokoju lub salonie ma kilka, kilkanaście bohomazów lub arcydzieł, którym z dumą a nieraz i prawdziwą rozkoszą przypatruje się, w nich czyta i z nich się uczy sądzić.

Niemcy w każdym większym mieście posiadają muzea i galerye obrazów. Kiedy Drezno, Monachium, Wiedeń i Berlin szczycą się arcydziełami, od wieków wiszącemi na ścianach ich galeryj, Paryż szczyci się Francuzami, zwiedzającemi Louvre, Luxembourg lub Muzeum Cluny. Byłem we wszystkich niemal galeryach niemieckich. Zawsze jedno i to samo. W Niedzielę i święta tłumy robotników przechadzają się po galeryach ze swojemi żonami i dziećmi, przypa-

trują się obrazom starych mistrzów i wychodzą, aby za kilka miesięcy powrócić tu znowu. W dzień powszedni przed każdym arcydziełem stoją stalugi, a przy nich siedzi młody malarz, który się *uczy*. W salonach pusto i głucho. Co kilka sal spotkać można cudzoziemca z Bedäckerem w jednéj ręce i z katalogiem w drugiéj, który się pyta woźnego ledwie zrozumiałą niemczyzną o jakiś szczegół obrazu i, nie otrzymawszy zadawalniającéj odpowiedzi, wychodzi.

Malarze za zjawieniem się każdego zwiedzającego indywiduum podnoszą głowy i przypatrują mu się z ciekawością. W Paryżu, jakiekolwiek nazwisko nosi przybytek sztuki, wszędzie jest pełno ludzi i, pomimo stu tysięcy przyjeżdżających do stolicy świata cudzoziemców, wszędzie w masie Francuzów cudzoziemcy giną. Malarze kopiujący obrazy nie odrywają się od roboty i jeżeli odwracają od płótna głowy, to tylko dla poproszenia zwiedzających o nie zasłanianie sobą światła. Zarówno w święta jak i w dzień powszedni tłumy chodzą po salach, stają przed obrazami i dysputują, tylko że w święta język jest pospolitszy, uwagi dosadniejsze i dowcipy nie do powtórzenia. Widać, że ci ludzie bez różnicy płci i stanu interesują się sztuką, wymagają od niéj czegoś, i nie znalazłszy tego czego szukali odchodzą, wydawszy poprzednio sąd odpowiedni swemu temperamentowi. Znane nazwiska, posiadające wszędzie magiczną siłę przyciągania tłumów, przyciągają je i w Paryżu, ale nie są uwolnione od żartów złośliwych i uwag bolących. Nikt tu nie staje z bałwochwalczym frazesem na ustach przed Rafaelem, Tycyjanem lub Rubensem, ale z intencyą odebrania wrażeń i ocenienia ich krytycznie.

Wysoce rozwinięty krytycyzm u Francuzów jest niesłychanie korzystną zachętą w tworzeniu, gdyż francuscy artyści stawiają swoje prace nietylko przed sądem kilku *fachowych estetyków*, ale także apelują do tłumu, który w przecięciu daje zawsze zdrowy sąd. W skutek rozwinięcia się zamiłowania i popytu na dzieła sztuki, Francya wydaje corocznie zdumiewającą ilość nowych aspirantów do artyzmu, którzy, jeżeli nie jednakowo od natury obdarzeni są talentem, to przynajmniéj z powodu rywalizacyi, muszą sobie szukać nowych dróg, nowych form dla wyrażenia swoich myśli i wkupywać się do świątyni sztuki oryginalnością. Naturalnie w téj masie połowa przynajmniéj jest wyrobników bez talentu odpowiedniego zadaniu, ale za to z drugiéj połowy wyrastają olbrzymy, jakich nie przedstawia żaden kraj.

Wszystkie rodzaje malarstwa mają swoich przedstawicieli i wszyscy przedstawiciele swoich wielbicieli. Żaden kierunek nie jest z góry uznany za niewłaściwy i każdy ma prawo bytu. Nie czuć tu ręki

szeregującéj dzieła według pewnéj miary, wyłączającéj zawczesne nowatorstwa, chroniącéj społeczeństwo od szkodliwych wpływów, usuwającéj z przed oczu widzów twory, uznane za niemoralne, ale jest bohemska swoboda, pozwalająca rozwiesić na ścianach obok religijnych obrazy pornokratyczne, obok historycznych rodzajowe, a przy portretach krajobrazy. Co więcéj, nawet krytyka, tak absolutna we wszystkich krajach, tu się godzi z nowemi kierunkami, i nie nazywając ich z góry złemi, zastanawia się nad ich zaletami lub wadami. Kiedy wszędzie na utwory dzisiejszych talentów obałamucona przez krytykę publiczność patrzy przez okulary sztucznego klasycyzmu, we Francyi krytycy i miłośnicy sztuki, nie zestawiając współczesnych talentów ze staremi mistrzami, oceniają je na podstawie dzisiejszych wymagań. Dla tego téż artyści we Francyi łatwiéj niż gdzieindziéj dobijają się sławy, a z nią możności rozwinięcia talentu na szerszą skalę. Pod wyrazem *szersza skala* rozumiem mistrzowstwo w kierunku, w którym artysta pracuje, nie zaś zmianę pewnych pomysłów na większe rozmiarami i doniosłością. Dosyć jest przeczytać kilka sprawozdań z działu sztuki we Francyi, aby się przekonać jak opinia publiczna francuska jest rozsądną i istotnie obdarzoną zmysłem krytycznym. Każdy artysta maluje to co mu się podoba i nikt nie robi mu z tego zarzutu, nikt nie narzuca mu kierunku i tém samém nie osłabia w nim wiary dla pomysłu, który on ukochał. Breton lubi chłopów i chłopki, Gerome nagie kobiety haremu, Meissonier konie stojące, Laurens trupy, a nikt nie pyta się ich dla czego oni to robią nie co innego, bo każdy umie uszanować w artyście jego indywidualność i krytykuje tylko wykonanie nie zaś przedmiot sam, jak to ma miejsce w Niemczech, a zwłaszcza u nas. Artyści a za niemi krytycy doszli już we Francyi do tego przekonania, że ani tego ani tak, jak malowali mistrze z czasów *odrodzenia*, dziś malować nie można i że zwracanie się do szkół dawnych jest bezsensem. David i Ingres zostawili ogromną masę obrazów i bardzo wielu uczniów, ale na obrazy ich mało kto patrzy, a o uczniach nikt nie wie. Przeciwnie, jeżeli który z uczniów ma sławę, to tylko taki, który nie słuchał rad swojego mistrza, lub wcześnie opuścił szkołę, jak np. Delacroix. Naturalnie przez bardzo długi czas krytyka roniła łzy żalu nad upadkiem sztuki, sądząc, że całe nowe pokolenie malarzy, nie idące w myśl pseudoklasyków porewolucyjnych, nie wyda z siebie ani jednego talentu, któremuby można było przyznać inny epitet niż dziwactwa. Na szczęście jednocześnie z upadkiem szkół Davida i Ingresa rozpoczął się wielki ruch artystyczny we Francyi, która dzisiaj ma prawo być dumną ze swojéj sztuki i ma prawo powiedzieć, że ona pierwsza wytworzyła sztukę dziewiętnastego wieku.

Nie bez tego, żeby dzisiaj nie świeciły jeszcze resztki pseudoklasyków na ścianach Wystawy i salonu, ale są to już tylko resztki. Cabanel najstarszy wiekiem i najgłośniejszy imieniem płodzi obrazy na podziw swoich rówieśników, którzy patrząc ze łzami w oczach na wielkie płótna twórcy świętych, historycznych i alegorycznych idei, zakrywają sobie oczy na widok *rodzajowego malarstwa.* Dla czego takim tytułem opatrzono dzisiejszą sztukę trudno zrozumiéć, kiedy ona nigdy i nigdzie nie była inną w czasach najwyższego swego rozkwitu. Prawda że najgenialniejsi malarze Włoch z czasów odrodzenia malowali postacie wielkie, wplecione w alegoryczną ideę, ale je malowali z natury jak dzisiejsi malarze i od natury uczyli się koloru i rysunku, czego pseudoklasycy rozumieć nie chcieli, lub nie mogli. Jeżeli dziś z zachwytem stoimy przed obrazami Rafaela, Tycyana, da Vinci lub Veroneza, to nie dla czego innego jak tylko dla prawdy natury widniejącéj z tych ciał naturalistycznie namalowanych i narysowanych. Krytycy łamią sobie głowy nad historyczno-alegorycznemi szaradami obrazów, najczęściéj nie umiejąc rozwiązać zagadki, co znaczy dany obraz nie opatrzony objaśnieniem przez autora i nie widząc, że najpiękniejsze myśli starych mistrzów nie wiele byłyby warte, gdyby ich nie podpiérał naturalizm narysowanych lub namalowanych postaci. W gruncie rzeczy natura była istotą staréj sztuki, a myśl podpisana pod obrazem lub rzeźbą—potrzebą czasu.

Włosi tylko ciało człowieka uważali za godne sztuki i przez piękno tych ciał wyrażali swoją poezyą. Flamandzi poszli daléj. Wprowadzili na płótno całą naturę żywą i martwą, która tak dobrze jak człowiek służyła im do wypowiadania poetycznych myśli. Jedni zaś i drudzy, jakkolwiek byli naturalistami w przeciwstawieniu do bizantyńskich i gotyckich malarzy, przez namalowaną naturę wyrażali myśli oderwane i bajką tylko związane z wyrażającemi je postaciami.

Dzisiejsi malarze przedstawiają człowieka i całą naturę w obrazach tak, jak on lub ona w rzeczywistości istnieją. Dla nich człowiek jest dostatecznie piękny sam przez się, a natura z resztą swego stworzenia i krajobrazem dostatecznie poetyczną, aby im nie dodawać w obrazach nic więcéj nad to, co mają w rzeczywistości. Przypatrzmy się temu bliżéj.

Wszyscy malarze z początku tego wieku byli *nienaturalistami*. Cornelius, Kaulbach, David, Ingres i wielu pomniejszych, malowali ludzi, zwierzęta, a nawet, co najśmieszniejsza, krajobrazy, tak jak gdyby się brzydzili naturą, która ich otaczała i o tyle ją tylko

uwzględniali, o ile przez nią, samowolnie zmienianą, mogli wyrażać cnoty teologiczne, grzechy kardynalne i najdziwaczniejsze alegorye. Do galeryj tych mistrzów bez katalogu ani na chwilę wejść nie podobna, a od omyłek co do znaczenia obrazu uchronić się nie można, bo kobiétę z wyciągniętą do góry ręką tak dobrze wziąć można za *prawdę* jak i *bohaterstwo*, a z przyłożonym do czoła palcem za *sumienie* lub *matematykę*. Ale nie o nich mi idzie. Oni pomarli, a dzieła ich pokrywają się po mału kurzem zapomnienia. Najważniejszą jednak po nich pozostałością jest krytyka, która jako zawsze późniejsza, dosięga swą chłostą ludzi z drugiéj połowy naszego stulecia, jakkolwiek zasadami należy do pierwszéj. Otóż krytyce téj, na wskroś eklektycznéj, dzisiejszy kierunek stoi solą w oku. Upadek sztuki i zmarnowane talenta! oto jedyny wykrzyk wielbicieli klasycyzmu przeflancowanego do innego społeczeństwa i o kilka wieków późniéj. Dla czego, pytam się, upadek?... Odpowiedź prosta. Dzisiejsi artyści są kopistami codziennego życia. Kto nim nie był?.... Wszakże najidealniejsze madonny Rafaela są portretami Stelli Fornariny, a korpulentne anioły Rubensa konterfektem drugiéj jego żony Foormann. Ponieważ jednak czas tego wymagał i sztukę popierali królowie wraz z dostojnikami kościoła, nic więc dziwnego; że ci mistrzowie swoim ideałom ziemskim kazali chodzić nad obłokami i przybiérać religijny wyraz na twarzach, który, jak np. u Rubensa, nie zawsze się udawał. Wiek nasz jest dostatecznie sceptyczny, aby jego malarze mieli robić tłumy aniołów rubensowskiéj wagi i prawdy natury, i kazać im się bujać w powietrzu wbrew prawom ciążenia, zwłaszcza przy ostatnich ulepszeniach balonu. Dziś takie malarstwo udać się nie może, bo oko publiczności za nadto jest wykształcone, aby mogło znieść świętych pozbawionych ciał jak u bizantyńczyków lub gotyckich malarzy, a bez ciał prawdziwych malowanie jest już dziś niemożliwém.

Otóż malarze nasi, rozumiejąc dobrze tę trudność rzucili się po motywy do swojego społeczeństwa, które jest dla nich zrozumiałe, którego piękne strony, wady i potrzeby żywym do nich przemawiają językiem, dla którego pracują i któremu świecą promieniami swojego talentu. Gerome, Meissonier, Breton, Laurens, Neuville, Courbet. Daubigny, Corot itd., to upadek sztuki! to zniżenie jéj do poziomu pospolitości, to wyparcie się ideałów na rzecz scen powszednich! Prawda, kiedy Tycyan chciał namalować nagą kobietę, kazał pozować modelce na pokutującą Magdalenę; Rubens dla pokazania wstrętnego opilstwa robił potwornych satyrów; wszyscy zaś razem malowali tylko to co czuli, bo to czego nie czuli sercem, co im przyjemności nie robiło, lub ich nie bolało, arcydziełami nazwać nie można,

choć twórcy ich byli mistrzami. Otóż dla tego, że dzisiejsi malarze kochają dzisiejsze społeczeństwo, że nie sprowadzają pijaków z olympu, cnotliwych z nieba, a rycerzy z średnich wieków, lecz uplastyczniają dzisiejsze cnoty, piętnują dzisiejsze zbrodnie i wydostają na wierzch dzisiejsze rany, za to zasługują sobie na miano ludzi zniżających sztukę do znaczenia fotografii. Tak jednak nie jest. Dzisiejsi artyści pomimo zmienienia motywów, co jest rzeczą naturalną z powodu postępu i zmiany zapatrywań się na potrzeby społeczeństwa i sztuki, nie przestają być artystami i to artystami dla nas tak wielkimi, jak nimi byli mistrze *odrodzenia* dla Włochów lub Flamandów. Na nic się krzyki, ani łzy wylane nie przydadzą, bo ruch w tym kierunku, jakkolwiek przed kilkudziesięciu zaledwie laty rozpoczęty, porwał nie tylko Francuzów, ale także dzisiejszych Flamandów, Anglików, Polaków, a po części i Rosyan. Najwybitniejsze talenta są zupełnie przesiąknięte realizmem i nic ich z téj drogi nie zwróci. Zresztą droga ta jest dobra, bo odpowiada w zupełności zadaniu sztuki. Artyści dzisiejsi są tém czém być powinni, to jest tylko artystami, a nie, jak chcieli pseudoklasycy, moralizatorami i kierownikami społeczeństwa. Cóż z tego, że Kaulbach, że Dawid, byli przyjęci wielkiemi idejami, że malowaniem bohatérskich czynów z historyi greckiéj i świętéj chcieli ludzkości pokazać drogę cnót, kiedy ludzkość nigdy nie rozumiała ich filozoficznych traktatów na płótnie i co najważniejsza nie odbiérała wrażeń właściwych od ich dzieł. Trzeba tym ludziom przyznać genialność pomysłów, ale przy niestosownych środkach. Malarstwo nie może wyrażać tego, co książka; a oni tego chcieli. Gdybyż jeszcze byli takimi malarzami, jak klasycy lub dzisiejsi! Ale oni nie mieli siły, bo nie mieli poczucia prawdy i piękna rzeczywistéj natury, nie mieli poezyi, ani potężnie rozwiniętéj indywidualności, bo uczyli się od klasyków rysować, malować i komponować, nie mogąc z powodu różnicy czasu i miejsca czuć tak jak tamci.

Francuzcy artyści dzisiejsi są przedewszyskiém sobą, są oryginalni: malują to co im się rzeczywiście podoba i są szczerzy.

Meissonier lubi konie. Na ścianie tysiące koni stoi lub grzebie nogami. Żaden nie jest w ruchu, lub co najwyżéj idzie zmęczonym stępem po piaszczystéj drodze. Ludzie stoją pod oberżą, lub siedzą nieruchomi na koniach. Wszystko jest skończone z wyjątkiem nieba i ziemi, bo to mu jest niepotrzebne. W figurce nieco większéj od muchy poznać można Napoleona I-go, na koniu, jak wskazuje ręką na pułk kirysyerów, stojący pod górą. Kilkanaście pierwszych koni skończonych pod względem koloru i narysowanych z dokładnością fotografii nie przykrywa reszty, która skracając się w perspe-

tywie i słabnąc w sile koloru, nie ginie dla oka. Oko widzi wszystko, bo wszystko jest prawdziwe jak w naturze. Brak tylko ruchu, brak téj strasznéj chwili przed bitwą, bo Meissonier lubi tylko konie w spokoju. Obrazom jego można przypatrywać się przez mikroskop, ale nie odczuwać sercem. Od pierwszego wejrzenia z ust widza wyrywa się okrzyk. Ah! jak to rysowane, i ta sama uwaga zostaje się po wyjściu z galeryi. Oberżysta kazał sobie namalować szyld i przypatruje się okiem spanoszonego znawcy robocie, trzymając kłos pszenicy w ustach. Nikt nie śmieje się z dowcipnego pomysłu, a wszyscy wołają jak to narysowane! Gdyby koniowi wrzód się zrobił na nodze, właściciel mógłby do weterynarza posłać portret konia zrobiony przez Meissoniera w téj chwili i weterynarz przepisał by lekarstwo.

Gerôme maluje Grecyą, Turcyą, Arabią, Francyą, kobiéty, konie, psy, lwy, słowem wszystko co jest. W pamięci widza zostają się tylko nagie kobiéty. Ciało pokryte skórą, pod którą płynie krew. Kobiéty Gerôme'a żyją i mówią. Najznakomitszemi jego obrazami są: kobiéty w kąpieli, kąpiel turecka, derwisz u wejścia do meczetu, szara eminencya i walka kogutów. Najważniejszemi zaletami: prawda ciał i wyraz uczuć. Jednocześnie trzeba podziwiać miękkie ciało przeżytych kobiét tureckich, ich nudę i zmysłowość, rozwiniętą życiem w haremie. Nagi derwisz modli się pod meczetem. Z ust jego wylatuje jeden rozdzierający krzyk do Boga, który z pewnością jest wzruszony głębokością modlitwy. Widz mimowolnie wstrzymuje oddech i nadstawia ucho dla usłyszenia jęczącego głosu derwisza. Nagi Grek z Greczynką przypatrują się walce kogutów, koguty przyskakują do siebie z zaciętością, a idyliczna para Greków przypatruje się walce z zajęciem w twarzach i spokojem w ciałach. Niebo i morze konwencyonalne. Kompozycya piękna i swobodna. Ile razy Gerôme wychodzi po za swój przedmiot, obrazy jego zastanawiają techniką, ale nie przyciągają i nie przykuwają uwagi widza. Dosyć jest raz widzieć jego kobiéty w kąpieli, aby na zawsze dostać wstrętu do niewoli haremowéj. Gerôme maluje tak prawdziwie ciała i z taką siłą znaczy uczucie człowieka na twarzy, że patrzyć na jego haremową łaźnię, to być w niéj i współczuć niedolę tych niewolnic, o zgnuśniałych w bezczynności ruchach i z wyrazem wstrętu do życia na ustach. To jest sztuka prawdziwa. Ona mówi bez katalogu. Odźwierciadla w sobie życie pewnego społeczeństwa i robi wrażenie. Znawcy mogą podziwiać w Gerômie malarza, rozpustnicy—nagie ciało kobiéty, a głębsze dusze—piętno, jakiém Gerôme naznaczył tyranią Mahometan względem swoich kobiét.

Breton najbardziéj dzisiejszy ze wszystkich i najwyraźniejszy. Jest to najpotężniejszy malarz powietrza i ludu. Zarazem malarz i poeta. W obrazach jego niebo nie stoi ścianą prostopadłą do powierzchni kawałka namalowanéj ziemi, ale skłania się kulistym ruchem ku widnokręgowi. Nie jest ono błękitném, kolorowém płótnem parasola, ale masą powietrza widomie dla oka zaokrągloną i na krańcach stykającą się z ziemią. Na ziemi widać łąki, zboża, drzewa, kamienie, i cały ogrom przestrzeni w skróceniu, namalowane z poczuciem prawdy i poezyi natury. Na tle takich krajobrazów widnieje lud bretoński, ale taki jakim jest w rzeczywistości, zarówno w zabawach, jak przy pracy lub odpoczynku. Młoda dziewczyna ze spaloną od słońca skórą na twarzy, dźwiga snopek pszenicy na głowie. Kto zna lud i jego *szczęśliwe* życie na wsi, wśród cienistych gajów, szemrzących strumyków i pachnącéj rosy porannéj, niech popatrzy na tę dziewczynę, któréj ciężka praca wykształciła ciało tylko do dźwigania setek funtów, pogrubiła skórę, ułożyła członki nie według greckiego modelu proporcyi, a przekona się jak Breton czuje to wiejskie życie zabijające w człowieku człowieka i jak z téj sielanki wydostaje dramat. Nie wszystkie jednak kobiéty pracują. Niektóre leżą na ziemi i śpią, inne odpoczywają. Ale i tu nie można myśléć o poezyi życia. Dziewczyny śpią tak twardo, z taką bezwładnością członków, chłopi z takim potem na czole, że widz od razu poczuje ile sił fizycznych zużyli ci ludzie na wykarczowanie lasu, wygrzebanie własnemi rękami każdego kartofla z ziemi, lub ścięcie łąki tak rozkosznie barwami kwiatów śmiejącéj się do miłośników krajobrazu. Breton maluje także chłopów w święto. Zupełnie innym wrażeniom ulega widz przywykły do czytania myśli z twarzy człowieka. Na przodzie gromadki siedzi dziewczyna ze śniadem obliczem, rozwiniętemi kościami policzkowemi, wygiętemi od pracy naprzód ramionami i z grubemi na kolanach skrzyżowanemi rękoma. Patrzy w niebo, jak gdyby marzyła lub modliła się. Spokój, bezmysłowość, łagodność i wiara promieniają z jéj oczu głęboko patrzących. Robi na widzu wrażenie madonny i wycięta z obrazu mogłaby wisieć w ołtarzu bretońskiego kościoła.

Malarzem téj saméj kolącéj w serce poezyi co Breton, jest zmarły w tym roku Gustaw Courbet. Techniczne zalety jego malowania nie ustępują, jeżeli czasem nawet nie przewyższają zalet wielu znakomitych malarzy francuskich. Jest jednym z najsilniejszych kolorystów i najstraszniejszych kompozytorów. Sceny jego przerażają treścią i prawdą. Kamieniarze ostatkiem sił rozbijają kamienie na szosie. Żyły nabrzmiałe gwałtownie rysują się na skroniach i rękach, mięśnie wykształcone do linij twardych i nieproporcyonalnych,

a twarze oblane potem. Na ziemi stoi garnek z marną strawą, na której łój czy inny tłuszcz zaskrzepł się pierwéj, nim został zjedzony. Ani na chwilę nie można pomyśleć, że to malowane. Prawda natury mówi swoim językiem i zamyka usta krytykom rzucającym kamienie na malarza wstrętnych scen z życia. Dla czegóż życie dostarcza mu tego materyału? On maluje dzisiejszych ludzi i dla dzisiejszych. Niech oni więc odpowiadają za różnicę warstw społecznych, ale nie malarz, który na płótnie wypisał krwawemi głoskami to, co widział i co odczuł sercem. Courbet malował nagie kobiéty, ale nie dla piękności ciała ludzkiego, nie dla linij ich kształtów okrągłych ale dla wyrazu na twarzach, dla skargi ochrypłym głosem wylatującéj przez zgorączkowane usta, dla wzbudzenia litości na widok upadku. Tylko rozumni i czujący ludzie mogą patrzéć na te obrazy bez robienia wyrzutów Courbetowi za realizm w sztuce i prawdę w naturze. Najpotężniejszym jednak malarzem Courbet jest w widokach morza. Ale i tu nie czuć marzącego artysty, który z rozkoszą przygląda się połyskującym i szemrzącym po kamykach falom, który pozwala oku błądzić po powierzchni zielonawéj wody, aby ono łechtane kalejdoskopową zmianą barw doznawało coraz nowych podrażnień i wprowadzało człowieka w coraz nową sferę kontemplacyi. I tu Courbet jest malarzem dramatu. Bez teatralnie rzucanych w górę bałwanów, bez rozbitków ściskających konwulsyjnie ostatnią deskę ocalenia, bez żon i dzieci załamujących ręce nad brzegiem, morze Courbeta jest straszne. To nie powierzchnie fal ścierają się o siebie, ale olbrzymie masy wód wspinają się w górę lub ustępują w dół przed nowemi. To nie woda, co tylko odbija w swym źwierciadle kolor i kształty obłoków, ale zczerniona chmurą zielona masa, co rozwala skały, podkopuje góry i niezadowolona wyłomem, jaki zrobiła, z rykiem wraca napowrót do morza. *La Vague* Courbeta jako kolor jest czysto naturą a jako kompozycya olbrzymiem dziełem poety-realisty, który umie w porę zatrzymać swój zapał. Dramat żywiołów odbywa się na płaskim wybrzeżu. Pierwszy bałwan rozlał się po szerokim brzegu i wracając osłabił siłę drugiego, który musiał się przez niego przebić. Potém przyszedł trzeci porwał dwa pierwsze, uderzył o brzeg i z taką siłą cofnął się w tył, że wstrzymał następny w biegu i złączywszy się z nim podniósł go do góry wygiętą linią i stanął. Courbet schwycił tę chwilę wygięcia się bałwanu i dla tego takie wrażenie robi obrazem, bo widz czuje z jaką siłą ta ciężka masa zwali się na brzeg i wyjącym jękiem napełni powietrze. Kto zna morza Flamandów, Gudina, Calame'a, Wahlberga, ten zrozumie od razu wyższość pomysłów Courbeta. Tamtych zachwycała piana rozbitéj fali, różnice kolorów, wysokość wyrzuconéj do góry wody,

kiedy Courbeta porwała za sobą siła téj wody, wyrażająca się za pomocą skręcenia bałwanu i zatrzymania w górze. Znakomity malarz nie pozwolił się wodzie zapienić, nie pozwolił rozbić się z hukiem w tysiące białych wodotrysków o brzeg, bo go od tego poczucie prawdy wstrzymało, bo w chwili uderzenia roztrącone bałwanem powietrze wyje, bo słychać tyle strasznych w téj chwili głosów, że nie ma sztuki, któraby to oddać naprawdę mogła, a tém mniéj malarstwo. Widz rozumie, że jeżeli ta woda się zwali na brzeg, powietrze zadrży rykiem; ale w tém położeniu jak obecne, cisza panuje w rozhukanej naturze, cisza krótka lecz straszna jak chwila, kiedy rozbestwiony w walce człowiek zaparł powietrze w piersiach, aby rzucić się z tém większą zajadłością, zapamiętalszym krzykiem na przeciwnika. Courbet umie malować i wié co malować, co z natury wybrać, aby robiła wrażenie, krytyka zarzuca mu brak rysunku, ale on go tyle posiada, ile mu potrzeba do wyrażenia ruchu, scharakteryzowania siły i postawienia figury w przestrzeni. O resztę nie dba, bo mu na nic nie przydałaby się przy takich motywach do obrazów. Zarzucają mu tendencyjność w sztuce. Prawda. Ale tendencya wypływa z jego obrazów, nie zaś obrazy wplątane są w tendencyą. On odczuwał tylko okropne sceny w naturze i tylko człowieka w upadku sił fizycznych i moralnych, więc to malował, bo to go bolało. A jakie kto wnioski estetyczne, lub socyologiczne z obrazu wyciągnie, jemu już było obojętném. Courbet jako malarz jest tém, czém Zola jako powieściopisarz. Jeden i drugi nie malowali ideałów szczęśliwéj ludzkości, ale rozpaczliwe stosunki upadłych lub skazanych na nędzę jednostek do siebie i do całego społeczeństwa. Jeżeli więc nie nadszedł czas, w którym trzeba porzucić idealizowanie społecznéj machiny, to niech przynajmniéj wolno będzie pewnym talentom czuć rany, toczące społeczeństwo i przelać w formy sztuki swoje cierpienie, kiedy ono je do takiego a nie innego tworzenia zmusza. Sztuka nie ma obowiązku moralizowania, ale charakteryzowania obyczajów. Jeżeli więc w społeczeństwie są strony niemoralne, sztuka musi je albo odtwarzać, albo pomijać milczeniem, którą z tych dwóch alternatyw artysta wybierze, jest to rzeczą jego upodobań, temperamentu i stopnia odczuwania złych stron życia. Za to go przecież karcić nie można.

Robienie Coubertowi zarzutu z powodu przedmiotu jego obrazów, ma tę samę racyą, co pytanie się Regnaulta, dla czego malował *marszałka Prima*, nie królowę Izabellę, dlaczego wystawił *egzekucyą bez sądu za panowania maurów w Grenadzie*, nie zaś ścięcie Ludwika, lub dla czego interesował się *wnętrzem haremu*, nie salonem dzisiejszym. Regnault był malarzem siły i koloru. To go porywało,

to mu imponowało, więc to robił. Czuł siłę konia, czuł wielkość chwili radującego się ludu, czuł barwność kostiumów hiszpańskich, więc to zaklął w obrazie, bo to było dla niego pięknem. Obraz robi wrażenie i to wrażenie siły. Ten koń zatrzymany w pędzie, który się zarył kopytami w ziemię, ten lud różnobarwny, który wrzeszczy okrzyki chwały dla marszałka rzeczypospolitéj, to falowanie tych głów przeciwstawione spokojowi na twarzy Prima każą zapominać o konwencyonalnie burzliwém niebie, o braku powietrza, i zatrzymują widza poezyą siły w rysunku i prawdy w kolorze konia. Regnault jako zawcześnie zgasła ofiara pruskiego najazdu, nie był jeszcze malarzem skończonym w technice. Poezyą swoją obleka w taką formę, która nie zawsze dobrze ją wyrażała; kończył takie szczegóły w obrazie, które skończeniem przykrywały myśl główną, a pomijał istotnie pomocnicze, któreby podniosły wrażenie. Kończył arabeski na obiciu ścian maurytańskiéj komnaty o różowym kolorze, a nie kończył schodów, po których stacza się głowa araba i zaskrzepiająca krwią znaczy na niéj karminowe plamy. Oko widza pierwéj spostrzega pokój, a późniéj ludzi i ich dramatyczny do siebie stosunek. Talent jednak wszystko zwycięża i nawet przez błędy wydostaje się na wierzch. Po kilku chwilach patrzenia na to ogromne, różowe płótno, bez katalogu widzimy treść obrazu, bo ona napisana na twarzach aktorów, wyrażona ruchem ich ciał, ale nie podpisem na ramie. Na początku schodów stoi wysoki Arab, prosty, spokojny, poważny i bez najmniejszego wzruszenia na twarzy. Z krwi obciera koniec swojego miecza połą płaszcza i straszny swoim indyferentyzmem patrzy na dół schodów. Tam leży głowa *skazanego bez sądu*. Przez oczy, bielmem śmierci pokryta, rzuca się chęć zemsty, na wykonawcę wyroku ale jéj rąk już nie staje. Te leżą wyżéj, nad tułowiem krew broczącym, wygięte konwulsyjnym ruchem dla obrony, zemsty lub z bólu. Wszystko skończone: w czterech ścianach zapanowała cisza śmierci, która przeraża cywilizowanego widza nie trupem, nie odcięciem głowy od tułowia, nie krwią krzepnącą na schodach, ale stosunkiem tych dwóch ludzi do siebie, wyrazem bezwrażeniowości na twarzy kata czy mordercy przeciwstawionéj bezsilnemu już uczuciu zemsty i przerażenia w oczach ofiary. Regnault żył w Algierze, czuł naturę Arabów, znał ją aż do dna i dlatego wyraził prawdziwie w obrazie, chociaż myślą cofnął się o kilka wieków w tył. Ale w obrazie jego przedewszystkiém jest dramat, jest czyn, który równie dobrze może się zdarzyć pomiędzy dzisiejszymi Arabami, jak i za czasów Maurów w Grenadzie, który Regnault mógł widzieć i odczuć nie potrzebując komponować wyrazów. Dla tego też w obrazie jego nie ma teatru, nie ma aktorów

grających dobrze swoje role, ale są ludzie prawdziwie czujący i działający, chociaż postawieni w komnacie dziś już nie istniejącéj i odziani w stroje wydobyte z muzeów. Regnault skomponował obraz, to jest połączył liniami pojedyncze indywidua i rzeczy w jedną całość, ale głowę odciętą musiał widzieć, tak samo jak tułów tak pokurczony, jak Araba z takim wschodnim spokojem ocierającego miecz z krwi ofiary, bo inaczéj nie mógłby odczuć grozy takiéj sceny, ani tém samém oddać jéj z taką siłą i prawdą.

Gdzie tylko nerwy artysty nie były podrażnione rzeczywistą podnietą, gdzie on wszystko komponuje z głowy, z pewną intencyą z góry obmyślaną, tam od razu widać nieszczerość, chłód w wyrazach i pozowanie. J. P. Laurens jest olbrzymim talentem. Maluje dramata historyczne i sceny biblijne. Obrazy jego pierwszéj treści są potężne lub teatralne, a drugiéj śmieszne. W pierwszych odtwarza ludzi dzisiejszych, którym daje strój historyczny i portretowane twarze z wyrazem pewnych uczuć, który widział i widzi na około siebie. W drugich komponuje figury, twarze, wyrazy i ruch, ale w nic nie wierzy, bo ich nie zna. Katolicy oburzają się na niego, że jest antireligijny, a krytycy, że jest fałszywy. Wróćmy do pierwszych. Laurens jest potężny w *Interdykcie*, *Wyklęciu Roberta Pobożnego* i *Sztabie austryjackim przy zwłokach Marceau*.

Interdykt. W katalogu pomieszczono następujący wyjątek z kroniki XI-go wieku: „Cóż za straszne, okropne widowisko we wszystkich miastach! Bramy kościołów zamknięte, wstęp do nich wzbroniony chrześcijanom tak samo jak psom, nabożeństwa zawieszone, dawanie sakramentów przerwane, lud nie przychodził już więcéj na święte uroczystości, trupy pozbawione chrześciańskiego pogrzebu zanieczyszczały powietrze, a ich okropny widok przerażał umysły żyjących...“ Wszystko to jest w obrazie, który mówi wyrazy kroniki i tyle co ona ani mniéj ani więcéj. Cały ten ustęp nie był potrzebnym. Bez niego każdy widz, nie znający kroniki, ani historyi walki kościoła z państwem, będzie wiedział od razu co obraz znaczy. Artysta to wszystko widział w osiem wieków późniéj i złączył w całość jaką mu podyktowała jego artystyczna wyobraźnia. Front kościoła romańskiego, kawałek muru ogradzającego cmentarz, zeschłe gałęzie, pokryte czarnym kirem i zawalające drzwi kościoła, po prawéj stronie cmentarza trup mężczyzny, po lewéj kobiéty. Widok straszny! długo nie można patrzéć na obraz, bo jakieś rozpaczne myśli przychodzą do głowy. Nigdy takt artystyczny nie przemówił dobitniéj o panowaniu nad efektami, jak u tego młodego malarza. Wszystko w obrazie jest namalowane skromnie, bez przesady, naturalnie i naturalistycznie. Trupy *zanieczyszczające powietrze*, przy-

kryte czarnym suknem, przez które widać ręce złożone na krzyż, zamknięty kościół, gałęzie zawalające drzwi i wszystko co Laurens tam namalował, osobno nie przeraża, choćby było jeszcze prawdziwiéj namalowane. Czémże więc obraz robi wrażenie? Prawdą. Ta scena tak musiała wyglądać w rzeczywistości i nie może być inaczéj namalowaną, bo byłaby albo wstrętną, albo deklamatorską.

Jeszcze trudniejsze zadanie postawił sobie artysta w *Wyklęciu*, bo tam żywi ludzie wchodzą. Na tronie drewnianym siedzi Robert w koronie, w królewskim płaszczu i ponuro patrzy przed siebie. Do niego tuli się omdlałym ruchem młoda kobiéta. Z boku sali w wielkich drzwiach widać tyły biskupów, wychodzących ze spuszczonemi głowami. Na środku sali stoi ogromny lichtarz, z którego spadła woskowa świéca i dopala się na ziemi. W katalogu napisano: „Król Francyi Robert poślubił swoją krewną; małżonkowie za tę zbrodnię zostali wyklęci przez biskupów.“ Jest to obraz historyczny. Gdyby nie katalog, długo trzebaby się przypatrywać, aby zrozumiéć scenę. Obraz jednak robi wrażenie, bo król jest prawdziwy w wyrazie tego złamania ducha, bo siedzi spokojnie jak człowiek, któremu nieszczęście odjęło siły i zachmurzyło czoło, bo królowa jest kobiétą, która ciałem tuli się do męża a dzikim wzrokiem ściga sprawców swojego strasznego losu, bo artysta usunął z sali wszystko aby ją rozszerzyć i pokazać tych ludzi samych, przygnębionych i bezsilnych w obec niewzruszonego prawa, którego stróże obojętnie oddalają się z miejsca nieszczęścia. Obraz bardzo pięknie skomponowany. Kolor żywy i silny, ale rysunek nie dosyć staranny. Laurens jest tu więcéj poetą niż malarzem. Figury nie wychodzą dość plastycznie z tła szaréj sali i nie posiadają tyle precyzyi co w *sztabie nad zwłokami Marceau*. Wszystkie zalety, jakiemi rozporządza Laurens, widnieją w całéj pełni w tym trzecim obrazie, w tych kilkunastu portretowanych twarzach sztabowych oficerów, oddających hołd walecznemu generałowi na śmiertelném łożu. Szczegóły i akcesorya namalowane z prawdą realną. Żelaza, srebra, materye i sukna mundurów są arcydziełem martwéj natury, ale trzeba im się przyjrzyć, trzeba je zauważyć, bo artysta nie robił ich na efekt. Motywem obrazu jest smutek i smutek ten widać od razu. Nic go nie przykrywa; owszem wszystko podnosi.

W innych obrazach historycznych Laurens jest wybornym malarzem, ale nie czującym głęboko artystą. *Franciszek Borgia przy trumnie Izabelli Portugalskiéj* pozuje na człowieka zamyślonego, zdejmuje czapkę z głowy jak aktor Teatru Francuskiego, w którym zachowały się tradycye pathosu w grze i deklamacyi. Ten sam brak prawdy i siły widać w papieżu Formozusie, który kazał exhumować

Stefana VII-go posadzić trupa na tronie papieskim i bronić mu się przez adwokata na pytanie: „Dla czego, biskupie z Porto, twoja ambicya wzniosła się aż do tronu Rzymskiego?“ Na nic się nie przydała prawda w namalowaniu trupa, na nic adwokat stojący poważnie przy tronie; obraz jest nie szczery. Papież Formosus deklamuje, kardynałowie pozują.

W biblijnych obrazach Laurens jest słaby. *Chrystus wypędzony z synagogi* skacze przez próg jak baletnik. Nie ma w nim ani Boga ani człowieka. Dewotki się oburzają, a znawcy śmieją. Laurens téj sceny nie widział w rzeczywistości. Podrażnione nerwy nie zmusiły go do malowania, skomponował więc obraz na zimno. Bez dostatecznych podniet zewnętrznych, można stworzyć obraz kuchni, do którój po kolei znoszą rondle, miski, talerze, rożny, zające, kuropatwy i t. d., gdzie pojedyncze przedmioty stanowią wszystko, ale scenę z historyi, z życia trzeba czuć, więc widziéć, więc wierzyć, bo inaczéj będzie konwencyonalna, albo przesadzona, albo téż śmieszna.

Bonnat malował także Chrystusa. Jest to Chrystus inny jak wszyscy, których dotąd widzieliśmy i jak go sobie wyobrażamy. Na nieprawdziwym w kolorze krajobrazie stoi krzyż drewniany, prawdziwy. Na krzyżu wisi ciało trupa w rozkładzie, pod którego skórą płynie krew wzburzona, wydymająca najmniejsze żyły. Za paznogciami u nóg widać brud pyłu ziemnego. Twarz bez wyrazu. Jest to urąganie z idealistów i ośmieszanie realizmu. Jedna z naszych znanych korespondentek powiedziała: „Tak, ale ten Chrystus nie zmartwychwstanie!“ Nie ma wątpliwości, bo taki Chrystus nigdy się nie urodził, więc i umrzeć nie może. W ciele trupa krew nie płynie. Bonnat chciał nie być konwencyonalnym; ale to za mało na artystę i to na artystę tak sławnego, jak nim jest Bonnat we Francyi. Ten malarz dziwnego Chrystusa, alegorycznych obrazów i setek portretów jest ulubieńcem kobiét. Skupia on w sobie wszystkie cechy malarstwa, wprowadzającego płeć piękną w zachwyt. Maluje kobiéty w całéj postaci, ubiéra je w ciężkie aksamitne suknie, złotem zdobi szyje i fryzyjerskiemi maskami pokrywa twarze. Jest to typ dzisiejszego portrecisty. Wszyscy jego ludzie są ładni, wygładzeni na twarzach, z uśmieszkiem na ustach i szklannèm niebem w oczach. Brak wyrazu, brak indywidualności w głowach i brak indywidualizmu samego artysty. Ani charakteru, ani temperamentu, ani wieku, ani cech warstw społecznych, do jakich portretowana osoba należy, nie dopatrzysz w portretach Bonnata. Wyjątek stanowi portret Thiers'a.

Nie lepszym jest Col, specyalista do portretów kobiét. Ta

sama słodycz, niezdecydowanie charakteru w portretowanych i brak malarsko-artystycznych zalet. Być może, że portrety są podobne, ale nie są dziełem sztuki, dziełem, któreby mogło zainteresować kogośkolwiek więcéj niż portretowanych. Wyżéj od dwóch poprzednich stoi trzech malarzy: Carolus Duran, Giacomotti i Dubois. Z portretów Velasquez, kilku mniéj znanych włoskich malarzy i Van Dyck tyle zrobili, że dziś żaden malarz dorównać im nie może. Ci ludzie tak umieli czytać w twarzach, tyle cech widzieli w każdém indywiduum, tak wysoko cenili tę najpiękniejszą część ciała człowieka, tak czuli wyraz każdéj twarzy, że każdy ich portret mówi o wartości i przymiotach portretowanych osób i o rodzaju talentu tych mistrzów. Dla Van Dycka ubiór tło i ozdoby były rzeczami zupełnie podrzędnemi. Jedna i ta sama suknia dla kobiéty, jeden i ten sam strój dla mężczyzny. On tylko namalował głowę, i jego głowy są arcydziełami. Dzisiejsi malarze są doskonałemi modniarkami, znają najgłębsze tajemnice nie tylko stroju, ale i miąższości materyi, malują w kostiumach wszelkich wieków i wszelkich kolorów, ale portret ich nie jest ani obrazem, ani portretem. Nie ma w nich koloru, nie ma rysunku, nie ma wyrazów twarzy, nie ma głowy. Każda kobiéta jest kokietką wymalowaną kolorowemi mastyksami, każdy mężczyzna fryzyerską lalką. Duran nie wydostaje dosyć prawdy z natury, Giacomotti manieruje rysunek i kręci go niepotrzebnie a Dubois stara się być skromnym. Najwyższym jednak jest Dubois, bo daje plastykę głowy i chociaż nie maluje śmiało, wydobywa z twarzy wyraz. „Moje dzieci“ są najznakomitszym portretem na Wystawie. Bystry znawca natury człowieka może zrobić psychologiczne wnioski z wyrazów twarzy tych dzieci. Dubois maluje tylko głowy. Tułów, ubranie i ozdoby są pobieżne jak u Van Dycka, chociaż Van Dycka w nich nie czuć. Jeden z najlepszych dzisiejszych rzeźbiarzy, jest najlepszym portrecistą. Łatwo zrozumieć; podstawą rzeźby jest rysunek, a rysunek daje wyraz i siłę w obrazie. Dubois więc ma te wszystkie zalety, bo jest rzeźbiarzem. Bezsprzecznie jednakże najbardziéj utalentowanym portrecistą, jest Rodakowski, ale jego portretów nie ma na Wystawie.

Najwyżéj ze wszystkich rodzajów malarstwa stoi we Francyi krajobraz. W tym kierunku są mistrzami niedościgłymi przez żaden naród. Nazwiska Poussin'a i Rousseau'a należą już do historyi, ale po nich nastąpiła cała plejada, malarzy krajobrazów, które oślepiają widza poezyą natury. Najoryginalniejszym jest Corot. Drzewa jego są narysowane, a kolor namalowany; tymczasem nie ma w nich konturów, a kolor nie jest moderowany. Drzewa nigdy nie

stoją spokojnie, liście nie wiszą twardo na gałęziach, tylko robią wrażenie chwiejącego się ruchu, choć wiatru nie czuć w krajobrazie. Kto widział jeden krajobraz Corot'a nie potrzebuje oglądać innych. Ani pora dnia, lub nocy, ani inny motyw, nie wpływają na zmianę charakteru malowania. Zawsze ta sama poezya ruchu powietrza, zawsze te same liście bez konturów, zawsze to samo życie jakiéjś natury powiewnéj, przejrzystéj, majaczącéj, może nawet choréj na drżączkę. Podobny do niego zewnętrznie Henner, jest już stanowczo chory w swoich obrazach. U Corota liście bez konturów, dają wrażenie liści; u Hennera są tylko plamy kolorów w krajobrazie i cieliste miejsca zamiast ciała człowieka. To co u Corota jest poezyą, u Hennera manierą i naciąganém marzeniem o lasach w zmroku i nagich kobiétach kąpiących się w rosie wieczornéj. Segé maluje olbrzymie przestrzenie. Jego *ściernisko* nigdy się nie kończy, a powietrze tyle ma świeżości blado rozbrzaskującego się poranka, że człowiek mimowolnie otwiéra usta, aby wciągnąć w siebie choć trochę z tych mas powietrznych, których artysta tyle wpuścił za płótno. Harpignies i Yon nie niżéj stoją od poprzedniego, chociaż ich natura w krajobrazach ma coś sztucznego w sobie. Ostatniém słowem krajobrazu, są arcydzieła Daubigny'ego. Tamci są poetami z natury i trochę swojéj oryginalnéj poezyi kładą w krajobraz. Daubigny bierze poezyą z natury saméj i niezmienioną przelewa na płótno. Sposób jego malowania jest dekoracyjnym; na kilka kroków dopiéro jego krajobrazy są arcydziełami, z blizka widać tylko szerokie plamy farb. Ale te farby, to miliony kwiatów na drzewach, to księżyc zaspany jeszcze i nie świecący przy wschodzie, to brzegi olbrzymich lasów, to pola faliste, na których człowiek ręką i pługiem napisał poemat swéj pracy. Wszyscy znamy te krajobrazy. Nigdy z ust widza nie wyrwie się wykrzyk zachwytu: „Ah! jak on to pięknie skomponował“, ale każdy przyzna się do swojéj mało poetycznéj natury, która go nie zaprowadziła w to samo miejsce, z jakiego Daubigny malował swój krajobraz. Wszyscy znamy te krajobrazy, tę łąkę zieloną, potem pasek żółtawych ziół, które się kąpią w promieniach słońca w jedném miejscu wyglądającego przez chmurę, potém te krzywe linie gór zamąconych błękitném powietrzem, ale nie widzieliśmy ich z tego punktu, w którym stanął wielki poeta pól. Co najważniejsza jednak, widzieliśmy u malarzy wyborne nieba, które powietrzną ścianą służyły za tło obrazom, widzieliśmy w naturze tę masę niebieskiego powietrza kulistą powierzchnią skłaniającego się ku ziemi na jéj krańcach, ale dopiéro u Daubigny'ego widzimy, że to niebo nie jest płaską ścianą, wypełniającą tył obrazu, ale istotnie powietrzną masą, wygiętą, zwieszoną nad na-

szemi głowami i schylającą się po łuku ku ziemi. Takich krajobrazów jak Daubigny'ego, żaden naród nie przedstawił! Ale bo téż nigdzie dotąd nie ma malarzy, którzyby natury nie upiększali. Jedni tylko Francuzi kochają ją taką, jaką ona jest, i zamykają w ramach bez przymieszki teoretycznych uprzedzeń.

Jak Daubigny jest najpoetyczniejszym malarzem krajobrazu, prawdziwie pięknéj natury, tak Neuville jest olbrzymim malarzem wojny, strasznego wyrazu bohatérstwa i zezwierzęcenia się człowieka. *Ostatni ładunek* i *bitwa w Bourget* charakteryzują najwyraźniéj talent Neuville'a i jego artyzm. Jedna i ta sama wojna wydała tak różnych malarzy, jak różne są te dwa narody nieprzyjacielskie. Niemcy zwyciężyli systematem i masą w wojnie. Wszystko było obrachowane z góry, chłodno i na pewno; wszystko się stało w myśl obliczeń. Ale cnoty feldmarszałka nie są cnotami malarza. Tymczasem Niemcy wydali całą plejadę malarzy, którzy malują bitwy tak jak gdyby byli feldmarszałkami. Obrazy ich są bitwami w pokoju, na którego ścianach wiszą kolorowane strategiczne plany z rzekami, górami, żołnierzami strzelającemi do nieprzyjaciela z papiérowych karabinów i z masą armat znaczonych pieczątką Kruppa. Na środku na drewnianych różnokolorowych koniach stoi sztab główny i przypatruje się bitwie. Począwszy od pułkowników wszyscy portretowani aż do króla i książąt. Lud z rozkoszą rozpoznaje twarze bohaterów, a zabłąkany do galeryi żołnierz, opowiada że i on był w téj bitwie, ale tam za górą, gdzie się bili, bo tutaj to tylko pewno namalowana próba generalna. Malarze niemieccy są panegirystami. Można się z nimi sprzeczać o zdolności oficerów, ale nigdy o wartość obrazu, bo obraz nie nastręcza materyału do uwag krytycznych. Każde miasto, każdy pułk posiada konterfekt swojego bohatérstwa, każde muzeum ma po kilka obrazów bitew, ale kraj nie ma ani jednego malarza. Wszyscy razem, postawieni na szali nie mogliby zważyć jednego Neuville'a. Oto malarz, który wie gdzie bitwę obserwować, aby ją przenieść na płótno. Weźmy *Bourget*. Tam już wszystko skończone; ludzie się nie biją, armaty odjeżdżają, żołnierze trzymają broń do nogi, połamane karabiny zwalone na kupę. Jedynym wyraźnym znakiem, i działającym jeszcze, jest palący się dach domu. Gdzież więc bitwy szukać? W ugrupowaniu żołnierzy i ich wyrazach. Każda twarz, studyowana z natury, jest typem, każde ciało w ruchu, każdy wyraz prawdziwy, a stosunek tych wyrazów u zwycięzców do wyrazów u zwyciężonych straszny. Neuville zna lepiéj typy Niemców, niż oni sami, zna ich naturę, zna charakter bitwy i umie malować. Nigdy siła rysunku nie wydała mi się tak potężną jak u niego i nigdy plastyka tak zdumiewającą. *Bitwa*

w Bourget jest najlepszém określeniem sztuki. Gdyby ci ludzie, których Neuville wziął jako typy, ugrupowali się według tych linij, te same uczucia wyrażali na twarzach i z taką samą swobodą nieświadomą okazywali swoję naturę zezwierzęconą w bitwie, wtedy możnaby ich odfotografować i fotografią zastąpić obraz.

Ale natura nie ułoży się sama w ten sposób, aby każdy jéj szczegół służył do podniesienia i wyrażenia pewnéj myśli, pewnego uczucia; potrzeba więc artysty, któryby nietylko umiał fotografować prawdę téj natury, ale któryby wiedział co z niéj wziąć, z jakiéj strony na nią patrzyć i gdzie postawić żywe a gdzie martwe przedmioty, aby obraz oprócz wrażenia prawdy, dawał wrażenie silnie scharakteryzowanego uczucia, jakie artysta chciał wydostać z danéj sceny. Takim artystą bezzaprzeczenia jest Neuville, a jego bitwa w *Bourget* arcydziełem charakteru, siły i prawdy. Wobec niego Protais jest tylko sztywnym i zimnym opowiadaczem żołnierskich scen, a Detaille fotografem koni i ludzi, stojących w pracowni malarza.

Całe setki francuskich artystów wymagałyby szczegółowego zastanowienia się nad ich pracami, ale brak miejsca nie pozwala mi na to. Ogólnie biorąc stanowią oni trzy niejako kategorye, trzy kierunki, dość wyraźnie różniące się od siebie, a mianowicie: malarzy starych wiekiem upiększających naturę i znikających powoli z widowni sztuki, malarzy naturalistów, których czoło pomieściłem na początku, i malarzy obrzydliwości dla obrzydliwości, którzy nie mając dość poczucia piękna w naturze choćby nawet strasznéj, nie tylko nie wydostają z niéj poezyi, ale ją obdzierają jeszcze z wszelkiego uroku. Są to reakcyoniści przeciw reakcyonistom z początku naszego wieku, którzy poszli daléj aniżeli było potrzeba.

Artyści Polscy.

Z naszymi malarzami za granicą mało kto się liczy, mało kto się nimi interesuje. Nikogo to dziwić nie powinno, bo o ile umiemy sami sobie podkadzać dymkiem sławy w domu, o tyle nie wiele troszczymy się o nasze interesa na szerszém polu. Umiemy upominać się o pewne uchybienia i zapomnienia krytyków zagranicznych odnośnie do naszéj sztuki, a nie pamiętamy ani chwili, że zagraniczni naszych dzienników nie czytają, a choćby czytali, że gołe słowa nie wystarczą dla nich. Właściwie mówiąc, nie wiele nas to obcho-

dzić powinno, co zagranicą mówią o naszych artystach, ale jeżeli już nam tak chodzi o sławę, czemuż nie dowiedziemy czynem, że ich mamy. Czyż na Wystawie nie powinno było więcéj artystów pokazać swe prace, czyż nie można było zaimponować zagranicy liczbą obrazów? Nie zrobiliśmy tego, bo... bo nam się nie chciało dołożyć starań, lub przysporzyć kosztów. Kilka tych arcydzieł, wiszących na ścianach galeryj różnych krajów, jest zaledwie dostrzedz się dającym pyłkiem w morzu obrazów. Krytycy, najuczciwsi nawet, nie wiedzą o obrazach polskich malarzy, bo trzebaby specyalnie im się poświęcić i szukać pomiędzy tysiącami. Czyż nie należało, w razie trudności nie podobnych do zwalczenia, urządzić małéj wystawy młodych malarzy po za Wielką Wystawą? Trochę pieniędzy i dobréj woli dałoby nam możność konkurowania bez nagród wprawdzie ale ze skutkiem, bo nasze malarstwo nie jest bynajmniéj niższe od malarstwa innych krajów, a nawet w wielu razach stanowczo wyższe. Nie ma jeszcze nic straconego. Byle się tylko znalazł człowiek dobréj woli, a z łatwością może urządzić czasową Wystawę polskich malarzy w Wiedniu, Berlinie, Paryżu, Londynie i innych miastach. Zyski ztąd podwójne! Jedne dla przedsiębiorców, a drugie dla artystów samych, którzy raz zareklamowani za granicą łatwiéj znajdowaliby nabywców i nie potrzebowaliby tak biednemi środkami materyalnemi rozporządzać jak dotąd, z uszczerbkiem dla sztuki. Niektórzy artyści francuzcy, angielscy i hiszpańscy wystawili po kilkanaście obrazów, kiedy nasi nie wiem czy wszycy razem przysłali dwadzieścia, a z tych tylko obrazy Matejki uważane są za polskie.

Nic dziwnego, bo one wielkim głosem krzyczą o swojéj odrębności i przeciwstawiają się zalewającym je masom. Matejko wystawił cztery obrazy: sejm lubelski, wciąganie dzwonu za Zygmunta, hrabiego Wilczka i Kochanowskiego nad zwłokami Urszulki. Największe znaczenie ma sejm Lubelski i największy téż interes budził na Wystawie. W całéj Galeryi Węgiersko-Austryackiéj trzech tylko malarzy zwracało uwagę. Makart, Matejko i Munkaczy. Makart wielkością płótna, Matejko wyrazami twarzy, a Munkaczy wspaniałym realiznem. Wszyscy trzéj dostali jednakowe nagrody, jak gdyby wszyscy talentem i umiejętnością użycia tego talentu byli sobie równi. *Wjazd Karola V do Antwerpii* Makarta jest farsą, któréj krytyka nie właściwe stawiała zarzuty. Makart w całéj swojéj działalności artystycznéj jest naśladowcą i to słabym naśladowcą weneckich mistrzów, a we *wjeździe Karola* stanął niżéj krytyki. Nie pojmuję jak można na seryo pytać się artysty dlaczego nagie kobiety namalował w obrazie historycznym, kiedy w rzeczywitości fakt po-

dobny nie istniał? Jak można używać kronik do skrytykowania pomysłu, kiedy obraz nietylko jako pomysł, ale jako wykonanie malarskie jest nawskróś fałszywy i bez wartości artystycznéj. Makart jest dekoratorem. Obrazy jego w teatrze, z pewnego oddalenia, przy pewném oświetleniu mogą być wyborne, ale jako obrazy skończone są szerokich rozmiarów miernością. Żadne ciało nienamalowane, żadna głowa nie modeluje się w przestrzeni, żaden koń nie jest prawdziwy, żadna twarz nie ma wyrazu. Wszystkie kobiéty do siebie podobne, jak lalki porcelanowe z jednéj fabryki, uśmiechnięte i śmieszne; konie, mniejsza że koloru łupinek kakao, ale bez kości i mięsa pod tą skórą wyprawną na safian; perspektywa linijna ledwie znośna, a powietrznéj nie ma wcale. Słowem, jest to wielki dywan kolorowy, wyborny jako dywan, ale jako obraz historyczny nie ma najkorzystniejszych zalet, bez których dziś już malować nie można. Makart dostał nagrodę. Zgoda! Ale w takim razie Matejce nie należało dawać żadnéj, bo on nie może się równać z Makartem. Prawda, że w *sejmie* kolor wskutek czasu pobladł, że kolory lokalne nie są zharmonizowane z ogólnym tonem obrazu, że w sali sejmowéj za wielka przewaga błękitnéj farby jak na tak małe oddalenie, że cały obraz nie mówi jednéj myśli, nie wyraża charakteru pewnéj wielkiéj chwili, bo nie jest dramatem, ale za to przedstawia kilkadziesiąt indywiduów, z których każde czuje, myśli i mówi. Każda głowa skończona, żywa i naznaczona wyrazem. W każdéj z nich czytać można nie tylko uczucie, z jakiem dany poseł przystępował do tego aktu, ale jego temperament i historyą jego życia. Znamy aż nadto dobrze te wielkie zalety naszego mistrza, aby je potrzeba było tu powtarzać. We wszystkich obrazach te same z coraz większą występujące siłą. Czuć tu odrazu malarza historyi, który dziś jeden ze wszystkich umie historyą malować. Munkaczy jest znakomitym malarzem. Jego postacie wychodzą z obrazu plastycznie, w układzie figur ruch i życie, w kolorze ciał prawda, lecz jego *Milton dyktujący córce Raj utracony* robi wrażenie wybornego obrazu, ale nie sceny z dawnych czasów Żaden więc z malarzy historycznych nie może się równać z Matejką, który dla tego tylko ich nie pobija na Wystawie, że maluje historyą polską, a téj historyi ani publiczność zagraniczna, ani krytycy nie znają.

Niemcy wystawiły jeden tylko obraz dobry, bez zarzutu, to jest *Polowanie par force* Maxa Gierymskiego. Obrazy Maxa Gierymskiego za olbrzymie ceny rozeszły się po Anglii i Niemczech, my posiadamy, ich zaledwie kilka i nie wiele szczycimy się największym naszym malarzem-poetą. *Polowanie par force,* jakkolwiek nie jest jednèm

z największych arcydzieł Gierymskiego, jednakże bez zestawienia z innemi można je śmiało nazwać arcydziełem krajobrazu. Nic tu nie ma zrobionego. Wszystko jest prawdziwe, jak gdyby na tym kawałku płótna natura sama przyszła się spowiadać ze swojéj poezyi. Słychać tentent tych ciężkich koni, kiwających się pod pachnącymi jeźdzcami z warkoczowéj epoki. Każdy koń ma inny wyraz w oczach, każdy jeździec pomimo jednakowego stroju, inny charakter, każde drzewo inny rysunek, a wszystko razem jednolite i zharmonizowane. Rysunek prosty, nie zmanierowany, a kolor prawdziwy. Gierymski jest poetą realnym, ale tak cienko, tak delikatnie snującym nitkę uczucia, że jego obrazy porwać mogą tylko ludzi wysokiego smaku i nerwów czułych na najlżejsze podniety. Młodzi nasi artyści z uwielbieniem wspominają nazwisko Gierymskiego, bo on ich uczył malować, on im wskazał drogę po jakiéj iść trzeba, aby nie zabłąkać się w tym lesie sztuki, on im powiedział prawdę, która nie jest ani nową, ani starą, prawdę wieczną, że w tym lesie oryentować się trzeba jedną tylko gwiazdą—poczuciem natury. Dość jest tylko w obrazie zrobić to co jest w naturze, a obraz będzie arcydziełem. Cokolwiek bądź Gierymski malował, krajobraz, ludzi, konie, sielankowe czy krwawe sceny, wszędzie jest wielkim malarzem i szczerym poetą, bo od natury uczył się malować i czuł piękno téj natury. Z czasem, kiedy dojrzejemy w ocenianiu naszéj sztuki narodowéj, kiedy nauczémy się odróżniać brylanty poezyi od fałszywych kamieni sztucznego, szamocącego się z wrzaskiem uczucia, wtedy Gierymskiemu postawimy pomnik, który nam przyniesie chwałę. Dziś to jeszcze nie możliwe. Jesteśmy zalani ze wszystkich stron rozwieszaniem wstrętnych szmat życia dla ich wstrętu. Nie można za to rzucać gromów oburzenia na artystów. Oni temu nie winni, ale otoczenie, które ich zmusza do tego. Winno temu polityczno-socyalne życie, dążące do pochłonienia jednostki w masie, winni temu reakcyjoniści z początku XIX-go wieku, którzy zabili artyzm dla politycznych idei w sztuce. Długo kipiące pod żelazną pokrywą ucisku życie wybuchło od razu i wylało się za brzegi. Gorętsze temperamenta o słabszych umysłach rzuciły się daleko, na oślep bez pamięci, a potężniejsze natury, mające dość siły do lotu i dość siły do zahamowania go, zostały na tym punkcie, w którym rewolucya burzy stare ale zarazem buduje nowe gmachy. Takim rewolucyonistą jest Max Gierymski, który zatknął nowy sztandar sztuki i postawił go przed oczami naszych młodych artystów i naszego społeczeństwa. Sztandar był dobry, bo na nim napisane były racyonalne pod-

stawy sztuki: natura, szczerość uczuć i swoboda myśli. Za nim poszli inni i dziś my, którzy nie mamy historyi sztuki, możemy rywalizować w sztuce z innemi narodami.

Drugim malarzem naszym w galeryi niemieckiéj jest Józef Brandt. *Pochód kozaków przez step* jest najbarwniejszym i najsilniéj rzucającym się w oczy obrazem.

Nie jest to bynajmniéj najlepszy obraz Brandta. Dużo w nim ruchu, dużo charakterystyki dzikiéj natury kozaków, ale konie nie są dość narysowane, a krajobraz nie daje wrażenia prawdy. Koń tylko pierwszy jest wyborny, bo ma charakter, siłę i pewność w ruchu, bo jest narysowany z wielkiém poczuciem natury. Ze skurczenia jego muskułów widać, że zapada w miękką ziemię łąki i z trudnością wyciąga z niéj nogi, aby daléj nieść atamana, który mu powierzył torowanie drogi po zarosłym stepie. W innych koniach brak rozmaitości charakterów. Wszystkie one pomimo różnic koloru skóry są jednakowe. Zdaje się, że znakomitemu malarzowi kozackiego życia więcéj chodziło o świecidełka, zawieszone na koniach, o grę barw na powietrzu, niżeli o typy. Ale w takim razie barwność ta nie jest naturalną. Najdziksze kolory w naturze doskonale się harmonizują z neutralnemi i nie wyrywają się naprzód, ani rozszarpują krajobrazu na jaskrawe i niejaskrawe plamy, lecz trzymając się jedne drugich siedzą w głębi i migoczą. W *kozakach* Brandta, brak właśnie téj prawdy i to jest jego wadą.

Jedynym dziś malarzem koni, jest Chełmoński, który w historyi malarstwa ma jednego tylko poprzednika w tym kierunku, Gericaulta, a pomiędzy dzisiejszymi malarzami żadnego współzawodnika. Mało talentów zarysowało swoję indywidualność wyraźniéj i śmieléj w sztuce jak Chełmoński. Urodził się od razu malarzem. Jego pierwszy obraz ma tyle zalet co i ostatni. Ta sama siła, ten sam charakter, to samo poczucie natury, ta sama prawda koloru we wszystkich. W późniejszych rysunek tylko jest pewniejszy, na czém siła i wyraz zyskują, ale zalety kolorysty i kompozytora zostały te same. Chełmoński od razu czuł naturę i to, co ona do niego mówiła, malował. Technika, jaką zdobył, pozwala mu na coraz śmielsze pomysły, ale nie wpływa na jego malarskie zalety, bo tym tylko natura sprostaćby mogła. Chełmoński maluje tylko chłopów i konie, i za pomocą tych dwóch czynników pokazuje całą swoję poetyczną naturę, umiejącą czuć piękno wiejskiego życia i siłę koni. Jego chłopi romansują, gadają, mądrzą, modlą się, tańczą i piją, a jego konie pędzą. Chełmoński w scenach z życia chłopskiego nie jest powieściopisarzem, który usuwa brutalne strony téj grubéj natury

z przed widza, aby mu pokazać, że i pod tą twardą od pracy piersią biją serca poetyczne, ale daje go takim jak on jest w rzeczywistości: grubiańskim i czułym, hardym i pokornym, zawziętym i ustępującym; jednem słowem, maluje go takim, jakim on jest w pracy i po za pracą, to jest grubym i poetycznym.

Ta znajomość chłopskiéj natury pozwala Chełmońskiemu na malowanie wszelkich scen sielankowych i humorystycznych, bez obawy wpadnięcia w sentymentalizm lub przesadę. Kiedy jego chłopi i dziéwki wiejskie modlą się, nikt nie powie, że nie szczerze, lub że artysta nie namalował ich prawdziwie, bo każda twarz ma swój charakter ogólnego typu chłopskiego i na każdéj z nich narysowany jest wyraz uczucia, z jakiém ten chłop lub dziéwka stoją przed Bogiem w kościele, przed wójtem w kancelaryi, przed panem we dworze, lub kieliszkiem w karczmie. Jego konie są arcydziełami koni w ruchu. Konie Wouvermana są doskonale narysowane i namalowane, ale te konie biedz nie mogą, bo ich nogi są sztywne i drewniane. Wouvermana obrazy nie przestają być jednak arcydziełami, jako pierwsze wyzwolenie się z ogólników i do naszych czasów prawie jedyne. Gerićault dopiéro (1824) we Francyi postawił w obrazie konia, który oprócz koloru i obrysowania ma siłę pędzić i piersiami rozbijać powietrze. Po nim wystąpił Michałowski, o którego obrazy wszystkie galerye świata dobijały się i licytowały pomiędzy sobą. Były to pierwsze konie w biegu szalonym, z powyciąganemi mięśniami i z wyrazem w oczach. Po nich następują bezpośrednio konie Chełmońskiego, który o tyle jest wyższy od Gericaulta, że jego krajobraz jest prawdziwszy i ma swój właściwy charakter. Często spotkać się można z zarzutem w naszéj prasie, że u Chełmońskiego czuć przesadę i uganianie się za oryginalnością. Taki zarzut postawić mogą tylko ludzie, którzy studyowali naturę na obrazach, nie zaś na niéj saméj. Naturalnie, przyglądając się przez całe życie koniom Verneta, Suchodolskiego lub Brodowskiego, nasza publiczność wyrobiła sobie pewne pojecie o koniu, który nigdy w naturze nie istniał, a tém mniéj chodził. Nagle zjawiają się przed jéj oczami dzikie bestye, które rozwścieklone biegiem wyciągają swoje mięśnie i kurczą je w sposób dotąd dla niéj niewidzialny. Zjawisko było tak niespodziewane i trafiło na grunt tak nieprzygotowany, że krzyki na Chełmońskiego łatwo dają się pojąć, tém bardziéj że Chełmoński rysował te części tylko ciała końskiego, które przy danym ruchu dla oka jasno się rysują w naturze, inne zaś pozostawiał umyślnie nie wykończone, bo inaczéj byłyby fałszywe. Jeszcze jeden szczegół, bardzo ważną rolę grający w obrazach Chełmońskiego, nie

pozwala widzom, nieprzyzwyczajonym do obserwacyi koni w naturze, wydać sądu słusznego i podnoszącego talent artysty. Chełmoński maluje konie w tak gwałtownych skróceniach, że nawet w spokoju zastanawiałyby długo widza swą niezwykłością, a cóż dopiéro przy takiéj sile pędzenia i rozhukania się po stepie. Ale to właśnie stanowi jedną z największych zalet malarza i stawia Chełmońskiego wyżéj od wszystkich artystów, którzy prawdopodobnie widzieli tak dobrze jak i on te ruchy, te skrócenia ciała, te wygięcia mięśni, ale nie mieli odwagi lub siły dostatecznéj w technice, aby je odtworzyć. Często w rysunku nóg czuć przesadę, która na pierwszy rzut oka razi, ale ta przesada jest koniecznością dla wydobycia wrażenia ruchu i nie może być użytą jako motyw do zarzutu.

W krajobrazie Chełmoński jest prawdziwy i poetyczny. Zakochane panny nigdy pewnie nie marzą o takim krajobrazie, a może nawet bałyby się jego dzikości, ale dla serc ukraińskich jest on arcydziełem, a dla koni Chełmońskiego koniecznością. Bez tych nienaznaczonych dróg, bez tych śniegów piętrzących się fantastycznie na stepie, bez tego krzyża stojącego samotnie w szczerém polu, takie konie rozhukane byłyby tylko końmi z pracowni. Dla nich potrzeba obszarów, bo one wyrosły na stepie i po stepie tylko biegać umieją. Zresztą cała ta natura nie okiełznana cywilizacyą, nie ujęta w grządki ogrodów zachodu, ma charakter swojski i polski, któremu można zarzucić brak kultury dziewiętnastego wieku, ale nigdy poetyczności. Chełmoński nie po to się urodził, aby naturę przeinaczać w ogrody belgijskie rydlem i motyką, ale aby malować jéj dzisiejszy charakter, który do jego duszy przemawia i przez ego obrazy kole w oczy tych, którzyby go chcieli widzieć innym. To nie jego rzecz. On jest poetą tego co widzi, tego co jest i maluje tak jak w naturze. Nawet kompozycya w jego obrazach daje wrażenie zupełnéj prawdy natury i nie stara się o efektowność zwykle pretensyonalną i sztywną. Gdyby Chełmoński mniéj czuł naturę, mniéj znał jéj tajemnice, nie pokonałby tak zwycięsko trudności, jakie mu jego pomysły nastręczają, nie byłby w stanie malować tego życia, tego ruchu i siły, i nie umiałby utrzymać się w granicach artyzmu. On nie idealizuje natury, ani téż ją szpeci; nie dodaje jéj poezyi, ani téż odbiéra; nie nakręca jéj do wyrażenia swoich ideałów, ale pokazuje jéj własne piękno w prawdziwéj szacie, tak jak ono się jemu pokazało i z taką siłą, z jaką odebrał od niéj wrażenia. Chełmoński jest malarzem prawdziwym i szczerym. Obrazy jego to mówią, co do niego mówiła natura i jakie ona wywołała w nim uczucia. Nie wprowadza manekinów dla zadowolenia akademicznych teoryjek i nie wychodzi po

za granicę bezświadomie odebranych wrażeń. Dla niego sztuka jest środkiem do wypowiedzenia się jego uczuć a nie sztucznych zachwytów, lub obmyślanych z góry efektów; dla tego też jego obrazy są harmonią treści i formy, bo pierwsza jest prawdą uczucia, a druga prawdą natury, obydwie razem są następstwem odebranych wrażeń.

W oddziale rosyjskim największą siłę przyciągania widzów posiadają obrazy Siemiradzkiego. Jeżeli zwrócimy uwagę na młodość sztuki rosyjskiéj, fakt ten nie będzie nas dziwić. Jest tam dużo talentów, które wyzwalają się z pęt pseudoklasycyzmu, w jaki je akademia petersburska wpędziła, ale ani liczbą ani doskonałością nie mogą się równać z innemi narodami. *Burłaki* Repina są znakomitém dziełem psychologa, olbrzymim utworem rysownika, który umiał wyrazić tyle rozmaitych uczuć w twarzach tych nieszczęśliwych ludzi-bydląt, zaprzęgniętych w szelki do ciągnięcia statku po Wołdze, ale nie jest obrazem malarza czującego kolor natury i umiejącego ten kolor dostatecznie prawdziwie oddać w obrazie. Wpływ akademii czuć w obrazach wszystkich artystów. Są oni doskonałymi rysownikami, ale nic więcéj. Jest to dużo, ale także i za mało, témbardziéj że artyści rosyjscy nie zawsze rysunkiem wyrażają siłę. Przeciwnie, częstokroć nawet uprawiają rysunek dla rysunku i są konwencyonalnymi kopistami antyków w portretach chłopów, bab i t. d. Kowalewskij, syn profesora Warsz. Uniwersytetu, jest również znakomitym rysownikiem, bystrym spostrzegaczem natury i typów, ale jest zimnym, nie głęboko czującym artystą. Ogromem talentu przewyższa wszystkich Makowskij, którego *Męczennicy Bulgarscy* są arcydziełem ekspresyi, obok wielkich zalet kolorysty i rysownika. Teatralne krajobrazy morskie Ajwazowskiego są sztuczkami efekciarskiemi, nie mającemi logiki. Burza morska bez wody! Fale wspinające się w górę, które dziecko z drogi zwrócić może jedném dmuchnięciem usteczek swoich! Prawdopodobnie Ajwazowski takie fale widział we śnie, bo takiéj wody, któraby nie miała wagi, którąby nie potrzebowała upaść napowrót w morze, takiéj wody Ajwazowski nie mógł widziéć, nawet na morzu Czarném. Z wyjątkiem Makowskiego, wszyscy artyści rosyjscy są akademikami.

Siemiradzki również jest akademiczny, również poświęca wyraz i siłę na rzecz pięknych form, ale jest kolorystą znakomitym i olbrzymim malarzem plastyki ciał. Nie potrzebuję tu mówić o *Pochodniach Nerona*, jako już dostatecznie znanych naszéj publiczności, ale jednak zanotować muszę dwa nowe mniejsze obrazy polskiego arty-

sty, *Kobietę wsiadającą do łódki* i *Wazon czy kobiétę*. Pierwszy motyw jest obrazem nadmorskiéj sielanki, a drugi dramatem, obrazem uczuć, miotających naturą starca, który ma do wyboru wazon lub kobietę, dwa przedmioty handlu.

W pierwszym jest łódka a w drugim archeologiczne zabytki rzeźbiarskiéj i ceramicznéj sztuki. W obudwóch przedmioty martwe są arcydziełami, i w obudwóch ludzie, niebo i ziemia konwencyonalnemi dodatkami. Siemiradzki tak mało uwzględnił w tych obrazach człowieka i jego naturę, taką przewagę nad nim dał perłowéj macicy, figurkom bronzowym i garnkom glinianym, że patrząc na te reprodukcye martwéj natury, mimowolnie trzeba zadać sobie pytanie, czy nie lepiéjby było malować obrazy bez człowieka, aniżeli używać go tylko do urozmaicenia linij. Vollon, który maluje znakomite ciała, wyborne krajobrazy i arcydzieła martwéj natury, nigdy nie zasługuje na zarzuty niestosownego zestawienia przedmiotów. Jego zbroje wiszą osobno, kobiéty osobno i krajobrazy osobno. Siemiradzki cały ten różnobarwny przepych sztuki plastycznéj kładzie w obraz bez uwzględnienia, czy człowiek wobec niego nie jest martwą lalką, na któréj twarzy nie maluje się najsłabszy nawet wyraz uczucia, choćby namiętności dla tych świecideł i garnków rozstawionych na około niego.

Krytyka francuska, która nie zna *Jawnogrzesznicy*, przyjęła Siemiradzkiego chłodno. W obec kierunku naturalistycznego, jaki na szczęście dla sztuki, zapanował nad całym artystycznym światem Francyi, Holandyi i naszych krajów, obrazy Siemiradzkiego, jakkolwiek arcydzieła rysunku, koloru w szczegółach rzeźbiarsko-architektonicznych i prawdy w martwéj naturze, nie mogą być inaczej sądzone, jak znakomite studya akademickie, w których natura artysty krępuje się narzuconemi mu formami i nie może oddychać swobodną piersią: brak w nich siły, brak spójni pomiędzy aktorami, którzy nie oddziaływają wzajemnie na siebie i nie zdradzają potrzeby istnienia w obrazie.

Umyślnie przebiegłem nazwiska artystów polskich według porządku sekcyj, aby pokazać choć pobieżnie, że ci ludzie—jednostki przeciwstawiają się całym masom współzawodników i nietylko nie giną w nich, ale często zaćmiewają potęgą talentów. Gdyby obrazy Matejki, Siemiradzkiego, Chełmońskiego, Rodakowskiego, Brandta, Gierymskich i wielu innych malarzy naszych zajęły jedną salę, niezawodnie krytyka całego świata przyznałaby nam stanowisko, jakie w świecie sztuki zajmujemy.

Antoni Sygietyński.

KONGRES LEŚNY
w Warszawie.

Towarzystwo leśne w Petersburgu, jakkolwiek młode jeszcze i niezbyt bogate w materyalne zasoby, z prawdziwém zamiłowaniem obranéj przez siebie specyalności nie szczędzi kosztu i trudu na propagowanie umiejętności leśnéj i wyjaśnienie potrzeby racyonalnego w téj gałęzi gospodarstwa, na całéj przestrzeni cesarstwa rosyjskiego, gdzie, jakkolwiek szczególniéj w północnéj części olbrzymie obszary leśne egzystują,—w innych częściach szczególniej w południowych i południowo-wschodnich, wielki brak lasów daje się uczuwać, a pomimo to jednak społeczeństwo z umiejętném hodowaniem i użyciem lasów mało jest obeznane.

Za jeden z głównych środków prowadzących do tego celu obrało towarzystwo zwoływanie tak zwanych zjazdów czyli kongresów leśnych, w których biorą udział nie tylko członkowie towarzystwa, i technicy oraz urzędnicy leśni, lecz także właściciele i zawiadowcy lasów prywatnych, a nawet ludzie, poświęcający się z zamiłowania studyowaniu téj gałęzi gospodarstwa krajowego.

Zjazdy te, towarzystwo co lat dwa zwołuje. Zjazd Warszawski jest czwartym z kolei; 1-y był w Moskwie, 2-i w Lipiecku mieście powiatowem gub. Tambowskiéj, na południu tejże gubernii położoném w okolicy urodzajnéj lecz bezleśnéj, 3-i w Rydze i 4-y obecny w Warszawie.

Każdy zjazd przy ukończeniu prac swoich ma obowiązek wyznaczyć miejsce następnego po dwóch latach zebrania: otóż zjazd Ryzki na wniosek jednego ze swych członków, naszego rodaka docenta przy instytucie gospodarczym i leśnym w Nowéj Aleksandryi,— p. Józefa Krasuskiego obrał miejscem 4-o zjazdu Warszawę. Zjazd ten tém bardziéj i wyłączniéj zainteresował naszą publiczność, że jednym z przedmiotów jego obrad, miał być przyjęty przez Tow. leśne Petersburskie, referat p. Krasuskiego o służebnościach leśnych w Królestwie Polskiém, które bezwątpienia przedstawiają jednę z żywotniejszych kwestyj krajowych, oraz że rozprawy mogły być prowadzonemi w języku polskim, jakowa okoliczność pozwalała brać udział w obradach ludziom nieobeznanym dostatecznie z językiem ruskim.

Zanim przystąpimy do sprawozdania o czynnościach zjazdu warszawskiego i o doniosłości przedmiotów na nim roztrząsanych, pozwalamy sobie powiedziéć słów parę o zakresie i znaczeniu podobnych zjazdów.

Otóż podobne naukowe lub fachowe zjazdy, jakkolwiek w późniejszych skutkach mogą osiągać urzeczywistnienie pewnych ekonomicznych i społecznych potrzeb, wpływ ich jednak na to urzeczywistnienie jest tylko pośrednim. Zdarza się pomiędzy publicznością spotykać przekonania, że zjazd leśny w Warszawie rozwiąże pewne trudności ekonomiczno-społeczne kraju, mające z kwestyą leśną bezpośredni lub pośredni związek. Otóż takiéj doniosłości zjazd nie ma i miéć nie może: ma on doniosłość głównie i przeważnie moralną.

Zjazdy leśne, mając tylko moralne zadanie, tą samą mozolną i pracowitą drogą mogą wpływać na praktyczne rozwiązanie onego. Oprócz ugruntowania mocnych i stałych przekonań w publiczności o potrzebie zwrócenia szczególnéj pieczołowitości na tę ważną gałęź gospodarstwa krajowego, które i bez tego w ogólnych zarysach dosyć są rozszerzone—zjazd leśny szczególnie może wpłynąć na praktyczne zastosowanie tych przekonań, popularyzując i podając wyrobione przy pomocy nauki sposoby i środki, za pomocą których ludzie dobréj woli mogą wziąść się do skutecznéj na tém polu pracy.

Zanim czytelnicy Ateneum spotkają się z niniejszém sprawozdaniem, będą już wiedzieli z pism codziennych o treści obrad kongresu chociaż pobieżnie podanéj, oraz o całéj zewnętrznéj stronie i formie jego działalności, którą stanowi czas trwania obrad, ich rozkład, porządek zabiéranych głosów, oraz rozmaite wycieczki i towarzyskie zebrania, jakie towarzyszyły zjazdowi. Pomijając zupeł-

nie tę zewnętrzną, formalną stronę, bierzemy sobie za zadanie zdać sprawę z saméj tylko treści obrad, doniosłości przedmiotów wziętych pod dyskusyą, oraz konkluzyj, jakie zjazd z nich wyprowadził. Musimy nadmienić, że zjazd miał prawo obradować wyłącznie nad kwestyami, które wcześnie w formie referatów zostały podane towarzystwu leśnemu w Petersburgu, wnioski zaś ustne lub piśmienne po za obrębem tych referatów mogły wyłącznie tylko dotykać kwestyi *ochrony* lasów oraz ich *uprawy*. Jakkolwiek część wniosków drugiéj kategoryi rozpatrywaną była pomiędzy referatami, dla jedności jednak i treściwości poglądów, najprzód będziemy mówić o referatach czysto technicznéj treści, późniéj o wnioskach, tyczących się ochrony i uprawy lasów, w końcu o referacie p. Krasuskiego, tyczącym się służebności, na którym czynności zjazdu zostały zakończone.

I.

Pierwszą kwestyą, oddaną pod dyskusyą kongresu, był referat p. Pawłowicza, o potrzebie dzielenia lasów w Cesarstwie, przy urządzaniu gospodarstw leśnych, na obręby.

Dzielenie na obręby, przy urządzaniu lasów tak rządowych jak prywatnych, jest oddawna i powszechnie przez naszych techników leśnych praktykowane w Królestwie Polskiém.

Jeżeli lasy pewnéj jednostki administracyjnéj przedstawiają w rozmaitych częściach odmienne gatunki gleby, lub rozmaite rodzaje drzewostanów, naturalnie, że w skutek téj różnicy nie mogą wchodzić w skład jednorodnego gospodarstwa, tak zupełnie jak w gospodarstwie rolném nie może być urządzony jeden tylko płodozmian na takim folwarku, gdzie jest kilka gatunków ziemi. Takież różne płodozmiany leśne muszą być urządzone w lasach choćby jednéj administracyi, czyli inaczéj mówiąc, w takim lesie musi być tyle gospodarstw, ile jest odrębności w drzewostanach. W ten sposób, w tymże lesie, może być np. gospodarstwo wysokopienne sosnowe, świérkowe, dębowe lub mięszane i gospodarstwo niskopienne także podzielone podług gatunku drzewostanów. Zdaje się, że taki podział można nazwać podziałem na gospodarcze jednostki. Lecz oprócz tego jednostki gospodarcze, składające się z drzewostanów prawie jednorodnych, mogą stanowić znaczne przestrzenie, których

części niejednostajnie mogą być odległe od miejsc zużytkowania, lub odbytu materyałów leśnych, a nawet mogą przedstawiać pewne odcienia wartości materyału drzewnego, pomimo że tenże nadaje się do jednostajnéj leśnéj rotacyi.

W takim razie nasi taksatorowie dzielą takie jednostki gospodarcze, stosownie do potrzeby i dogodności, na obręby, z których każdy prowadzi oddzielną rotacyą, choćby wszystkie te rotacye były jednostajnego zupełnie systemu.

Każdy obręb dzieli się na okręgi, a każdy taki okrąg każdego obrębu na poręby, tak, że ile jest obrębów tyle poręb oddzielnych jest do wycięcia. Podział ten daje możność otrzymywania materyału leśnego corocznie z rozmaitych odległości, przez co się zyskuje możliwe ujednostajnienie warunków transportu, oraz saméj wartości otrzymywanych materyałów.

Otóż p. Pawłowicz twierdzi, że w Rosyi bardzo rzadko taki terytoryalny podział jest uwzględniany szczególnie w lasach rządowych, gdyż, mówiąc nawiasem, gospodarstwo leśne prywatne należy tam do bardzo rzadkich wyjątków, że taki podział, szczególniéj przy wielkich przestrzeniach, jest nieodzowny i że brak tegoż wielkie sprowadza niedogodności i szkody, skoro po wycięciu przestrzeni przyległych miejscom odbytu i zużytkowania, wypadłoby cały materyał prowadzić z odległych miejscowości. Nie przytaczamy tu wszystkich argumentów p. Pawłowicza, które interesowani mogą znaleść w tłómaczeniu referatów ogłoszoném przez nasze pisma codzienne, wspomnieliśmy głównie o tych, które w naszym kraju wpłynęły na system gospodarstwa obrębowego.

W tém znaczeniu pojęliśmy referat p. Pawłowicza z saméj jego treści i przytoczonych argumentów, nazwa bowiem tych podziałów w terminologii rosyjskiéj nie jest ustaloną, co sam p. Pawłowicz zaznacza, używając na przemian kilku różnych terminów.

Bez wątpienia ta niedokładność terminologii stała się powodem pewnego nieporozumienia co do saméj treści propozycyi i ożywionéj dyskusyi przeważnie pomiędzy specyalistami rosyjskimi w sprawie leśnéj, jak o samą terminologią, tak téż i o proponowany podział, który według jednych, nie będąc niczém nowém w nauce leśnictwa, nie potrzebował być przedmiotem specyalnego wniosku, według innych zaś, miał wartość praktyczną jako nie mający dotąd uznania w cesarstwie.

W skutek jednak wniesionego przez jednego z członków polubownego rozwiązania kwestyi, że skoro zjazd nie tyle jest polem rozpraw akademickich o nowych odkryciach w nauce, ile środkiem

do rozszerzenia w praktyce naukowych poglądów, i skoro jest uznaném, że w Rosyi nie wszędzie uwzględniany jest podział terytoryalny na obręby, pożytecznie jest poprzeć propozycye p. Pawłowicza, uchwalono prawie jednozgodnie dwa wnioski:

1. Iż zjazd poleca uwadze pp. techników leśnych potrzebę podziału lasów na obręby, o ile to od nich będzie zależéć, i

2. Zjazd wyraża życzenie, ażeby w mającéj się wydać instrukcyi leśnéj (dla lasów rządowych) pomieszczone były wskazówki co do dzielenia lasów na obręby.

Dla wyjaśnienia drugiego wniosku musimy zaznaczyć, że dawna instrukcya co do urządzenia lasów rządowych, jako przestarzała została cofniętą, nowéj zaś dotąd nie wydano, skutkiem czego sposób urządzenia lasów tam, gdzie się takowe obecnie wprowadza, zależy od poglądów naukowych, przyjętych przez odnośnych specyalistów.

Po postawieniu wyżéj przytoczonych wniosków, których redakcya wyrażenie *obręby* przyjęte przez nas, oznaczyła terminem „jednostki gospodarcze“ (choziajstwiennyja jedinicy), prezydujący (P. Sobiczewski) wyraził zdanie, że polskie wyrażenie *obręby* właściwie byłoby wyrażać terminem „zasieki“ (sieczy); pomimo to jednak wnioski w poprzedniéj redakcyi prawie jednogłośnie zostały przyjęte. Zawsze jednak z nieustalenia naukowego przyjąć się mającej terminologii, wnioski powyższe przez rozmaitych techników mogą być różnie pojmowane. Jedni mogą je odnosić do oddzielności systematów gospodarczych, drudzy zaś do znaczenia naszych obrębów. To drugie tłómaczenie będzie zawsze jednak bliższe praktycznego pożytku i więcéj zbliżone do niezawodnych intencyi referenta i do sposobu pojmowania stawiającego 1-y z powyższych wniosków.

II.

Drugą postawioną na porządku obrad kwestyą był referat p. Kajgorodowa o potrzebie wprowadzenia prawidłowego gospodarstwa dla produkcyi kory garbarskiéj i ustanowienia zasad tegoż gospodarstwa.

Referent wykazując, że w Rosyi Europejskiéj łącznie z Królestwem Polskiém wyprawiają rocznie skór rozmaitych 9.000.000 sztuk, z których idzie na podeszwy 1½, na miękkie zaś skóry 7½ milionów, w przypuszczeniu, że przeważnie podeszwy wyprawiane

są za pomocą kory dębowéj, skóry zaś miękkie za pomocą kory wierzbowéj i rachując na 1 skórę po 3 pudy materyału garbarskiego, oblicza w przybliżeniu potrzebę roczną 1-o materyału na 4 mil., pudów, 2-o zaś na 20 mil. pudów. Rachując 1-y po k. sr. 90 za pud, 2-i zaś po 50 k., oblicza wartość tychże na 4 mil. i $7^{1}/_{2}$ milionów. Materyał ten jednak dostaje się nie z pomocą gospodarstwa prawidłowego, lecz wyłącznie prawie sposobem rabunkowym, niszczącym.

Oprócz tych głównych materyałów garbarskich, wszelkie inne bardzo małe otrzymują zastosowania, oprócz tylko kory jodłowéj (swierkowéj) używanéj przeważnie (bezwątpienia w małych pospolitych garbarniach) w Królestwie Polskiém, guber. Zachodnich i w guber. Nadbaltyckich.

Ztąd należałoby wnosić, że wprowadzenie prawidłowego gospodarstwa leśnego w kolei niskopiennéj dla dębu 15—20 letniéj, dla wierzby też również przy uprawie niskopiennéj lub wierzchołkowéj (ogławianie) 2—5 letniéj, mogłoby znakomite zapewnić korzyści, szczególniéj zważywszy na krótkość obrotu rotacyi, a to przeważnie dla gospodarstw prywatnych z powodu prędkiego powrotu wyłożonych nakładów.

Jakkolwiek przeciw tak widocznie praktycznemu wnioskowi, znalazła się podczas dyskusyi dosyć wybitna opozycya, dowodząca, że w niektórych miejscowościach przy obfitości lasów i zarośli, i przy braku lub małéj ilości garbarni, kora garbarska tak małą ma wartość, że nie opłaca nawet kosztu jéj zdzierania, jednak argumenty te wcale nie były stanowczemi dla tych okolic, gdzie stosunek odwrotny ma miejsce. Dyskusya dosyć wyczerpująco okazała:

1. Że za granicą, szczególniéj w prowincyach Nadreńskich, z z wielką korzyścią prowadzone jest gospodarstwo niskopienne dębowe dla produkcyi garbniku.

2. Że w miejscowościach, przyległych do bardziéj ludnych i przemysłowych centrów, w królestwie zaś Polskiém, wszędzie gdzie grunt nadaje się do uprawy dębu, podobne gospodarstwa mogłyby być bardzo korzystne. (P. Aleksandrowicz Benedykt obliczał dochód z morgi na r. sr. 130).

3. Że na gruntach silnych i żyznych powyższe gospodarstwo mogłoby łączyć się z gospodarstwem rolném, gdy plantacye po pewnym czasie mogłyby ustępować czasowo uprawie rolnéj.

4. Że kora wierzbowa przeważnie używana do skór miękkich w Rosyi, a zagranicą zaś prawie nie używana, zwróciła na siebie uwagę na zjeździe Berlińskim, jako dająca skóry wyborniejszego

gatunku, i w skutek tego zapotrzebowano takowéj aż z gubernii petersburskiéj, pomimo znacznych kosztów transportu.

5. Że gospodarstwo wierzbowe niskopienne łatwo daje się prowadzić przy bardzo krótkiéj kolei 2—5 letniéj i szczególniéj byłoby korzystne na niskich przestrzeniach błotnistych; gospodarstwo zaś bezwierzchołkowe na wszelkich pastwiskach, miedzach i około dróg, bez straty oddzielnego na nie gruntu, stanowiło by zupełnie nowe i na pół darmo źródło bogactwa.

Po wyczerpaniu dyskusyi, podanéj tu w bardzo ścisłém streszczeniu, postawiono i przyjęto jednomyślnie następne wnioski:

1. Zjazd poleca uwadze właścicieli lasów pożytek robienia doświadczeń z gospodarstwem niskopiennóm, dębowém i wierzbowém dla produkcyi kory garbarskiéj na małych przestrzeniach w kształcie próby, również jak i zaprowadzanie na pastwiskach wierzb ogławianych.

2. Gospodarstwo niskopienne dębowe korowe dobrze daje się łączyć z gospodarstwem rolném, lecz tylko na gruntach bogatych i w krótkich odstępach czasu.

3. Produkcya ta z powodu często powtarzających się rębów i rychłego zwrotu nakładu szczególniéj dla prywatnych właścicieli może być pożytecznie zaleconą.

Dodać tu musimy, że w naszym kraju 2-a rezolucya w wielu miejscach już jest spełniona, chociaż pozostaje bez właściwych rezultatów, po które trzeba tylko sięgnąć, jeśli nasze krajowe fabryki, za przykładem niemieckim nawrócą się w garbarstwie do kory wierzbowéj.

Na całém Powiślu, w Sandomierskiém zaś w bardzo wielu okolicach nienadrzecznych, gospodarstwo wierzchołkowe wierzbowe jest nawet przez włościan prowadzone, przy obsadzeniu pastwisk, miedz i dróg bocznych, ale wyłącznie w celu opałowym, gdy i kora razem z pędami idzie na ogień, chociaż zdjęcie kory na cele garbarskie bardzo by mało palności temu materyałowi odjęło.

III.

Trzecim z kolei ważnym przedmiotem obrad, była podana w referacie p. Krasuskiego, potrzeba zaprowadzenia szkółek dla niższego rzędu straży leśnéj w Królestwie Polskiém. Zaznaczając, iż dla dobrego stanu gospodarstwa leśnego, potrzebni są gajowi, mający pewien stopień choćby elementarnych wiadomości z nauki leśnéj i zna-

jący praktycznie sposoby prowadzenia kultury, — nawet dla lasów rządowych, gdzie zwykle kierunek w téj mierze i bliższy dozór należy do ludzi specyalnie w téj gałęzi wykształconych, referent szczególniéj tę potrzebę uznaje dla lasów prywatnych, których mała rozległość i nie wielki stosunkowo dochód, nie pozwala utrzymywać stale ludzi technicznie ukształconych do zarządu lasem i który to zarząd, z konieczności musi pozostawać w ręku właścicieli lub rządców, często nie posiadających w téj mierze żadnych specyalnych, a nawet niezbędnych wiadomości.

W gospodarstwach tego rodzaju, w razie ich racyonalnego urządzenia, obecność uczonego technika możliwa jest tylko w pewnych znacznych odstępach czasu, w których oznacza się sposób eksploatacyi i gospodarowania na pewien peryod przynajmniej od 10 do 20 lat, w ciągu których cała kultura spoczywa w rękach zupełnie nieświadomych swojego rzemiosła gajowych.

W celu zapobieżenia, wynikającym z podobnego stanu niedogodnościom i szkodom, b. Komisya Skarbu, w roku 1859 zarządziła otwarcie pewnego rodzaju niższych szkół dla straży leśnéj w leśnictwach rządowych Broku i Lubochni. Wykształcenie w nich leśników odbywało się przeważnie na drodze praktycznéj, zasadzając się głównie na umiejętności prowadzenia szkółek leśnych — zasiewu i obsadzania zagajników, przy teoretycznym raz na tydzień wykładzie przez podleśnych popularnych wiadomości z nauki leśnictwa w granicach przyszłego powołania słuchaczów. Egzamin tych wychowańców w roku 1861 pokazał tak zadawalniające rezultaty, iż Komisya Skarbu zarządziła otwarcie jeszcze trzech szkół podobnych w leśnictwach Bodzentynie, Łukowie i Pilwiszkach. Dalej, zrobiono projekt rozszerzenia zakresu nauki w tych szkołach, wprowadzając wykład zasad arytmetyki, geodezyi, rolnictwa, ogrodownictwa i pszczolnictwa, —z uposażeniem szkół ziemią, budynkami, narzędziami i biblioteką. Wypadki roku 1863 wstrzymały jednak urzeczywistnienie tego dobroczynnego zamiaru i obecnie stan gospodarstwa leśnego w Królestwie, cierpi z tego powodu na brak zdolnych gajowych, potrzebnych szczególniej w obec ustawy z roku 1875 o urządzeniu lasów obciążonych służebnościami.

Kwestya ta, według słusznego zdania referenta, staje się paląca: proponuje zatem, uznanie koniecznej potrzeby założenia szkółek leśnych niższego rzędu i wyjednanie u władzy szkolnéj, rozporządzenia, celem założenia podobnych szkółek, dla którychby osobna komisya zaprojektowała odpowiednią ustawę.

Propozycya ta bezwątpienia bardzo ważna i pożyteczna nie znalazła jednak należytego poparcia. Zdania i wnioski przemawiających rozstrzeliły się bardzo — szukając powodów nieodpowiedniego uzdolnienia służby leśnej do potrzeb krajowego leśnictwa nie tyle w braku wykształcenia tejże, ile w rozmaitych ubocznych powodach, jak niedostatecznėm uposażeniu straży leśnej rządowej jak wyższéj tak i niższej w Królestwie Polskiém (w obec dostatniejszego stosunkowo opatrzenia tejże służby w Cesarstwie) oraz w braku dla téjże służby przywileju przysięgłych strażników jak to ma miejsce w Prusiech, którzyby mieli wiarogodność świadczenia przed sądem w sprawach o defraudacye leśne.

Panowie technicy, a szczególniéj urzędnicy leśni z Cesarstwa, znajdowali nawet wszelkie techniczne wykształcenie dla niższej straży zbytecznėm, (?) skoro straż ta odbywać powinna roboty kulturalne pod kierunkiem wykształconych zwierzchników. Wykazywano téż niewłaściwość przedstawień do władzy oświecenia, skoro jej właśnie zadaniem jest oświeceniem kierować; zakładom zaś początkowym z roku 1869, o których wyżej wspomniano, starano się miana i charakteru szkół odmówić, chociaż takowe i w referacie nie są wystawione jako wzór, lecz raczéj jako próba i początkowanie ku dalszemu tej myśli rozwijaniu.

W poparciu jednak wniosków referatu podaną została propozycya urządzenia niższych szkół leśnictwa przy średnich i nawet wyższych zakładach rolniczo-leśnych, — a także, ażeby w osadzie rolniczéj Studzieńcu obok nauki rzemiosł i rolnictwa, uwzględniono potrzebę nauki leśnej dla wychowańców, do czego samo położenie osady wśród lasu bardzo łatwo się nadaje. Ten ostatni wniosek wywołał opozycyą z tytułu, że małoletni przestępcy złém zarażeni, pomimo pozornéj poprawy, łatwo mogą stać się recydywistami, gdy samotność w lesie, do rozwinięcia złych chęci może się przyczynić.

Takie bezwzględne twierdzenie musiało wywołać opozycyą i słuszny zarzut, że nie pożytecznie było by zakładać osady rolne, jeśli one nie przynoszą prawdziwéj poprawy moralnéj. Recydywiści być mogą, lecz to złe jest téj saméj natury co i między ludźmi nienależącymi do tej kategoryi, a pomiędzy którymi jednak od czasu do czasu zjawiają się przestępcy, chociaż przedtém nie byli takimi. Może kto nie brać wychowańca osady rolnéj na leśnika, jeśli nie ufa poprawie ludzi, lecz niéma powodu nie uczyć poprawionego pożytecznéj rzeczy. Skłonność zresztą do przestępstw rozwija się

właśnie nie w samotności, lecz w ludnych ogniskach, z których osady rolne prawie wyłącznie otrzymują swych wychowańców.

W ciągu rozpraw jeden z członków, należących do wyższych sfer urzędowych (1), ubolewając nad obecnym stanem leśnictwa rządowego, przy zupełnie lichém i niewystarczającém uposażeniu straży i przy ogromném zmniejszeniu lasów, które zostały rozdane lub sprzedane, oddał hołd założycielowi racyonalnego leśnictwa w Królestwie hr. Ludwikowi Platerowi, który w roku 1816, nadał kierunek racyonalnemu urządzeniu lasów, oraz profesorowi Jastrzębowskiemu, który w dawnéj szkole Feliksowskiej, stworzył cały zastęp leśników. Z tego powodu podano wniosek złożenia hołdu pamięci hr. Platera przez powstanie z miejsc, profesorowi zaś Jastrzębowskiemu przez wysłanie odpowiedniego adresu. Po przyjęciu tych propozycyj, zgromadzenie uchwaliło następujące wnioski.

1) Zjazd uznaje, że dopóki straż leśna źle jest uposażona i zostaje pod władzą urzędników nizko płatnych, nie można myśléć o przygotowaniu należytém niższéj służby leśnéj.

2) Zjazd uznaje za nadzwyczaj pożyteczne kształcenie w różnych leśnictwach strażników leśnych z pomiędzy ludzi piśmiennych, a zarówno kształcenie kultywatorów.

3) Zjazd uznaje za pożądane organizowanie peryodycznych pogadanek leśnych dla służby niższéj o zasadach techniki leśnej.

4) Zjazd uważa, że osady rolne przy należytém ich urządzeniu mogą służyć dla przygotowania służby niższej leśnéj.

5) Zjazd wyraża życzenie, aby w seminaryach nauczycielskich wprowadzono wykład leśnictwa i z przyjemnością widzi początki takowego wykładu w szkole Feliksowskiej (1).

Żałować przychodzi, że przy postawieniu tak ogólnikowém zresztą pożytecznych nawet wniosków, zjazd nie uwzględnił rzeczywistéj potrzeby obecnéj chwili — dostarczenia rozwiniętych umysłowo i wykształconych praktycznie gajowych mniéj zamożnym właścicielom lasów prywatnych, którzy nie są w stanie posiadać w swym zarządzie techników leśnych do wykonywania planów racyonalnego gospodarstwa. Jeżeli wogóle projekt zakładania szkół takich w większéj liczbie mógłby się rozbić o kwestye finansowe lub trudności techniczne, to w każdym razie godziło się wyrazić życzenie stanow-

---

(1) Pan Szczepkin, prezes Izby Skarbowej Łomżyńskiej.

(1) Według relacyi pana Szczepkina — jest nadzieja wskrzeszenia téj szkoły.

cze, ażeby przy jedynéj w naszym kraju specyalnéj szkole gospodarczo leśnéj w Nowéj Aleksandryi zostały urządzone teoretyczno-praktyczne kursa dla gajowych i leśników niższego rzędu, gdyż przy istniejącym personalu nauczającym nie pociągnęło by to za sobą osobnego wielkiego kosztu, tém bardziéj gdy p. Krasuski zrobił pod czas rozpraw uwagę, że szkoła w Nowéj Aleksandryi nie posiada żadnych środków roboczych, i że uczniowie niższéj szkoły leśnéj przy zajęciach praktycznych z wychowańcami instytutu mogliby ten brak zastąpić.

Ponieważ jednak z łona kongresu leśnego, jak to zobaczymy niżéj, wybrany został stały komitet dla opracowania projektu ustawy leśnéj, który składa się wyłącznie z ludzi dobrze świadomych o potrzebach kraju—mamy więc uzasadnione prawo wnioskować, że komitet ten, uznawszy wielką doniosłość wykazanéj potrzeby, poczyni starania w obec naczelnéj władzy krajowéj o poparcie myśli otwarcia szkoły gajowych przy instytucie w Nowéj Aleksandryi.

Istnienie niegdyś przy skasowanym już dzisiaj wyższego rzędu instytucie gospodarstwa rolnego w Horkach, w guberni Mohilewskiéj, szkoły rolniczéj niższego rzędu dla kształcenia niższych oficyalistów, jak karbowych i włódarzy, może służyć za przykład, że istnienie podobnego niższego zakładu przy szkole wyższéj specyalnéj usprawiedliwione było długoletnią praktyką we wspomnionym instytucie i prawdziwym pożytkiem, jakie owa niższa szkoła oficyalistów przynosiła całéj okolicy. Toż samo rzecz można o szkole w Burakowie, istniejącéj przed laty przy instytucie marymonckim.

IV.

W czwartym referacie rozpatrywanym przez kongres — p. Wojzbun przedstawił potrzebę zagajenia pustek, błot i nieużytków w Kr. Pols. Dwa są główne motywa tej propozycyi: potrzeba zwiększenia ilości lasów, których przestrzeń zmniejszyła się znacznie ostatniemi czasy z 27% na 25% przestrzeni, — i ochrona od pogorszenia klimatycznych warunków kraju. Pustek kwalifikujących się do zadrzewienia oblicza autor u nas na 1,3 milion morgów.

Referent przytoczył jako przykład przepisy wielu krajów zachodnich, gdzie zadrzewienie pustek, nieużytków i górskich przestrzeni jest prawem przepisane. We Francyi rząd udziela na ten cel pożyczki, lub też sam przedsiębierze zagajenie, oddając takowe właścicielom

po 10 latach za zwrotem kosztów, lub gdy ten nie nastąpi, biorąc połowę zagajenia na własność kraju.

W Szwajcaryi, oprócz podobnych pożyczek, rząd ma prawo, a na żądanie właściciela — nawet obowiązek, wykupić miejsca przeznaczone do zagajenia. W Hanowerze i w Badeńskiém istnieją prawa co do tego przedmiotu. Nawet w Cesarstwie Rosyjskiém zaczynają się próby w tym kierunku — przez wyznaczenie nagród za zagajenie w okolicach bezleśnych i projektowanie środków do powstrzymania spostuszenia lasów w Krymie i zagajenia tam nie zajętych przestrzeni. W liczbie jednak zwyczajnie praktykowanych w tym celu środków projektowany był jeden *bardzo radykalny*, a mianowicie stopniowe zakupienie lasów na rzecz skarbu.

Z tych zasad wychodząc referent projektuje: 1) przymusową zamianę służebności na przestrzeniach kwalifikujących się do zagajenia — i 2) zagajenie przez rząd tychże za połowę wziętą na rzecz skarbu — lub wydanie w tym celu pożyczek amortyzacyjnych.

Opozycya przeciw projektowi członków zjazdu z Cesarstwa zdawała się głównie pochodzić z przekonania o trudnościach finansowych, i opiérać się na mniemaniu, że opieka lub środki przymusowe są niepożyteczne a nawet szkodliwe. To ostatnie twierdzenie jest prawdą względną, zależną głównie od miejsca, czasu i moralnéj wartości organów opieki. Zasada *laissez faire* jakiś czas była bardzo w modzie, jednak dzisiaj straciła absolutną wartość.

Dziś w wielu razach praktykuje się już zasada, że rząd, jako wyraz interesów ogółu, może być regulatorem w razach, gdy interes społeczny bywa zagrożony.

W ogóle jednak główne argumenty przeciw projektowi referatu opiérały się na mniemaniu, że przed zagajaniem pustek należy najprzód zapobiedz tępieniu lasów i wpłynąć na polepszenie obecnego stanu za pomocą sadzenia i zagajenia wyrąbanych przestrzeni leśnych.

Debaty roztrzygnięte zostały przyjętą przez zjazd rezolucyą, która stanowi: że chociaż dla zwiększenia bogactwa kraju pożądanem jest zagajenie pustek i nieużytków, ale konieczniejszém jest obecnie polepszenie warunków utrzymania lasów już istniejących, a to celem powiększenia produkcyjności gruntów leśnych.

Na tém się skończył rozbiór kwestyj specyalnie leśniczych, zatwierdzonych programem, przed rozpatrzeniem ostatniego referatu p. Krasuskiego o stosunku służebności do gospodarstwa leśnego w Królestwie Polskiem.

Wracając na chwilę do tylko co przytoczonej rezolucyi zjazdu, pozwolimy sobie zrobić uwagę, że zagajenie pustek bynajmniéj

nie przeszkadza poprawie hodowli i odmładniania lasów już istniejących. Owszem widok plantacyj pięknie okrywających nieużytki może bardzo zachęcająco oddziałać na właścicieli prywatnych, nie przywykłych do podobnego widoku. Zanim lasy prywatne dojdą do lepszego stanu, jeśli się chwilowo jeszcze nie pogorszą—stopniowe obsadzanie pustek przygotowywałoby nowy zasób krajowego bogactwa, jako przyszły materyał drzewny i jako ochrona od zbytniego wysychania gruntu a tem samém zabezpieczenie niejakie we względzie klimatycznym—twierdzenie bowiem jednego z uczonych członków zjazdu [1], jakoby wpływ lasów na klimat nie był ściśle znany i dowiedziony—wydaje się nam mniej uzasadnionem. Nauki ścisłe jak fizyka, meteorologia, geologia uczą nas, że po większej części rezerwoarem karmiącym źródła są zbiorniki wody będące na powierzchni, i że lasy są ochroną od zbyt prędkiego wysychania powierzchni. Być może nawet, że ogólna ilość spadłej w ciągu roku wody mało się zmienia nawet przy wycięciu lasów — i ombrometr w tej mierze da rezultaty całoroczne małoróżniące się; wskaże jednak dobitnie różnice krańcowe w różnych epokach. Zamiast deszczów mniejszych a częstych—dostajemy posuchy i nawałnice; zamiast średniego stanu wody w rzekach — mamy albo powodzie lub stan bliski wyschnięcia w miesiącach letnich.

Z drugiej strony obserwacya naukowa pozwala nam widzieć różnice w ciągu kilku lat dziesiątków: w miejscach gdzie niegdyś strzelano kaczki w sitowiu i błocie, dziś sieją len i owies. Latem w wielu miejscach w studniach już czuć brak wody—zjawisko dawniej nieznane prawie.

Tylko blizkość morza broni nas od stepowego klimatu.

V.

Zanim przyjdziemy do sprawozdania z debatów nad ostatnim referatem, uważamy za właściwe streścić w krótkości relacyą o dozwolonych programem komunikatach i luźnych wnioskach tyczących się ochrony i hodowli lasów.

Szeregi wniosków rozpoczęła propozycya zapobieżenia bezsensownemu niszczeniu na podrzędne użytki szlachetnych gatunków drzewa — protegowaniem fabryk przerabiających tego gatunku ma-

---

(1) Profes. akademii Petrowskiej Szafranów.

teryał (kołodziejstwo—posadzki —meble etc.), zapewnieniem im kredytu, oraz ułatwieniem nabywania materyału z potrzebnych gatunków drzewa w lasach rządowych (1). Właściwie praktycznej formy dla urzeczywistnienia tej propozycyi nie umieliśmy sobie przedstawić. Rząd jako taki nie daje swych funduszów na kredyta; miało to wprawdzie miejsce i z wielką bardzo doniosłością w rządzie Królestwa Polskiego za ministeryum ks. Lubeckiego, co się długo jeszcze i tradycyjnie praktykowało przez Bank Polski, który z tego tytułu stał się właścicielem wielu fabryk; ale ten sposób już dzisiaj mniej praktyczny a może nawet niemożliwy. Towarzystwa kredytowe, banki ziemskie oraz rządowe dają kredyt jak rzeczowy tak i osobisty dla handlujących przez skup weksli.

Co do ułatwiania nabycia materyałów w lasach rządowych, to kwestya ta mogłaby być rozstrzygniętą tylko w ogólności, to jest, ażeby las nie był sprzedawany całemi porębami, dostępnemi tylko dla spekulantów i kapitalistów, lecz jeśli nie w postaci pojedynczych materyałów, to przynajmniej drobnemi działami, dostępnemi nawet dla drobnych właścicieli ziemskich. Ta propozycya była nawet stawiana, lecz nie otrzymała rezolucyi.

Gdy do powyższego wniosku dołączył się jeszcze jeden żądający głównie i przedewszystkiem kredytu w imię dobra publicznego i ochrony lasów—uwzględniono oba żądania postanowieniem: ażeby prosić Tow. leś. o skomunikowanie się z prywatnemi instytucyami kredytowemi o możliwe uwzględnienie kredytu na lasy i za pośrednictwem Tow. leś. rozprawy w przedmiocie fabryk przerabiających materyały leśne zakomunikować do możliwego uwzględnienia ministeryum dóbr państwa. (Podajemy te rezolucye w skróceniu).

Co do możliwego kredytu na lasy, to rzecz ta, jak się nam zdaje, uwzględniona jest przez Towarzystwo Kredyt. ziemskie w Królestwie Polskiem, które udziela wyższy kredyt w razie racyonalnego urządzenia lasów w majątku. Czy można by dalej iść w tym kierunku—pozwalamy sobie wątpić, skoro z przykrością przychodzi zaznaczyć smutny fakt, że nieraz urządzony dla Towarzystwa kredyt. las wycina się rabunkowo pod bokiem sąsiada delegata Towarzystwa, który taksy i protokóły leśne oraz plany podpisał. Tolerancya ta praktykuje się często bez względu na to, że Towarzystwo Kred. jest instytucyą, której powodzenie obchodzi nie tylko właścicieli ziemskich lecz i ich wierzycieli t. j. posiadaczy listów zastawnych, a zatém prawie ogół społeczeństwa.

---

(1) P. Michał Podbereski.

Po przytoczonych wyżej wnioskach, które zyskały uwzględnienie cząstkowe, nastąpił szereg innych, które streszczamy jak najkrócej.

Podług tych wniosków zatém ochrona lasów wymaga:

1) przysięgłych strażników, których świadectwo przed sądem miałoby znaczenie dowodu;

2) rozszerzania pomiędzy ludem wiadomości popularnych o ochronie i hodowli lasów za pomocą pism ludowych i popularnych;

3) wydanie przepisów zabraniających ścinania drzewa w niewłaściwym czasie, co je pozbawia wszelkiej trwałości;

4) zakazu pasania bydła w lasach;

5) zakaz zbierania ściółki w lesie;

6) zamiany w lasach rządowych naturalnego obsiewu z nasienników—odmładzaniem tychże lasów przez obsiew lub sadzonki.

To ostatnie twierdzenie, pomimo że już zastosowane jest w wielu dobrze urządzonych lasach prywatnych, znalazło co do rządowych opozycyą w specyalistach i urzędnikach zarządu leśnego, obstających przy dawnym sposobie odmłodniania z naturalnego obsiewu. Bezwątpienia zdanie to wypływało z tej okoliczności, że kulturalne roboty przy naturalnym obsiewie ograniczają się obsadzaniem brzegów halizn i źle zagajonych młodniaków; ręczna zaś kultura na wielką skalę prowadzona, musi wiele rąk i pracy zabierać, przy braku środków do prowadzenia szkółek. Temu, jak twierdził jeden ze specyalistów (1), mogłaby zaradzić trzebież, korzystna już w Królestwie Polskiem a niedozwolona chyba z braku zaufania do straży leśnej. Prócz powyższych wniosków znaczna ich jeszcze liczba została złożona *ad acta*, z powodu braku czasu i przedłużonych za nadto co do niektórych kwestyj rozległych rozpraw. Pomiędzy innemi pozostała nie roztrząsaną kwestya prawidłowej trzebieży w dobrze hodowanych lasach i za pomocą obsiewu lub sadzonek odmładzanych.

Pomimo długich dyskusyj, na powyższe poszczególne wnioski nie postawiono żadnych rezolucyj, z powodu uznania potrzeby ogólnej, ułożenia ustawy leśnej dla Królestwa Polskiego, a ztąd konieczności ustanowienia osobnej komisyi, któraby pod kierunkiem głównego naczelnika kraju wypracowała zasady tejże ustawy. Propozycya utworzenia komisyi pod prezydencyą prof. Aleksandrowicza

---

(1) Profesor Szafranów.

podaną była na piśmie przez kilku członków. W urzeczywistnieniu tej potrzeby wybrano takową z 20 osób, w połowie z obywateli kraju, w drugiej zaś ze specyalistów również w kraju zamieszkałych.

W trakcie obrad nad potrzebą ochrony lasów, jeden z członków (1) złożył relacyą z akt dawnych Komisyi Skarbu, że taż ochrona była przed kilkudziesięciu laty przedmiotem pieczołowitości zarządu krajowego. Powstrzymano nawet w części niszczenie lasów nadgranicznych z Prusami na wyrób węgla dla wywozu za granicę—ustanowieniem znacznego cła wywozowego—oraz przed dwudziestu kilku laty opracowano szczegółowy bardzo projekt ustawy dla ochrony lasów, który między innemi zabraniał wyrąbywania zupełnego lasów na gruntach tylko na las przydatnych. Towarzystwo zaś rolnicze w r. 1858 orzekło, że słusznem jest odmawiać kredytu właścicielom, którzy tępią lasy. Komisya więc obecnie ustanowiona ma pod ręką po części opracowane materyały do ustawy leśnej; które bezwątpienia do obecnych potrzeb tej gałęzi gospodarstwa krajowego zastosuje.

W czasie rozpraw o tym przedmiocie bardzo nie śmiało tylko objawiała się myśl o konieczności wstrzymania bezwzględnego niszczenia lasów. My pozwalamy sobie, przy tej sposobności, wypowiedzieć jasno nasze wewnętrzne, szczere i mocne przekonanie, wywołane nie jakąś stanowczością poglądów, lecz bezwzględnem poczuciem sprawiedliwości. Nam się zdaje, że jakkolwiek lasy są bezwątpienia własnością prywatną i jako takie dają prawo do korzyści godziwych, któreby opłaciły złączone z posiadaniem ciężary i obowiązki, tém nie mniej są *dobrem publiczném* jakby oddaném właścicielowi w depozyt. Wszyscy obywatele kraju mają niewątpliwą potrzebę zabezpieczenia się od wpływu surowości klimatu, potrzebują schronienia pod dachem, schronienia należycie ogrzanego; nie powinni więc być pozbawieni godziwej możności, bez sięgania nieprawego po cudze dobro, możności zaopatrzenia się w potrzebny do tego materyał. Zadaniem więc komisyi będzie rozstrzygnąć to bardzo delikatne i trudne pytanie.

Na zakończenie tej części sprawozdania musimy dodać, że wskutek wniosku o potrzebie utrworzenia w Warszawie filii Tow. leśnego petersburskiego, jeden z obecnych członków Towarzystwa oświadczył, że oczekiwaną jest rezolucya rządu, dozwalająca zakładania podobnych filij—i że zatem samo Towarzystwo prawdopodobnie będzie mogło i chciało myśl powyższą urzeczywistnić.

---

(1) P. Kostromitinów.

VI.

Ostatnią kwestyą, którą kongres miał rozstrzygać, był, jak to już nadmieniliśmy, referat p. Krasuskiego o gospodarstwie leśném prywatném w związku ze służebnościami włościańskiemi. Przedmiot ten zdawał się najbardziej interesować miejscową publiczność, która mniéj liczna na początkowych, bardziej technicznego charakteru, obradach, zgromadziła się na ostatnie posiedzenia w przeważnéj liczbie.

Mając sobie poleconém przez redakcyą Ateneum szersze cokolwiek przedstawienie, w osobnym artykule, kwestyi służebności w obecnéj ich fazie, niżby na to pozwalało sprawozdanie niniejsze, z konieczności treściwe, mamy zamiar, nie wchodząc wcale w roztrząsanie samej kwestyi lub nawet zdań pojedynczych, przedstawić je w jak najkrótszéj relacyi, z załączeniem wniosków i rezolucyj, jakie zostały uchwalone.

Obszerny referat p. Krasuskiego drukowany osobno w języku rosyjskim w zbiorze referatów przyjętych przez Towarzystwo leśne a następnie podany w tłómaczeniu przez nasze pisma publiczne, znany jest bezwątpienia dokładnie czytelnikom Ateneum. Nie będziemy więc przytaczali argumentacyi p. Krasuskiego, użytéj trafnie do wykazania szkodliwych skutków służebności dla gospodarstw leśnych, tém bardziéj, że jeśli nie tak umiejętna, to równie silna argumentacya tkwi w przekonaniu większéj części czytającéj publiczności. Nieraz źle lub uciążliwie określone służebności są przeszkodą do nabycia pewnéj własności ziemskiéj, a przynajmniéj jéj cenę obniżają znacznie, co już wskazuje jaka jest onych opinia u publiczności. Ubolewając nad tém, że przestrzeń lasów w Król. Polskiém nie dorównywa normie 25%, potrzebnéj do zaopatrzenia kraju w materyał leśny, kiedy przed 20 laty przy większej jeszcze podówczas leśnej przestrzeni i mniejszej ludności spożycie przewyższało przyrost, czyli że zaspakajało się kosztem kapitału leśnego, p. Krasuski zaznaczył, że przeszkodą do poprawy tego nienormalnego stanu gospodarstwa leśnego są w znacznej części u nas służebności leśne; wnosi więc, że *wydanie prawa o obowiązkowej ich zamianie, stanowi rzeczywistą i niecierpiącą zwłoki potrzebę kraju.* Jeśliby zaś do wydania podobnego prawa znalazły się obecnie przeszkody, w takim razie w uzupełnieniu przepisów z r. 1875 „o sposobie używania lasów, obciążonych służebnościami w Królestwie Polsk.“: a) uznać służebności za należące do osad nie zaś do osób; b) wyznaczone w tabelach ilości uważać za maximum i szafunek tychże zastosować do rzeczywistej potrzeby osad, nie dozwalając użycia na inne cele niż te, dla których

są ustanowione (np. sprzedaż), i c), używalność pastwiska i ściołki uczynić ściśle zależną od rzeczywistego stanu lasu i określić ściśle prawidła użytkowania z tych dogodności.

Co do przytoczonych dopiero punktów, to przy postawieniu ich należało wyjaśnić:

ad a) że tu nie szło autorowi o żadną zmianę prawa, tylko o ustalenie właściwego pojmowania tegoż, skoro ani Ustawa z r. 1864, ani określenie służebności w tabelach nigdzie nie stanowią inaczej jak tylko, że służebność przysługuje osadzie. Szło by więc tylko o ustalenie takiego właściwego pojmowania, potrzebnego dla tych wypadków, gdzie służebność, ustanowiona nad potrzebę, może być przedmiotem sprzedaży, co się nawet w niektórych miejscach dozwala.

ad b) Że ten punkt stosuje się do wypadków, gdzie przy ustanawianiu służebności zaszła wyraźna omyłka, np. przy obliczaniu ilości fur opału, często i z siekierą, podług dni ugajnych dawniej praktykowanych, chociaż w praktyce dnie ugajne ustanowione przed r. 1864 dla porządku i ułatwienia poboru materyału opałowego, nie dawały prawa pojedynczym włościanom używania takowego nad potrzebę. Są więc miejsca, gdzie włościanie podług liczby dni ugajnych w roku mają sobie przeznaczone po 78 fur opału rocznie, ilość, która nie może być spożytkowaną na cel właściwy i odpowiedni przeznaczeniu.

Po odczytaniu wniosku przez referenta, najważniejszym do niego przyczynkiem były mowy panów Ludwika Górskiego i Antoniego Wrotnowskiego; pierwszy rozpatrywał rzecz ze stanowiska ekonomicznego, drugi, z punktu prawnego. Nie mogąc powtarzać, dla braku miejsca, treści dokładnej przemówień, musimy zaznaczyć, że u p. Górskiego nowym w obec referatu argumentem było zdanie, że do dobrego gospodarowania zachęcać może tylko możność osiągnięcia największego dochodu, gdy zaś służebności tę możność odbierają, przeto podkopują najważniejszą podstawę racyonalnego gospodarstwa. Zresztą przemówienie to nie tyle miało na celu argumentacyą dla wzmocnienia wniosków p. Krasuskiego, które mówca podziela, ile dla wykazania w jakiéj mierze ta kwestya jest ważną i delikatną i jak dalece z nią ostrożnie postępować należy. Mówca przedstawił przy tém historyczny pogląd na rozwiązanie kwestyi służebności w ościennych i zachodnich krajach Europy—znajdując analogią możliwą naszego kraju z Francyą w tej mierze, z powodu jedności cywilnego prawa.

Pan Wrotnowski powstaje przeciw mniemaniu niektórych, że służebność istniała jako prawo przed rokiem 1864. Przed tym rokiem

użytkownicy nie mieli służebności, lecz tylko dogodności lub używalności, które z mocy Ukazu 1864 r. stały się służebnościami i nabrały tytułu prawnego. Służebności istniały w Królestwie Polskiém, tylko nie dla włościan, i miały swoje prawa, a mianowicie przepisy kodeksu i prawo sejmowe z roku 1830, które to prawa utrzymywały służebności w granicach: 1) możności lasu, 2) uwzględnienia potrzeb właściciela i użytkownika i 3) używalności na rzecz tejże osady, dla której służą. Używalności, podniesione Ukazem do znaczenia służebności, musiały przyjść nie z prawem lecz pod prawo, skoro takowe ukazem z r. 1864 nie było zmienione; tenże ukaz, jako wyraz Najwyższej woli, stanowi w § 12 zniesienie służebności, po wydaniu stosownych do tego przepisów.

Zasadne tłómaczenie p. Wrotnowskiego nie upoważnia jednak do podejrzenia, że ktokolwiek pierwsze dwa punkta prawa r. 1830 miał by na myśli stosować do lasów zniszczonych po r. 1864 za wiedzą komisyj włościańskich na mocy deklaracyi samych właścicieli, że reszta lasów zabezpiecza służebność. Tacy, sami na siebie wydali cyrograf, pozbawiający ich prawa korzystania z dobrodziejstwa powyższego sejmowego przepisu.

Stojąc więc na gruncie Ukazu z r. 1864, nie powinno się spotykać żadnych nieporozumień, a jeśli pomimo to zdarzają się takowe, to tylko skutkiem złej interpretacyi lub nieświadomości prawa.

Sam referat pana Krasuskiego i następujące po nim dwa przemówienia, o których wspomnieliśmy przed chwilą, wyczerpały właściwie cały antiserwitutowy pogląd; dalsze więc przemówienia w tym kierunku możemy pominąć przechodząc do strony opozycyjnéj, która podjęła zadanie bronić służebności. Rzecznikiem tej sprawy był p. Bożowski, niegdyś prezes komisyi włościańskiej. (1)

Wzmiankowany mówca w ozdobnej mowie dowiódłszy potrzeby objektywności i sumienności poglądów, przedstawił, że służebności oddawna istniały opierając się jeszcze na przywilejach królów, że one razem z uwolnieniem włościan w Królestwie w r. 1846 zyskały sankcyą (wiadomo, że włościanie uwolnieni w r. 1807 jednocześnie z wprowadzeniem kodeksu francuskiego) i że nareszcie zatwierdzone ostatecznie w r. 1864, określone były przez samych właścicieli, podających tabele. Przepisy co do zamiany służebności były ułożone w r. 1866, lecz zastosowanie ich uznano za przedwczesne; pozostawiono to dobrowolnym umowom, które do dziś dnia miały już znieść do

---

1) Obecnie prezes Izby skarbowej Suwalskiej.

35% służebności. Mówca następnie bierze w rękę broszurę p. Symoneńki i czyta z niej wyjątki: w Królestwie Polskiém od r. 1864 wzrósł dobrobyt, rolnictwo i przemysł—pomimo służebności, w Galicyi zaś i Poznańskiém służebności zniesiono a kraje te nietylko nie postępują, lecz się cofają: stan włościan w tych prowincyach chyli się ku upadkowi.

Chąc ocenić stosunek zachodzący między służebnościami a zamożnością leśną oraz ich uciążliwość, trzeba mieć dokładne mapy przedstawiające stan lasów oraz wszystkie tabele likwidacyjne, ażeby z tych szczegółowych danych módz wyprowadzić wnioski, inaczéj będą one nie dowiedzione. Kongres nie ma kompetencyi do sądzenia o faktach ekonomiczno-społecznych; może tylko dotykać kwestyj wyłącznie technicznego charakteru. Należy więc służebności utrzymać dla ich ostatecznego uregulowania na drodze dobrowolnych układów.

Po sprostowaniu przez pana Kłobukowskiego niektórych niedokładności i wykazania historycznego i prawnego znaczenia służebności, p. Jeziorański w żwawém przemówieniu oświadczył, że drukowanym rzeczom o tyle wierzy, o ile je znajdzie opartemi na niezawodnych dokumentach.

Z tego powodu nad wywody p. Symoneńki przekłada zamieszczone w zbiorze postanowień komitetu urządzającego zdanie b. Namiestnika Królestwa hr. Berga, dosadnie określające szkodliwość służebności. Zna on dwie metody badania: analityczną i syntetyczną czyli indukcyjną. Dla wniosków z téj drugiéj metody wynikających nie podobna żądać przeglądu wszystkich faktów, taki sposób uniemożebnia wszelkie badanie. Ogólna zasada, że wspólna własność nie przynosi korzyści, postawiona przez teoretyków, łącznie z faktami przedstawionemi przez praktyków—dają sprawdzenie faktu za pomocą obu metod badania. To połączenie teoryi z praktyką i wzajemne przez to uzupełnienie daje praktyczną doniosłość zebraniu kongresu—i kompetencyą zupełną, ażeby stojąc na gruncie prawa z r. 1864, orzekł potrzebę wykonania 12 punktu Najwyższego Ukazu.

Gdy p. Bożowski przedstawił, że nie był dobrze zrozumianym i że nie przecząc niedogodności serwitutów dla prywatnéj własności, przekłada tylko ich zniesienie na drodze dobrowolnych umów, nieporozumienie zostało załatwioném.

Gdy prezes uznając, że jakkolwiek dyskusya wyczerpała przedmiot, oświadczył, iż byłoby jednak do życzenia ażeby ktokolwiek z reprezentantów instytucyj włościańskich, również postawił swoje wnio-

ski, p. Kostromitinow został zaproszony jako Komisarz włościański do wyłuszczenia swego w téj mierze zdania.

Mówca z zupełném umiarkowaniem przedstawiał trudność prędkiego załatwienia tak ważnéj sprawy, powołując się na to, że i hr. Berg jakkolwiek uznawał szkodliwość służebności, był za uchyleniem ich na drodze dobrowolnych umów. W niektórych miejscach włościanie nie przystają na ugody—z obawy, że jak lasy zostaną wycięte, nie będą w możności zaspokoić swoich potrzeb. Powołując się na zdanie obecnego członka kongresu p. L. Górskiego w r. jeszcze 1858 na posiedzeniach Towarzystwa rolniczego wypowiedziane, że niebezpieczne jest nagłe zniesienie służebności oraz na opinią Poznańskiego przeglądu leśnego, że pastwisko leśne nieodbite jest dla posiadaczy drobnych działków,—sądzi, że jeszcze możeby była zawczesną obowiązkowa zamiana służebności; mówca przy tém dodaje że jak widać z porównawczych wykazów, daleko więcéj zniesiono służebności w powiatach, gdzie większy jest rozmiar działów włościańskich, niż w tych gdzie są przeważnie sami drobni posiadacze, albowiem właściciele sami w ostatnim przypadku mniéj mają ochoty do nadawania gruntów za służebności, bo i grunt w takich miejscach jest droższy i powiększenie działów włościańskich zmniejszyło by ilość rozporządzalnego najemnika. Zmierzając zaś do ułatwienia urządzenia lasów na zasadzie przepisów z roku 1875 p. K. sądzi, że pożyteczném by do tego celu było otwarcie kredytu, jaki istnieje już dla maszyn i inwentarza.

Po oświadczeniu zatém jeszcze jednego z mówców, że nikt nie myśli nastawać na krzywdę włościan, lecz wszyscy pragną zniesienia służebności za sprawiedliwém ich wynagrodzeniem, dyskusya uznana za wyczerpaną—i ogłoszono oraz przyjęto następujące wnioski.

1. Kongres uznaje że istnienie służebności szkodliwie oddziaływa na prowadzenie gospodarstwa leśnego oraz, że dla skutecznego jego rozwoju, konieczne jest uwolnienie lasów od służebności.

2. Wyszukanie sposobów najlepszego rozwiązania tego zadania jest w związku z wydaniem ustawy leśnéj—i dla tego zdaniem kongresu sprawa służebności może być oddana komisyi wybranéj dla opracowania owéj ustawy.

3. Kongres uznaje, że dla szybszego i skuteczniejszego zniesienia służebności i zaprowadzenia prawidłowego gospodarstwa leśnego w lasach prywatnych była by pożyteczną pomoc instytucyj kredytowych.

Na miejsce przyszłego za dwa lata zjazdu obrano miasto Charków.

VII.

Na tém zakończył kongres leśny swoją zbiorową pracę. Jakkolwiek tylko teoretycznie w zasadzie, rozwiązał jednak stanowczo jedną z najbardziéj dolegliwych kwestyj społecznych. Takie konkluzye poważnego naukowego ciała nie mogą nie zwrócić troskliwéj uwagi rządu, tém bardziéj gdy szczegółowy rozbiór téj ważnéj kwestyi oddanym został komisyi ustanowionéj nie bez przyzwolenia wyższéj władzy krajowéj.

Opracowanie ustawy leśnéj również zostało temuż komitetowi poleconém, co jako środek ochrony reszty lasów od zniszczenia niecierpliwie przez ogół społeczeństwa będzie oczekiwaném.

Zwrócenie uwagi publicznéj przez całość obrad kongresu na kwestyą tak ważną w gospodarstwie społeczném, jaką jest racyonalne urządzenie i ochrona lasów, może rozbudzić zamiłowanie i uznanie ku téj gałęzi wiejskiego przemysłu i zwrócić wielu na drogę racyonalnego gospodarowania w lasach; nakoniec wiele ciekawych szczegółów, tyczących się specyalnych kwestyj leśnictwa, na zjeździe poruszonych lub zdecydowanych, mogą rozbudzić ciekawość w publiczności do bardziéj szczegółowych badań téj nauki, i do robienia prób pożytecznych, z których i widoczne materyalne korzyści dadzą się osiągnąć.

Z tych względów możemy śmiało powiedzieć, że kongres leśny w Warszawie dobrze się zasłużył społeczeństwu.

Julian Łapicki.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

Z początkiem bieżącego roku zaczęło w Warszawie wychodzić czasopismo, dwutygodniowe, poświęcone **NAUKOM PRZYRODNICZYM I HIGIJENIE**, redagowane w części higijenicznéj przez d-ra K. DOBRSKIEGO, a w części przyrodniczej przez Br. ZNATOWICZA, p. n.

ZDROWIE.

W pierwszem półroczu 1878 r. Zdrowie pomieściło, pomiędzy innemi, następujące prace i artykuły:

I. Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODNICZYCH:

Postrzeżenia nad kolibrami, p. Wł. TACZANOWSKIEGO, Kustosza Gabinetu Zoologicznego w Warszawie. Ruch gwiazd stałych, p. J. J. BOGUSKIEGO, kand. n. przyr. Trucizny umysłowości, według p. RICHETA. Skraplanie gazów, uważanych dotychczas za trwałe, p. J. J. BOGUSKIEGO. Telefon p. E. DZIEWULSKIEGO, Asystenta Uniw. Warsz. Akwaryjum, p. M. ŻARSKIEGO, kand. n. przyr. Kurara p. d-ra med. K. ZAGÓRSKIEGO. Wzrastanie kryształów, p. Br. PAWLEWSKIEGO, kand. n. przyr. Służba meteorologiczna w Stanach Zjednoczonych, p. J. J. BOGUSKIEGO. Budowa i działanie oka, według p. HINKA. O purpurze oka, p. d-ra med. Zyg. KRAMSZTYKA. Życie—ruch p. Br. RAJCHMANA kand. n. przyr.

II. Z DZIEDZINY NAUK HIGIJENICZNYCH:

O wodach studzien publicznych m. Warszawy, p. Wł. LEPPERTA, Asystenta Uniw. Warsz. Jak się w stacyjach klimatycznych zachowywać należy, p. d-ra med. Z. DOBIESZEWSKIEGO. Powietrze mieszkań naszych, p. St. STĘPNIEWSKIEGO, Asystenta Inst. Technologicznego w Petersburgu. Ruch ludności w Piotrkowie, p. d-ra med. STRZYŻOWSKIEGO. Niektóre warunki higijeniczne w dawnéj Polsce, p. E. ŚWIEŻAWSKIEGO. O materyjałach spożywczych i ich zafałszowaniach, p. d-ra fil. A. M. WEINBERGA. Powietrznia i jéj stosunek do wierzchnich pokładów ziemi, p. d-ra med. H. FUDAKOWSKIEGO, profesora Uniw. Warsz. Pielęgnowanie płci, p. d-ra med. KOEHLERA. Słówko o śmierci i jéj przyczynach, p. d-ra med. FABJANA.

Oprócz tego wiele artykułów pomniejszych z jednéj i drugiéj dziedziny, kronikę naukową, przeglądy krytyczne nowych dzieł treści i przyrodniczéj i higijenicznej, kronikę biblijograficzną i wiadomości bieżące.

Systematyczne zamieszczanie artykułów treści higijenicznéj natrafia w naszych warunkach na wielkie przeszkody. W rzeczy samej, piśmiennictwo nasze dotychczas nie posiada dzieła, któreby można było nazwać naukowym a zarazem popularnym wykładem higijeny. Skutkiem tego braku piszący jest bardzo ograniczony w wyborze treści, gdyż niema do czego odsyłać czytelników po

szczegóły i objaśnienia, a z drugiéj strony niema prawa przypuszczania, że ogólne zasady nauki o zdrowiu są znane ogółowi. Temi względami powodowana, redakcyja Zdrowia powzięła zamiar wydania książki, któraby w sposób przystępny a jednak ścisły podała podstawy higijeny. Spomiędzy autorów, piszących za granicą we wzmiankowanym kierunku, najszerszą i najzasłużeńszą sławę zjednał sobie profesor uniwersytetu lipskiego, dr. Karol REKLAM, którego dzieło, wydane świeżo w 2 wydaniu, postanowiliśmy przyswoić naszéj literaturze. W tym celu powierzywszy przekład téj pięknéj książki d-rowi Wacławowi MAYZLOWI, dodawać ją będziemy wszystkim naszym prenumeratorom, w roku bieżącym jako **dodatek bezpłatny** p. t.

NAUKA ZACHOWANIA ZDROWIA
I ZDOLNOŚCI DO PRACY,

przez **Karola Reklama** d-ra fil. i med.

Przekład doktora medycyny **W. Mayzla**

Asystenta Uniw. Warsz.

Treść tego dzieła (z drzeworytami) jest zawarta w 9 następujących rożdziałach: Dyjetetyka dla wszystkich okresów życia, od niemowlęctwa aż do starości. Materyjały spożywcze i odżywianie się. Powietrze, odzież i pielęgnowanie skóry. Mieszkanie. Praca. Śmiertelność i długowieczność. Zachowywanie się w czasie choroby. Dyjetetyka dla podróżujących. Dyjetetyka różnych pór dnia.

WARUNKI PRENUMERATY.

Zdrowie wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca, w objętości $1\frac{1}{2}$ do 2 arkuszy druku.

Przedpłata w Warszawie, w Królestwie i Cesarstwie, wraz z odnoszeniem i przesyłką, wynosi rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach i agenturach spółki kolportacyjnéj, oraz w redakcyi, w Warszawie, ulica Królewska Nr. 6.

Nowi prenumeratorzy, za zgłoszeniem się do miejsca gdzie składają prenumeratę, otrzymają bezpłatnie arkusze dodatku p. n. NAUKA ZACHOWANIA ZDROWIA, wyszłe w pierwszem półroczu.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 15 Мая 1878 года.
Druk M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krak.-Przedm. Nr. 415.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Ateneum“

w ciągu Sierpnia 1878.

---

1. **Rys siedmioletniej działalności Warszawskiego Tow. Ubezpieczeń od Ognia** Skreślił *Brun. Lezyam.* Warszawa 1878.
2. **Hiszpania**. Wspomienia z podróży Edmunda de Amicis przekład z Włoskiego *Maryi Siemiradzkiej.* Warszawa 1878.
3. **Wolter** w stuletnią rocznicę jego śmierci, przez *Alexandra Świętochowskiego.* Warszawa 1878.
4. **Russo** w stuletnią rocznicę jego śmierci, przez *Piotra Chmielowskiego.* Warszawa 1878.
5. **Encyklopedya Rolnictwa**. Tomu V-go zeszyt 5-ty .
6. **Zbiór praw, postanowienia i rozporządzenia w Guberniach Królestwa Polskiego obowiązujące,** zebrał i przełożył *W. Wyziński.* Warszawa 1878.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

W „Ateneum" pomieszczane będą: studya ze wszystkich gałęzi nauk historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; opisy podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne; krytyka dzieł polskich i obcych, bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królestwa, oraz zagranicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wynosi:

Rocznie . . . . **Rs. 12.**
Półrocznie . . . . „ **6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ **3.**

Prenumerować można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała, Nr. 7,

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsyłanie prenumeraty *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.

Дозв. Цензурою, Варшава, 21 Августа 1878 г. Druk. K. Kowalewskiego, Królewka 23.